PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

ECHO ZGASŁEGO ŚWIATA

OPOWIADANIA POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ECHO ZGASŁEGO ŚWIATA

WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Insignis

Insights

Echo zgasłego świata
Wybór najlepszych opowiadań polskich fanów
Uniwersum Metro 2033

Autorzy
Paweł Majka, Aneta Pazdan, Dagmara Adwentowska, Magdalena Kucenty, Dawid Jaworski, Piotr Jedliński, Anna Wołosiak-Tomaszewska, Ilona Podgajna, Komodo, Justyna Micota, Tomasz Przyłucki, Maciej „Sarajas" Głowacki, Marek Zychla, Simon Zack

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033
Dmitry Glukhovsky, 2009

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2016

Konsultacja merytoryczna
Paweł Podmiotko

Redakcja
Julia Diduch, Dominika Pycińska
Pracownia 12a | pracownia12a.pl

Koordynator projektu
Admin_uniwersum

Konwersja
Tomasz Brzozowski

Projekt okładki
Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii
Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2016
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65315-38-0

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Paweł Majka | Halny

Styczeń 2033

1

Zima w Nowej Hucie to piekło.

Słońce niemal całkowicie znika na kilka miesięcy za grubą pokrywą ciemnosinych chmur, zawierających w sobie jeszcze nieco pyłu wyrzuconego w przestworza potężnym uderzeniem Pożogi przed dwudziestu laty. Nie zostało go wystarczająco wiele, by szkodzić ocalałym bardziej niż przejmujący do szpiku kości mróz bądź stada wygłodniałych ludzi i zwierząt. Ale wciąż stanowi ponurą pamiątkę. A czasem, gdy silne wiatry przyganiają powietrze ze wschodu, gdzie spadła bomba, bywa niebezpieczny.

W schronach obywatelom Federacji nie wolno używać ognia. Zbyt mało zostało opału, oszczędza się na wszystkim. No i pożar mógłby zabić wszystkich. To, co w cieplejszych porach roku oznaczałoby katastrofę, zimą skończyłoby się zagładą. Bo zimą nie byłoby dokąd uciekać. Ci, którzy umknęliby przed ogniem, najpewniej zamarzliby szukając schronienia. Dlatego pełnym monopolem ogniowym dysponowały zimą władze Federacji, dbające, by wydawać obywatelom jeden gorący posiłek na dobę.

Szperacze prawie nie wychodzili na zewnątrz. Skupiali się na pomocy przy zamkniętych hodowlach, sprzątaniu schronów i trzymaniu wart w wieżach ogrodniczych – ruinach budynków przerobionych na szklarnie, dostarczających pożywienia wiosną i latem.

Wnętrza schronów nie przestawały być zimą duszne i ciemne, zaczynało

jednak do nich przenikać zimno. Nieznośny letni upał wspominano jako objawy raju. Pomagało, że opatuleni w co się da ludzie tulili się do siebie nawzajem, pomagała nawet ciasnota. Ale jeśli zima trwała zbyt długo, zimno dopadało mieszkańców schronów i tak.

„Jeżeli pożyjemy wystarczająco długo, by się dostosować do nowego świata, zmienimy się w niedźwiedzie – uznał Szrama. – Będziemy po prostu przesypiać zimy”.

Z wyglądu już przypominali niedźwiedzie. Kocur, który narzucił na siebie zdobyte gdzieś futro, niegdyś eleganckie, dziś poszarpane i pozbawione jednego rękawa, wyglądał na dwa razy potężniejszego niż zwykle. Halnemu nie potrzeba było takich dodatków, by sprawiać wrażenie wielkoluda. Ale i on przytargał kiedyś do schronów barani kożuch pełen moli. Mole dodali do owsianki i zjedli. Mech i Wstańka, jak zwykle nierozłączni, uszyli sobie identyczne płaszcze, co stanowiło nie lada osiągnięcie, zważywszy, że zbierali na nie strzępki materiałów po całej Hucie, i ich zimowe odzienie składało się wyłącznie z łat i podszewki wypchanej czym się dało: kawałkami futra, szmatami, a nawet strzępami przedwojennych gazet. Szare ciężkie płaszcze sięgały aż do podeszw butów, a wysokie kołnierze, gdy zostały postawione, osłaniały całe głowy. Reszty dopełniały kaptury kombinezonów i maski przeciwśnieżne. Elmo i Szrama zadowolili się zdobycznymi polarami i narciarskimi kurtkami, a ostatni z drużyny, Jurand… No cóż, on doprowadzał wszystkich do szału, bo lubił mrozy i chodził wyłącznie w zwyczajnym kombinezonie, na który narzucił wiatrołap z worka obszytego folią. Pozostałym robiło się zimniej od samego patrzenia na starego żołnierza.

Jeśli jednak zima w Nowej Hucie to piekło, jak nazwać miejsce, do którego zaprowadziły ich tropy?

– Kurwa – rzucił człowiek, którego obecność narzucono im podczas tej akcji, prawdziwy elegancik w podszywanej futerkiem skórzanej kurtce, narciarskich rękawiczkach i butach wyciągniętych chyba prosto z jakiegoś

magazynu sprzed Pożogi. – Czy to jest to, co myślę?

Nie marnowali energii na odpowiadanie mu.

Prawdę mówiąc, nie polubili go. Z początku wlókł się noga za nogą, lękliwie spoglądając na niebo i dygocąc ze strachu, ilekroć wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch w ruinach. Odetchnął z ulgą dopiero, gdy pierwszego wieczoru wyprawy schronili się w jednej ze stanic, wykopanej już po Pożodze ciasnej i ciemnej piwnicy.

Tam poczuł się jak w domu.

– Nigdy nie opuszczałeś schronów, co? – domyślił się Kocur.

– Panie poruczniku – warknął tamten, czym dodatkowo nie zyskał sympatii.

– Porucznikowanie zostawiamy pod ziemią – ofuknął go Szrama. – Tu jest dowódca i reszta. A że ja jestem dowódcą, to ty zaliczasz się do reszty. Zrozumiano?

– Pułkownikowi się to nie spodoba.

– Pułkownik nie miesza się do naszego życia tutaj i tak jak ty nie wychodzi na powierzchnię. Bo to twój pierwszy raz, co?

– Pierwszy od dwudziestu lat.

– Widać. Kocur, trzymasz pierwszą wartę. Potem Jurand, Elmo, Mech, Wstańka. Na końcu ja.

– A ja? – przypomniał o sobie Halny.

– Nie podobają mi się twoje oczy. Przyznaj się, czujesz wiatr?

– W górach zaczyna wiać. Lekkie powiewy. Prawie nic. Ale za dwa, trzy dni…

– Więc ty śpij.

Halny wziął imię od otoczonego legendami wiatru spadającego czasem na miasto z gór. W dusznym, leżącym w dolinie mieście ludzie z ochotą witali każdy ruch powietrza, o ile nie nadchodził ze wschodu, gdzie rozciągała się ciągle jeszcze gorąca, jak powiadano, radioaktywna pustynia. Ale wiatr halny potrafił wyczyniać dziwne rzeczy z ludzkimi umysłami, a na mózg

największego żołnierza z drużyny Szramy działał wyjątkowo mocno.

Gdy wiał ten wyjątkowy wiatr od gór, Halnego ogarniało szaleństwo. Szrama, dla dobra wszystkich, pozwalał mu wtedy opuszczać drużynę. Halny przepadał na kilka dni wśród ruin. Nigdy nie opowiadał, co robił w tym czasie, ale wracał poobwieszany zdobyczami, a jego kombinezon bywał cały pokryty krwią.

Zdawali sobie sprawę, że gdyby nie mordował obcych, mógłby zwrócić się przeciw swoim. I nieważne, że potem wszyscy by tego żałowali. Musieliby zabić druha, nim on zabiłby ich.

Narzucony im porucznik oczywiście tego nie rozumiał. Nie miał pojęcia, kim naprawdę był Halny, bo Szrama nie umieszczał informacji o szaleństwie żołnierza w raportach. Jeśli kto pytał, oficjalnie Halny wyruszał na dalekie zwiady.

To, co się działo w drużynie Szramy, pozostawało pomiędzy jej członkami.

Tym nie chętniej patrzyli na obcego.

Musieli jednak przyznać, że się przydał, gdy tego poranka znienacka wypadł na nich zagon Szarych.

Tamci wydawali się równie zaskoczeni jak oni. Dwunastu Szarych gnających przed siebie w takim zapamiętaniu, że obecność ludzi spostrzegli dopiero wtedy, gdy przewodnik stada zderzył się z Jurandem.

W normalnych warunkach Jurand zauważyłby Szarych wcześniej, ale zima kreowała własną rzeczywistość. Choć śnieg nie padał już od kilku dni, jego nietopniejące zwały zalegające na ruinach odmieniły krajobraz Huty. Wykoślawiły znajome kształty, a do tego wypełniły dzielnicę dodatkowymi, niepokojącymi odgłosami. Śnieg skrzypiał pod nogami żołnierzy, lekki, ale już wyraźny wiatr podnosił białe tumany. Bywało, że cięższa śnieżna czapa załamywała się pod własnym ciężarem i spadała z resztek dachu. Żołnierze przypadali wtedy do ziemi, ruchami nie tak szybkimi i płynnymi jak latem ściągali z ramion kusze, naciągali cięciwy i wypatrywali

niebezpieczeństwa.

Wszystko to, w połączeniu z nieustępliwym dokuczliwym mrozem i koniecznością przebijania się przez grubą pokrywę śniegu, sprawiło, że byli zmęczeni i źli. I – jak się okazało – nie dość czujni.

Zimą nawet oni woleliby nie opuszczać schronów.

Jurand upadł, odruchowo ciągnąc za sobą Szarego. Wielki miecz wykuty w kuźni kanibali z resora przedwojennego samochodu nie przydał mu się w tej sytuacji na nic. Wyszarpnął więc jeden z noży, jakimi był poobwieszany, i wbił go w bok mutanta.

Szary zaskomlał przejmująco.

I wtedy spomiędzy ruin wyskoczyła reszta stada.

Dopiero po walce żołnierze mieli czas, by zdziwić się wyglądem Szarych. Tym, że niektórzy z nich, bardziej po ludzku niż zwierzęcemu, mieli ciała owinięte szmatami bądź skórami. Jeden wciągnął na siebie nawet resztki kombinezonu zaginionego miesiąc wcześniej zwiadowcy Federacji.

– Jeśli szybko ich nie wybijemy, nauczą się robić narzędzia, używać broni. I będzie po nas – mruknął Elmo, przyglądając się ich ciałom.

Nim jednak nadszedł czas na refleksje, musieli sobie poradzić ze stadem zajadłych, oszalałych z głodu wrogów.

W lepszych miesiącach bywało, że zwiadowcy ludzi i Szarych nie atakowali się nawzajem. Obie strony zdawały się szanować niepisany rozejm i nie ryzykowały niepotrzebnych starć. Ale zimą, gdy część zwierząt zapadała w sen w bezpiecznych kryjówkach, gdy znikały pożywne insekty i nawet niektóre ptaki nieskażone jednomyślnością, która wypaczała ich instynkty, odlatywały, jak przed wojną, do dalekich krain, wszystkim brakowało pożywienia. A to oznaczało, że każdy mógł stać się zwierzyną łowną. Granice ryzyka zaś ulegały przesunięciom.

Halny roztrzaskał czaszkę jednego z Szarych drzewcem swojej włóczni. Drugiego nabił na jej grot, uniósł nad głowę i cisnął cielskiem ofiary w mutanta próbującego dopaść od tyłu Elma. Spod maski śnieżnej Halnego

dobiegały dziwne, burkliwe odgłosy niepokojąco przypominające rzężenie kogoś rannego. Ale Szrama wiedział, że tak właśnie Halny się śmiał.

W dłoniach Kocura zamigotały niewielkie, ale zabójcze nożyki, które nazywał swoimi pazurami. Dwoma błyskawicznymi ruchami rozdarł nimi gardło i pachwinę Szarego, po czym zgrabnym susem odskoczył do tyłu. Poślizgnął się na czymś, upadł, ale zerwał na nogi wystarczająco szybko, by uniknąć ciosu następnego wroga, tego w strzępach zdobycznego kombinezonu.

Szrama nie widział, jak wyglądał dalszy ciąg pojedynku Kocura. Musiał zająć się własnymi problemami. Może miał zwyczajnego pecha, a może Szarzy poznali w nim jakoś dowódcę, ale zaatakowało go trzech.

– No, no, nieźle – wymruczał Kocur, gdy po walce odkrył, że narzucony im porucznik zdołał zabić dwóch Szarych. – Uwijałeś się prawie tak szybko jak ja.

Gdy ukryli ciała, by zabrać je do schronów w drodze powrotnej, i wyruszyli dalej, Kocur podszedł do dowódcy.

– Skurwiel jest szybki – szepnął. – Może nawet szybszy ode mnie. Uważaj na niego.

Szrama skinął głową. Jeśli Kocur przyznawał, że ktoś może go przewyższać, musiał być poważnie zaniepokojony.

A przecież nie wiedzieli tak naprawdę, po co pułkownik przydzielił im tego „pomocnika”. Bo w oficjalne powody nie uwierzyli.

2

– Co zrobimy? – zapytał po raz kolejny porucznik, gdy ukryli się w przerobionych na prowizoryczną stanicę resztkach kiosku, w którym dawno, dawno temu, w świecie, w który trudno było uwierzyć, sprzedawano takie cuda, jak świeże warzywa dziesiątków odmian, cukierki, soki, a nawet gumy do żucia.

Teraz przypominał bezwładną kupę kamieni, zimą dodatkowo skutych

lodem i pokrytych śniegiem.

Blisko kwadrans zajęło im ostrożne rozbijanie pokrywy lodowej, nim dotarli do ukrytego włazu.

W środku było przyjemnie zimno. Mróz wdarł się i tu, był jednak nieco słabszy. A kiedy siedli wtuleni w siebie, po kilku minutach prawie przestali trząść się z zimna.

Kocur, najlepszy tropiciel Szramy, wiódł ich od trzech dni śladami poszukiwanej. Jak każda wychowana w podziemiach, nigdy nieopuszczająca schronów obywatelka wędrowała powoli, wybierając ścieżki, które jej mogły wydawać się bezpieczne, choć dla doświadczonych zwiadowców wiodły wyjątkowo nieprzyjemnymi szlakami. Zdarzało się, że chodziła w kółko. Kocur prychał wtedy zaniepokojony, że mógł zgubić trop.

A mimo to ciągle była przed nimi. Wszystko przez cztery dni przewagi, które zyskała, bo nikt nie wierzył, że wyszła na zewnątrz, a wyżsi oficerowie woleli trzymać zaginięcie w tajemnicy.

Dwunastolatka, dziecko… Prawdziwy skarb w świecie, w którym ludzie starzeli się szybciej, powszechnie przejawiali paskudną skłonność do umierania młodo, za to rozmnażali się coraz słabiej.

A w dodatku córka generała, jednej z największych szych Federacji.

Jaki diabeł mógł wygnać ją na powierzchnię? I to w środku zimy!

– Dopuszczamy możliwość, że została porwana – oświadczył Szramie pułkownik, zwany od poparzonej twarzy „Indorem”. Twardy, wredny sukinsyn o ambicjach, których, jak powiadano, schrony nie były w stanie pomieścić. – Nie wiemy przez kogo, nie wiemy dlaczego. Ciągle jeszcze przeszukujemy korytarze, ale musimy wziąć pod uwagę, że dziewczynkę uprowadzono na zewnątrz. Pan i pana ludzie macie największe doświadczenie w takich wyprawach. Dlatego to was wysyłam na poszukiwanie. Dam wam człowieka do pomocy.

– Po co? – Szrama nigdy nie przykładał wielkiego znaczenia do procedur,

toteż przełożeni często rugali go za obcesowość i bezczelność.

– Bo Ania was nie zna. Mnie tak, nazywa mnie wujkiem. Ale ja z wami pójść nie mogę. Pójdzie więc porucznik Arciszewski, przyjaciel rodziny. Dzięki temu Ania nie przestraszy się, jeśli ją odnajdziecie.

Porucznik Arciszewski miał w sobie, zdaniem Szramy, mniej ciepła od sopla lodu, a jego oczy były równie pełne miłości jak spojrzenie kanibala zarzynającego ofiarę. Ale może łagodniał przy dzieciach, kto wie.

Porwanie wykluczyli, ledwo Kocur znalazł na śniegu ślady drobnych stóp w byle jakich, ledwie nadających się do używania w schronach bucikach.

– Odmrozi sobie stopy jak nic – zamruczał. – Biedna, durna mała. Nikt jej nie porwał.

– Takiś pewien? – ofuknął go porucznik. – Mądrzejszy od pułkownika?

– Niech Indor tu przylezie i odczyta ze śladów co innego niż ja. Szła sama.

– Może uciekła porywaczom!

– To czemu nie szła do schronów, tylko jak najdalej od nich?

– Bała się!

– Na pewno się bała. Cholernie bała się czegoś w schronach. Może pan porucznik wie czego?

Omal nie skoczyli sobie wtedy do gardeł.

– Jesteś pewien, że nie mogła uciec porywaczom? – wkroczył między nich Szrama.

– Jeśli tak, to za nią nie wyszli. Tu nie ma żadnych ludzkich śladów poza tymi jej. Nie wiem, po cholerę wyszła ze schronów, szefie. Ale na mój nos nie chciała do nich wracać.

– Mogła się zgubić – warknął porucznik. – W ciemnościach. W zawiei.

– Jakby była zawieja, nie znalazłbym żadnych śladów – skrzywił się Kocur. – Śnieg by wszystkie zakrył. Ale w ciemności? Pierwszy raz na powierzchni? To nawet możliwe.

Jego mina nie świadczyła bynajmniej, że naprawdę wierzył w taką opcję.

A Szrama się z nim zgadzał.

Mała uciekała. Czego jednak mogła się bać aż tak, by uciec na pewną śmierć?

– Co zrobimy? – powtórzył porucznik, gdy schronili się w kiosku. – Co teraz?

– Teraz odpoczniemy, zjemy coś ciepłego i wrócimy zameldować, że po sprawie. – Szrama ruszył się, by wyjąć ze schowka nieco zachomikowanego w stanicy opału.

Elmo wyciągał już z plecaka niewielki kociołek, który wszędzie zabierał ze sobą.

– Tak po prostu? – zdumiał się porucznik. – Porzucimy to dziecko?

– Wiesz, co to za miejsce? – Jurand, gdy już się odzywał, nie tyle mówił, ile wypluwał słowa. Nigdy się nie uśmiechał, z rzadka okazywał cieplejsze uczucia. Czarna opaska ukrywająca to, co zostało po jednym z jego oczu, dodawała twarzy Juranda surowości nawet w tych nieczęstych chwilach, gdy próbował nie zatrważać rozmówcy. – Wiesz, gdzieśmy przyleźli?

– Pytałem, czy to to, nie? Czyli to to?

– To – potwierdził Szrama. – Jeśli tam zeszła, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, to jest już martwa.

– Powinniśmy sprawdzić!

– Więc idź, sprawdzaj. Sam. Na ochotnika. Nie poślę nikogo na pewną śmierć.

– Na pewno? Tam na pewno murowana śmierć?

To nie był głos zatroskanego przyjaciela rodziny, ale kogoś, kto ma nadzieję, że jego misja dobiegła końca. Komu myśl o śmierci dziecka przyniosłaby ulgę.

Nikt mu nie odpowiedział. Milczeli, aż zjedli gęstą gorącą zupę ugotowaną przez Wstańkę. Dopiero wtedy Halny oznajmił, że on zejdzie poszukać dziewczynki. Sam.

Tylko porucznik zareagował protestem. Pozostali widzieli, że Halnego

zaczyna nosić. Sami czuli już zapach wiatru, który miał nadejść od gór. Widzieli, jak spojrzenie ich towarzysza robiło się coraz bardziej niespokojne, jak zaciskał dłonie na drzewcu włóczni. Słyszeli, że coraz częściej warczał pod maską.

– Nie wrócisz – zdecydował się wreszcie na protest Szrama. – Stamtąd się nie wraca.

– Jestem im to winny! – prawie krzyknął Halny. – Ty, ja. Jesteśmy im to winni – dodał spokojniej. – Ale mnie nie żal. Zejdę tam.

– Nie beze mnie! – porucznik podniósł się z miejsca.

Przez chwilę nawet Kocur podziwiał jego odwagę. Albo szaleństwo – wszystko jedno, Kocur podziwiał i jedno, i drugie.

– Idę sam! – ton Halnego nie pozostawiał wątpliwości co do powodzenia ewentualnych sprzeciwów. – Jak ruszysz za mną, zabiję.

– Poczekamy na ciebie przez dobę – zdecydował Szrama.

– To nie ma sensu.

– No! Nie decyduj za dowódcę, żołnierzu!

– Wiatr będzie silniejszy. Będzie wam trudniej.

– Mamy zapasy. Wytrzymamy choćby i dwa, trzy dni, jeśli będzie trzeba. Ale ty masz dobę.

– Potem i tak będę musiał… Wiesz.

– Potem to osobna rzecz. Masz dobę, żeby stamtąd wyjść.

– Wyjść stamtąd, skąd nikt nie wychodzi, co?

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Spadaj, bo już mnie wkurzasz.

3

Przed snem ugotowali jeszcze trochę zupy. Potem Elmo wyszedł na zewnątrz, zgarnął nieco śniegu i wrzucił do kociołka. Wodę przecedzili przez jeden z prowizorycznych filtrów, ponownie zagotowali i zrobili kawę.

Porucznik przyglądał się jej podejrzliwie.

– Nie ma w tym jakiegoś świństwa?

– Wiatr idzie od południa, nie ze wschodu. A co do reszty? Taki sam syf jak w wodzie, którą pijemy w schronach – zapewnił go Elmo i dla zachęty upił łyk z własnego kubka.

Niespełna kwadrans później porucznik spał już jak zabity.

– Strasznie skurwiel chrapie – wywarczał Jurand i splunął.

– Taki sam syf jak w schronach, nie licząc usypiacza, co? – zachichotał Kocur. – Oj, Elmo, Elmo. Ty i te twoje prochy od czerwonych!

– Przeciwbólowe, uspokajające – odparł medyk oddziału. – Rano obudzi się bardziej wypoczęty od nas.

– A my możemy pogadać, co?

– A my możemy pogadać.

Spojrzeli wszyscy wymownie na Szramę. Jurand najwymowniej, bo jak zwykle ze złowrogim błyskiem w jedynym oku.

– Nie ma o czym gadać. – Wzruszył ramionami dowódca. – Lepiej spać. Wyznaczę warty. Jurand, ty pierwszy, potem…

– Czekaj, szefie! – przerwał mu Kocur. – Tak dobrze to nie ma! Za dużo się dzieje. Mała uciekła ze schronów. My dostaliśmy szpiega, który tak sprawnie macha nożami, że mógłby nas w nocy pozarzynać, a my pewnie byśmy nawet tego nie zauważyli. Ty puściłeś Halnego do dziury pełnej nocnych, do ich największego pieprzonego gniazda. Chyba że to takie gadanie i tak naprawdę poszedł w cholerę, bo musiał przez wiatr.

Szrama milczał. Kusiło go, by ich okłamać. Powiedzieć, że tak właśnie dogadali się z Halnym. Czuł jednak, że jest winien prawdę ludziom, którymi dowodził.

– Halny polazł do piekła – odezwał się wreszcie. – Piekła, które sami stworzyliśmy.

4

– Dziesięć lat – opowiadał Szrama. – Dziesięć lat temu doszło do wojny. Pamiętacie ją, lepiej lub gorzej. Ci spod Teatru, wiecie, kolejnego dużego

schronu, ogłosili niezależność. Poszło za nimi kilka innych. Tłukliśmy się z nimi przez dwa lata. Ale dobrze się przygotowali. Kiedy my rozbudowywaliśmy Federację, oni szykowali się do rebelii. Gromadzili broń, szkolili ludzi do walki pod ziemią. Myśmy kopali tunele, żeby łączyć i powiększać schrony, oni budowali bunkry. A w końcu zawalili wszystkie korytarze od nas do nich i ogłosili secesję.

Im dłużej walczyliśmy, tym bardziej słabła nasza pozycja. To wszystko wiecie. Ale nie wiecie, w jak rozpaczliwej sytuacji znajdowała się Federacja. Niby nie przegrywaliśmy, ale odłączały się od nas kolejne schrony. Traciliśmy ludzi i zasoby. A to oznaczało śmierć. Tamci skumali się z kimś z zewnątrz, z jakąś trzecią siłą. Może z fermą ze szpitala, może z tymi mitycznymi muzealnikami? Faszyści i czerwoni ogłosili neutralność.

Musieliśmy ich pokonać i znaleźliśmy sposób.

Byłem wtedy sierżantem. Halnego jeszcze nie znałem. Mój oddział dostał misję: opanować strażnice przed wrotami do Teatru, a potem wysadzić wrota. Z piętnastu zostało nas dwóch, ale zrobiliśmy swoje.

I tak byliśmy szczęściarzami. Z drużyny Halnego, koniec końców, przeżył tylko on.

Wiedzieliśmy, że nie starczy nam siły, żeby wedrzeć się do środka, więc załatwiliśmy to inaczej.

To była nocna akcja. Dlatego się udała, nie sądzili, że odważymy się wysłać oddział nocą ani że takiemu uda się przedrzeć w ciszy. A my przeczołgaliśmy się tunelem, który kopaliśmy przez dwa lata wojny. I zrobiliśmy swoje.

A Halny…

Jeszcze się tak wtedy nie nazywał. Możliwe, że pogorszyło mu się po tym, wtedy.

Bo myślałem, że chłop zwariował, kiedy go stamtąd wynosiłem.

Ludzie z jego oddziału przez tydzień polowali. Zmarnowali mnóstwo mięsa. Ale wytyczyli ścieżki z krwi. A tej ostatniej nocy po prostu wyszli ze

stanicy cali pokryci krwią i mięsem, taszcząc kilogramy żarła, i przyciągnęli oszalałych od tego zapachu nocnych – największe stado nocnych, jakie w życiu widziałem. Setki stworów. Psy wielkie jak konie, koty zwyczajnej wielkości, ale z rozrośniętymi pazurami, nietoperze większe od ludzi, węże i jakieś zwierzaki, których kształtów nawet nie rozpoznałem.

I wszystkie wpadły do schronu pod Teatrem przez dziurę po wrotach, które wysadziliśmy.

Ludzie Halnego, ta przynęta, byli chwytani po drodze i pożerani. Halnemu się udało, wyrwałem go stadu dzikich szczurów. Zabiłyby nas, ale nie chciały tracić czasu, gdy w schronie czekało na nie tyle mięsa.

Udało nam się. Zginęli wszyscy – żołnierze i cywile. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Oficjalnie nocni sami znaleźli jakiś słaby punkt obrony Teatru. Ci, którzy odłączyli się od Federacji, teraz błagali nas o przyjęcie z powrotem. Urządzaliśmy więc polowania na nocnych, ale nikt nigdy nie odważył się wejść do ich nowego gniazda.

Tajemnicę zna tylko ścisłe dowództwo, Halny i ja. No i teraz wy.

– A ten ostatni z twojej drużyny?

– Zastrzelił się rok później.

– Więc Halny, jak mówił, że jesteście „im” to winni, miał na myśli tych zabitych? – zgadywał Elmo.

– Kto wie, kogo ma na myśli Halny, gdy wiatr zawieje. Zrozumcie jedno: tak trzeba było zrobić. Nie mieliśmy sił, by ich pokonać, a wszystko się sypało. Rozproszone schrony nie miały szans przetrwać. Ci z Teatru zwariowali od nadmiaru ambicji. Ja nie mam wyrzutów sumienia. Żal mi tylko zmarnowanego potencjału, i tyle. Sami to na siebie sprowadzili.

Ton, jakim mówił, nie przydawał siły jego słowom, ale nie zaprotestowali. I nie zadawali już więcej pytań. Odpoczywali przez dobę, a gdy Halny nie wrócił, zaczęli zbierać się do drogi.

Na zewnątrz wiatr rzeczywiście się wzmagał. Lepiej było zdążyć do

schronów, nim zacznie się prawdziwa zawieja.

– Wracacie sami – zaskoczył ich Szrama. – Ja idę po Halnego.

– Oooo, takiego! – zawołał Kocur. – Żadnych wyrzutów, co? Kurwa, już widzę, jak cię tam puszczamy, dowódco!

– Jurand! – krzyknął Szrama, nie zwracając uwagi na Kocura. – Póki nie wrócę, ty dowodzisz! Doprowadzasz oddział do schronu! Zrozumiano?

– Zrozumiano – jednooki splunął pod nogi, nim założył maskę przeciwśnieżną. – Jak który podskoczy, dostanie po mordzie.

Pod nieobecność Halnego był najsilniejszym żołnierzem w oddziale.

– Nic nie jesteś tamtym winien! – sapnął Kocur.

– Im nie. Halnemu tak. Poruczniku, będzie pan robił kłopoty?

– Nie wiem, po co pan tam idzie. Pański człowiek na pewno nie żyje.

– Z nim akurat nigdy nic nie wiadomo. Będzie pan robił kłopoty?

– Żadnych kłopotów – uniósł ręce porucznik. – Im szybciej wrócimy, tym lepiej.

– Dobrze. Wszyscy won! Do domu!

Obserwował, jak odchodzili. Dopiero gdy zniknęli za ruinami bloków, a on odczekał na tyle długo, by upewnić się, że nie wrócą, ruszył ku ciemnemu otworowi pod niegdysiejszym Teatrem Ludowym, do schronu, gniazda nocnych, które stworzyli z Halnym.

5

Na dobrą sprawę sam nie do końca rozumiał, czemu to robił. Zasada: „nie zostawiamy swoich”, nie obowiązywała w Federacji, choć starano się ratować ludzi, a w ostateczności odzyskiwać ich ciała. Zasobów nigdy nie było zbyt wiele i ludzkie ciało miało swoją wartość dla mieszkańców schronów.

Mówił prawdę, nie czuł się winny śmierci tych z Teatru. Wojna to wojna, wszystkie chwyty są dozwolone. Tym bardziej że nie chodziło o nędzne zdobycze, ale o przetrwanie. Rasa ludzka najwyraźniej nie odrobiła lekcji

i nie potrafiła pogodzić się z faktem, że tylko współpraca, niechby i pod niedoskonałym zarządem, pozwoli jej przetrwać. A przetrwanie było dla Szramy wszystkim.

Zanurzył się ostrożnie w ciemność piwnic pod Teatrem. Dopiero niedawno wstał dzień, liczył więc, że nocni okażą się ospali. Pewnie by go to nie uratowało, ale zaobserwowali z chłopkami, że zimą nocni z gniazda prawie wcale nie przejawiali aktywności. Jakby zapadali w sen zimowy. Nie wszyscy, to prawda. Wciąż można było spotkać pojedyncze osobniki włóczące się wśród ruin. Nie były to już jednak całe stada.

Kłopot z nocnymi polegał na tym, że niewiele o nich było wiadomo. Zwabiając nocnych do schronu pod Teatrem, Federacja zmieniła coś w postępowaniu części z nich. Pierwsi nocni, nienawidzące światła słonecznego zmutowane stworzenia, byli samotnymi łowcami. Zdobycie wielkiego żeru w Teatrze nauczyło ich nowych strategii. Istoty rozmaitych gatunków stworzyły stado zdolne żyć w zgodzie w wygodnym gnieździe.

Nocni z Teatru nie tolerowali wszystkich nocnych żyjących w Nowej Hucie, nie zawsze też polowali wspólnie. Możliwe więc, że nie była to społeczność ludzkiego typu. Wypracowali jednak jakiś rodzaj kompromisu, przyjęli, że gniazdo pod Teatrem będzie stanowić rodzaj neutralnego terenu, jak niegdyś wodopoje w lasach.

Może więc Szramą kierowała ciekawość? Chciał zobaczyć, jak wygląda to cudo?

No i – mimo wszystko – czuł się odpowiedzialny za Halnego.

Stawiał kroki ostrożnie. Nie korzystał z latarki, by nie przyciągać uwagi, toteż bał się, że mógłby nadepnąć na któreś z mniejszych stworzeń, a ono podniosłoby alarm. Mógł też potrącić coś albo potknąć się w ciemnościach.

Na parterze nie znalazł nic niepokojącego. Ale piwnica…

Musiał przejść przez stosy kości. Zwierzęcych, ale i ludzkich. Najwyraźniej nocni potraktowali piwnicę jako rodzaj śmietniska, gdzie wynosili oczyszczone dokładnie z mięsa, zmiażdżone, by wysysać z nich

szpik, kości ofiar. Czemu tak robili? Czy miał to być rodzaj ostrzeżenia dla obcych? A może rodzaj systemu alarmowego? Cholernie trudno było stawiać stopy tak, by nie nadepnąć na którąś z kości albo jakiejś nie potrącić.

Ewentualnie nocni po prostu lubili porządek. Szrama wiedział, że szczury bywały czyścioszkami. Zapasy jedzenia trzymały z daleka od legowisk i specjalnych miejsc na odchody. Kości mogły zostać uznane po prostu za śmieci.

A może wabiono nimi inne drapieżniki? Zapach mógł przyciągać je do piwnicy. Ryzykowały, by trochę się najeść, i same stawały się ofiarami.

Nie wiadomo, jak zmieniały się mózgi mutantów. A szczury bywały niegłupie już przed Pożogą.

Prawdziwym wyzwaniem okazało się wejście bezpośrednio do schronu.

Smród, jaki uderzył Szramę w nozdrza, ledwie stanął przed szczątkami wrót, oszołomił go i przyprawił o mdłości. Zachwiał się, oparł o postrzępioną ścianę i natychmiast cofnął ze wstrętem. Siny bluszcz porastający cieplejszymi porami roku całą okolicę zarósł i gniazdo nocnych. Tu jednak wydał się Szramie jakiś inny. Pulsował, jakby był żyłą pełną żywej krwi pompowanej przez jakieś serce ukryte w ciemnościach.

Żołnierz zapanował nad sobą. Mógł jeszcze się cofnąć, ale wtedy musiałby przyznać się do klęski. I zostawić Halnego na dole, pośród… tego czegoś.

Odetchnął ostrożnie, odczekał. Przywykł do zapachu. Po jakimś czasie przestał wydawać mu się taki okropny. To nie była woń rozkładających się zwłok ani odchodów. To po prostu dziesiątki zwierzęcych ciał pachniały intensywnie, a zarazem obco. W schronach Federacji także nie woniało przyjemnie, ale do zapachu z rzadka mytych ludzkich ciał Szrama przywyknął. Przywyknie i do tego, jeśli nocni pozwolą mu pożyć wystarczająco długo.

W środku nie było tak ciemno, jak się obawiał. Fluorescencyjne grzyby,

które hodowali w Federacji, rosły i tutaj. Prócz nich jednak wzdłuż ścian wisiały grube białe pnącza również emitujące słabe światło. Przyjrzawszy się im, Szrama zrozumiał swoją pomyłkę – to właśnie o nie oparł się przy wejściu, nie o siny bluszcz. On nie miał tu dostępu, a może po prostu przerodził się w to białe coś.

Dotknął ostrożnie pnącza dłonią i cofnął ją gwałtownie, gdy zadrżało.

Może to było zwierzę?

Miał rację, licząc, że nocni pogrążeni będą w letargu. Mijał ostrożnie ich ciała, oddychające ledwo zauważalnie. Szczury różnej wielkości, istoty przypominające koty bądź psy, jakichś potomków węży, wielkie ślepe krety popiskujące, gdy stawiał stopy obok ich pysków. Dostrzegł kilka dziwacznie przemienionych, pozbawionych owłosienia kun, coś, co kiedyś mogło być lisem, i przekształcone w drapieżniki wielkie dziki, śpiące powtulane w siebie.

Szedł powoli, nie wiedział, jak długo. Stracił poczucie czasu. Zwierzęta zalegały prawie na całej podłodze, bywało, iż bał się, że będzie musiał wciskać stopy między ich cielska. Zapomniał o wszystkim, nawet o celu swojej wyprawy, tak bardzo skupiony, by nie obudzić żadnego z nich.

Aż wreszcie zapas jego szczęścia wyczerpał się i stanął przed rozbudzonym nocnym.

Wśród jego przodków musiały znajdować się koty. Świadczyły o tym zielone ślepia o wąskich źrenicach, iście koci ogon i sterczące uszy. Jednak pysk pokryty był dziwnymi zrogowaceniami przypominającymi kły dzików. No i Szrama nigdy dotąd nie spotkał tak wielkiego kota.

Gdy zwierzę, powarkując złowrogo, zbliżyło się do żołnierza, jego pysk znajdował się na wysokości twarzy Szramy.

Z bliska można było dostrzec paskudne guzy pokrywające ciało mutanta. A także uwijające się między nimi robactwo, spijające wydzielinę z pęknięć na guzach. Pasożyty? Symbioty?

Szrama odruchowo położył dłoń na rękojeści noża. Stwór zdawał się nie

zauważać tego gestu. Zamruczał, odwrócił się i odszedł. Gdy zorientował się, że Szrama wciąż stoi bez ruchu, zatrzymał się i warknął ponaglająco.

Teraz każde mijane przez Szramę zwierzę otwierało oczy i podnosiło łeb, by przyjrzeć się intruzowi. Powarkiwały, syczały. Ale nie atakowały. Być może niełatwo było im całkowicie ocknąć się z letargu. Możliwe jednak, że celowo zostawiały go w spokoju.

Kot doprowadził Szramę na samo dno schronu. Paradoksalnie, to tu było najjaśniej. A to za sprawą czegoś, co przypominało ogromny biały grzyb wrośnięty w ścianę. Jaśniał, jak jaśniały białe pnącza, jak się okazało, wyrastające właśnie z niego. Prócz nich wypuszczał także mniejsze białe witki. Te wnikały w zasuszone mumie ludzi i zwierząt zgromadzonych pod ścianą. Wrastały w ich nozdrza i oczy, przebijały skórę na całym ciele.

Pulsowały od ukradzionego życia.

A co najgorsze, oplatały już również Halnego klęczącego wśród czaszek należących do wielu gatunków.

A także dziewczynkę stojącą obok niego.

– I po coś przyszedł? – stęknął żołnierz. – Jesteś potrzebny naszym.

– Co to jest? – Szrama miał nadzieję, że przemówi stanowczo, ale z jego gardła wydobył się tylko pisk. – Co tu się dzieje, chłopie?

– To coś, co tamci, Teatralni, wyhodowali. Dlatego zaczęli z nami. Jakiś grzyb. Rozsadnik czegoś, czym się zaćpali. To miało im dać siłę. A tylko od tego zwariowali.

– Sporo wiesz.

– Ona mi opowiedziała o sobie. Ta mała. A jeden z tych zmumifikowanych zostawił dziennik. Dużo tam nie ma, ale wystarczy.

Dziewczynka otworzyła oczy. Nie przypominały już ludzkich. Wielkie białe, prawie pozbawione tęczówek, szalone. Gdy spojrzała nimi na Szramę, aż się cofnął.

– Nie zabierze mnie pan! – zawołała. – Nigdy! Nigdy!

– To nie jest dobre miejsce, Aniu – odezwał się cicho, spokojnie. Jakby

wokół niego nie czaiły się setki bestii, jego przyjaciel nie został podłączony do wielkiego pulsującego grzyba, a dziewczynka nie była kompletnie szalona. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie! – roześmiała się i zaraz rozszlochała. – Tylko tu jest bezpiecznie! Pan chce mnie zabrać do potworów! Nie pozwolę panu!

Spodziewał się, że teraz wielki kot go zaatakuje, ale nic takiego się nie stało. Odetchnął z ulgą i zganił sam siebie. Przez chwilę zaczął sobie wyobrażać, że ta mała jest jakąś jednomyślną zdolną rozkazywać nocnym. Co za głupota! Nie istnieli tak silni jednomyślni, zresztą nocni nie byli podatni na oddziaływanie telepatyczne. Nie było żadnej królowej zwierząt!

– Nie wydaje mi się, byś mogła mnie powstrzymać – oświadczył i ruszył ku niej.

Wtedy Halny wstał i zastąpił mu drogę.

– Nie rozumiesz! – powiedział. – Ona powinna tu zostać. Po pierwsze, to już w nią wrosło. Po drugie, lepiej jej tu niż tam.

– Tu? – żachnął się Szrama. – Z tym czymś wrastającym w jej ciało? Między nocnymi?

– Nie rozumiesz – powtórzył Halny. – Nie wiesz, co jej robili. Indor… – zacisnął pięści. – Ten gnój lubi małe dziewczynki, szefie. Od niego uciekła. Bała się tak, że uciekła ze schronów, masz pojęcie?

– Nie oddamy jej Indorowi. Możemy ukryć wśród popielnych.

– Żeby zrobili z niej niewolnicę albo sprzedali do hodowli?

– Widzę te mumie, żołnierzu. Chcesz powiedzieć, że lepiej, żeby zmieniła się w jedną z nich?

– To coś… Ten twór Teatralnych pompuje ci w mózg błogość, szczęśliwość.

– Posłuchaj siebie, Halny. To pieprzony pasożyt!

– Może i tak? Ale słuchaj, widzisz nocnych? Nie walczą tu między sobą, nawet ciebie nie zaatakowali ani mnie. Nie wiem, czym to jest, ale produkuje jakieś substancje, które sprawiają, że wszyscy tu czują się

wspólnotą. Nie atakują się nawzajem, nie tu. Ja nie czuję wiatru, a ta mała czuje się tu szczęśliwa jak nigdzie.

– Póki to jej nie pożre.

– Może żyć przerażona i dręczona albo umrzeć szczęśliwa.

– Naćpałeś się tym, Halny! Nie wiesz, o czym mówisz!

– Popatrz na nią, Szrama! Widzisz te pędy wrastające w jej uszy? Dotykające jej oczu? Już jej z tego nie wyrwiesz. Zabijesz ją. Umrze w bólu, przerażona. Tego chcesz? Ci Teatralni nie wyhodowali tego na pasożyta, ale na coś, co będzie żyło razem z człowiekiem…

– Symbiota.

– Zawsze byłeś mądrzejszy od nas wszystkich, Szrama. To coś żyje. Nie żywi się ludźmi.

– Wiesz to?

– Zgaduję.

– Wiesz, co możesz zrobić ze swoim zgadywaniem?

– A jeśli ja mam rację, a ty się mylisz? Co chcesz zrobić temu dziecku? Już jej nie uratujesz. Możesz tylko skrzywdzić. Jedno życie, Szrama. Jeśli jej odpuścisz, wyjdę z tobą na zewnątrz.

– Ciebie to nie zabije?

– Wrosty jeszcze nie doszły mi do mózgu. Tylko wczepiły się w skórę. Mogę wyjść.

– Wolałbyś zostać?

– Nie czuję tu wiatru, Szrama. Jasne, że bym wolał. Nie rozumiesz, jak to jest poczuć się wolnym i szczęśliwym.

– Naćpanym.

– Co za różnica?

– Ty za nią, co? Słyszysz to, mała? Zgodzisz się na to?

– Chcę tu zostać, proszę pana. Proszę, nie zabierajcie mnie do potworów!

Nie namyślał się długo. Przyklęknął jeszcze przed dziewczynką, by przyjrzeć się jej stopom.

– Ty odciąłeś jej te palce, Halny?

– Sczerniały.

– Gangrena może się wdać i tak. Wtedy nie pożyje tu zbyt długo.

– Opatrzyłem rany jak mogłem. Zresztą u nas by pożyła?

– Z gangreną? Nie ma szans. Kurwa, nie wyszła nam misja ratunkowa.

– Moim zdaniem wyszła. Może zostaniemy tu w trójkę, Szrama?

– Zbieraj się, żołnierzu. Nie dam się naćpać. I tobie nie pozwolę. Powinniśmy wrócić tu z naftą i wypalić to miejsce razem z tym stworem.

– Nie zrobisz tego!

Milczał chwilę, nim odpowiedział.

– Nie. Dam im szansę. Ale jeśli to kiedyś wylezie ze schronu, nie będę się wahał, Halny.

Pozwolił wielkiemu mężczyźnie pożegnać się z dziewczynką, choć wyraźnie tylko on tego potrzebował. Mała prawie go nie zauważała. Znów zamknęła oczy, pogrążając się w jakiejś miłej malignie.

Gdy odchodzili, Szrama nie obejrzał się za siebie.

6

– Na pewno nie wrócisz tego zniszczyć? – zapytał Halny, gdy wieczorem ukryli się przed wzmagającym się wiatrem w stanicy w drodze do schronów Federacji.

– Jeśli stamtąd nie wylezie… Na razie to coś ogranicza aktywność nocnych. Dla nas to i lepiej.

– Teatralni sądzili chyba, że to ich ulepszy. Zabrałem ten ich dziennik. Sam poczytasz.

– Dawaj teraz!

Przyglądał się cienkiemu zeszytowi pochodzącemu najpewniej jeszcze z przedwojennych zapasów, ale nie otworzył go. Trzymał w ręku historię ludzi, których pomógł zabić. Być może jakiejś nowej formy cywilizacji? Nie sądził, by ludzie przećpani euforią i poczuciem szczęścia mogli radzić

sobie lepiej od trzeźwych. Z drugiej strony może ta euforia była tylko elementem ubocznym silnego poczucia wspólnoty? W końcu nocni nie tylko nie atakowali się nawzajem, ale nawet pozwolili żyć jemu. Ktoś nastawiony bardziej idealistycznie mógł uznać wynaleziony przez Teatralnych narkotyk za rodzaj lekarstwa na największą chorobę ludzkości – jej niepowstrzymane dążenie do autodestrukcji. Może narkotyk zmuszający do życia w pokoju to niezłe rozwiązanie?

– Tylko że to już nie byłaby ludzkość – mruknął.

– Co nie byłaby ludzkość? – zapytał Halny.

– Jesteś sobą? Czujesz już wiatr?

– Czuję. Znowu czuję – odparł ze smutkiem olbrzymi żołnierz. – Odprowadzę cię i będę musiał iść w cholerę.

– Byle nie tam.

– Dałem ci słowo.

Szrama skinął głową i przytknął zeszyt do nikłego płomienia pod czajnikiem, w którym gotowali wodę na kawę.

Aneta Pazdan | Upadek stacji Eden

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Prolog

Słońce otoczyło roziskrzonym całunem jego blade skostniałe ciało i owionęło ciepłym oddechem siną, wykrzywioną strachem i bólem, twarz, której ktoś – w dość nieudolny i nachalny sposób – próbował nadać wyraz spokoju i pogodzenia się z losem.

Cilla skrzywiła się i ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała przed splunięciem na gładką, wypolerowaną posadzkę. Doskonale znała tego mężczyznę i wiedziała, że za żadne skarby świata nie pogodziłby się z tak straszliwym rozwiązaniem, nawet jeśli było jedyne i nieuchronne. Wolałaby widzieć go tak jak w wyobraźni. Przeraźliwy grymas ust, ręka wzniesiona ku górze, dłoń z wystawionym środkowym palcem.

Ale teraz patrzyła na słońce, które przesuwało się wolno po znajomych, choć jednocześnie obcych, zakamarkach najdroższego ciała. „Kiedyś nazywał mnie słońcem” – pomyślała. To było takie niesprawiedliwe. Miała ochotę wyć. Także dlatego że żadnego słońca nie było – jego ciepłe złote promienie nie docierały do miejsca, gdzie mogłyby się bratać tylko ze śmiercią.

Kobieta wysunęła mocniej półkę w lodówce publicznego prosektorium, nachyliła się i pocałowała zimne czoło męża. W chwili gdy przyłożyła spierzchnięte usta do lodowatej skóry, poczuła się jak nowo narodzona,

jakby po raz pierwszy od bardzo dawna rzeczywiście żyła.

To nie była iluzja. Cilla poczuła, że znowu jest cała, że stała się jednością, jak sklejone trofeum sportowe, stłuczone w czasie zabawy przez nierozważne dziecko. Jej mąż rozchylił powieki i otworzył usta w rozpaczliwej próbie zaczerpnięcia oddechu. Cofnęła się i w skupieniu wymieszanym z niepokojem przyglądała się, jak stary człowiek przełamuje impas, jakim była niewątpliwie jego nagła, niesprawiedliwa śmierć.

Klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się, gdy mąż rozejrzał się wokoło nieobecnym wzrokiem i przestał wreszcie udawać, że nie pamięta, jak rozpędzony pocisk trafił go rykoszetem w głowę i rzucił o ścianę metra jak szmacianą kukłę. Już nie próbował zaczerpnąć oddechu – zaakceptował, że nie oddycha i już nigdy nie będzie.

Cilla pomogła mężowi ubrać się w wyjęte z szafki w korytarzu przypadkowe ubrania – białe bawełniane spodnie i szpitalną koszulę. Obserwowała fioletową równiutką bliznę w kształcie litery „Y” na jego klatce piersiowej i brzuchu. Przejechała po niej lekko ręką, gdy zakładała przydużą koszulę na wątłe, wciąż lodowate ciało. Wiedziała, że nie pozbędzie się tego chłodu, ale to nic. Ona sama nie jest idealna.

Mężczyzna, powolny, ociężały, poruszający się prawie tak samo jak chodzące trupy na filmach, rozglądał się wokoło niewidzącym wzrokiem i czegoś szukał. Zirytowała się lekko. Musieli szybko opuścić to piekielne miejsce.

– Nie mam… Czegoś mi brakuje… To jest…

– Nienaturalne, tak – odpowiedziała, próbując zakryć włosami dziurę w głowie męża, dziurę na wylot.

Gdyby chciała, mogłaby włożyć w nią patyk, ale wiedziała, że już to zrobiono – aby ustalić, skąd padł strzał. Wytarła chusteczką resztki krwi, bo ktoś z obsługi nie zadał sobie trudu, aby należycie umyć zwłoki. Widziała rozwalony, mętny różowy mózg.

– Ale nie… Nie mam… Nie wiem, gdzie…

– Nie masz narządów, tak. I na co ci one? To tylko problem. Ja mam nieregularnie bijące serce, ledwo pracujące nerki i wyniszczoną wątrobę. Codziennie przez nie cierpię. A te wrzody… Coś okropnego. Chodź.

Opuścili prosektorium i ruszyli wąskim, ciemnym tunelem metra. Cilla praktycznie ciągnęła za sobą męża, bo ten nie chciał współpracować – szedł, powłócząc nogami, rozglądał się na boki, chciał wracać, aby odzyskać swoje serce. Koniecznie serce, na niczym innym tak mu nie zależało.

Nie wiedziała, jakie stacje przemierzali i jak długo to trwało. Bała się pościgu, choć nie miała pojęcia, kto miałby ją ścigać. Była złodziejką zwłok, ale komu zależało na starych, zniedołężniałych zwłokach? Po jakimś czasie poczuła, że traci oddech, a jej przeżarte osteoporozą kości nie chcą jej słuchać.

Wtedy wydarzył się kolejny cud. Z oddali nadjechał pociąg. Odetchnęła z ulgą i zeszła z torów, aby zrobić miejsce ładnym czerwonym wagonom, lśniącym nowością tak, jakby nie wydarzyła się żadna katastrofa, jakby końca świata nie było.

„Metro – azyl dla wybrańców czy dla potępionych?” Pomogła mężowi usiąść i sama także zajęła miejsce, przypominając sobie jednocześnie doskonałą iluzję słońca, jaką widziała w prosektorium. To nie mogła być nic nieznacząca bzdura. To była odpowiedź. Zostali wybrani.

W wagonie było zaledwie kilka osób i wszystkie patrzyły z przestrachem na jadącą parę, lecz nie ze względu na mężczyznę, ale na Cillę – bo jako jedyna nie miała bladej skóry i jej pierś co parę sekund podnosiła się w płytkim, ale odżywczym oddechu.

– Pić mi się chce – odezwał się mężczyzna. Siedział zgięty wpół na miękkiej kanapie i kiwał się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, wpatrzony w podłogę albo w odległe wspomnienie.

– Nieprawda, nie kłam. Nie może chcieć ci się pić. Nie masz żołądka. – Pogładziła go po głowie i uśmiechnęła się łobuzersko. – Byłbyś jak ten

szkielet z kawału. Chcesz wodę i ścierkę?

Mąż popatrzył na nią pustymi oczyma, okolonymi szarymi smutnymi cieniami, z siatką miniaturowych czerwonych pęknięć na białkach. Nie uśmiechał się. Kiwał się znużony w przód i w tył. Skierował wzrok na podłogę. Cilla przestraszyła się, bo ani razu nie spojrzał w niebo. Przecież musiał gdzieś przebywać po śmierci, musiał widzieć życie pozagrobowe. A on patrzył cały czas w dół.

– To coś jak bóle fantomowe. Miną, gdy tylko wrócimy do domu.

„Ale gdzie jest dom?” Cilla westchnęła, widząc czerwone krople kapiące z nosa męża, spadające na podłogę jak wspomnienie ogni piekielnych. Zadrżała i wyjęła z torebki chusteczkę. Przyłożyła ją do nosa męża, a biały materiał momentalnie nasiąkł krwią i zaczął przeciekać.

– Ci cholerni lekarze. Mogli coś zrobić z tą krwią. Czy to w ogóle normalne po śmierci? Ach, do diabła z tym. To na nic.

Mąż podniósł głowę i spojrzał z wyrzutem na Cillę. Krew szerokim strumykiem spływała mu po twarzy, barwiąc szyję i koszulę na wściekle czerwony kolor. Wzdrygnęła się.

I wtedy znów zobaczyła słońce. Delikatne, ciepłe światło przesuwające się po ścianach sunącego po torach pociągu, zaglądające pasażerom w oczy i badające szczegółowo ich ciała. Wodziła wzrokiem za pomarańczowym cieniem jak urzeczona, uśmiechając się błogo do swoich wspomnień. Jednocześnie słyszała głosy płynące z oddali, przytłumione, ale coraz wyraźniejsze. Coś, co towarzyszyło jej prawie całą podróż.

Gdy słońce zaszło, zamknęła zmęczone oczy i potarła je dłońmi.

– Widziałeś słońce? Jedziemy do domu. Do domu.

1

Wezwano go późną nocą do miejsca, którego nigdy nie powinien był oglądać. Usiłując nie zwymiotować, Munthe pochylił się nad czterema ciałami, które leżały w nienaturalnych pozycjach na zimnej posadzce.

– Co tu się stało? – zapytał, ale nikt mu nie odpowiedział. Nie było takiej potrzeby.

Munthe nie był lekarzem, ale przed katastrofą pracował jako wirusolog i w metrze przeszedł szybki kurs pomocy medycznej. Stał się pomocnikiem i asystentem dyplomowanej lekarki Gudrun, która właśnie odsypiała długi, męczący dyżur.

– Nie chcieliśmy budzić Gudrun – powiedział mu wcześniej policjant. – Pan oceni, czy to zrobić, czy nie.

Munthe wiedział, co to oznacza. I zastał na miejscu dokładnie to, czego się spodziewał.

Westchnął i spojrzał raz jeszcze na ciała rodziny. Mąż, żona, dwójka dzieci – syn i córka. Znał ich, choć tylko z widzenia. Pracowali przy hodowli szczurów i sami skończyli gorzej niż zwierzęta, którymi się opiekowali, nim te poszły na rzeź. Powykręcane ręce, twarze wykrzywione w okropnym grymasie, rany kłute na całym ciele i kałuża krwi naokoło każdego z nich.

Nie, nie było sensu budzić Gudrun. Nie byłaby w stanie pomóc zwłokom.

Potworną masakrę przeżyła tylko dwunastoletnia córka hodowców szczurów, mała jasnowłosa dziewczynka. Munthe zbadał ją dokładnie i nie zauważył żadnych uszkodzeń ciała oprócz kilku zadrapań na rękach. Była wprawdzie nienaturalnie sina na twarzy i nie odzywała się ani słowem, ale Munthe rozumiał doskonale jej zachowanie. Trauma była straszliwym doświadczeniem, ale na to nie pomoże ani on, ani Gudrun.

Jedna z policjantek przebrała dziewczynkę w czystą sukienkę, bo stara była cała zachlapana krwią. Munthe wyobraził sobie blondyneczkę leżącą na posadzce metra i zanoszącą się szlochem i musiał przygryźć dolną wargę do krwi, aby się nie rozpłakać.

– Nie będziemy budzić Gudrun – powiedział, podchodząc do policjanta. – Nic nie zrobimy, a dziewczynce nic nie jest. Niech pan mi powie, czy wiadomo, co się tutaj stało.

– Mamy świadka. Naprzeciwko mieszka kobieta, która nie mogła zasnąć i wszystko widziała. Jest wprawdzie słaba na umyśle, ale wszystkie poszlaki potwierdzają jej wersję.

– Kto mógł dokonać tak bestialskiego mordu?

Policjant wyglądał na zdezorientowanego. Potarł w zamyśleniu brwi.

– Takie morderstwa, panie Munthe, to często… wewnętrzna sprawa.

„Nie rozumiem. Czyżby ktoś z nich zaatakował i został zamordowany w samoobronie? Ale tyle ran, to chyba niemożliwe, aby ranny człowiek mógł zadać tyle ciosów, nim umrze. Chyba że…”

– Nie rozumiem – odpowiedział, zastanawiając się, czy mała dziewczynka byłaby w stanie odpłacić się mordercy, swojemu ojcu, matce, rodzeństwu, gdy ten ją zaatakował.

– Jak zwykle. Zabił ten, kto przeżył, panie Munthe.

– Dziewczynka? – zapytał zszokowany. Rozważał opcję, że dziecko się broniło, ale to, że z zimną krwią zamordowało całą rodzinę, nie mieściło mu się w głowie. – To dziecko. Ma dwanaście lat. Zawsze spokojna, cicha.

– Ale to ona miała w kieszeni resztki trucizny i to ona trzymała nóż. Znaleziono ją z nim w dłoni. Nawet nie próbowała tego ukryć. Jest zbryzgana krwią w sposób, który sugeruje, że to ona była napastnikiem. Dodatkowo mamy świadka. Wiem, że to brzmi jak koszmar, ale ta dziewczynka otruła, a potem zadźgała nożem całą swoją rodzinę.

2

Munthe spokojnym, prawie leniwym krokiem przemierzał kolejne fragmenty stacji Solna Centrum, zgrabnie lawirując pomiędzy porozstawianymi praktycznie na każdym wolnym miejscu namiotami. Jego kroki odbijały się echem od popękanej posadzki, w której niegdyś można się było przejrzeć, tak była lśniąca i gładka. Nie po raz pierwszy tego typu wspomnienia wzbudziły w nim ból.

Miał już dość slalomu rodem z największych alpejskich stoków. Zszedł na

tory i posuwając się wolno do przodu, zagłębił się w rozmyślaniach. Skończył właśnie dyżur i wracał do domu, do namiotu numer 21, umieszczonego w sektorze trzecim na samym końcu stacji. Wiedział, że będzie tam na niego czekać rodzina, ale od jakiegoś czasu widok żony i syna sprawiał mu ból.

Mimowolnie myślał wtedy o dziewczynce, którą policja złapała kilka dni temu, niewinnym, miłym stworzeniu, które z zimną krwią zamordowało całą swoją rodzinę. Aktualnie podejrzana przebywała w szpitalu. Tuż po próbie przesłuchania, kiedy nie wypowiedziała ani słowa, zrobiła się całkowicie sina na twarzy i dosłownie w kilka sekund padła prawie bez życia na zimną posadzkę.

Gudrun nie potrafiła jeszcze powiedzieć, co przytrafiło się dziewczynce.

Munthe minął ogromną wyrwę w ścianie, w której niegdyś umieszczony był wizerunek łosia, i niechętnie przyspieszył kroku, wiedząc, że żona będzie się o niego martwić. Przeszedł obok mężczyzny, który stał w mroku przy ścianie, opierając stopy na torach, i mówił sam do siebie. Początkowo zignorował całkowicie tę scenę, wiedząc, że wyobraźnia połączona ze słabym oświetleniem na całej niebieskiej linii może zaburzać rzeczywistość. Potem jednak coś go zaniepokoiło.

– Przepraszam, dobrze się pan czuje? – zapytał, podchodząc bliżej.

Mężczyzna nie odpowiedział na pytanie, cały czas mamrotał pod nosem słowa kierowane do niewidzialnej istoty. Poruszał się przy tym miarowo w przód i w tył, uderzając czołem o zimny kamień.

– Wszystko w porządku? – Munthe położył dłoń na ramieniu mężczyzny, próbując ustalić, czy czerwony poblask na jego czole to krew czy fragmenty pomalowanej na czerwono ściany. – Mogę jakoś pomóc?

Nieznajomy warknął na niego ostrzegawczo i wtedy Munthe go poznał. Był to Oscar, inteligentny młody człowiek, który chciał odmienić stację, kandydując na jej nowego Zawiadowcę.

– Zaprowadzę cię do Gudrun – dodał uspokajająco, wiedząc, że Oscar

bardzo szanuje lekarkę.

Nie wiedzieć czemu, te słowa wywołały w mężczyźnie wściekłość. Z całej siły uderzył głową w żołądek Munthego, wzbudzając u niego mdłości, a następnie odwrócił się i uciekł.

– Zaczekaj! – próbował krzyknąć Munthe, ale z jego ust wydobył się tylko chrapliwy dźwięk. Odetchnął głęboko, przy okazji zauważając, że na jego jasnej koszulce został krwawy ślad.

„Co go naszło, że krzywdził siebie w ten sposób?" – zastanawiał się, rezygnując z pościgu. Ostatnio spotykały go same dziwne rzeczy i czuł się z tym trochę niepewnie. Jakby ktoś postawił go na moście nad przepaścią, a potem zaczął nim trząść.

W pewnej odległości od siebie zobaczył kobietę. Znał ją tylko z widzenia i nie miał pojęcia, jak się nazywała. Była matką trójki dzieci i praktycznie nie rozstawała się z tymi małymi urwisami, ale tym razem była sama. Siedziała na szynach, opierała się plecami o zimną ścianę i ruszała rękoma, pracując jak w ukropie, gorączkowo mrucząc coś pod nosem. Nad jej plecami wisiał jeden z plakatów wyborczych Oscara.

Munthe odczuł smutek, gdy zobaczył ten plakat. Namalowany czyjąś zdolną ręką przedstawiał księżyc złożony z wielu cegiełek i mężczyznę, który układał kolejne cegły, smarując je zaprawą. Pod rysunkiem znajdowało się hasło: „Zbudujmy księżyc – mrok odchodzi".

Oscar obiecywał przede wszystkim oświetlenie całej stacji Eden, aby w żadnym miejscu nie czaił się mrok. To była wspaniała, ale idylliczna i niemożliwa do spełnienia wizja. A mimo to Oscar naprawdę się postarał i Munthe nie mógł się nadziwić, że ktokolwiek chce rządzić tak smutnym miejscem.

A teraz Oscarowi coś się stało…

Munthe podszedł do kobiety i przyklęknął przy niej. Zauważył, że rusza rękoma w powietrzu, jakby coś formowała. Mówiła nie do siebie, ale do dzieci, których wokół niej nie było.

– Buduję zamek z piasku z moimi dzieciaczkami – odezwała się, zanim Munthe otworzył usta, aby coś powiedzieć. – Ale nie wychodzą mi wieże. Może pan będzie nam w stanie pomóc? Dzieci, uśmiechnijcie się ładnie do pana.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, a kobieta w tym samym momencie rozpłakała się. – Gdzie są pani dzieci? Co się dzieje?

Kobieta nie odpowiadała, zawodząc jeszcze głośniej, dlatego Munthe podjął decyzję, aby najpierw jej pomóc, a dopiero potem poznać szczegóły tego dziwnego incydentu. Podniósł delikatnie kobietę i podtrzymując ją, zaprowadził do Gudrun. Po drodze zaczepił strażnika i poprosił go, aby ten wysłał kogoś w poszukiwaniu dzieci kobiety, bo być może coś im się stało.

W szpitalu zastał smutny obraz. Wiele osób chorowało na grypę, co było niepokojące na tak małej powierzchni. Przekazał Gudrun chorą, informując ją o tym, co robiła i mówiła. W międzyczasie do szpitala dotarł posłaniec od strażnika i oznajmił, że dzieci kobiety znaleziono w jednym z ciemnych tuneli, gdzie zgubiły się, szukając szpitala, aby posłać po pomoc dla matki, która zaczęła dziwnie się zachowywać.

– One były… pobite, rozumie pan… – zaczął strażnik, ale nie dokończył, bo usłyszeli wołanie o pomoc.

Wspólnymi siłami odciągnęli od Gudrun kobietę, która próbowała wydrapać lekarce oczy. Munthe chciał sprawdzić, czy Gudrun nic nie jest, ale ta odepchnęła go delikatnie i drżącym głosem wydała polecenie, aby chorą zamknąć w izolatce.

3

Solna Centrum, zwana przez mieszkańców metra Stacją Pożogi ze względu na czerwony kolor ścian lub Edenem z powodu rysunków o ekologicznym przesłaniu, była jedną z najbogatszych stacji w metrze, o ile nie najbogatszą. Na jej status pracowali w takim samym stopniu ludzie i los.

Gdy kurz na ruinach miasta nieco osiadł, pierwsi śmiałkowie

w prowizorycznych, skleconych na szybko kombinezonach wyruszali na powierzchnię i przynosili coraz to nowe rzeczy odnalezione w pobliskich sklepach i domach – standardowe, takie jak jedzenie, paliwo, broń, oraz prawdziwe skarby. Na stacji pojawił się skład lamp rtęciowych i świetlówek, worków z perlitem i torfem, najróżniejszych pożywek, torebek z nasionami, odżywek. Co najważniejsze, znaleźli się także ludzie, którzy potrafili z nich korzystać.

Dzięki ogromnemu nakładowi pracy i wielu wyrzeczeniom mieszkańcy stacji zagospodarowali jej fragment na uprawy ziół i warzyw pod sztucznym oświetleniem. Tak wyprodukowana żywność różniła się od tej z powierzchni, ale dla ludzi z metra wydawała się tak cenna jak woda na pustyni czy biblijna manna z nieba.

Solna Centrum była być może jedyną stacją, na której w początkowym okresie kształtowania się życia pod ziemią ludzie nie mieli problemu ze szkorbutem, kurzą ślepotą i innymi chorobami wynikającymi z braku witamin.

Z roku na rok powiększano powierzchnię upraw; plony stawały się większe i lepszej jakości. Nadwyżkę, która nie szła na spożycie i nie była przeznaczona na pozyskanie z niej nasion i sadzonek, magazynowano i zaczęto sprzedawać lub wymieniać z innymi stacjami na broń, amunicję, paliwo. Rozpoczęto produkcję ziołowych specyfików i leków, założono hodowlę szczurów – głównie na eksport – kur, królików, zaczęto uprawiać lecznicze grzyby, destylowany alkohol. Egzotyczne produkty spożywcze, takie jak wieprzowina, pieczywo, tytoń, importowano.

Stacja przyciągała ludzi i wkrótce zaczęto się borykać z problemem przeludnienia. Władze zareagowały szybko i stanowczo – zamknięto granice dla uchodźców, ściśle kontrolowano urodzenia, zaostrzono kary dla przestępców, którzy częściej byli karani wygnaniem niż zamknięciem w więzieniu znajdującym się w jednym ze ślepych tuneli.

Z każdym kolejnym miesiącem zwiększała się ilość eksportowanego

paliwa i tym samym można było oświetlić większą część stacji. Aktualnie nie było miejsca na Edenie, które tonęłoby w ciemności, a jedna z kandydujących partii obiecywała nawet oświetlenie wszystkich okolicznych tuneli.

Ludzie szybko nauczyli się dbać głównie o siebie i osoby z najbliższego otoczenia – dzieci, małżonków, rodziców, przyjaciół, sąsiadów. Dzięki temu praktycznie każdy uczciwy mieszkaniec stacji, który nie próbował migać się od pracy, nawet jeśli był stary, niedołężny, schorowany, żył w dobrobycie, a na stacji szerzyła się wzajemna pomoc. Prawdziwy Eden.

Izolacja miała jednak swoje ciemne strony i można było przypuszczać, że za mroczne dni, gdy rozpaczliwie proszącym o pomoc uchodźcom odmawiano wejścia na stację, a ciężarne kobiety zmuszano do skakania z podwyższenia na tory, aby poroniły, w końcu trzeba będzie zapłacić.

Munthe nie wierzył w karmę i uważał, że w gruncie rzeczy nie mieli innego wyboru, niż zrobić wszystko, aby przetrwać. Wiedział jednak, że nie ma układu idealnego i wady ich systemu w końcu obnaży jakaś niespodziewana sytuacja. Taka jak zaraza, podczas której nie mogli liczyć na niczyją pomoc.

– Prędzej spalą nas żywcem, niż pozwolą rozprzestrzenić się epidemii. Nie zaryzykują – powiedział do Gudrun, gdy stali w prosektorium, patrząc na ciało.

Oscar w końcu zaprzestał prób roztrzaskania sobie głowy o ścianę metra i gdzieś na uboczu, w jednym z ciemnych tuneli, otworzył sobie czaszkę nożem do oprawiania zwierząt.

4

– Chorzy skarżą się na halucynacje – oznajmiła Gudrun, gdy Munthe usiadł naprzeciwko niej w jej maleńkim, schludnym gabinecie. – Z dnia na dzień liczba zakażonych powiększa się, ale nie wiem, jak przenosi się choroba. Tutaj wręcz niezbędna jest kwarantanna i przeprowadzenie

dalszych badań, ale jak mamy to osiągnąć?

– A dodatkowe środki ostrożności?

– Wszyscy mieszkańcy stacji dostali maseczki, na apelu ogłoszono, aby starać się zachować pełną ostrożność. Nie dotykać żadnych podejrzanych przedmiotów, dokładnie przemywać rany, unikać kontaktu ze śliną i krwią innych osób. Obawiam się jednak, że jest na to za późno. Och, Munthe, boję się, że to początek końca.

Munthe chciał zaprzeczyć, jednak nie potrafił. Wiedział, co oznacza epidemia i jak trudno z nią walczyć na tak małej powierzchni przy tak ubogich środkach. Kilka dni wcześniej Gudrun kazała kupić na innych stacjach wszystkie możliwe leki na gorączkę, kaszel, ból głowy – wtedy jeszcze wszyscy myśleli, że mają do czynienia z grypą.

A później ocknęła się dziewczynka, ta sama, która zamordowała całą swoją rodzinę. Pewnego dnia po prostu otworzyła oczy i zaczęła opowiadać Gudrun, że stację zaatakowały Garmy, postaci z jednej z najpopularniejszych w metrze legend, ogromne psy, które strzegły królestwa do bram umarłych i wciągały tam niczego nieświadomych podróżnych.

– Wiesz, co mi powiedziała? – zapytała Gudrun, gdy opowiadała później tę historię Munthemu. – Garmy zaatakowały nas, na szczęście ja miałam przy sobie truciznę i nóż. Tak mi powiedziała. A potem znów straciła przytomność. Boże, ona zamordowała całą rodzinę, myśląc, że są potworami, które chcą zrobić jej krzywdę…

Wkrótce potem dziewczynka umarła z powodu wysokiej gorączki, a pacjenci, którym wcześniej Gudrun przepisała leki na grypę, wpadli w katatonię, by potem gwałtownie zsinieć i stracić przytomność. Dziś Munthe dowiedział się, że skarżyli się wcześniej na halucynacje oraz wykazywali zwiększoną agresję, i gwałtownie zadrżał na myśl, co to może oznaczać.

– Myślisz, że Oscar także miał halucynacje i dlatego się zabił? Nie

wyglądał na chorego, ale nie widziałem go zbyt dokładnie.

– Był chory. Jego współpracownicy powiedzieli, że zmagał się z przeziębieniem. Zapewne miał halucynacje. Podobnie jak ta kobieta, która budowała zamek z piasku. Wiesz, że wczoraj znowu rzuciła się na mnie, gdy chciałam podać jej leki? Nicklas z trudem odciągnął ją ode mnie, w taką wpadła furię. Nie wiem, czy to wszystko jest powiązane, gubię się. Na medycynie nie uczono mnie o takich przypadkach. Choć objawy są podobne, u każdego chorego występują inne. Tak jakby choroba przystosowywała się do danego człowieka… Ale głupoty opowiadam.

– Może mamy do czynienia z różnymi chorobami i nie można mówić o epidemii? Ci z halucynacjami mogli po prostu zachorować na grypę i jednocześnie na coś innego. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Na razie mamy dużo przypadków zachorowań na grypę i tym powinniśmy się zająć w pierwszej kolejności. Halucynacje to działka psychiatrów, nie nasza.

– Mylisz się, bo halucynacje mogą być wywołane przez choroby. Ale masz rację co do tego zjawiska. Powinniśmy spojrzeć na nie trzeźwo…

Gudrun nie zdążyła dokończyć zdania, bo do sali weszła dwójka pomocników i przyniosła na noszach nieprzytomną kobietę. Munthe podszedł do niej i zauważył, że była to miła staruszka, zdaje się, że miała na imię Cilla, która rozmawiała z nim każdego dnia rano, gdy szedł do pracy i mijał jej namiot. Wyglądała na zagłodzoną, spod rękawów bluzki wystawały chude ręce, miała zapadnięte policzki i wystające kości.

– Co jej się stało?

– Zauważyła ją para nastolatków w jednym z tuneli. Próbowali jej pomóc, ale ona rzuciła się na nich, krzycząc, że nie zabiorą jej męża, że to nie była kradzież, bo zwłoki należą do niej, że to już nie są zwłoki. Całkowity bełkot. Jej mąż nie żyje od kilku lat. Gdy przybyliśmy na miejsce, zawiadomieni przez te dzieciaki, Cilla była już nieprzytomna.

Munthe spojrzał na Gudrun i zauważył w jej oczach przerażenie.

Obydwoje doskonale wiedzieli, co to oznaczało, musieli jednak robić dobrą minę do złej gry, aby nie dać po sobie niczego poznać. Taka była ich rola – jako jedyni znali bowiem tragiczną prawdę pośród ludzi niemających o niczym pojęcia.

5

– Nie mam już wątpliwości, że nie mieliśmy do czynienia z kilkoma chorobami, lecz z jedną. Wywołuje ją wirus. Zaczyna się niewinnie. Katar, kaszel, gorączka, coś, co braliśmy za grypę. W tym czasie dochodzi do replikacji i wirus rozprzestrzenia się po całym organizmie. Wtedy zaczyna się kolejny etap choroby: halucynacje i wzmożona agresja, która znajduje upust tylko w zabijaniu. Oczywiście są drobne odstępstwa od normy, ale na ogół tak to wygląda. W końcu wirus wyniszcza cały organizm tak bardzo, że prowadzi to do utraty przytomności i zapadnięcia w śpiączkę, aż w końcu do śmierci. Ustaliłam to oczywiście na podstawie niepełnych badań, ale… Choroba trwa od kilku do kilkunastu dni w zależności od genetycznych uwarunkowań pacjenta. Na razie jest nieuleczalna.

Munthe wciąż słyszał w głowie słowa Gudrun, raz po raz, bez końca, chociaż rozpaczliwie chciał o nich zapomnieć, wymazać je z pamięci, sprawić, aby nigdy nie zostały wypowiedziane. Zwłaszcza ostatnie zdanie, to, które nie dawało żadnej nadziei – okropne proroctwo.

W nocy obudził go potworny kaszel żony. Annika utrzymywała, że nic jej nie jest, że to zwykłe przeziębienie, lekki katar, który szybko minie, ale Munthe, znając szczegóły tego, co się działo w metrze, nie mógł tego zbagatelizować. Nad ranem, kiedy zbierali się z żoną do lekarza, gorączki dostał także jego jedyny syn Felix.

Obydwoje ostatecznie wylądowali u Gudrun, a ta nie mogła mieć dla niego optymistycznych nowin. Nauczyła się już rozpoznawać chorobowe zmiany we krwi i była przekonana, że wirus zaatakował także jego rodzinę. Początkowo lekarka unikała odpowiedzi, ale w jej oczach zobaczył

wszystko.

Choroba jest nieuleczalna. I prawdopodobnie nigdy nie uda im się odkryć na nią lekarstwa. Nie w metrze, miejscu, gdzie ginie wszelka nadzieja.

„Ty, który wychodzisz, żegnaj się z nadzieją…” Na jednej ze stacji ktoś obok drzwi prowadzących na powierzchnię wypisał właśnie takie zdanie. Cytat z poematu wszech czasów spotkał się z ogólną aprobatą, bo czy istniały słowa lepiej oddające to, co musiał czuć człowiek wychodzący na powierzchnię w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie, swoich bliskich i innych mieszkańców stacji.

Chociaż mieszkańcy Solnej Centrum znaleźli niegdyś na powierzchni skarby, które pozwoliły im wzbogacić się i stać jedną z najbardziej pożądanych stacji., Munthe nigdy nie myślał o nich jak o szczęściarzach – raczej jak o bohaterach i męczennikach. Wielu z nich znalazło śmierć na powierzchni lub niedługo po powrocie, istotnie dając stacji nadzieję na lepsze życie.

Munthe przysiadł w kącie i oparł się plecami o zimną ścianę. Zamknął oczy, odetchnął głęboko. A gdyby tak dotrzeć na tę zapomnianą stację, postarać się w jakiś sposób otworzyć wrota do piekieł i wyjść prosto w sam środek nuklearnej zimy, ognistej pożogi lub w coś innego, cokolwiek działo się na zewnątrz po katastrofie. Pokusa zapomnienia o wszystkim była trudna do odparcia.

Zwłaszcza że już jakiś czas temu, gdy Gudrun opisała mu objawy choroby, coś strasznego zalęgło się w jego głowie i nie chciało odejść. Zaczął coś podejrzewać, ale rozpaczliwie odpychał od siebie to wrażenie i na razie odchodziło. „Nie warto zawracać tym sobie głowy”.

Postanowił, że wyjdzie na zewnątrz dopiero wtedy, gdy nie będzie już nikogo w metrze, kto przejąłby się jego losem. Nie potrafił przyznać wprost, że zrobi to dopiero po śmierci Anniki i Felixa.

A kiedy jego rodzina umrze, jakiś zdolny rysownik wykona dwa nieme, bezbarwne portrety, które zostaną przytwierdzone do urny – zrobionej

z jakiegokolwiek ładnie pomalowanego pudełka – i złożone na cmentarzu znajdującym się w jednym ze ślepych korytarzy. W środku urny oficjalnie będą znajdować się prochy zmarłych, ale Munthe doskonale wiedział, że w metrze nie ma miejsca, gdzie można palić zwłoki. Prochy były jakimś zwykłym szarym proszkiem, a ciała zapewne wynoszono na powierzchnię… Na powierzchnię, gdzie on chciał iść.

Zrobiło mu się wstyd, że myśli o śmierci, gdy jego rodzina walczy o życie. Pokonał desperacką tęsknotę do promieniowania i wszystkiego, co ze sobą niosło. Wstał i postanowił wrócić do szpitala, pomóc najbliższym zmierzyć się z tą straszliwą chwilą, gdy dowiedzą się, że nie są chorzy na zwyczajną grypę.

A potem wszystko będzie możliwe.

Wszedł do szpitala i usłyszał cichy szloch dochodzący z jednej z sal. Poszedł tam, przygotowując się psychicznie na konieczność pocieszania któregoś z chorych pacjentów. Płaczącą osobą okazała się Gudrun, która natychmiast próbowała usprawiedliwić to stresem, zmęczeniem, troską o pacjentów. Munthe nie dał się jednak zwieść. Zbyt dużo rozpaczy brzmiało w tych szlochu, zbyt wiele chrypki w głosie, za dużo rumieńca na twarzy.

– Jesteś chora – wyszeptał osłupiały, siadając ciężko na krześle.

– To jeszcze nic pewnego – odpowiedziała smutno.

Munthe wiedział, że kłamie, ale milczał.

– Munthe, musisz mi coś obiecać. Gdy zauważę u siebie pierwsze halucynacje, masz przypiąć mnie pasami do łóżka. – Wskazała stojące w kącie szpitalne łóżko z dwoma prowizorycznymi pasami. – Zostawisz mi możliwość ruszania rękoma i będę pracować bez ustanku, ale zadbasz, abym nikomu nie zrobiła krzywdy.

– Może lepiej zamknąć cię w jakimś pomieszczeniu – zasugerował Munthe. Myśl o Gudrun przypiętej pasami do łóżka jak pacjent szpitala psychiatrycznego wywoływała w nim obrzydzenie.

– Tam nie będę mogła pracować, a muszę to robić, rozumiesz? Obiecaj mi, że to zrobisz, jeśli ja nie będę w stanie. Obiecaj.

Munthe skinął głową i potwierdził obietnicę, a Gudrun ponownie wybuchnęła płaczem. Jej szloch był jednym z najokropniejszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał. Przytulał kobietę, a w głowie huczała mu tylko jedna myśl: jeśli lekarz choruje, to nie ma już żadnej nadziei.

Ostateczny upadek potwierdził się kilka dni później, gdy Munthe został zmuszony do spełnienia obietnicy.

6

Annika umarła dzień po tym, jak Munthe przypiął pasami Gudrun, kilka minut po dziesiątej. Munthe w chwili jej śmierci trzymał żonę za rękę, czując bolesną świadomość, że niewiele może już zrobić. Annika leżała na materacu w kącie sali, blada i zlana potem, ale spokojna. Miała ręce złożone na piersi, płytki oddech, zamknięte powieki. Po prostu zasnęła.

Gdy wydała ostatni oddech, Munthe wpadł w szał. Wbiegł do jednego z ciemnych tuneli, potykając się o nierówne podłoże, niewiele widząc przez łzy, i zaczął ciskać wszystkim, co tylko wpadło mu w ręce. Od ścian odbijały się kamyki, kawałki tynku, metalowe fragmenty szyn, resztki plakatów wyborczych, potargane i zniszczone, zalegały w miejscu, gdzie niegdyś jeździły pociągi pełne ludzi. Wył i płakał tak straszliwie, że obawiał się, iż może zostać bohaterem kolejnej legendy metra.

Kiedy wybiła trzynasta, Munthe już był spokojny. Wrócił do szpitala, bo czuł, że musi to zrobić. Podszedł do ciała żony, które przykryto już przybrudzonym prześcieradłem. Delikatnie odsunął materiał w taki sposób, aby nie odsłonić najdroższej w jego życiu twarzy. Czuł, że to może być profanacja, bluźnierstwo, że łamie tabu, ale nic nie mógł na to poradzić. Wiele razy w minione dni zadawał sobie dręczące go pytanie i teraz musiał znaleźć na nie odpowiedź.

Odsłonił dłoń żony, spojrzał na jej paznokcie. Ich szczególny kolor, efekt

uboczny, którego nie można było się pozbyć, powiedział mu wszystko. Upadł na kolana, przytulił się do zimnego ciała żony i zaniósł się szlochem, szukając u niej pocieszenia, którego nie mógł znaleźć. Zatonął we wspomnieniach.

…Kilkanaście lat przed katastrofą. Munthe jest częścią niezwykle zgranego zespołu zajmującego się mutacjami wirusów. Do gabinetu wchodzi szef. Zlecenie od tajemniczej kobiety, niezwykle ważne, ściśle tajne, dobrze płatne.

– Dlaczego akurat w naszym kraju?

– Kto się będzie tego spodziewał?

Do sali wchodzi wirusolog, obcokrajowiec. Ma być od dzisiaj częścią zespołu zajmującego się pracą nad zleceniem.

– …odkryliśmy wirusa endemicznego dla plemienia z pewnej wyspy na Pacyfiku. Wywołuje on niegroźne halucynacje. Trzeba sprawić, aby stały się zgoła inne…

Czy ktoś chce się wycofać? Nikt nie odpowiada twierdząco, choć nikt głośno nie potwierdza, że chce się tym zleceniem zająć. Munthe chce odmówić, ale słyszy szumy i kręci mu się od nich w głowie.

Lata wyczerpującej pracy, ciężkich badań, wyrzeczeń. Annika i Felix czują się odsunięci na dalszy plan. Ale jest jeszcze ona, Rosemarie, ukochana córeczka, którą śmierć powoli do siebie zabierała. Dylemat moralny: wolno czy nie wolno się tak zachować? Stres, niedojadanie, płacz, potworne wyrzuty sumienia.

Nierówna walka ze śmiertelną chorobą, która bez pieniędzy skończyłaby się, nim jeszcze się rozpoczęła.

– …trzeba sprawić, aby halucynacje oddziaływały na zachowanie ludzi. Zwiększyć ich agresję po infekcji. Sprawić, że będą chwytać za broń. Musi się łatwo przenosić, ale tylko na bliskie odległości.

Rodzina go nie rozumiała, to jednak nie miało znaczenia, liczyła się córka. Danie jej szansy na życie. Ciężka praca coraz cięższa, często do

utraty sił. Wiele, wiele nieudanych prób. Testy na zwierzętach – agresja niewystarczająca. Wreszcie coś, krok do przodu! Wirus gotowy – ale wkrótce okazuje się, że nie działa na ludzi.

Złość, ból, nieprzespane noce, rozgoryczenie, rozczarowanie.

– Na końcu zainfekowani mają zapadać w sen bądź umierać.

– Dlaczego?

– Aby nie byli dłużej groźni.

Annika podejmuje decyzję o wyprowadzce. Zabiera syna i przenosi się do mamy. Po namowach męża wraca, jednak stawia ultimatum. Munthe stara się naprawić ich relację, ale wciąż musi kłamać na temat pracy. Stan Rosemarie pogarsza się, czasu ma coraz mniej. Annika siedzi całymi dniami przy córce, płacze z bezsilności.

– W ogóle cię przy niej nie ma.

– Pracuję. Tylko ja mogę zarobić na jej leczenie, dać jej szansę, rozumiesz?

– A jeśli nie da się jej wyleczyć? Omijasz jedyną szansę, aby jeszcze przy niej być.

– Nie! Jestem już blisko. Przyniosę pieniądze na terapię i razem ją wyleczymy.

Dalsze badania, wciąż, bez końca. Munthe nie pamięta, jak się nazywa, kim jest, po co to w ogóle robi. Same polecenia, żadnych wyjaśnień. Ale wszyscy wiedzą, cały czas wiedzą, że robią coś złego. A mimo to pracują. Munthe ma w głowie tylko obraz zdrowej córki.

Wirus jest wciąż niekompletny. Jeśli powoduje zachowania agresywne – to nie zabija. Jeśli zabija – to nie ma halucynacji. Jeśli jest idealny – nie działa na ludzi. Wciąż czegoś brakuje, wciąż za mało prób, testów, obiektów do badań. Zleceniodawczyni grozi, że przeniesie się gdzie indziej. Munthe już prawie nie odpoczywa. Gdy chce zasnąć, widzi martwych ludzi. Jedynie po alkoholu udaje mu się na krótko zdrzemnąć.

– Po co ta cała praca?

– Broń biologiczna. Wpuszczamy to cudo do jednostki albo gdziekolwiek indziej. Żołnierze wybijają się nawzajem, niedobitki umierają lub zapadają w śpiączkę. Broń idealna.

Przepowiednia Anniki sprawdza się. Pewnej bezchmurnej nocy Rosemarie umiera. Munthe nie wie, co robił, gdy córka umarła. Może badał coś pod mikroskopem, może świadomie infekował obiekt badań.

Coś w nim także umiera. Chce się wycofać. Nie zdąża. Rozpoczyna się wojna, potem ataki nuklearne. Biegnie do metra z żoną i synem tak szybko, jak tylko potrafi.

Radiacja dokańcza dzieła…

Zimne ciało żony nie przyniosło mu ukojenia, podobnie jak nie zrobiło tego zimne ciało córki, gdy poinformowano go, że Rosemarie umarła. W pewnym sensie był świadomy, że jego świat zawalił się właśnie wtedy. Nie w momencie pierwszego ataku nuklearnego, a w chwili gdy spojrzał w puste oczy Anniki i zobaczył w nich niemy wyrzut. Sam także nigdy nie wybaczył sobie, że nie było go przy córce, gdy odchodziła.

Czy Bóg musiał być aż tak okrutny? Przecież Munthe się starał. Pracował do upadłego jak Syzyf, ale za każdym razem kamień staczał się na niego i odbierał mu wiarę. Odebrał mu także córkę. I nic już nie wyglądało tak samo.

A radiacja, ta okropna radiacja, która odebrała ludziom świat, zmutowała nie tylko rośliny i zwierzęta, ale także wirusa, który przedostał się do metra i siał zniszczenie. Jeżeli zrobiła to na tyle dobrze, jak życzyła sobie tego zleceniodawczyni, to nie było już dla stacji żadnej nadziei. Być może nie było jej także dla metra.

Ciekawe, czy ta kobieta byłaby zadowolona z efektu. No i komu wypłaci teraz pieniądze, które miały uratować Rosemarie?

„Ty, który wychodzisz, żegnaj się z nadzieją”.

Był na miejscu. Nie pamiętał nawet, jak się tutaj znalazł, dokąd szedł, gdzie skręcał, ile stacji minął. Było mu wszystko jedno. Każda kolejna mijana osoba na nowo rozbudzała wyrzuty sumienia. Każdy ślad wskazujący na to, że kiedyś mieszkali tutaj ludzie, a teraz pozostały tylko zgliszcza, stanowił cios w jego serce. Ciało żony, jednej z najdroższych mu osób, rzucone byle jak w kąt peronu. Syn dogorywający w samotności. Gudrun płacząca w niewoli. Ta sama Gudrun, która ostatecznie kazała zamknąć izolatkę na klucz, aby ludzie w niej tkwiący mogli umrzeć w spokoju.

Opuścił stację Solna Centrum. Nie pamiętał, co mówił pogranicznikom. Prawdopodobnie pokazywał im swoją legitymację, powiedział, że idzie po leki, cokolwiek. Plotki o zarazie na stacji Eden jeszcze nie rozeszły się po metrze. Munthe sądził, że to wielka niesprawiedliwość, iż kręci się po stacjach, roznosząc być może wirusa, ale nie mógł nic z tym zrobić. Nie chciał.

„Pożegnaj się z nadzieją… A może na górze odnajdziesz nadzieję? Może to wszystko było tylko przejściowe i minie, gdy wchłoniesz w płuca pierwszy haust napromieniowanego powietrza? Przekonaj się o tym”.

Rozmyślał właśnie, co powinien zrobić, aby otworzyć wrota i wymknąć się na powierzchnię, gdy usłyszał za sobą kroki. Nie przejął się nimi, dalej marzył o tym, że po raz pierwszy od wielu lat zobaczy niebo, drzewa, dotknie ziemi, choćby miała to być napromieniowana skorupa, choćby niebo zasnute było chmurami, a świat mgłą. Po krokach nadeszły słowa, który stopiły jego zamarznięte serce.

– Tato! Tato, nie rób tego!

Odwrócił się i wziął w ramiona syna. Przycisnął go mocno do siebie, poczuł, jak drży, łzy spłynęły mu po policzkach i wiedział, że jego dziecko także szlocha. W płaczu tym było wszystko. Radość z odnalezienia się. Ulga, że syn zdążył, nim ojciec wyszedł na powierzchnię. Tęsknota za

matką, której się nie udało uratować.

Felix także w końcu poddałby się samotności. Niewykluczone, że chciał to zrobić już teraz. Ale byli razem, odnaleźli się i nie musieli już niczego się bać. Razem przetrwają wszystko.

– Jak wydostałeś się z izolatki?

– Zabrałem Gudrun klucze. Tato, chodźmy już, idźmy stąd w cholerę. Wsiądźmy po prostu do wagonu i odjedźmy daleko poza Eden.

– Tak. Tak zrobimy.

Ustawili się obok torów i spokojnie czekali, aż z tunelu dobiegnie znajomy stukot kół i na stację wtoczy się powoli ogromna metalowa klatka pociągu, który zawiezie ich, gdziekolwiek będą chcieli.

Wkrótce usłyszeli upragniony stukot, a w tunelu zalśniły lampy. Pociąg powoli wjechał na stację i zatrzymał się, drzwi się otworzyły.

Dagmara Adwentowska | Otwórz oczy

Trzecie miejsce w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Śmierć przychodzi z rzeki, mówili. Mieli rację.

Na odrzańskim wybrzeżu, nazywanym na starych mapach na cześć Wyspiańskiego, o którym potrafiłem powiedzieć tyle, że był piszącym rymy darmozjadem i od dawna trupem, pod przyprószoną popiołami ziemią latami trwały trzy enklawy. Dużo, powiecie. Może i dużo, ale i niemało mieliśmy tutaj cywilnych poniemieckich bunkrów, o których wszyscy wiedzieli i do których rzucili się tłumnie, gdy nad Wrocławiem dupnęło i błysnęło. Do 2033 wytrwało tylko nasze schronienie. Wgryźliśmy się głęboko, zajęliśmy kanały burzowe i masywnymi grodziami odcięliśmy się od Odry. Przeżyliśmy, gdy rzeką na wielkiej fali przypłynęła śmierć. Poziom wody wzrósł gwałtownie, nasze grodzie przeciekały, ale wytrzymały. Zalało tylko dolne poziomy. W enklawie Uczonych potopili się wszyscy. Gdy woda opadła, nasi stalkerzy zeszli w głąb i opowiadali potem, że grodzie u Uczonych nie były zniszczone. One były otwarte. Coś tam musieli kombinować w swoich akademickich głowach, może chcieli puścić nurt w jeden z bocznych kanałów, zamiast zagryźć zęby i przeczekać powódź. Przedobrzyli i ich zalało. Próbowałem to rozgryźć, ale tylko jeden fakt był bezsporny. Czasem, regularnie jak wybory przywódcy czy konieczność wypróżnienia kiszek, rzeką nadchodziła wielka woda, wypełniała błyskawicznie podziemne przejścia, tunele i kanały, a razem z nią płynęła śmierć. Jakoś zawsze u nas w enklawie liczyło się na farta, że

nie do nas płynie, że znajdzie ujście gdzie indziej, przejdzie bokiem. Nadzieja przetrwania nie opuszcza w końcu człowieka do ostatniego tchnienia. Nadzieja matką głupich…

W Odrze żyją potwory, gadali. A ja nie wierzyłem, durny. Do czasu.

Myślałem kiedyś, że to takie bajki-fidrygałki zbieraczy, opowiadane, by straszyć dzieci. Potem wyszedłem na powierzchnię i zobaczyłem zrodzone z radiacji monstra na własne oczy.

Przy ujściu Oławy na zwałach cegieł w cieplejsze dni wylegiwały się pancerniaki. Łby poznaczone po obu stronach czerwonymi plamami i pazurzaste łapska umiały skryć w owalnych, pokrytych naroślami skorupach, których nie imała się żadna broń. Największe dorastały do czterech metrów. Żywiły się mięsem.

Ze Starej Odry przypływały piżmoludy o podwójnych powiekach, wielkich żółtych zębach i dłoniach o palcach połączonych błoną, ale z przeciwstawnym kciukiem i zręcznych, tak podobnych ludzkim. Cechował je prawie ludzki upór w ryciu głębokich tuneli w nabrzeżach i pasja budowania. W wydrążonych norach zakładały schronienia i po ludzku mnożyły się tam na potęgę, a budowały głównie tamy na rzece, przez co zalewało nas mocniej i częściej. Więc wysadzaliśmy ich konstrukcje, a gniazda zalewaliśmy benzyną i podpalaliśmy. Gdy uciekały, płonąc jak pochodnie, płakały prawie ludzkim głosem. Jak to piżmoludy… Każdy, kto nie widział, co robią ze złapanymi prawdziwymi ludźmi, mógł się wzruszyć do łez.

Na płyciznach i w sinych polach nadbrzeżnych widmotrzcin o liściach ostrych jak maczety brodzili kroczący, unosząc segmentowane odwłoki i małe główki na sześciu wątłych odnóżach, wpatrzeni w mętną wodę czarnymi paciorkami oczu, po owadziemu obojętni na wszystkich i wszystko. Dopóki to coś nie podpłynęło im w zasięg odnóży. Stalkerzy, którzy zapuścili się za most na drugi brzeg, gdzie rozciągały się tereny dawnego zoo, opowiadali jeszcze bardziej dziwaczne i mrożące krew

w żyłach historie. O stadach wielkich albinotycznych pingwinów, kołyszących się groteskowo w niekończącym się pochodzie między kikutami opalonych drzew, o gładkoskórych wielkoskrzydłych płaszczkach opadających z przestworzy i żądlących kolcem jadowym umiejscowionym na końcu ogona, drapieżnym bydle o szalonych oczach i ciałach najeżonych rogami jak szczotka, chrzęszczących w biegu jak armia szkieletów. Tych nie widziałem nigdy na własne oczy, ale nauczyłem się już, że to nie oznaczało, że nie istnieją. Po prostu nie byłem ich nadmiernie ciekaw, dopóki trzymały się swojego terenu. Inni strzegli mostu, by stwory nie przedostały na naszą stronę. Ja dość miałem naszych miejscowych mutantów, które lęgły się w rzece i czasem wyłaziły na żer.

Nie otwieraj oczu pod wodą. Tak zawsze powtarzał mi Nurek. A ja słuchałem jak olśniony, głupi, głupi smark.

To w końcu brzmiało tak logicznie i tak rozsądnie. Woda w zalanych tunelach niekiedy była smoliście czarna, z tęczowymi okami oleistych plam, kiedy indziej mętna i cuchnąca, a czasem nawet fosforyzowała pulsacyjnie i wesolutko. Niezależnie od koloru bezwzględnie zawsze należało podejrzewać, że pływają w niej jakieś paskudztwa, te najgorsze, bo niewidoczne, jak-im-tam bakterie i związki chemiczne. Bywało, że po przymusowych kąpielach pokrywały mnie pryszcze albo liszaje, podobne wykwitom rozbuchanych porostów na ruinach kamienic, a w pachwinach otwierały się ropiejące rany. Oczy były stokroć bardziej delikatne niż skóra. I tysiąc razy cenniejsze. Słuchałem więc Nurka. Gdy pracowałem pod wodą przy grodziach i w zalanych kanałach, robiłem to po omacku. Zaciskałem mocno powieki, chroniąc oczy, i marzyłem o szczelnej masce. Robiłem dokładnie tak, jak kazał, bo kto miałby być lepszy w te klocki niż on? W jego enklawie na Wyspie Szczytnickiej, zanim wyrżnęły ich piżmoludy, wszyscy znali się na podwodnej robocie. Nurek był jedynym ocalałym – i ostatnim prawdziwym nurkiem. Miał swój sprzęt, butle i kombinezon i wiedział, jak ich używać. Przyjęliśmy go z otwartymi ramionami – u nas

na palcach jednej ręki można było policzyć takich, co choćby jako tako unosili się na wodzie. Ja byłem jednym z nich, należałem do ekipy, która prócz innych obowiązków miała pod pieczą grodzie i zabezpieczenia w zalanych tunelach. Doszedłem do perfekcji w pracy w dobrowolnych ciemnościach, chroniąc swoje cenne oczy. Zdawało mi się nawet momentami, że w ciemnej, chłodnej głębinie nie potrzebuję wzroku, że posługuję się już innymi, wyostrzającymi się przy każdym zejściu pod wodę zmysłami. I było dokładnie tak, jak rzekłem. Zdawało mi się, głupiemu smarkowi. Osiemnaście lat, a ślepy byłem jak szczurzy noworodek. Wszyscy byliśmy. Byliśmy.

Jeśli liczycie na jakieś dobre wieści, to nie jest wasz dzień. Nazywam się Erwin, ale możecie mówić mi Szprotka. Albo mówcie, jak chcecie. W każdym razie – wysłuchajcie opowieści.

***

Byłem dumny, gdy Nurek wybrał mnie i jeszcze dwóch chłopaków spośród jedenastu, którzy zgłosili się na ochotnika do pracy w zalanych kanałach i konserwacji grodzi. A już wręcz rozpierać zaczęło mnie w momencie, w którym Rogaty, nasz przywódca, nie chciał się zgodzić, ale Nurek wziął moją stronę.

– Jest młody. Chuderlawy i słaby w rękach – wódz jak zwykle mówił krótko, na temat i nie przebierał w słowach.

Za to go ceniliśmy. Czy zresztą nie powiedział prawdy? Byłem smarkaty, do tego niski jak na swój wiek i cherlawy. Sam Rogaty mierzył sobie pod dwa metry, miał szerokie bary i niespożyte zasoby energii. Od radiacji dostał choroby skóry, twardych narośli na czole przypominających rogi. Cenił sobie siłę, a we mnie… cóż, we mnie jej nie znalazł, choć nie mogę powiedzieć, że nie próbował.

– Jest młody, ale bystry – odparł Nurek, spokojnie broniąc swoich decyzji. – Umie pływać i ma zręczne dłonie. Do podwodnej pracy nie trzeba

mocarza, szefie. Trzeba kogoś, kto umie zaradzić problemom i nie utopi się przy tym jak ostatnia łamaga.

Wiedział, gdzie walnąć. Rogaty pływać nie umiał… Wódz pokręcił głową i podrapał się po łuszczącej się narośli nad prawą skronią.

– Niech będzie. Na próbę. I na twoją odpowiedzialność – zastrzegł.

Nurek uśmiechnął się do mnie, pokazując garnitur zębów sczerniałych od żucia grzybów rosnących w niektórych kanałach. Odwzajemniłem uśmiech i poszedłem za znikającą w korytarzu zwalistą sylwetką przeświadczony, że jestem najszczęśliwszym gówniarzem pod słońcem.

Przez dwa lata nic mi nie zmąciło tego przekonania. Mądrości Nurka wsysałem bez popitki i robiłem bez szemrania, jak kazał. W końcu – jak często można praktykować u prawdziwego mistrza w fachu? Tylko spotkany w suchych kanałach Nurek sprawiał wrażenie powolnego, niezgrabnego grubasa, kolebał się, chodząc, i sapał ciężko, wywracając małymi oczkami, jakby wszystkich brał na świadków ogromu swego wysiłku w przemieszczaniu własnego ciała z miejsca na miejsce. W wodzie nagle stawał się szybki i zręczny. Chciałem być taki jak on… Rzecz jasna, nie mając na myśli okrągłego brzucha, pulchnej i szpetnej gęby porośniętej rzadkim zarostem ani pociętych czerwonymi bliznami dłoni. Pragnąłem jego pływackich umiejętności, wiedzy o wodzie, szacunku, jakim go darzono, i swobody, którą miał w rozmowach z Rogatym i kobietami. Tego wszystkiego mogłem się nauczyć tylko od niego.

Stał się dla mnie niemal jak ojciec, którego nie miałem okazji poznać. We wszystkim go słuchałem i o wszystkim mu mówiłem, nawet o Mgle, córce nauczyciela enklawy, białowłosej, szczupłej dziewczynie, tak milkliwej, że niektórzy uważali ją za niemowę. Ja uważałem, że jej czerwone oczy są piękne, i liczyłem, że gdy Rogaty uzna, że dobry ze mnie nurek, będę mógł wziąć ją za żonę. Dotknąć jej policzka, skóry tak cienkiej i jasnej, że niemal mogłem zobaczyć sine szlaki żył pod spodem.

– Uśmiechnęła się wczoraj do mnie, kiedy zaniosłem jej ojcu tę skrzynkę,

którą wyłowiłem w bocznym kanale przy głównej grodzi – pochwaliłem się Nurkowi, wracając z codziennego rekonesansu w tunelu wiodącym do rzeki.

Grubas siedział na podeście, majtał masywnymi nogami tuż nad wodą i pogwizdywał przez czarne zęby.

– Szczypnąłeś ją w tyłek? – zainteresował się od razu.

– Nie, no przecież… – Sam pomysł wydawał mi się bezczelny i prostacki.

Nurek wzruszył potężnymi ramionami.

– Trzeba szczypnąć. Skąd niby ma się zorientować, że masz na nią ochotę?

– Powiem jej… – zasugerowałem, a mój mistrz wytrzeszczył małe oczka i wybuchnął śmiechem. Zmieniłem temat na bezpieczniejszy. – Słuchaj, Nurek… Już kiedy znalazłem tę skrzynkę z narzędziami, zdawało mi się, że coś czuję. A dzisiaj to byłem tego pewien.

– Czego niby?

– Tam, w bocznym kanale, czuć ruch wody.

– Jakby był nurt, to poziom by się podnosił – skonstatował leniwie Nurek.

– To był delikatny ruch, a powierzchnia duża, zmiana się rozkłada – upierałem się, ale Nurek machnął ręką.

– Jeśli to było słabe, to nie ma ani pośpiechu, ani powodu do niepokoju. Sprawdzę to. Ale jutro… Dzisiaj mi się nie chce dupy moczyć, Szproteczko, wolę wlać w siebie coś odkażającego. Otworzymy bardzo obiecującą butelkę, może nawet z powierzchni, i opowiem ci o takiej jednej lali z enklawy Uczonych, co mnie nauczyła kilku uczonych sposobów ciurlania. Wyłaź i wycieraj szybko pysk, bo cię znowu krostami obsypie i twoja Mgła przemówi. Uciekając przed tobą z krzykiem.

Pewnie wam się zdaje, że już wiecie, jak sprawa potoczyła się dalej. Przecież to wszystko powinno mi już wystarczyć. Otóż nie. Bo nie dla umiejętności pływackich nas dobierał do współpracy ani nie dla bystrości czy obeznania w kanałach. Wybierał posłusznych i takich, co pokornie

słuchali. Byłem najlepszym spośród jego uczniów.

Wyszedłem z wody, obtarłem pysk i poszedłem z Nurkiem do naszej kanciapy, boksu zmontowanego z blachy falistej i zmętniałej pleksi. Z butelki doiłem bez ociągania i mieniąc się wszelkimi odcieniami czerwieni, słuchałem o wygibasach Nurka z Uczoną.

***

Siwowłosy stalker kazał zwać się Geraltem. Szedł na tereny zoo polować na latające płaszczki. Ponoć z trucizny z ich kolców jadowych można było uzyskać lekarstwo na gruźlicę. Przynajmniej tak opowiadał, sącząc bimber w głównej hali naszej enklawy – że południowe enklawy skupują kolce płaszczek na leki i odpowiednio płacą. Sprzedałem mu szczury na przynętę, pułapki plecione ze stalowej linki, kurtkę, rozregulowany kompas i całkiem dobrą, choć wymiętoszoną przedwojenną gazetę ze zdjęciami gołych bab. Kolację i wałówkę na drogę dołożyłem gratis w ramach ogólnoludzkiej gościnności. Czyli w sumie – dałem niemało.

Nie żałowałem. Okulary do nurkowania, które miał na wymianę, nie były masowym szmelcem, któremu uszczelki sparciały jeszcze przed wybuchem. Solidne, w dobrym stanie i szczelne, co sprawdziłem wczesnym rankiem, gdy tylko odprowadziłem Geralta do włazu.

Stałem zanurzony po pas w kanale wiodącym do głównej grodzi oddzielającej nas od Odry, woda migotała jakby zielonkawo. Cieszyłem się jak dziecko i już miałem popłynąć, gdy za mną rozległo się ciężkie człapanie Nurka.

– A ty dokąd, młody? – zapytał leniwie, przytknął palec do nozdrzy i smarknął do wody.

Postukałem w szybkę okularów.

– Sprawdzę ten boczny kanał przed głównymi grodziami. Ten, co ci mówiłem, że nurt czuję. Woda dziś świeci, będzie dobrze widać!

– Nowa zabawka do noszenia na łbie… – Nurek skomentował mój

nabytek – a we łbie jak było pusto, tak pusto pozostało.

Wskazał palcem w palik ze skalą osadzony przy zejściu w zalaną część kanału.

– Widzi? Nie widzi? A może widzi, tylko nie kuma? Jest pół metra dwa centymetry przy zejściu? Jest. A wczoraj ile było? Ano pięćdziesiąt. Czyli wahania dopuszczalne. Nie złaź do wody, kiedy nie ma potrzeby, ile razy mam powtarzać? A jak schodzisz, to nie otwieraj oczu pod wodą!

– Są naprawdę szczelne!

Nurek machnął lekceważąco tłustą ręką.

– Nową zabaweczką pobawisz się kiedy indziej. I na własną odpowiedzialność, nie moją, słyszysz? Bo ja bym ręki sobie nie dał uciąć, że to gówno nie puści. A teraz zbieraj się, idziemy na Wyspę Szczytnicką.

– Obok piżmoludów? Rogaty się zgodził?

– Nie. Dlatego przyznamy się po powrocie. Jak już wrócimy z szabru.

– I to już ma być bezpieczne? – zadrwiłem, ale wylazłem z wody. – Dasz sobie rękę uciąć?

– Za bezpieczeństwo nie, Szproteczko… Ale za to, co mam schowane przy śluzie, to już mógłbym, mógłbym…

Pewnie chcielibyście usłyszeć o tym, jak błyskotliwie przejrzałem jego kłamstwa, rozwaliłem mu ryj bosakiem, a potem popłynąłem w moich nowych okularach do bocznego kanału i sprawdziłem, skąd się bierze ciąg wody. Też bym chciał, a jakże!

Zaśmiałem się, poklepałem Nurka po ramieniu i poszedłem po ekwipunek.

***

Postąpiłem krok do przodu na pokrytej drobnym gruzem betonowej wylewce bunkra. Nurek przede mną pogwizdywał przez zęby i opowiadał pieprzne żarty zebranym w komorze zbieraczom. Wszystkim, którzy słuchać chcieli, i wszystkim, którzy woleliby nie. Był w wystrzałowym

nastroju, jak zawsze, gdy wychodził na powierzchnię. W dusznych norach można tylko siedzieć sobie w ścisku, leżeć na babie lub pod babą albo wychowywać bachory, które z baby wypadną.

– Tam, na zewnątrz, człowiek oddycha pełną piersią. – Po raz nie wiedzieć który podzielił się z resztą zbieraczy swoją filozofią.

– Tylko nie oddychaj, bo ci jeszcze coś w gardle zostanie! – zarechotał Aleks, podnosząc maskę do góry i szczerząc krzywe zęby.

Nurek zaplótł pocięte splotami blizn łapska na okrągłym brzuchu i uśmiechnął się dobrotliwie jak ten grubas w czerwonym, co to przed wybuchem podobno przynosił grzecznym dzieciom prezenty.

– Czytałem w gazecie z 2012 roku, że spacery na świeżym powietrzu to samo zdrowie – wtrącił się Chudy, który przed wybuchem trzy lata chodził do szkoły i uchodził u nas za wszechstronnie wyedukowanego.

Teraz śmiali się wszyscy, było tak normalnie. Z włazu za mną, zamykającego tunel wykopany między poniemieckim bunkrem a kanałami, gdzie żyliśmy, wysunęła się Mgła, jak zawsze cicho i bezszelestnie. Podała mi chlebak i uśmiechnęła się wąskimi, bezbarwnymi ustami. Chciałem jej coś powiedzieć, na przykład, że przyniosę coś ładnego z góry, specjalnie i tylko dla niej, ale z ciemności w dole krzyknęli: „Zamykać!”. Mgła złapała za uchwyt włazu i pociągnęła klapę do siebie. Nie zdążyłem.

– Kończyć podśmiechujki! Gotowi? – zakrzyknął strażnik z platformy pod żeliwną dwuskrzydłową klapą. Ucichły żarciki i śmiechy. Założyłem maskę i poprawiłem ramiączka plecaka. Szczęk zdejmowanych rygli odbijał mi się echem w głowie. Nurek poklepał mnie po ramieniu i uniósł kciuk do góry. Pierwsza para zbieraczy pięła się już po drabince, kiedy strażnicy na górze otworzyli klapę – cicho, przytrzymując ciężkie skrzydła, by łomot nie ściągnął uwagi nikogo ani niczego na powierzchni. Dwóch wartowników zniknęło w jasnym prostokącie, z którego bezszelestnie jak kroki Mgły opadał w dół drobny pył. Wreszcie z góry rozległ się głos, na który czekaliśmy:

– Czysto!

– Dawaj, dawaj, dawaj!

Jeden za drugim, jeden za drugim, jak najszybciej, by klapa nie była uchylona zbyt długo. Gdy wychodziłem na powierzchnię, jeden ze strażników klepnął mnie w ramię. Pobiegłem za Nurkiem, który kołysząc się ciężko na boki i dysząc jak umierający, pędził pochylony w stronę kamienic o ołowiano-ceglanych ścianach pożeranych przez trujący bluszcz. Z ich murów spoglądały na mnie rzędy ślepych, pustych okien.

Wpadliśmy do jednej z kamienic, by zdyszani przykucnąć w kącie pod krętymi schodami. Było cicho. Tylko gdzieś na jednym z wyższych pięter kapała woda.

– Dobra, gadaj, co tam masz – odezwałem się szeptem.

– Agregat. I silnik do łodzi motorowej – zachichotał Nurek, a mnie aż zatkało.

– Czemuś wcześniej nie gadał?

– Bo znam Rogatego. Kazałby iść i odzyskać fanty, nie oglądając się na straty. Piżmoludy miałyby na kolację świeże mięso.

Zacząłem oponować, że jak niby mamy sobie poradzić, skoro uzbrojeni po zęby najlepsi żołnierze Rogatego bali się mutantów z wyspy. Nurek uniósł maskę do góry i uśmiechnął się do mnie czarnymi od grzybów zębami:

– Mały, dziś piżmaków będzie na wyspie mało i dam sobie rękę uciąć, że to prawda. Większość popłynęła w górę Starej Odry. To ich czas na ciurlanie. Wiem to na pewno. Tych, co zostali, odciągniemy sposobem od śluzy. Poza tym do zmroku daleko, będą ospałe, ogłupiałe i wolne. Jeśli masz pełno w gaciach, możesz zostać. Pójdę sam. Ale wtedy będę musiał wybrać, co przytachać – agregat czy silnik… Co ty byś wybrał, Szprotka?

Zapewne zdaje wam się, że podjąłem pod tymi schodami jakąś mądrą decyzję. Na przykład – przenikliwie przejrzałem, że tu nie idzie o wybór: silnik czy agregat, ale o być albo nie być enklawy. To byłaby świetna

historia: smarkaty, ale bystry Szprotka ratuje setkę ludzi, wódz Rogaty ściska mu rękę i wiesza na szyi medal z wyklepanego denka od starej puszki… Piękne, piękne. Naprawdę chciałem dostać ten beznadziejny medal za zasługi dla enklawy. Postanowiłem więc być odważny i przydatny dla społeczności.

– Idę z tobą, Nurek. Weźmiemy i silnik, i agregat.

***

Na ulicy przed budynkiem śluzy stał wypalony szkielet autobusu. Po dziurawej, gdzieniegdzie cienkiej już jak papier karoserii pięły się cienkie jak pajęczyny nitki rozrośniętej pleśni. Cuchnęło moczem, kwasem i gównem. Piżmaki lubiły dokładnie oznaczyć teren. Nurek podał mi swoją kuszę, a sam otworzył plecak. Nawet przez smród wydzielin piżmoludów, przez filtry maski poczułem świeże mięso. Raczej nie szczurze. To był solidnych rozmiarów połeć ociekającej jeszcze krwią surowizny. Ślina zalała mi gardło, nie nadążałem z jej przełykaniem.

– Skąd masz…? – wyszeptałem, ale Nurek przycisnął tylko palec do ust. Z bocznej kieszeni wydobył nakręcany zegarek, przekręcił lekko tarczę i położył obok mięsa.

– W nogi – zakomenderował, złapał za kuszę i zgięty wpół pobiegł schować się wśród gruzów. Ruszyłem za nim. Po chwili obaj leżeliśmy za obaloną na ulicę ścianą budynku, na pokruszonych dachówkach i częściowo stopionym szkle. Cyk, cyk, cyk, cykał czasomierz, i w popielnej ciszy wypalonego miasta był to naprawdę głośny dźwięk.

– Mogłeś zatruć sukinsynom ten ochłap – zasugerowałem szeptem, ale Nurek zdecydowanym gestem nakazał milczenie. Cyk, cyk, cyk…

Zza budynku śluzy wyszedł piżmolud. Kołysał grubym, porośniętym rzadką szczeciną ciałem na czterech masywnych, krótkich łapach, za sobą wlókł długi, nagi ogon. Na czworaka sięgał mi do piersi, spory był. Wytrzeszczał maleńkie oczka ukryte w fałdach tłuszczu i nastawiał małe

uszy, podobne kapeluszom grzybów porastających niektóre kanały. Sapał i chrząkał, i węszył wilgotnymi nozdrzami, trząsł tępo zakończonym łbem. Cyk, cyk… drrrrrrrryń, rozdarł się czasomierz Nurka za autobusem, a piżmolud rzucił się do ucieczki. Wychylił się po chwili ponownie, już w towarzystwie dwóch podobnych sobie, ale mniejszych osobników. Wyszczerzył wielkie żółte zęby. We trójkę mutanty ostrożnie obeszły przerdzewiały wrak i, rzecz jasna, wtedy zobaczyły mięso. Więcej im nie było trzeba. Rzuciły się na ochłapy z dzikim piskiem. Największy ciosem łapy tak przypominającej ludzką rąbnął zbyt wyrywnego towarzysza po paskudnym łbie. Ten nie pozostał dłużny. Krew się lała i sypały się kłaki, i nic nie wskazywało na to, że piżmaki szybko ustalą kolejność wgryzania się w nieoczekiwany posiłek.

– Idziemy – szepnął Nurek.

Przeczołgaliśmy się ukryci za gruzami budynku tak daleko, jak się dało. Potem był krótki kawałek, ledwie trzydzieści kroków odsłoniętej przestrzeni, którą pokonałem skulony ze strachu, wpatrzony w plecy Nurka, na których przyciasny kombinezon opinał się i trzeszczał przy każdym kroku. Budynek śluzy był cichy, a zza autobusu nadal dobiegały odgłosy zajadłej walki. Nurek odchylił pokiereszowaną siatkę ogrodzenia, żebym się mógł przecisnąć, potem ja zrobiłem to samo dla niego.

– Gdzie teraz? – zapytałem.

– Kładką po wrotach śluzy, na wyspę.

– Wrota są uchylone – przypomniałem sobie, rychło w czas.

– Przeskoczymy.

Dostrzegałem, owszem, dziurę w tym planie. Mniej więcej tak szeroką jak niemała wcale odległość między jednym a drugim skrzydłem bramy. Było już jednak za późno na odwrót. Obrzuciłem tylko spojrzeniem brzeg wyspy, na który mieliśmy się dostać, i wszedłem na kładkę. Trzymała się nieźle, tak jak same wrota, tylko łuszcząca się zielona farba świadczyła o tym, że nikt żelastwa nie konserwował od dwudziestu bez mała lat. Barierka dawała

solidne oparcie. Tyle że sama kładka miała szerokość trochę ponad pięćdziesiąt centymetrów, do drugiego skrzydła było naprawdę daleko, a pięć metrów pod nami płynęła Odra. Oszacowałem trzeźwo swoje możliwości.

– Nie dam rady… – powiedziałem cicho i ze wstydem i już miałem się odwrócić, zaproponować, byśmy spróbowali zarzucić na drugie skrzydło linę, kiedy poczułem uderzenie pod kolanami. Ktoś czymś ciężkim zadał mi cios, podciął nogi i przerzucił jak lalkę nad barierką.

Gdybym był jednym z tych legendarnych stalkerów przemierzających ruiny Wrocławia, uraczyłbym was teraz opisem walki na wąskiej kładce, jak w ostatniej chwili złapałem się barierki, ta utrzymała mój ciężar, a ja pochwyciłem napastnika za fraki i pociągnąłem go za sobą w toń pod śluzą, gdzie dusiłem go pod wodą, aż resztki powietrza uciekły mu z płuc razem z krwią.

Jak już mówiłem, jestem Erwin. Szprotka. Przeleciałem więc nad barierką i runąłem w dół.

***

Ostatnie, co zobaczyłem, nim połknęła mnie rzeka, to szczeciniasta gęba Nurka wystająca ponad krawędzią wrót śluzy. Gdy woda zamykała się nad moją głową, powieki miałem już zaciśnięte szczelnie jak główne grodzie enklawy. Odruchowe zachowanie tonącego, ale to, co dalej, było już wyuczonym postępowaniem, zgodnie z radą Nurka powtarzaną tak często i przestrzeganą tak skrupulatnie, że weszła w krew, zlała się z instynktami.

Nie otwieraj oczu pod wodą. Nie otwieraj, bo je stracisz. Wypalą ci je trucizny i chemikalia płynące z nurtem, wyżrą bakterie, ryby albo larwy owadów, czasami tak małe, że ich nie dostrzeżesz, dopóki nie zaczną gryźć, a ty nie przestaniesz widzieć. Mutanty to nie tylko potwory trzy razy większe od człowieka; mutuje wszystko, niezależnie od rozmiarów. Więc nie otwieraj oczu pod wodą, chyba że chcesz, by zaległy wieczne

ciemności.

Dotyk rzeki był chłodny, znacznie zimniejszy niż w kanałach. Woda oleiście lepiła się do skóry. Szedłem w toń jak kamień, oszołomiony, przerażony i bezradny. Zdradzony.

Porwał mnie słaby nurt przepływający przez uchylone wrota śluzy. Otrzeźwił, nadał kierunek. Zwiększył szanse na wyjście cało. Z płucami ściśniętymi aż do bólu zagarniałem wodę ramionami. Byle dalej od śluzy, Nurka i wyspy.

I zabawne, moje płuca okazały się silniejsze niż oczy. Gdy wpierw o nogi, a potem o biodro otarło się coś cieplejszego od rzeki i galaretowego, nie wynurzyłem się, choć piersi szarpał mi już brak powietrza. Nie wybiłem się ku powierzchni, wiedziałem, że na śluzie wciąż stoi Nurek z kuszą w pobliźnionych łapskach.

Otworzyłem oczy.

Zapiekło. Rzeka była mętna, a z ołowianego nieba nie przesączało się zbyt wiele światła, widziałem jednak wyraźnie, że obok mnie sunie pasmo ciemniejsze niż toń pode mną. Woda gęstsza, galaretowata i świadoma na tyle, by polować. Woda żywa, jak się u nas mówiło. W jej centrum płynęły uwięzione, na wpół strawione ryby. Szarpnąłem ramionami, wyrzuciłem ciało w przód, gdzie majaczyły mi się zarysy kamieni dawnego nabrzeża i coś jeszcze.

Błękitne światełko. Jakby latarka?

To, że wisi nad czterema wiotkimi jak widmotrzciny nogami, zobaczyłem trochę za późno.

Kroczący pochwycił mnie przednimi odnóżami, gdy tylko wystawiłem głowę nad powierzchnię. Owadzie oczy były martwe jak paciorki. Mutant zachrzęścił szczękoczułkami, szerokimi jak męska dłoń. Próbowałem wziąć oddech, ale zalane filtry blokowały dopływ powietrza. To, co świeciło – a co zawsze brałem za część ciała kroczących, organ używany do wabienia ryb – z bliska okazało się fosforyzującą bulwą jakiejś wodnej rośliny,

zawieszoną jak naszyjnik na sznurze uplecionym z wodorostów.

Obok z rzeki wynurzyła się żywa woda, wyciągnęła w górę amebowatą mackę i szukała ofiary ze ślepym, robaczym uporem. Kroczący zaterkotał niespokojnie i przerzucił mnie nad swoimi plecami w tył. Potoczyłem się po kamieniach zrujnowanego wybrzeża i wreszcie zerwałem maskę z twarzy.

Powietrze cuchnęło i pełne było pyłów, ale miałem to gdzieś. Brałem je łapczywie w siebie jak pierwszy w życiu łyk podłej berbeluchy pędzonej w naszej enklawie. Jak nie ma nic lepszego, ciesz się tym, co dają.

Żywa woda oplotła się wokół dwóch z sześciu odnóży kroczącego i zaciskała się jak imadło. Nie zostałem, żeby popatrzeć. Pobiegłem wzdłuż brzegu, przedzierając się przez pole widmotrzcin. Zsunąłem się do rzeki i przepłynąłem na drugą stronę. Szybko, jak najszybciej, zanim zapadnie zmrok i piżmoludy wypłyną na żer.

Oczy? Oczy piekły. Chyba. Nie zwracałem na to uwagi. Przede mną była daleka droga. Na powierzchni do kamiennego mostu na Oławie, potem kanałami do mostu Grunwaldzkiego i znów w dół, pod dawne budynki politechniki. Biegłem, choć wiedziałem, że choćby mi teraz skrzydła porosły od radiacji, Nurek i tak wrócił do domu przede mną.

Jak się okazało, nie tylko on.

Pierwszego zobaczyłem przy moście. Siedział na dachu szoferki przeżartej rdzą ciężarówki, w której mieliśmy wartownię strzegącą przejścia na drugą stronę – a raczej strzegącą nas przed mutantami z dawnego zoo. Otyłe, porośnięte rzadką szczeciną ciało ociekało wodą. Małe oczka lustrowały ruiny.

Po moście Zwierzynieckim łaziły piżmoludy. Nie było to typowo zwierzęce snucie się w poszukiwaniu czegoś do żarcia, do zabicia albo do wypieprzenia. Mutanty szły zwartą kolumną. Niosły jakieś zawiniątka… Tachały na plecach swoje małe. Uderzyła mnie ich zmienność. Niby wszystkie przypominały wyrośnięte wodne gryzonie, ale w różnym stopniu.

Niektóre, idąc, lekko podpierały się przednimi kończynami o podłoże, inne szły wyprostowane jak ludzie, w dłoniach trzymając przedmioty wyglądające na narzędzia czy broń. Te, które straciły futro, skrywały poznaczoną liszajowatymi naroślami białą skórę pod szmatami. Niektórych można było wziąć za bardzo szpetnych, ale ludzi… Jak Nurka.

Charakterystyczny szczęk naciąganej kuszy usłyszałem za późno, by móc zareagować inaczej niż uniesieniem rąk nad głowę.

– Odwróć się.

Więc się odwróciłem. Stał tam, w poszarpanym kombinezonie roboczym opiętym na otyłym ciele, z kuszą w poprzerastanych czerwonymi zgrubieniami dłoniach. Niby nic niezwykłego, tylko niemowlaki nie mają na ciele żadnych blizn. Nikomu nie przyszło do głowy, że poprzecinał sobie błony pławne między palcami, żeby wyglądać bardziej ludzko. Coś. Coś, nie człowiek. Piżmolud.

– Szproteczka, cały i zdrowy – wyseplenił przez przerośnięte zęby. – Miło cię widzieć.

– Chciałeś mnie zabić – odparłem przez zaciśnięte gardło, bo coś trzeba było powiedzieć. Grałem na czas, rozglądając się wokół i szukając wyjścia z impasu.

– Ocaliłem ci życie, chłopaku – żachnął się.

– Powiem Rogatemu, nie wpuści cię do enklawy – zagroziłem jak ostatni pajac.

Nurek westchnął i opuścił powoli kuszę.

– Nie ma już Rogatego.

Rzuciłem się na niego z pięściami. Machnął ręką jakby od niechcenia, a mnie od ciosu pociemniało przed oczami. Wepchnął mi w usta cuchnącą smarem szmatę, związał ręce z tyłu i powlókł między zarośnięte trującym bluszczem ruiny kamienic. Wystawił mnie za rozsypujący się ceglany mur tylko na chwilę i zaraz podciął nogi, obalając na ziemię.

– Widziałeś? – zapytał syczącym szeptem.

Pokiwałem głową, przełykając łzy. Za sypiącym się murem, ulicą o przeżartym czasem, kruszącym się asfalcie i szpalerem drzew bez koron, kolumnadą osmalonych pni sznur piżmoludów wpełzał przez otwarty właz do bunkra, gdzie rozciągała się enklawa, w której się urodziłem. Nie spieszyły się i wiedziałem, jaki jest tego powód.

– Wszyscy nie żyją. Potopili się, gdy otworzyłem przepust w bocznym kanale. Teraz to nasza nora. Nic na to nie poradzisz.

Poderwał mnie szarpnięciem, na poły prowadził, na poły ciągnął za sobą, nie wiem jak długo. Wreszcie rzucił na ziemię, wyjął knebel i przeciął więzy.

– Spieprzaj, mały – polecił i wycelował we mnie z kuszy.

– Dlaczego? – wydusiłem.

Nurek wzruszył pulchnymi ramionami.

– Zawsze cię lubiłem, Szproteczko.

– Dlaczego zabiłeś wszystkich?! Mgłę… Nigdy ci nic złego nie zrobiła! Tam były dzieci! – wydarłem się, aż echo się poniosło.

Na szczeciniastej gębie Nurka nie drgnął ani jeden mięsień.

– A wy to oszczędzacie nasze baby i małe, gdy zalewacie nory benzyną i podpalacie? – zapytał, ku mojemu zdziwieniu, bez gniewu czy żalu. – Każdy walczy o życie i schronienie. My też. Teraz uciekaj, no już.

W spotniałym ręku ściskałem już kamień, chowając go za plecami. Wiem, że tego nie widział. Chcielibyście usłyszeć, jak kawałkiem brukowca rozwaliłem łeb pieprzonemu piżmoludowi, aż krew bryznęła pod niebo, co? Ja też chciałbym o tym opowiedzieć, nocami mi się śni ta scena w najdrobniejszych detalach…

Odwróciłem się i uciekłem.

***

To właściwie wszystko, co mam do przekazania o zagładzie mojej enklawy. O podróży tutaj słuchać pewnie nie chcecie, zresztą nie ma ona nic

wspólnego z tym, co chciałem wam powiedzieć. Poza tym, że była długa jak Fallus wysoki i starałem się pokonać ją tak szybko, jak to tylko możliwe, by ostrzec was na czas.

Nie, nie zostanę na dłużej. Nie będę ubiegać się o miejsce wśród was, choć przyznaję, sprytne i przytulne macie schronienie. To ten dworzec kolejowy, co to o nim gadali, że ma dziesięć poziomów w głąb, że się Niemcy dokopali prawie do przedpiekla, prawda? Właściwie nieważne. Ale dobrze tu macie… więc chrońcie, co macie! Zdaje wam się, że jesteście bezpieczni, bo Odra daleko? To głupie smarki jesteście, ślepe jak szczurze noworodki. Była jedna taka powódź przed wojną, że wielka woda doszła aż tutaj. A piżmoludy będą się mnożyć i odchodzić coraz dalej i dalej od rzeki, szukając nowych miejsc na nory. Walcząc z nami o nasze schronienia.

To musiało się stać, wcześniej lub później na zewnątrz powstałby nowy gatunek. Nasz nauczyciel, niech mu rzeka lekką będzie, gadał, że przed wojną mądrzy ludzie badali i badali, i wybadali jedną rzecz. Pewni byli tego jak my raka po zbyt wielu dniach na powierzchni.

Wszelkie życie pochodzi z wody. Więc co się tu dziwić, że i tym razem z wody wypełzło. I to jakie życie…

Odpocznę i muszę iść dalej. Póki starczy sił. Powiedzieć wszystkim. Ostrzec, żeby uważali, przed kim otwierają włazy i studzienki. Bo że coś gada jak człowiek i wygląda jak człowiek… – to przestało być dowodem człowieczeństwa. Chociaż, jakby się zastanowić… Nurek siedział w naszej enklawie, żył z nami, jadł z nami, pracował, śmiał się, pił, a kobiet łomem też nie odganiał. A jak przyszło co do czego, nie zawahał się wszystkich potopić. Takie to podłe i skurwysyńskie, że aż ludzkie.

Wiem, że teraz myślą czepiacie się jak pijany drabinki do włazu tego, że Nurek mnie oszczędził. I jeszcze gadał przy tym, że życie mi darował z sympatii. Wiem, że pragniecie pięknej opowieści o tym, że wśród tego gatunku, który wybulgotał swoje inteligentne istnienie w skażonych wodach Odry, można znaleźć przyjaciela. Takiego, co to pomoże wbrew

wszystkim i wszystkiemu.

Więc… Ode mnie tego nie usłyszycie. Ja otworzyłem oczy i zobaczyłem wroga. I siebie, oszołomionego, bezradnego i zdradzonego. Żyję tylko po to, by o tym opowiadać.

Magdalena Kucenty | Awers i Rewers

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Aleksy nie lubił wódki. Zważywszy, w jakich czasach przyszło mu żyć, straszny to był grzech. Pokutował za niego, pijąc często i dużo. Niemniej Bóg i tak postanowił go pokarać.

Po nocy ciężkiej pokuty Alek obudził się obok starej, okrutnie brzydkiej baby. Nie to jednak okazało się najgorsze. Gdyby sądził, że ogrzał szkaradzie posłanie, cieszyłby się tylko, że nic a nic z tego nie pamięta. Ale w obecnej sytuacji wolałby wiedzieć, co się stało. A to dlatego że leżąca na podłodze kobieta była niezaprzeczalnie, bezwzględnie martwa. Z tak roztrzaskanym czerepem nawet Jezus po trzech dniach miałby problemy ze zmartwychwstaniem, a i tak jej za życia było bliżej do diabła.

Aleksy znał denatkę, jak chyba każdy mieszkaniec Zatoki. Stara Agata Michałowa prowadziła lombard na Pomorzance. Oczywiście nie udzielała pożyczek gotówkowych, skoro pieniędzmi to można najwyżej w piecu napalić. Klienci przynosili jej cenne w swoim mniemaniu rzeczy, a ona po prostu mówiła, ile im da za nie papierosów, puszek z mielonką, nabojów czy czego tam akurat potrzebowali. Zawsze szacowała wartość przedmiotów na kilkakrotnie niższą niż właściciele. A że z reguły przychodzili do niej ludzie zdesperowani, to zgadzali się na podłe warunki.

Alek nie był jedną z takich osób. Odrabiał swoją pańszczyznę w rafinerii, zawsze więc miał co do gęby włożyć, do gardła wlać i na plecy narzucić. Nic więcej nie potrzebował do szczęścia i ani myślał paktować z czarcią

babą. Nie zabił jej, to pewne. Inni mogą jednak nie dać wiary, kiedy zobaczą go w kryjówce Michałowej w kałuży zasychającej krwi z rękoma czerwonymi jak u rzeźnika. Tyle szczęścia w nieszczęściu, że gdyby leżał w ładowni – w jednej z tych, co tutejsza wiara mieszka – to zamiast rozdzierającego bólu głowy obudziłyby go krzyki.

Spróbował się podnieść, lecz rozedrgane kończyny odmówiły posłuszeństwa i zaraz z powrotem padł na ziemię. Jarzeniówki pod sufitem mrugały złowrogo, a on ciężko oddychał, prześlizgując się nerwowym wzrokiem po towarach Michałowej. Po paczkach ustawionych w schludny blok, plastikowych skrzyniach z butelkami, koszach z puszkami i przewróconym pudle, z którego wysypały się najróżniejsze kosztowności. Niełatwo było rozpoznać w pomieszczeniu dawną maszynownię, choć tak mu huczało pod czaszką, jakby rozbebeszone silniki jakimś cudem znowu pracowały.

Znał na deliryczną mękę jedno lekarstwo.

W kolejnej próbie zdołał stanąć na galaretowatych nogach, a nawet zrobić parę kroków. Tyle, by dopaść skrzynki, chwycić flaszkę nęcącą oko, tę z klarownym płynem. Przyłożył cudownie zimną butelkę do ust, zamrugał zdziwiony. Po chwili go olśniło, więc zdjął metalową zakrętkę, przepłukał zaschnięte gardło. Zaraz wzdrygnął się z obrzydzenia, zaklął siarczyście, pociągnął jeszcze dwa łyki. Klin klinem wybić, jak powiadał dziadek. Problem w tym, że gdy Aleksy na Michałową patrzył, to mu ten cały alkohol pchał się przełykiem na wolność. Ale chwila, moment, kilka oddechów i już żołądek grzeczny, a umysł oczyszczony, spokojniejszy.

Flaszka jeszcze w połowie pełna, więc zaczął obmywać twarz i ręce. Pewnie śmierdział jak gorzelnia, choć sam tego nie czuł. No trudno. Lepiej niech Straż Portowa capnie za poranne libacje, niżby miała pytać, skąd te plamy krwi się wzięły. Pić można było, nawet trzeba, ale po zmroku (gdy skrzywieńce wyłaziły z ukrycia), by lęk stłumić i zasnąć jakoś.

Zmierzając do wyjścia, minął bez zainteresowania majętności, co się po

pokładzie rozsypały. Na co mu pierścionki pamiątkowe, na co zegarki złote? Na co badziewia sentymentem przesiąknięte? Jakby gnata jakiegoś zobaczył, o, to by wziął. Bo Pomorzankę (na której Agaty syn rządził) wcale może nie być łatwo żywym opuścić.

Wspiąwszy się po stromych stopniach, wychwycił kątem oka ruch jakowyś. Na chwilę wryło go w miejsce, kiedy przed gorylem Michałowej stanął. Już myślał, że koniec pieśni, melodię życia szlag trafił. Ale osiłek tylko wyglądał na żywego. Niby siedział z glockiem zaciśniętym w dłoniach, ale głowę miał dziwnie opuszczoną – kark niechybnie przetrącony. Poruszenie, które Aleksy wypatrzył, to był on sam, odbity w ściennym lustrze. Nie miał jednak czasu na podziwianie nijakiej gęby, więc tylko wyciągnął pistolet spomiędzy zimnych palców ochroniarza i ruszył dalej, w górę.

Nie znał Pomorzanki za dobrze, ale jak mieszkasz na jednym statku zbudowanym przez skośnookich, to na drugim odnajdziesz drogę. Zresztą z maszynownią sprawa prosta: schodów trzeba się trzymać, by trafić na zewnątrz. W ten sposób Alek szybko dotarł pod drzwi wyjściowe, co szczęściem, a raczej wedle dawnych przepisów, otwierały się od środka bez klucza. Pchnął je z całej siły, szurnął stopą, a tu brzęk metaliczny i patrz, jednak klucz na schodach leży. Coś go tknęło, by przedmiot podnieść, do kieszeni kurty wcisnąć i dopiero wtedy na pokład wychynąć.

Głosy jakieś słyszał, ale w oddali, za labiryntem kontenerów, na których błyszczały panele słoneczne. Na Esmeraldzie takich cudów nie mieli, do ładowni z latarką albo świeczką trzeba było zaiwaniać. Alek ani jednego, ani drugiego nie miał, dobrze więc, że świtało już i słonko nocne potwory przegoniło. Tylko te dzienne, ludzkie, w pobliżu się kręciły.

Szedł ostrożnie, nie odklejając pleców od osłony. Zza jednego kontenera wychyliła się umorusana buźka, ale dzieciak nie był głupi, na widok pistoletu nawet nie pisnął, tylko schował głowę z powrotem. Alkowi zrobiło się smutno. Co jednostka to inny kapitan, inny porządek. Niektórzy

pozwalali mieszkać nędzarzom na górnym pokładzie, jak sardynkom w puszkach, co tylko czekają na pożarcie. Bo choć większość mutantów była przykuta do ziemi i lękała się wody, to jednak paru skrzydlatych regularnie uszczuplało szeregi stoczniowej wspólnoty. Alek na samą myśl omiótł niebo bacznym spojrzeniem. Ale tam tylko chmury bielutkie, na ludzkie życie obojętne.

Dotarł wreszcie do rufy, z której zwieszał się most linowy łączący Pomorzankę i Siedleckiego. A z Siedleckiego można już było się dostać na Esmeraldę. Tylko jeden problem stał na drodze. Granatowe barwy nosił, kałacha na ramieniu zawiesił. Bezczelny.

Aleksy był pokojowy człek i choć wiele w życiu widział śmierci, to lekko do niej nie podchodził. Krwawej jatki nie zamierzał wywoływać, więc schował glocka w kieszeni, nasunął kaptur na czoło.

– Człowiek za burtą! Człowiek za burtą! – zaczął krzyczeć, biegnąc w stronę mundurowca.

Ten grzecznie opuścił kałasznikowa i spytał:

– Gdzie?

Oczka mu trochę urosły, gdy spostrzegł, że Aleksy nie zamierza się zatrzymywać. Ale broni nie zdążył już unieść, a pchnięty mocnym barkiem, elegancko przez barierkę przeleciał.

Alek poczekał na chlupot, dopiero mruknął pod nosem:

– Ano tutaj.

***

Radosław wódkę lubił. Zważywszy jednak, że pracował nocami, zazwyczaj nie miał ani czasu, ani z kim się napić. No, może z Wasylem. Ukrainiec był jedynym odważnym, co z Radkiem chadzał na eksploracje ruin miastowych.

Wielu uważało, że opuszczanie Zatoki Gdańskiej po zmroku to samobójstwo. Skrzywieńce wyłażą na żer, a człek tylko pcha im się

w szpony. Ale on wolał z mutantami mieć do czynienia niźli z władzami portowymi. Niby wszyscy szabrownicy, każdy grabi, co po zmarłych zostało, jeno ci, którzy pierwsi zaczęli to robić, umyślili sobie, że ich to jest prawo i niczyje inne. Oni w świetle słońca wychodzili betonowe dżungle plądrować, tak więc Radkowi i Wasylowi poświata księżyca została.

Nieważne, za dnia czy w nocy, trzeba się porządnie ubrać, maskę na twarz nałożyć. Na lądzie pył się wciąż utrzymywał, szczególnie w miastach, gdzie zbawienna morska bryza grzęzła między budynkami lub tym, co z nich zostało.

Radek biegł ciężki od noszonego sprzętu, z torbą pełną baterii. Znaleźli ją na trupie, a raczej ledwie szczątkach obgryzanych przez kilku skrzywieńców. Trochę się ich zebrało, ale były małe, pokraczne; na oko sięgały człowiekowi do pasa. Wystarczyło, że Wasyl posłał serię w jednego, a reszta się rozpierzchła.

Mutanty nie były takie głupie, jak wielu sądziło. Gdy Radek pochylał się nad rozszarpanym ciałem, potwory czekały spokojnie, grzecznie, śledząc błyszczącymi ślepiami każdy jego ruch. Jakby zawarły z nim cichą umowę i pilnowały tylko, czy się z niej wywiąże. Mężczyzna mógł zabrać łupy, które wcale ich nie obchodziły, ale musiał zostawić szczątki. Po jego odejściu uczta rozpocznie się na nowo. A że jedna gęba mniej będzie, jeden skrzywieniec nie przyssie się już do smacznego szpiku, tym lepiej.

Radek i Wasyl też nie byli głupi. Wiedzieli, że jak raz się udało w nocy, to lepiej nie nadwerężać szczęścia. Szybko zawrócili do stoczni i już prawie dotarli na miejsce. Minęli pomnik Trzech Krzyży, z którego dwa jeszcze stały. Z mroku wyłoniły się zarysy żurawi, a podmuch wilgotnego powietrza ochłodził spocone czoła.

Wasyl zaraz się rozluźnił, maskę ściągnął. I wzięło go na pogaduszki:

– Radko, a ty mnie powiedz: czemu tym razem swoje fanty bieresz?

Ukrainiec zajmował się upłynnianiem wspólnych zdobyczy, a za ponoszone ryzyko odliczał dla siebie jedną dziesiątą Radkowej części.

Czasami namieszał trochę, dwadzieścia procent skubnął. Jak na parszywe czasy, w których przyszło im żyć, i tak był uczciwy. Zawsze załatwił towarzyszowi, czego ten potrzebował. Zawsze chronił mu plecy. Można powiedzieć, że ufali sobie nawzajem, ale tylko w kwestii wypadów i łupów. A Radek w zupełnie innej sprawie baterii potrzebował, więc zbył pytanie milczeniem.

– Dobra, jak ty gadać nie zamierzasz, to ja naciskać nie będę – powiedział po chwili Wasyl. – A słyszał może, że Michałową ktoś ukatrupił? Łepetynę starą rozpirzył?

– Tja – mruknął Radosław.

W końcu sam to zrobił.

***

Klął, na czym ruiny świata stoją, gdy dowiedział się, że Agata Michałowa ma jego klucz.

– A przyszło do mnie takie bachorzątko. – Wyszczerzyła te parę zębów, które jej zostały. – Powiedziało, że to do kasetki pancernej. Że trzymasz w niej skarby, kwiatuszku. Gdzie skrzynkę chowasz, już bachorek nie wiedział, ale na szczęście kluczyk ci wypadł. A co znalezione, to nie kradzione…

Radosław był pewien, że nic mu nie wypadło. Że szczeniak obrobił mu kieszenie. Ale milczał, wpatrując się w Michałową ponuro.

– Normalnie bym klucza nie brała – ciągnęła lichwiarka – nie uwierzyła w ani jedno słowo bachorzątka. Gdybym się cały wcześniejszy wieczór do Boga nie modliła. Prosiłam o wygraną w loterii, tylko nie kupiłam losu, bo towaru szkoda. Miłosierny Bóg komu innemu przeznaczył zwycięski kupon, ale nie zapomniał o mnie. Podesłał kluczyk, coby niezachwianą wiarę wynagrodzić. Wnioskuję więc, że ty z kolei bezbożnikiem jesteś, kwiatuszku. – Splunęła. – I to kara dla ciebie, przez Niebiosa zesłana.

– Czego chcesz? – warknął, nie wytrzymując wreszcie.

– Myślę, że trzecia część tych skarbów, o których gadał dzieciak, to uczciwe znaleźne – Michałowa chciwie zatarła ręce. – Już ci nie liczę puszki sardynek, którą za kluczyk przehandlowałam. Niech mi się dobry uczynek zbiera na poczet raju, w końcu bachor był zagłodzony jak murzynek Bambo.

Stare, rasistowskie pudło, pomyślał. I wtedy lichwiarka udowodniła mu, że nie wie, z kim ma do czynienia.

– Ja cię kojarzę, kwiatuszku. Ponoć łagodny człowiek jesteś. Skocz no po skrzyneczkę, to raz-dwa się dogadamy.

– Już idę.

Ochroniarz Michałowej był świadkiem całej rozmowy. Stał przy schodach, bacznie obserwując Radka i nawet na moment nie zdejmując dłoni z glocka. Potem odprowadził go do wyjścia. A raczej spróbował to zrobić, bo w połowie drogi stracił życie.

Tak się działo, kiedy ktoś nie doceniał Radosława. On nie był łagodnym człowiekiem. Wiele śmierci w życiu widział i nie miał problemu, żeby zobaczyć jej jeszcze trochę. Dlatego zacisnął głowę goryla w obcęgach rąk i przekręcił, aż chrupnęły kosteczki.

Ułożył ciało na stopniach. Ba, nawet broń wcisnął w stygnące dłonie. Jakby ktoś do maszynowni zajrzał, może dałby się nabrać albo choć parę sekund zmitrężył, badając ciało.

Radosław wrócił do Michałowej. Ona przed śmiercią zdołała jeszcze krzyknąć, błagając Boga o ratunek. Miłosierny tym razem nie wynagrodził niezachwianej wiary. Odwrócił wszechwidzące oczy od lichwiarki, gdy Radek uderzał chciwym łbem o pokład.

Znalazł kluczyk dość szybko, w pudle ze świecidełkami. I już byłoby pięknie, gdyby się ten frajer nie napatoczył, drogi mu nie zaszedł. Teraz nie wiadomo, gdzie znowu szukać zguby. Dla odmiany rzeczywiście mogła wypaść Radkowi z kieszeni, kiedy szamotał się z pijaczyną. Gdy ze schodów razem spadali…

Pytanie, czy klucz wciąż leżał w maszynowni? Czy tamten zabrał go ze sobą?

***

Życie większości osób w Zatoce kręciło się wokół statku rafinerii i stojącej w porcie destylarni wody. Była jeszcze platforma wiertnicza, sto kilometrów od brzegu, a tam powietrze ponoć zdrowsze niż gdziekolwiek indziej. Aleksy nie żałował jednak, że nie trafił na platformę. W głowie by mu się poprzewracało tak daleko od lądu. Poza tym, gdyby rzeczywiście za wodą było najlepiej, to by władze dupy nie grzały przy brzegu.

Nie, nie. W Zatoce bezpieczniej, raźniej. Żywo. Nie wszystkie jednostki miały serca wyrwane. Nie wszystkie na domy przeznaczono. Jedne służyły do przewozu wydobytej ropy, inne czekały. Czyszczone, konserwowane, naprawiane. Zachowywane w najlepszym możliwym stanie, aż przyjdzie dzień, w którym znowu wypłyną na morze. Oficjalnie miały służyć odbudowie ludzkości. Szukaniu osób, które również przetrwały katastrofę. Ale to bajki dla dzieci były. Alek dobrze wiedział, że władze – Prawi i Lewi tak samo – boją się przyszłości, a okręty wojenne i zapasy paliwa są na wypadek, gdyby uciekać było trzeba. Nie dla wszystkich jednak starczy miejsca na pływających wciąż jednostkach, a już na pewno nie dla tych, co na platformie siedzą.

Tak, tak. W Zatoce dużo lepiej. Jak się jeszcze w rafinerii pracuje, to już cud, miód, malina, bo w ogóle nie trzeba schodzić na ląd. I codziennie jest do kogo gębę otworzyć. Tylko czasami ludzie nietrafione tematy rozmów wybierali.

– Pomyślałby kto, że sprawa Michałowej ucichnie już… – stwierdził Janusz, przeprowadzając razem z Aleksym inspekcję rur.

– No, pomyślałby… – bąknął w odpowiedzi.

Morderstwo Agaty Michałowej, zaiste, mogłoby już pójść w niepamięć. Nikt Alka wprawdzie nie wziął na spytki, niemniej każde przypomnienie

zmarłej wywoływało dyskomfort. Jakby trafił do czytanej za młodu książki. Lichwiarka martwa, a on co rusz oglądał się przez ramię, wypatrując strażników. Tylko sumienie miał czyste, bo przecież był niewinny.

– Właśnie! – ucieszył się Janusz, całkiem ślepy na kwaśną minę towarzysza. – A wczoraj na Pomorzance znowu jakaś burda. Syn Michałowej wystawił rzeczy po matce na sprzedaż. Hieny się zebrały, a wśród nich dzieciak, który uparcie czegoś szukał… Tego, no…

– Klucza? – podpowiedział, tknięty nagłym przeczuciem.

– O, dokładnie! Czyli słyszałeś już plotkę?

– Coś mi się obiło o uszy – skłamał – ale nic konkretnego. Mów, mów.

– Wiele do gadania nie ma. Chcieli wyrzucić dzieciaka, bo jak spytali o zapłatę, to im zamachał przed nosem bateriami. A na Pomorzance baterie niepotrzebne. To się smarkacz zaczął rzucać, że musi znaleźć ten klucz, bo inaczej zostanie zbity na kwaśne jabłko… Czy jakoś tak… Pomyśleli więc, że morderca wysłał dzieciaka, by ślady zatarł. Raz-dwa posadzili przybłędę pod lampą i przesłuchali. Jedni mówią, że wciąż jest przetrzymywany. Inni, że go puszczono…

Aleksego ucieszyła posłyszana od Janusza informacja. Przez resztę swojej zmiany pogwizdywał wesoło, z zapałem wykonując choćby najbrudniejszą robotę. Nie znał żadnego smarkacza, a już na pewno nie posyłał go na Pomorzankę. Trop mógł zaprowadzić strażników wyłącznie do prawdziwego zabójcy, nie do czystego jak łzy niewieście Aleksego Ogrodnika. Tylko sprawa klucza wciąż dręczyła rozpogodzony umysł, ciekawość podgryzała duszę. I nawet kusiło Alka, by na Pomorzankę się wybrać, ale głupoty wypłukał sobie z głowy zawartością piersiówki, którą zawsze trzymał za pazuchą.

Długo jednak sielanka nie potrwała. Niepokój, co flaki jak baba mokre gacie wykręca, ogarnął Aleksego znowu, gdy mężczyzna wrócił na Esmeraldę.

Mieszkał, rzecz jasna, w ładowni. Namiot w kącie miał rozłożony:

niebieski, gwoździami do pokładu przybity, a wysoki na tyle, że przy wchodzeniu ledwie trzeba plecy garbić. I w środku zawsze porządek, wszystko poukładane, posłanie za dnia zwinięte. A tu nagle burdel jak na Wiejskiej dwadzieścia lat temu. Wiadomo od razu, że ktoś przetrząsał rzeczy; że ktoś czegoś szukał. Wiadomo też czego.

Aleksy szybko wypadł z namiotu i rozejrzał się po sąsiedzkich schronieniach. Zauważył parę osób, zatrzymał wzrok na Baśce. Kobiecina nie musiała pracować, ponieważ jedyny syn ją utrzymywał. Ale służbę społeczną postanowiła wypełniać, pilnując całymi dniami, co inni robią. I to tak z własnej woli, zupełnie nieprzymuszona. Teraz przysiadła na krześle przed swoją pałatką, lustrując ładownię czujniejszym okiem. Tym nieco mniej czujnym popatrywała na zupkę, która sobie wesoło bulgotała w menażce ustawionej na turystycznym palniku.

Sztuka obserwacji wielu obiektów jednocześnie przychodziła Barbarze bez trudu. Kobieta miała zeza rozbieżnego, tak że jedna gałka oczna do innego stronnictwa przynależała niż druga. W ten sposób Basieńka lewicowa była, gdy wiatr z odpowiedniej strony zawiał, a do prawicy się uśmiechała, kiedy podmuchy zmieniły kierunek. Jeśli ktoś mógł Aleksowi powiedzieć, co się pod jego nieobecność z namiotem działo, to tylko ona.

– Dobry – przywitał się.

– A dobry, dobry – odparła, pochylając się, by podnieść z ziemi rozkładane krzesło i podsunąć mężczyźnie. Od razu spostrzegła, że na pogaduchy przyszedł, a nie tylko mija ją w drodze do wyjścia.

Statkiem nieco kołysało, lecz jak człowiek przywykły, to odruchowo zaprze się stopami i nie ma problemu. Podziękowawszy uprzejmie, Aleksy spoczął na siedzisku. Potem włosy z roztargnieniem przeczesał i podjął:

– Nie widziała może, Basieńka kochana, kogo podejrzanego, kto się koło mojego namiotu kręcił?

– A czemu ktoś miałby to robić? – spytała, mrużąc podejrzliwie oczy. Już nową ploteczkę węszyła.

– Nie wiem. – Aleksy ramionami wzruszył. – Ale z roboty wróciłem i zastałem u siebie bałagan. To pomyślałem, że złodziej się przypałętał. A raczej pechowiec jakiś, bo ja nic wartego kradzieży nie mam.

– Oj, Alek, Alek… – Barbara uśmiechnęła się dobrotliwie, acz z lekką drwiną, jak nauczycielka karcąca nierozgarniętego ucznia. – Nie pamiętasz, co się wyprawiało, hę? Może pić trzeba było mniej?

– Co?

– Wczoraj przesadziłeś trochę z gorzałką, to zgaduję, że sam narobiłeś bałaganu. Ale nie mam pewności, bo szybko do tej kobiety poszedłeś…

„Tą kobietą” określała Baśka rzekomą kochankę Aleksego z innego statku. Mężczyzna lubił czasami przejść się na spacer po górnym pokładzie, przy okazji znajomego bimbrownika odwiedzić. I któregoś razu spytany przez Basieńkę, dokąd się wybiera, odpowiedział, że do miłości jedynej, prawdziwej. Wódkę miał na myśli, ale wszędobylska baba już to po swojemu zinterpretowała. Aleksy wolał jej nie poprawiać, bo zaraz puściłaby informację w obieg i straż ściągnęła na głowę Waśkowi, który pędził czyściochę.

– Zupy chcesz? – Basia wyrwała go z zamyślenia. – Dobra, na flądrze gotowana – dodała po chwili, nie wiedzieć w jakim celu.

Stoczniowa wspólnota wszakże żyła rybami i wodą. I były takie chwile, że Alek za pieczonego kurczaka oddałby nerkę albo kawałek wątroby. Ale co komu po takich organach, latami picia wyniszczonych? Z czasem więc pogodził się z myślą, że już tylko flądry i śledzie do śmierci żreć będzie.

– A chętnie – powiedział.

Basieńka zawsze najlepsze ryby od poławiaczy wyciągała; takie, co główkę miały tylko jedną, a ogonek najwyżej rozdwojony.

Kobieta wyjęła miski z namiotu, zamieszała w menażce i nieskąpo polała do naczyń.

– Ciekawie smakuje – skonstatował po paru łykach.

– Dodałam wina – odparła Basia, siorbnęła zupy i dopiero po chwili

wypowiedź rozwinęła: – Synuś mi na Dzień Matki podarował butelczynę, choć wie przecież, że nie piję. No, ale do gotowania zaczęłam używać.

Aleksy nie próbował się nawet domyślać, ile rzeczy syn Barbary musiał przehandlować za trunek. A ta do rybiego wywaru go lała. Ot, tragedia spożywczo-monopolowa. Ale całkiem smaczna, stwierdził w duchu, sukcesywnie opróżniając miskę.

Niedługo później zaczął się dziwnie czuć. W głowie mu się kręciło, w oczach na przemian robiło jasno i ciemno. I zanim stracił przytomność, zdążył się jeszcze zastanowić, co poza winem Baśka do zupy wlała…

***

– Obudź się, sukinsynu! – usłyszał, jednak na dobre odzyskał świadomość już pod wodą.

Spieniony żywioł pchał mu się do nozdrzy, do ust i dalej do przełyku. Coś za kark go trzymało, przymuszając głowę do zanurzenia. Po chwili rozluźniło uchwyt, więc Alek wyrwał się z toni i chciwie zaczerpnął powietrza.

– Mów, gdzie klucz schowałeś! – rozkazał niski, zduszony głos.

Aleksy popatrzył na majaczące w oddali, spięte sznurami mostów statki i zaraz go w dołku ścisnęło. Był na lądzie.

– Kurwa, skup się! Gdzie klucz?

Wlepił wzrok w wodę, błyszczącą złowrogo w świetle popołudniowego słońca. Zobaczył postać drżącą na falach: mężczyznę z maską na twarzy i bronią w ręku. Znajdowali się przy ujściu rzeki. Aleksy pamiętał, jak po wojnie nazwa Martwa Wisła nabrała nowego, ponurego wydźwięku. Tyle trupów nią spływało…

Usłyszał gorzkie westchnienie i znowu coś ucapiło go za kark, by na moment wepchnąć do wody.

– Skup się!

Posłuchał wreszcie. Szare komórki wytężył, mięśnie napiął i w mgnieniu

oka pistolet z zaciśniętych palców wyciągnął, a potem zdzielił wroga rękojeścią przez łeb. Nie oglądając się za siebie, zaczął uciekać po betonowym wzniesieniu, które pokrywała zielona pajęczyna pęknięć. Co człowiek wyrównał do linijki, tak teraz natura po swojemu przekrzywiła, więc każdy krok groził upadkiem; poślizgnięciem na mchu i trawie uparcie rozsadzających cement.

Alek biegł, popatrując kątem oka na postać odbitą w lustrze wody. Krew dudniła mu w uszach, powietrze świszczało oddechem, gruzy kruszyły się pod stopami. A on zerkał i zerkał, ale drugi mężczyzna ani myślał odpuścić.

– Stój! – krzyczał. – Stój, mówię!

Buty coraz częściej o brzegi szczelin zahaczały, nogi coraz bliżej kapitulacji były. Musiał uciec od brzegu rzeki, zgubić przeciwnika w ruinach i poszukać schronienia na noc. Skręciwszy na niegdysiejszy parking, minął zardzewiały szkielet samochodu.

Wiedział, że wróg potrzebuje go żywego. Na opak sprawa miała się inaczej.

Przeładował glocka, a łuska z brzękiem uderzyła o beton. Pierwszy pocisk wystrzelił na ślepo, żeby wystraszyć ścigającego. Drugi już za siebie wycelował, słysząc po krokach, że mężczyzna nie dał za wygraną. Nie wiedział, czy trafił, sprawdzać zaś nie zamierzał, nie mając na to czasu.

Dopadł budynku, który wydawał się wciąż mieć cztery ściany i chyba cały dach. Szybko zaryglował za sobą drzwi, rzężąc jak zalany silnik. Potem wsparł się o nie ręką, inaczej upadłby na ziemię. Głowa bolała go okrutnie, a dziwna niemoc wypełniała kończyny, nasuwając na myśl pytania: czym Baśka zupę doprawiła? I z kim się w konszachty wdała?

Coś poruszyło się w ciemnym kącie i drżące ręce nagle odzyskały pewność. Aleksy uniósł broń, zgrał muszkę ze szczerbinką i strzelił, a ukryty w cieniu potwór jęknął krótko. Pytania musiały poczekać. Alek nie był bezpieczny i dopóty nie będzie, dopóki na lądzie pozostanie. Niestety, wieczór już przeganiał słońce z okien, a księżyc przywoływał na niebo,

wywabiając skrzywieńce z ukrycia.

Aleksy przynajmniej przestał się przejmować pościgiem. Drugi mężczyzna w drzwi nie uderzał, do środka budynku nie zaglądał. Widać wziął nogi za pas albo wykrwawiał się na parkingu…

Krótka refleksja osiadła mu na sercu ciężarem wyrzutów. Człowiekowi życie odebrać to przecież grzech straszny, a w potrzebie nie pomóc – jeszcze gorszy. Alek westchnął przeciągle, pod okno się podkradając, i wyjrzał na zewnątrz. Od razu poczuł ulgę, bo nikogo nie zobaczył. Znaczy sam był i sam radzić sobie musiał, a ten drugi uciekł na łódź, co pewnikiem w pobliżu miał ukrytą. Cóż, krzyż na drogę i kotwica w plecy. Los mężczyzny nie był już sprawą sumienia dla Aleksego. Teraz stoczniowiec musiał znaleźć cokolwiek, co pozwoli do Esmeraldy dopłynąć albo Straż Portową zaalarmować. Koło ratunkowe, flara jakaś, fajerwerki stare. O dmuchanym pontonie nie śmiał nawet marzyć.

Zmusił się do powstania. Trzeba przeszukać budynek, zanim kolejne maszkary wychyną z mroków. Obecnie znajdował się w obszernym holu, pustym tak, że człowiekowi gorzej robiło się na duszy.

Krok postawił jeden, drugi. Wciągnął powietrze, które smakiem kurzu osiadało na języku. Kaszlnął raz, wtóry. Ręka odruchowo powędrowała do piersi, a tam maska zwisała z szyi, gotowa do założenia. Aleksy wlepił zaskoczone spojrzenie w przedmiot ochronny, ale szedł nieprzerwanie. Napięcie opuszczało ciało w drgawkach, zostawiając po sobie spokój zdumienia. Czyżby zbir aż tak zadbał o przeżycie Alka, że załatwił mu maskę?

Stoczniowiec zakrył usta dłonią, przeganiając natrętne myśli z głowy. Ot, przecież już wcześniej powiedział sobie, że pytania muszą zaczekać. Przesłony jednak nie założył, pozostając wobec niej nieufnym.

Pierwsze pomieszczenie, które przeszukał, okazało się małe, cuchnące i przesiąknięte wilgocią. Schowek na szczotki i inne utensylia nikomu teraz niepotrzebne.

Kolejny pokój był już większy. Kilka potrzaskanych mebli walało się w kącie, pośrodku podłogi tkwiła czarna plama. Najwyraźniej ktoś tu rozpalał ognisko, lecz dawno temu. Więcej śladów życia Alek nie znalazł, więc przeniósł się do następnego pomieszczenia. I w nim właśnie spotkał drugiego mężczyznę.

***

Aleksy spojrzał na Radka. Radek w oczy popatrzył Aleksemu. A potem stuknęli palcem w szybę jednego lustra.

– Przynajmniej wiem, za jakie grzechy utknąłem z takim idiotą – wypluł z siebie Radosław.

Alek dalej wpatrywał się w swoje odbicie, rozdziawiając usta ze zdziwienia.

– Ale jak? – zdołał tylko wydusić.

– A skąd ja mam wiedzieć? Może jesteśmy mutantem, tyle że trochę innym niż te, co nas zaraz zeżrą?

Na Alka spadł ciężar zrozumienia. Baśka nic mu do zupy nie wlała, sam na brzeg wypłynął. Sam namiot przetrząsnął. Później sam się podtapiał, by osobowość dwoistą wydobyć. I raz maskę ściągał, raz z powrotem zakładał. Nawet się glockiem w łeb trzasnął!

A tam, u Michałowej, było lustro, jak tu teraz. I on w tym lustrze własną twarz zobaczył; krwią umorusaną. Przestraszył się tak, że spadł ze schodów, walcząc z Radkiem o władzę nad wspólnym ciałem. Czyli jednak był jak Raskolnikow. Winny ze wszech miar, czerwień grzechu pod paznokciami chował.

– Na litość kurewską, zbierz się do kupy, ty stary durniu! – żachnął się Radosław. – Nie mamy czasu na wyrzuty sumienia!

Spodnie przetrzepał, magazynki policzył. Może jeszcze zdoła dotrzeć do łodzi żywy. Byleby ten idiota nie wchodził mu więcej w drogę.

Nałożył maskę na twarz, odetchnął ciężko. Przytuliwszy pistolet do

skroni, ostrożnie wyjrzał z pomieszczenia. Coś kręciło się po holu, pociągając głośno nosem. Łeb miało niby psi, ale łapy bardziej jak u małpy, choć poruszało się na czworakach. Przy każdym wdechu górna warga istoty unosiła się lekko, odsłaniając ostre kły.

Nagle czerwone ślepia skierowały się prosto na Radka, a radosny pomruk wydobył z przepastnej gardzieli.

Skrzywieniec wyskoczył w górę, zgrabnie unikając kuli. Wylądował może metr od Radosława i już pysk do ataku rozdziawił, ale mężczyzna okazał się szybszy. Jednym kopniakiem rozpłaszczył wielki nos, drugim zmiażdżył wybałuszone oko.

Żałosne skomlenie potwora było muzyką dla jego uszu.

Wycelował broń prosto w płaskie czoło, lecz nie mógł się zmusić, by pociągnąć za spust.

– Kurwa, przecież sam jednego ubiłeś! – warknął do Alka.

– Już nie chcę nikogo zabijać… nawet skrzywieńca.

Radek zaklął i kopnął mutanta w pysk. Stworzenie uciekło ze skowytem, a on zaczął biec do wyjścia. Gdy wypadł z budynku, jeszcze nie było całkiem ciemno. Dostrzegał nawet pomost, przy którym zostawił łódź.

Zmienił magazynek na pełny, potem wymierzył sobie orzeźwiający policzek. Rozglądał się na boki, stawiając stopę za stopą. A jednak nie zauważył potwora ukrytego za zardzewiałym wrakiem. Bydlę wskoczyło mu na plecy i wbiło zęby w bark.

Radek upadł na ziemię, ale broni z palców nie wypuścił. Wrzasnął tylko wściekle, po zwierzęcemu, przykładając lufę pistoletu do ohydnego łba. Tym razem bez trudu pociągnął za spust. W uszach mu huknęło i zapiszczało, czerwona wilgoć zabarwiła policzek.

Zrzucił z siebie truchło mutanta. Ze złości wpakował jeszcze jedną kulkę w opasłe cielsko, bowiem rozpoznał stworzenie, któremu zaledwie chwilę temu darował życie.

– Widzisz, ile jest warta twoja dobroć?! – wrzasnął.

Aleksy mu nie odpowiedział.

Dotarł do łodzi bez dalszych przeszkód. Odwiązał ją od pala i mocno złapał za wiosła, z bólu zaciskając zęby. Niełatwo machało się z taką raną na ramieniu, ale wytrzymał jakoś. Dopiero gdy łajba odpłynęła dobry kawałek od brzegu, pozwolił sobie na odpoczynek. Wlepił wzrok w zmarszczki fal i mlasnął językiem.

– Musimy pogadać.

Odbicie Alka spojrzało na niego z wody.

– Po co mnie zabierałeś na ląd?

– Przy ludziach takie cyrki wolałbyś odwalać? Zaraz by nas do piwnic obok destylarni zaciągnęli i z czubkami posadzili. Zresztą nie chciałem, byś o mnie wiedział…

– Ale ty o mnie wiedziałeś?

– Tak.

Przez chwilę nic nie mąciło szumu morza. Wreszcie Radek odchrząknął z irytacją i oderwał wzrok od wody.

– Gdzie klucz schowałeś?

– Po co ci on?

– Do kasetki. Mojej kasetki – podkreślił.

– A co w niej trzymasz?

Tym razem Radosław uśmiechnął się z ukontentowaniem.

– Dowód, że to ja jestem prawdziwy.

***

Radek pozwolił Aleksowi przejąć władzę nad ciałem. Wyjawił nawet, gdzie skrzynka jest schowana, gdy stoczniowiec owijał rozdartą koszulą ramię.

– Wasyl trzyma kasetkę na przechowaniu.

– Wasyl? – powtórzył z niedowierzaniem Alek. – Mój Waśko?

– Twój jak twój. Z tobą sobie wypije, a ze mną wychodzi na ląd. Mnie na wódeczkę nie starcza już czasu.

– To czemu we dwóch kasetki nie rozwaliliście?

– W środku jest coś… delikatnego.

Nie zadawał już więcej pytań, tylko skończył wiązać opatrunek, a potem narzucił na siebie kurtkę. Zrobiło się ciemno, niemniej zamiast płynąć pod Esmeraldę, przybił do rafinerii. Wszedł na pokład po drabinie, która zwieszała się za burtą. Pilnujący pokładu strażnik od razu zwrócił na niego uwagę i poświecił latarką w twarz.

– Alek, to ty? O tej porze?

Aleksy rozpoznał mężczyznę po głosie.

– Cześć, Bożych… Ta, majster po mnie posłał. Jakieś rury mu ciekną, a najpewniej ta ukryta w gaciach.

Strażnik roześmiał się wesoło.

– Praca nie wojna, spierdolić od niej nie tak łatwo, co?

– Ano – przyznał, choć porównanie wydało mu się mocno nietrafione.

Potem zszedł pod pokład. Tuż przy klapie wisiał pęk z kluczami, a między nimi Radkowa zguba, własnym dłońmi zawieszona na błyszczącym kółku.

Aleksy przysiadł na stopniach i odczekał parę naście minut, uważając, by krwią niczego nie zabrudzić. Gdy schodził ze statku, Bożych zaczepił go jeszcze:

– I co ciekło?

– Nic. Jakiś dureń rozlał olej i się nie przyznał.

Strażnik na pożegnanie klepnął Alka w bark. Na szczęście w ten zdrowy.

Następnym przystankiem była Waśkowa kajuta, ciasna jak szczelina w tyłku. Ukrainiec mieszkał na jednym z wielkich statków pasażerskich, które niegdyś wypływały w rejsy do Szwecji i z powrotem (a przynajmniej z tym się kojarzyły Aleksemu). Ludzie na takich promach głównie pili i akurat w tejże kwestii wiele się nie zmieniło.

Wasyl otworzył drzwi kabiny, szczerząc pożółkłe zęby w krzywym uśmiechu.

– Do wypadu żeśmy się nie umawieli, to zgaduja, że na kielonka wpadłeś,

co Alek?

Stoczniowiec drgnął na dźwięk swojego imienia. Czyżby Ukrainiec wiedział o podwójnej jaźni, czy jednak Aleksy się przesłyszał?

– Po skrzynkę przyszedłem – powiedział słabo.

Wówczas Waśko musiał dostrzec krew, bo w jednej chwili spoważniał i kiwnął głową.

– Już przynoszę…

– Teraz dokąd? – spytał Alek, gdy trzymał już kasetkę w dłoniach, a drzwi kajuty się za nim zatrzasnęły. Przeczuwał, że jeszcze nie czas na Esmeraldę wracać.

Teraz do lazaretu, odpowiedział w myślach Radek.

***

Gwiazdy patrzyły na niego, gdy pukał do drzwi lazaretu. Nagle po granatowym niebie przemknął skrzydlaty cień. Radosław zastanowił się, czy finał nadchodzi. Aleksemu melodii życia nie było już żal. Lecz jak się cień pojawił, tak zniknął, zaś w zamku chrobotnęło i drzwi stanęły otworem.

– Radek?

Kobieta miała ciepły, przyjemny głos, twarz w kształcie serca i włosy jak płynny miód. Nosiła pielęgniarski fartuch: łatany, ale bieluśki, choć przecież w tych czasach brud zewsząd wyzierał na człowieka. W ręku trzymała latarkę, jednak promień światła skierowała pod nogi, by nie porazić mężczyźnie oczu.

– Witaj, Mario.

Pielęgniarka uśmiechnęła się promiennie i puściła go przodem. Aleksy nie był już pewien, czy idzie sam, czy Radek go prowadzi. A może na moment jednością się stali? Może jeden w drugiego się wtopił i zniknął? Albo tylko wspomnienia przejął? Alek wiedział wszakże, dokąd iść; znał drogę, pamiętał. Jakże mógłby zapomnieć?

– Przyszedłem ją zobaczyć – oznajmił.

– Oczywiście.

Może późna pora powinna mieć znaczenie, ale nie miała. Radek przynosił skarby, które warte były zbudzenia dzieci.

Gdy zeszli do ładowni, Maria odłożyła latarkę i w zamian zapaliła lampę gazową. Światło wyłowiło z ciemności zarysy hamaków i zwiniętych na leżankach postaci.

Podszedł do jednej z nich, tak dobrze mu znanej. Odgarnął ciemne włosy z czoła, popatrzył w otwierające się powoli oczy. Dziewczynka spojrzała na niego nieco mętnym, acz wesołym wzrokiem. Natychmiast zapiszczała cicho i rozłożyła ramiona do uścisku.

Przytulił dziecko wolną ręką, drugą przytrzymując skrzynkę pod pachą.

– Jak z nią? – spytał Marię.

– Czasami coś powie, ale nigdy z sensem… – W jej głosie słychać było nutę współczucia.

– Żyje, a to najważniejsze. Chyba nigdy ci nie podziękowałem za to, że się nią opiekujesz.

– Nie trzeba, Radku. Odpłacasz się za to z nawiązką.

Ułożył kasetkę na pokładzie, wyciągnął przeklęty kluczyk z kieszeni kurtki i włożył w zamek. Zawartość skrzynki ukazała się oczom – listki tabletek, kolorowe pudełka, przezroczyste ampułki. A pod tym wszystkim zdjęcia. Dużo zdjęć.

Maria przyjęła z wdzięcznością lekarstwa i przezornie spytała:

– Chcesz, bym zostawiła was samych?

– Tak, dziękuję.

Kroki pielęgniarki ucichły, a Alek ujął w palce pierwszą z fotografii i zbliżył do twarzy. Ujrzał siebie, ale młodszego, dużo młodszego. Obok zaś…

Nie pamiętasz, co?, zadrwił w myślach Radek. Całe swoje życie wolałeś obrócić w żart, wspomnienia utopić w wódce. To Ania. A to zdjęcie naszej córki.

Popatrzył na uchwyconą w obiektywie, pucołowatą buzię, a potem przeniósł wzrok na kruszynę wychylającą się ku niemu z hamaka.

– Wiem, że nie jesteś nią – powiedział. – Gdyby moja maleńka podrosła… gdyby przeżyła. Po tylu latach byłaby już dorosłą kobietą. Ale w pewnym momencie życia mogłabyś nią być… Czy się mylę? Czy ona po prostu musiała umrzeć i nie miałem jak temu zapobiec?

Wesołe mamrotanie nasiliło się, uśmiech nie schodził z drobnych usteczek. Radek spuścił wzrok i westchnął. Wiedział przecież, że nie uzyska odpowiedzi. Znalazł dziewczynkę na którymś z wypadów, parę lat temu, w tunelu pod Martwą Wisłą. Jakim cudem przeżyła, do dziś nie miał pojęcia. A gdy z czasem okazało się, że jest niespełna rozumu, cud wydał się tym bardziej zagadkowy.

– A tu masz dowód na to, że ja jestem tym prawdziwym. – Wziął zdjęcie ze sterty i odwrócił tyłem do przodu. – Widzisz?

Alek popatrzył na wyblakły, nakreślony długopisem napis.

Ania i Michał, wiosna 2008.

– Moje imię bykiem tu stoi!

– Widzę, Radku. Widzę.

***

Papa odszedł, by mama Maria go opatrzyła, lecz dziewczynka nie mogła już zasnąć. Tak była rozradowana wizytą, że najchętniej wyskoczyłaby z posłania.

Zamiast tego jednak tylko cicho wyrecytowała:

Awers i Rewers w jednym mieszkali domu,
obaj o sobie nie mówili nikomu.

Jeden wciąż uśmiechnięty, jakby nie było,
W drugim się smutku za obydwóch ukryło,
I nie wiadomo, co prawdą, co zmyśleniem,
Nie wiadomo, co duszy będzie zbawieniem.
Gdzie pośle los ślepy, czyje grzechy osądzi?
Czy Awers jest dobry, a Rewers tylko błądzi?

Awers i Rewers w jednym stali ciele,
obaj o śmierci wiedzieli zbyt wiele.

Jeden miłości wciąż żyje wspomnieniem,
drugi się raczy wódeczki wytchnieniem.
Rewers na świat zły, a Awers łagodny
i każdy z sumieniem swoim niezgodny.
Więc pytanie męczy, gdy wódka gorzknieje…
Czy świat tych dwóch w ogóle istnieje?

Dawid Jaworski | Czyściciel

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

1

– W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! – od strony ołtarza zagrzmiał donośny głos naszego farorza. Wszyscy zgodnie odpowiedzieliśmy Amen.

Niedzielną mszą kończy się kolejny tydzień naszego życia w kopalni. Rozglądam się po ciasnej kapliczce, by znaleźć tablicę, z której co tydzień zmazywana jest jedna liczba, a na jej miejsce wpisywana kolejna. Nie mogę jej dostrzec od razu, bo na niewielkiej przestrzeni zgromadziło się tak wiele osób, prawie wszyscy mieszkańcy, zresztą jak co tydzień. O, jest.

1047.

Tysiąc czterdzieści siedem pełnych tygodni życia pod ziemią. Będzie ze dwadzieścia lat.

Mamy się tu nadspodziewanie dobrze. Bez względu na to, ile byśmy narzekali, żadne z nas tak naprawdę nigdy nie chciałoby wrócić na powierzchnię. Oczywiście są tacy, którzy wychodzić muszą, ale oni mają konkretne zadania do wykonania i zazwyczaj wracają w ciągu kilku godzin lub dni. I za każdym razem są tak samo zdruzgotani i załamani stanem, do jakiego byliśmy w stanie doprowadzić nasz piękny kraj… Chętnie byśmy oszczędzili im tych wypraw, ale niestety, wciąż jesteśmy jeszcze trochę zależni od dostaw z powierzchni.

Na dole jest znośnie. Nasi Przodkowie – tak ich nazywaliśmy, z początku w żartach, potem się przyjęło – odwalili kawał dobrej roboty. Grupa emerytowanych górników wzięła w obroty starą, już dawno wyeksploatowaną kopalnię węgla kamiennego. Być może dlatego, że trochę im się nudziło na stare lata, a być może dlatego, że wzięli groźby zagrażającej katastrofy bardziej na poważnie niż inni.

Swoją drogą, ciekawe, jak teraz muszą się czuć wszyscy ci, którzy wówczas wytykali im, że zwariowali i że są przewrażliwieni.

Przodkowie wykupili zakład za bezcen i zaczęli przerabiać go po swojemu, od czasu do czasu żebrząc o dodatkowe wsparcie finansowe ze strony Śląska, Polski lub Unii. Wszystkim wkoło mówili, że przygotowują Muzeum Kopalnictwa. I wszystko zgadzało się z tym uzasadnieniem w dokumentach, zarówno dostosowanie korytarzy do ruchu pieszego (betonowe wylewki na podłodze, porządne oświetlenie), jak i wykucie wielu niemałych pomieszczeń po obu stronach każdego z korytarzy („Tu będą sale wystawowe – tłumaczyli. – A może byśmy kiedyś połączyli muzeum z hotelem?”), urządzenie dużej kuchni z jeszcze większą jadalnią, biblioteczki, lazaretu czy kaplicy, w której właśnie staliśmy. Wszystko pasowało do konwencji obiektu rekreacyjnego, tylko że…

Dlaczego zawalili korytarze prowadzące do prawie wszystkich szybów poza jednym? Co im przeszkadzało kilka dodatkowych wejść do muzeum rozlokowanych na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych? I dlaczego ten jeden szyb zabezpieczyli grubymi na ponad pół metra stalowymi wrotami? Dlaczego w szybie wentylacyjnym umieścili filtry oczyszczające powietrze? I to nie byle jakie! Najlepsze! Dlaczego na najniższym poziomie urządzili ogromny magazyn i postawili tam kilka wielkich agregatów prądotwórczych? Najbardziej wydajnych, jakie wówczas mieli dostępne! Dlaczego, do jasnej cholery, znieśli na dół kilkanaście gumowych skafandrów podszytych ołowiem?!

My już wiemy dlaczego.

– Pan z wami – zaintonował farorz.

– I z duchem twoim – odpowiadam odruchowo. Znowu nie skupiłem się na kazaniu. O czym to pieprzył tym razem?

– W górę serca.

– Wznosimy je do Pana.

– Dzięki składajmy Panu, Bogu naszemu.

O tak, rzeczywiście godne to i sprawiedliwe.

Gdy słucha się opowieści o tym, co zostało po pięknym świecie na powierzchni, człowiek naprawdę zaczyna wierzyć w to, że ma za co składać dzięki. Podobno w promieniu dziesiątek kilometrów brak żywej duszy, a nad spopielałą ciszą pobojowiska wznosi się tylko ogromny masyw naszej hołdy, kiedyś jednej z największych w Europie. W jej cieniu uchowało się kilka wiosek i miast, które są dla nas źródłem wszelkiego zaopatrzenia, niestety coraz szybciej się wyczerpującym. I w tym wszystkim my, jak ostatni niezdobyty bastion człowieczeństwa, ze swoim spokojnym życiem oświetlanym przez żarówki elektryczne i ogrzewanym przez muzykę płynącą z kilku odtwarzaczy CD, jakie nam się ostały.

Dobrze, że kilka lat temu nasi górnicy, wciąż uparcie eksplorujący podziemia, znaleźli pokłady ropy. Udało się wykombinować jakiś prowizoryczny sposób jej pozyskiwania oraz magazynowania i teraz zasilała agregaty prądotwórcze na poziomie czwartym. Podobno ma nam jej wystarczyć na długie lata, co gwarantuje rzadsze wypady na powierzchnię i większe możliwości płynące z takich wypadów – zwiadowcy nie musieli się już bowiem przejmować szukaniem i taszczeniem ciężkich baryłek benzyny i mogli przynosić z wjyrchu więcej jedzenia, narzędzi czy książek.

Moim zdaniem w naszym niezmiennym od dwudziestu lat położeniu powinniśmy jednak dziękować przede wszystkim za kanarki. Mamy ich w tej chwili dwadzieścia cztery sztuki, ośmiu samczyków i szesnaście samiczek. Biedne stworzenia, nie wiedzą już, jak to jest złapać wiatr w skrzydła i szybować przez nieograniczone przestworza… Ale po kopalni

latają sobie w miarę swobodnie i dodają naszej egzystencji odrobinę normalności. Choć nie wiem, czy normalnym można nazwać świat, w którym na powierzchni słychać tylko martwy świst wiatru, a pod ziemią – śpiewające ptaki… Myślę jednak, że one w pewien sposób chronią nas przed postradaniem zmysłów. Gdy nad ranem czasem jeszcze przed włączeniem świateł dziennych leżę w łóżku i słyszę, jak ptaki również budzą się, by zacząć nowy dzień, czuję się niemal beztrosko. I nie tylko ja – większość z nas zajmuje się kanarkami z wielkim namaszczeniem, rozumiejąc, ile dla nas znaczą. Zupełnie jakbyśmy chcieli odkupić swoje winy wobec zniszczonej przyrody i wobec Boga, który przecież ustanowił człowieka opiekunem wszelkiego stworzenia, tak pochopnie i nieroztropnie.

Jest nas teraz nieco ponad setka ludzi, rozlokowanych na trzech z czterech poziomów kopalni. Najpłycej położony korytarz – ten, w którym znajduje się kaplica, lazaret i świetlica, a po drugiej stronie szybu baza wypadowa dla wszystkich wychodzących na wjyrch – nie miał kwater mieszkalnych. Na niższych poziomach było ich łącznie sześćdziesiąt siedem. Ostatnio większość stała pusta. Na początku jednak wszystkie były zapełnione, w niektórych mieszkało nawet po sześć, siedem osób, niestety, wówczas śmiertelność znaczenie przewyższała rozrodczość. Właściwie przewyższa aż do tej pory, ale różnica jest już znacznie mniejsza.

Właśnie zabieraliśmy się do zawołania: „Hosanna…”, gdy nagle do kaplicy wpada krzyczący Jurek, technik zajmujący się obsługą agregatów.

– Ludzie! Karol nie żyje!

Cisza.

„Święty, święty, święty” uwięzło wszystkim w gardłach.

– I co gorsza… Wydaje mi się, że ktoś go zabił!

Msza trwa dalej tylko dlatego, że nasz tłusty farorz uznał przerywanie jej za niestosowne, a modlitwę za umrzika – za konieczną. Jedynie kilku mężczyzn, w tym ja, opuszcza kaplicę i zbiega z przerażonym Jurkiem trzy poziomy niżej, do magazynu. Pozostali wierni otrzymali nakaz pozostania w kaplicy aż do odwołania.

Karol był przyjacielem nas wszystkich. Mówiło się o nim, że jest do rany przyłóż oraz że muchy by nie skrzywdził. Pracował w magazynie, zajmował się racjonowaniem żywności, wody i innych dóbr. Trudno było sobie wyobrazić powód, dla którego ktoś miałby chcieć go zabić.

Ale ewidentnie było to morderstwo. Gdy tylko weszliśmy do magazynu, zobaczyliśmy ciało Karola rozciągnięte na ziemi, pociętą twarzą do dołu, w kałuży krwi. W plecach wciąż tkwił jeszcze duży kuchenny nóż. Sam by sobie tego nie zrobił.

W naszej kopalni mieszkańcy nie posiadali broni palnej – cała znajdowała się w zbrojowni tuż przy wyjściu, była trzymana pod kluczem i wyciągana tylko przy okazji wyjścia na powierzchnię. Ale do przyrządów codziennego użytku, mogących służyć jako broń biała, każdy miał swobodny dostęp.

– Dlaczego?… – wzdycha Norbert, rosły, ale poczciwy chłop, robiący u nas za kogoś w rodzaju komendanta liczącej kilka osób straży. – Przecież przez dwadzieścia lat nikt nikogo nie zabił.

– „Dlaczego?” to chyba raczej dalszy problem – odzywa się jeden z jego strażników, Martin, młody chłopak, który ledwie pamiętał powierzchnię sprzed apokalipsy, ale za to doskonale znał tę obecną. Mimo młodego wieku to jeden z najlepszych i najbardziej doświadczonych zwiadowców. – Ja bym raczej zapytał: kto? Chopy… – zaczyna poważnym tonem i widzę, że wszyscy, mimo że czasem dużo starsi od niego, patrzymy na chłopaka z mieszanką szacunku i zainteresowania – mamy w naszych skromnych progach mordercę. Jakiekolwiek by były jego motywy, powinien zostać jak najszybciej zdemaskowany. Stanowi zagrożenie dla wszystkich.

Przytakujemy. Stoimy w szóstkę nad zwłokami i zastanawiamy się, co

zrobić. Oprócz mnie, Martina, komendanta i Jurka jest jeszcze Antek, kolega Martina ze straży, i Zefek, brat ofiary. On jedyny nie patrzy na zwłoki, tylko kryje twarz w dłoniach.

Komendant podchodzi do ciała i przykuca nad nim, oglądając narzędzie zbrodni.

– Nóż z pewnością pochodzi z kuchni, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – stwierdza. Wierzymy mu, bo jego żona jest kucharką, więc Norbert pewnie często u niej przesiaduje i wie, czego tam używają. – Tylko co z tego? Na razie nic, do kuchni może wejść każdy, i to kiedykolwiek. Ale trzeba podpytać. – Odwraca się w stronę energetyka: – Jurek, słyszałeś tu coś dziwnego?

– Absolutnie nic – odpowiada roztrzęsionym głosem technik. – Grzebałem przy agregatach, bo jeden zaczął jakoś dziwnie charczeć. Zresztą i tak nic nie mógłbym usłyszeć. Widziałem się z Karolem jeszcze z pół godziny przed mszą. Gdy potem przyszedłem tutaj, by poprosić go o pomoc, zastałem właśnie to…

– Rozumiem – mówi komendant.

– Czy ostatnio kręcił się tutaj ktoś podejrzany? – wtrąca Martin.

– Nie, nie wydaje mi się.

Młody cmoka z niezadowoleniem i zwraca się do brata ofiary, wciąż siedzącego na drewnianej skrzynce z twarzą skrytą w dłoniach.

– Zefek, przykro mi z powodu twojej straty. Ale musisz nam pomóc. Wiesz może, czy ktoś ostatnio miał na pieńku z Karolem?

Starzec podnosi wzrok i patrzy każdemu z nas w oczy. Po kolei. Najpierw Jurkowi, długo i przeciągle. Potem komendantowi, Antkowi, mnie i na końcu Martinowi. W końcu odpowiada na zadane pytanie, godając jak zwykle.

– Ja, właściwie można pedzieć, że jego baba.

Wszyscy wydają się być zaskoczeni.

– Żona? Dlaczego?

– Prał jom wiela wlazło, jak yno się naćpoł. A jo, jo sie musioł na to dziwać tela lot…

Komendant już chce zadać jakieś pytanie, ale młody go wyprzedza.

– Jego żona. Gdzie teraz jest?

– Niy wiym, pewnie we kaplicy, tam kaj wszyscy.

– Okej, rozumiem. Już po nią biegnę. – Rusza do drzwi, ale nagle słyszymy chrząknięcie komendanta. – A tak, przepraszam.

– Młody, nie uprawiaj mi tu samowolki. Czekaj na rozkazy. Ale masz rację. Leć po tę kobietę, trzeba z nią porozmawiać. Rozkaz!

– Tak jest! – odpowiada i znika w drzwiach.

Znów odwracamy się w stronę Zefka. Wszystkim na pewno chodzi po głowie jeszcze jedno kluczowe pytanie, więc postanawiam je zadać.

– Co masz na myśli mówiąc: bił ją, gdy się naćpał? Czym się naćpał? Przecież nie mamy tutaj narkotyków…

– No, wy może niy. Ale on mioł. I zwiadowca, kerego przekupił, coby mu je przynosił. Ten pieron chcioł sie yno naźreć, łasił sie na wszysko, co je do zjedzynio, wiync Karol tak sie z nim dogodoł – racje żywnościowe ekstra i inksze dobre rzeczy z wiyrchu specjalnie do niego, w zamian za jedna abo dwie działki. I tak to działało…

– Antek… – mówi komendant do drugiego ze swoich strażników, nie odwracając wzroku od starca – skocz, proszę, na poziom pierwszy i przyprowadź mi Benia. Chyba mamy kilka spraw do obgadania…

– Tak jest!

– Co tu się, do cholery, dzieje? – pyta Norbert, nie kryjąc gniewu. – Morderstwo? Korupcja? Narkomania? Przemoc w rodzinie? Pod moim nosem?! Przecież od dwudziestu lat pilnuję tu porządku i nigdy, nigdy! nic takiego nie miało miejsca!

– Stary żeś już je, Berciku, godom ci – odpowiada brat ofiary i przestępcy jednocześnie. – A ta cało sielanka, kerom momy tu na dole, zamydliła ci oczy.

– Nie, mój drogi, to tacy jak ty sprawili, że straciłem czujność! Zostajesz aresztowany za zatajenie przestępstwa i milczące przyzwolenie!

– Tak żech se myśloł… – mówi spokojnie Zefek. – Właściwie to mi je jedno, czy zamkniecie mie w pokoju czy w harescie. Nojlepsze, że tyn gizd jej już nie bydzie bić. Nie wjym, kery to zrobił – wskazuje głową na ciało brata – ale mimo tej moi braterskiyj miłości musza przyznać, żech je rod, że tak się podziało.

To są mocne słowa. Spoglądamy z Jurkiem po sobie, a następnie na komendanta. Ten aż purpurowieje ze złości. Już nabiera powietrza, żeby powiedzieć coś więcej, kiedy do magazynu wpada zdyszany Antek.

– Benio… też nie żyje.

3

Trzy dni później, w środę tysiąc czterdziestego ósmego tygodnia pod ziemią, znów wszyscy zbieramy się w kaplicy. Tym razem po to, by pożegnać dwójkę z nas – pierwsze ofiary morderstw, odkąd zeszliśmy do kopalni. Czuje się, że te pogrzeby są inne niż wszystkie wcześniejsze. Farorz nie szczędzi słów o grzechu, zbrodni i piekle, które, nota bene, chyba zmieniło położenie i znajduje się teraz nad nami, a nie pod nami. Po ludziach widać, że są przerażeni. Stoją w miejscu, ale cały tłum jakby faluje od nerwowego przestępowania z nogi na nogę. Rzucają ukradkowe spojrzenia na sąsiadów i wszyscy zastanawiamy się nad tym samym.

„Franek? Józek? Nie, oni nie mogą być. Nie, nie mogą. Ale może…?”

„Kto następny? Kto? O Boże, przestań tak myśleć! Nie będzie następnych! Złapią chachora!”

„Boże, mieszkasz z kimś dwadzieścia lat i nawet nie wiesz, że jest ćpunem i sadystą…”

Żona Karola stoi w pierwszym rzędzie tuż obok zwłok męża. Wcześniej zatrzymano ją i przesłuchano, ale ani komendant, ani żaden z jego

strażników nie znaleźli w niej winy. Jej rozpacz jest szczera. Mimo bólu, jaki jej zadawał, kochała swojego męża, przali se, jak to mówią, i nie odczuła ulgi po jego stracie – w przeciwieństwie do Zefka. Jego nie ma na uroczystości – siedzi zamknięty w celi i codziennie jest przesłuchiwany. Komendant miał nadzieję dowiedzieć się od niego czegoś więcej albo – co byłoby najlepsze – wyciągnąć przyznanie się do winy, skoro on okazał się głównym podejrzanym. Ale nie ma co na to liczyć. Zefek powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, i wszyscy wiedzą, że to nie on zabił.

Przesłuchano też tych, którzy nie byli obecni na mszy. I pana doktora, i jego pielęgniarkę, i dwoje odwodnionych pacjentów podłączonych do kroplówek w lazarecie. Nie znaleziono więcej podejrzanych.

Osobiście nie rozumiem, dlaczego uczestnicy mszy zostali wyłączeni ze śledztwa. Karol mógł zostać zabity przed mszą, a Benio… Cóż, szczerze mówiąc – kiedykolwiek.

Benio został otruty. Morderca sprytnie wykorzystał jego słabość do jedzenia i wstrzyknął w jego porcję jakieś świństwo podwędzone z lazaretu. Gdy Antek pobiegł na górę, żeby przyprowadzić grubasa do komendanta, zastał go sinego, z głową leżącą w wymiocinach na stole.

Klecha pieprzy coś o zbrodni morderstwa jako zbrodni niewybaczalnej. Przemilcza za to zbrodnie, których dopuszczały się obie ofiary mordercy. Rozumiem, że o zmarłych źle się nie mówi, no, ale bez przesady. Aniołkami nie byli. Farorz, jak mokry łosoś wyślizgujący się z łapsk niedźwiedzia czyhającego nad strumieniem, zręcznie oddala się od tego tematu, kiedy tylko się doń zbliży. Nie podoba mi się to. Sprawiedliwość powinna być oddana wszystkim. Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy na twarzy któregoś z innych mieszkańców odzwierciedlają się podobne uczucia. Ale nie, nic poza przerażeniem. Jedynie młody chłopczyk usługujący przy ołtarzu patrzy na klechę w podobny sposób co ja, z mieszaniną frustracji i zażenowania. Ksiądz kończy kazanie, schodzi z ambony i uśmiecha się do chłopca, na którego policzkach natychmiast

rozkwita czerwony rumieniec. Przechodzą mnie ciarki. A inni zdają się nic nie zauważać.

Msza dobiega końca. Jeszcze tylko odśpiewamy *Dziś moją duszę w ręce Twe powierzam* i opuścimy kaplicę. Chłopcy ze straży zajmą się zabezpieczeniem zwłok i wywiezieniem ich na powierzchnię, gdzie już wiele lat temu urządziliśmy prowizoryczny kerhof – ot, zbiorowa mogiła w wielkim leju po wybuchu bomby.

A my wszyscy wrócimy do naszych zajęć. Pan doktor dalej będzie podłączał kroplówki, odbierał porody i szył rany. Żona komendanta zabierze się za gotowanie i zmywanie. Sam komendant przejdzie się do celi Zefka, żeby powiedzieć mu o pogrzebie brata i raz jeszcze zapytać, czy nie chciałby czegoś więcej zeznać. A młody Martin z jeszcze młodszym Antkiem wezmą plastikowe worki z ciałami i wyniosą na wjyrch.

Przechadzam się korytarzami, myśląc o tym, jak bardzo zmienił się nasz świat w ciągu tych trzech dni. Ludzie mijają mnie pospiesznym krokiem, ze spuszczonymi głowami. Kiedyś przystawali choćby na chwilę, choćby tylko po to, żeby rzucić na szybko: „Cześć, co słychać?”, i biec dalej, nie czekając na odpowiedź. Teraz ludzie szepczą między sobą. A kiedyś rozmawiali normalnym głosem, od czasu do czasu coś wesoło pokrzykując. Wycierane ukradkiem łzy zastąpiły wybuchy śmiechu.

Zabawne, jak niewiele potrzeba, żeby przegniła podszewka tego na pozór idealnego światka zaczęła prześwitywać przez wierzchnią warstwę materiału.

Wszyscy boją się, że napastnik znów zaatakuje.

4

Kolejne morderstwo jest równie wielką niespodzianką co pierwsze dwa, mimo że wszyscy są tak przerażeni, że niemal go wyczekiwali. Na nic się zdała wzmożona czujność strażników, na nic rozkaz komendanta, aby nie chadzać samotnie, a zawsze mieć przy sobie towarzysza, na nic zakaz

wyłączania świateł dziennych między dwudziestą drugą a siódmą rano. Tym razem napastnik przechytrzył wszystkich i uderzył tam, gdzie nikt nie szukał.

W więzienie.

Ciało Zefka znaleziono w piątek rano. Leżał na podłodze przykryty kocem, na zwitku szmat, który służył tu za łóżko. Wyglądało na to, że po prostu zmarł we śnie, co nie byłoby dziwne u faceta w jego wieku, choć nie zgadzał się jeden szczegół: znajdujące się w kapsie jego spodni pudełeczko valium. Puste.

Z pewnością nie miał przy sobie żadnych tabletek w niedzielę, bo podczas przesłuchania był dokładnie przeszukany. Może nawet zbyt dokładnie jak na okoliczności, ale czasy, w których należało się przejmować ustawą o poszanowaniu przestrzeni intymnej u potencjalnego mordercy, słusznie minęły. Podstawowe wnioskowanie doprowadziło komendanta do stwierdzenia, że nawet jeśli stary chciał popełnić samobójstwo, to ktoś musiał mu w tym pomóc. A to już jest przestępstwo pełną gębą, porównywalne rangą do morderstwa.

Nikogo z tam obecnych (a oprócz mnie były tam może jeszcze dwie, trzy osoby) nie zdziwiło, że chwilę później na korytarzu pierwszego poziomu rozbrzmiały miarowe dźwięki wojskowych butów uderzających o betonową posadzkę. Norbert i Martin po raz kolejny zawitali w niewielkim szpitaliku, na który składały się sala z czterema łóżkami i gabinet doktora. Wcześniej byli tutaj, by zapytać doktora o truciznę użytą do zabicia Benia.

Siedzę w mieszczącej się obok świetlicy, nazywanej przez nas szumnie biblioteką, choć stoją tu zaledwie dwa regały z książkami. Właśnie czytałem *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego. Bardzo na czasie.

Komendant wpierw przykłada ucho do drzwi, marszczy brwi i szepce coś młodemu. Z ruchu ust wnioskuję, że doktorek chyba nieźle zabawia się ze swoją pielęgniarką. Komendant głośno puka – może nawet odrobinkę za

głośno.

– Szczepan! – woła.

Młody chichocze, słysząc zza drzwi gabinetu coś, czego ja niestety dosłyszeć nie mogę. Pół minuty później drzwi otwierają się i wychodzi przez nie czerwony jak burak doktor Szczepan.

Wszyscy wiemy, że tych dwoje ma się ku sobie. I teoretycznie nie powinno być z tym problemu. Ale to, że łączy ich praca, że nie mają ślubu, że Anita jest prawie dwa razy młodsza od doktora i że już kilka razy zostali przyłapani w niedwuznacznych sytuacjach, sprawia, że ludzie patrzą na nich z ukosa.

– Przepraszam, Norbercie, nie spodziewałem się…

– Jasne, że się nie spodziewałeś! Kto by się spodziewał gości w gabinecie lekarskim, bez tydziyń o ósmej rano!

– Myślałem, że drzwi są zamknięte. Przepraszam raz jeszcze – doktor przestał udawać potulnego i ton jego głosu nagle stał się oficjalny. – Czemu zawdzięczam wizytę panów o tak wczesnej porze?

– Nie ubyło ci ostatnio nic z apteczki?

– Nie sprawdzałem. A dlaczego?

– Ktoś podrzucił Zefkowi paczkę valium – wtrącił Martin – a ten łyknął wszystko i poszedł spać. Na wieki, jeśli rozumiesz.

– Rozumiem – doktor wydawał się skonsternowany. Dopiero po chwili, gdy pojął po co przyszli, na jego twarzy odmalowało się przerażenie. – Ale ja nie mam z tym nic wspólnego!

– To się okaże w trakcie dochodzenia – powiedział komendant.

– Najpierw paskudna trucizna dla Benia, teraz valium dla Zefka… No, no. Czy ktoś tu bawi się w Doktora Śmierć? – zapytał młody.

Norbert natychmiast skarcił go spojrzeniem.

– Tak czy siak, musimy cię zatrzymać. I Anetę również. Czy ktokolwiek więcej ma dostęp do apteczki?

– Nie. Ale nie możecie aresztować nas obojga. Tu są chorzy ludzie,

którymi należy się zająć.

– Masz na myśli tych dwoje? – rzucił Martin, spoglądając na dwoje starzików sunących przez korytarz między kaplicą a szpitalem. Oboje byli podłączeni do kroplówek, ale policzki mieli rumiane i nie sprawiali wrażenia umierających.

– Tak, ale nie tylko. W każdej chwili ktoś może się pochorować…

– Rozumiem. Miejmy nadzieję, że będziesz zdolny wydawać dyspozycje zza krat.

– Martin! – fuknął komendant. – Uważaj na język! Rozmawiasz ze starszymi. – Zwrócił się do doktora: – Wiem, że to dla ciebie ciężkie, ale w tej sytuacji jesteście z Anitą głównymi podejrzanymi i nie mogę inaczej postąpić. Muszę mieć pewność, że do czasu rozwiązania sprawy nie będziecie mogli w nią ingerować.

W tym momencie słyszę, że drzwi do gabinetu znów się otwierają i wychodzi pielęgniarka.

– O co chodzi?

– Jesteśmy aresztowani – kwituje doktor.

Znad książki widzę, że przewraca oczami, a przerażona dziewczyna bierze głęboki wdech i zatyka usta rękami. Do jej okrągłych oczu napływają łzy.

– O Boże! Chodzi o nasze dziecko? – rzuca się w ramiona doktora. – Wiedziałam, że nie powinniśmy byli tego robić!

Jej plecami wstrząsa potężny szloch. Doktor spuszcza wzrok i milczy. Norbert robi wielkie oczy, Martin aż rozdziawia usta. Zaraz potem ruszają, doktor na przedzie, ze szlochającą pielęgniarką u swego boku, popędzany wstrząśniętym spojrzeniem komendanta i triumfującym uśmieszkiem jego młodszego kolegi.

Jeszcze tego samego dnia po południu wszyscy dowiadują się, jakie z naszego doktora i jego pielęgniarki niezłe ziółka. Do zarzutu trzech morderstw, w tym jednego ze szczególnym okrucieństwem, dochodzi zarzut

dokonania aborcji, do którego musieli się przyznać po tym, co chlapnęła nieostrożna Anita. Zajęli miejsce Zefka, którego ciało uprzątnięto i przeniesiono do kaplicy.

Wszyscy strażnicy przekopali naszą małą idyllę od podstawy aż po sam szczyt, ale niestety, nie udało im się znaleźć żadnych dowodów wskazujących jednoznacznie na winę tych dwojga. Komendant żałuje, że nie dysponuje sprzętem do zabezpieczania i porównywania odcisków palców ani chociażby komputerem. Jedyne, co miał, to oczy swoje i kolegów, a także własny intelekt oraz intuicję. A te ostatnie podpowiadają mu, że przyskrzynił nie te osoby.

Doktor cały czas wiarygodnie wypiera się stawianych mu zarzutów, zasłaniając się różnymi alibi. I albo jest doskonałym kłamcą, albo mówi prawdę, bo ani razu podczas trzech dni przesłuchań nie powinęła mu się noga. Anita natomiast głównie płacze i powtarza, że nie ma nic wspólnego z morderstwami i że jest jej bardzo przykro z powodu aborcji, której dokonała. I że gdyby tylko mogła cofnąć czas…

W naszej małej społeczności zawrzało jak w kotle postawionym na ognisku. Pan doktor, który opiekował się nimi wszystkimi, w którym wielu odnajdowało pocieszenie i oparcie, okazał się zwyrodniałym mordercą! Nie starczało mu nawet zamordowanie dwóch osób. Musiał dołożyć swoje trzy grosze, pomagając popełnić samobójstwo temu biednemu Zefkowi, niech Bóg ma go w swojej opiece. Boże, co ten borok musiał przechodzić! A doktorek w tym czasie, jak gdyby nigdy nic, pieprzył się z pielęgniareczką! Z tą samą, której zrobił dziecko i która to dziecko ze swojego łona wyrwała! A tfu!

Z początku nawet próbuję przekonywać, że póki nie znajdzie się jakiś dowód, to nic nie można powiedzieć, ale ludowy samosąd jest bardziej bezwzględny niż jakiekolwiek trybunały i kodeksy. Przechodzi mi przez myśl, że lepiej byłoby dla doktora, gdyby już nie wychodził z więzienia. Bo o ile z zarzutami morderstwa można było dyskutować, o tyle przyznanie się

do aborcji postawiło na nim kreskę.

– A ty co go tak bronisz, hę? – naskakuje na mnie Martin, gdy siedzimy razem przy stole i jemy śniadanie.

Przed chwilą próbowałem go przekonać, żeby nie był taki pewny swojego zdania i nie wyrokował przed czasem.

– Nie bronię go. Po prostu dopuszczam inne możliwości. Nie wyrokuję, dopóki nie znajdziecie dowodów.

– Lubiłeś doktorka, co? – spytał, a w jego głosie dało się wyczuć nutę złośliwości.

Zamyślam się.

– Szczerze? Nie.

– Nie fulej! Mnie nie oszukasz – odpowiada, wstając, a ja nie mam zamiaru go przekonywać. – Czas zacząć kolejny fascynujący dzień w pracy, nawet w niedzielę nie można odpocząć.

– Takie czasy nastały – rzucam na odczepnego.

– Ano… Rozmawiałem już chyba z każdym w kopalni, ale nic. Wszyscy som yno abo wkurzeni, abo wylynkani. Nie umiymy nawet znaleźć innego podejrzanego.

– Wiem, też miałem tę przyjemność – przypominam mu naszą rozmowę z wczoraj. Nie była długa ani wyczerpująca, pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że była nieprofesjonalna. Ale co ja tam wiem, policjantem nie jestem.

Martin wychodzi z jadalni jako jeden z ostatnich. Zostałem właściwie sam, nie licząc ministranta, który szybko zdąża za Martinem, niosąc w rękach zapakowane na wynos śniadanie dla farorza.

Niedługo klecha nie zmieści się w drzwiach kaplicy, jeśli nie będzie mu się chciało schodzić do jadalni, by zjeść ze swoimi owieczkami, mówię sobie w duchu. A może nie jesteśmy godni, by patrzeć, jak żre?

Kończę posiłek, odstawiam naczynia na miejsce i wolnym krokiem ruszam na poziom czwarty, do magazynu. Od dziś mam zacząć pracę

magazyniera, po Karolu. Będzie tak ekscytująca, że nie mogę się doczekać. Biorę ze sobą *Zbrodnię i karę*. Naprawdę wciągająca lektura.

Niedziela. Poranek. Kanarki ćwierkają jak szalone. Farorz zaraz zje swoje śniadanie, zabawi się z chłopcem i pójdzie do kaplicy zetrzeć z tablicy numer 1047. Odnotuje, że minął już tydzień tysiąc czterdziesty ósmy, i pójdzie przygotować się do mszy. Tym razem znów pogrzebowej – Zefka.

5

Praca nie jest aż tak nieznośnie nudna, jak mi się z początku wydawało. Jest po prostu spokojna. Muszę do każdej z zamieszkanych kwater dostarczyć z magazynu paczkę, która jest jej przypisana, przyporządkować paczki na kolejny tydzień, zawieźć trochę żywności do kuchni, nakarmić kanarki i zrealizować kilka specjalnych zamówień, jak na przykład śruby ósemki dla Jurka pracującego przy agregatach tuż obok. Właściwie w tej samej hali, w pomieszczeniu oddzielonym od magazynu tylko cienką ścianką.

– No wiesz, mogłeś sobie przecież przyjść po te śruby sam – witam go.

Lekko się peszy, ale zaraz uśmiecha się i macha ręką.

– No, mosz recht, przepraszom za kłopot.

– Żaden problem! Co słychać?

– Nie wiem, co z tym agregatem. Od tygodnia wydaje dziwne dźwięki, sprawdziłem już wszystko i nic nie znajduję. Obawiam się, że po prostu się starzeje. Co prawda, mamy jeszcze trzy inne, ale przypuszczam, że jeśli będą się starzeć w takim samym tempie…

– To przyda nam się dostawa świeczek z powierzchni. Złożyć zamówienie u komendanta? – puszczam do niego oko, ale nie poprawiło to jego nastroju.

– Wiesz, od wypadku Karola nie umiem się pozbierać… – zaczyna.

Nie potrafię pojąć, dlaczego wszystkie cztery morderstwa nazywa wypadkami. Wypadek Karola, wypadek Benia, wypadek Zefka i wypadek doktorowego dzieciątka. Pewnie po prostu boi się nazywać rzeczy po

imieniu – jak wszyscy tutaj.

– Rozumiem – mówię – każdemu z nas ciężko jest wziąć się w garść.

– Wiem, że był kimś bliskim dla nas wszystkich. Ale my przecież… dwadzieścia lat… na jednej hali. Miałem wrażenie, że znamy się jak łyse konie. A tu się nagle okazuje, że nie znaliśmy się w ogóle.

– Ludzie potrafią nas zaskakiwać. Ale musimy nauczyć się dostrzegać to, czego nie pokazują na pierwszy rzut oka. Na przykład nasz doktorek. Kto by się spodziewał, że wywinie taki numer.

– A ty żeś wiedzioł, że oni są tacy? – spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Chyba nikt nie wiedział – odparłem wymijająco.

– No ja… W każdym razie dzięki za śruby! Miłego dnia!

– Tobie również!

Jurek musi pełnić dyżur przy agregatach i ma dużo roboty, szczególnie teraz, gdy pobierały dwukrotnie więcej ropy w związku z utrzymaniem świateł dziennych także w nocy, dlatego nie może uczestniczyć w mszy. Ja natomiast mogę zadecydować – albo wyrobić się z pracą do dwunastej i pójść na nabożeństwo, albo nie spieszyć się i spokojnie zrobić to, co do mnie należy. Wybieram tę drugą opcję.

6

Chcę złożyć naszemu proboszczowi indywidualną wizytę. W końcu nie byłem obecny na mszy, a dziś niedziela.

Zostaję w magazynie do późnego popołudnia, trochę przeciągając robotę, trochę czytając. Mam wrażenie, że Jurek mnie obserwuje, choć chyba tylko mi się wydaje. Pewnie jest po prostu zainteresowany nowym lokatorem i może wciąż nie umie się pozbierać po ostatnich „wypadkach”. W końcu jest dość wrażliwy.

Jurek żegna się ze mną o siedemnastej, gdy przychodzi jego zmiennik. Uśmiecham się do niego i kiwam mu głową. Stara się odwzajemnić

uśmiech, ale niezbyt mu to wychodzi. Dla mnie to wygląda raczej na nienaturalny grymas. Dziad coś podejrzewa…

Godzinę później wstaję, zatrzaskując książkę. Zarzucam plecak na plecy, sprawdzam, czy wszystko mam przygotowane, i wychodzę z magazynu. Nie zamykam go. Przecież w naszej małej społeczności nie ma złodziei. Nie ma też korupcji, ćpunów i morderców. Ha, ha, ha.

Docieram do szybu i zaczynam wspinać się po schodach owijających się wokół niego jak węże wokół ofiary. Raz muszę przystanąć – dystans między czwartym a pierwszym poziomem jest dość długi – ale w końcu udało mi się dotrzeć na samą górę. Rozglądam się. Żywego ducha. Idealnie.

Kaplica znajduje się tuż przy wyjściu z szybu. Zatrzymuję się w niej, przyklękam na jedno kolano i robię znak krzyża. Przymykam oczy i zmawiam krótką modlitwę. Bóg mówi mi, że mnie rozumie i że sam zrobiłby tak samo.

Podnoszę się i spoglądam w stronę drzwi znajdujących się na lewo od ołtarza. Chwilę później już stoję przy nich, uderzając metalową kołatką.

– Tak? – słyszę tłusty głos farorza Achima.

– Szczęść Boże! – wołam zza drewnianych drzwi – Chciałbym się wyspowiadać. Mogę?

– Jasne! Wejdź.

Wślizguję się do środka i cicho zamykam za sobą drzwi. Ksiądz siedzi w fotelu, czytając książkę. Jego okrągły brzuszek i nalana twarz wydają się w tej pozycji jeszcze większe, niż gdy stał przy ołtarzu.

Przypominam sobie wychudzonych staruszków ze szpitalnej sali, podłączonych do kroplówek, zapadnięte brzuszki dzieci biegających po korytarzach i racje żywnościowe starannie wydzielane przez Karola w magazynie i przez kucharki w kuchni. A ten grubas tutaj ma nawet wygodny fotelik, w którym może trzymać dupsko całymi dniami, podczas gdy większość z nas musi spać na grubszych lub cieńszych zwitkach szmat na podłodze!

Pojmuję, że nie popełniam błędu. Achim może się tytułować sługą Boga, ale nim nie jest. A nawet jeśli jest, to nie tego Boga, do którego wszyscy modlimy się co niedzielę. Ten nienawidzi takich jak on.

Farorz zamyka książkę i odkłada na stojący obok fikuśny stoliczek. Poprawia się w fotelu, prostuje i wskazuje mi miejsce na podłodze obok.

– Proszę, możesz uklęknąć tutaj, wysłucham twojej spowiedzi.

Zatem niespiesznie zdejmuję plecak z pleców, rozpinam go i stawiam w zasięgu ręki. Przyklękuję i biorę głęboki oddech.

Szybkim ruchem, którego klecha się nie spodziewa, wyjmuję z plecaka pistolet i uderzam nim księdza w tył głowy.

I jeszcze raz, tylko dla pewności.

7

Klecha budzi się dziesięć minut później przywiązany do opasłego fotela i zakneblowany. Pozbawiłem go spodni tak, że teraz siedzi gołą dupą na obitym miękkim materiałem siedzisku, z rozkraczonymi nogami przywiązanymi do poręczy jak do krzesła ginekologicznego i małym penisem wychylającym się gdzieś spod wielkiego brzucha. Obrzydliwy widok.

Wlepia we mnie przerażone oczy.

– Co? – pytam – Coś się nie podoba?

Mamrocze coś niezrozumiałego. Knebel działa prawidłowo.

– Jesteś żałosny, Achim – mówię – Będziesz się smażył w piekle, wiem to.

Milknie. Patrzę jeszcze raz na jego wyeksponowane krocze.

– Wiesz, jak wyglądasz? Wstrętnie. Rzygać się chce na sam widok. A ty jeszcze zmuszałeś tego chłopca, żeby…

Słowa więzną mi w gardle i z odrazą wypluwam je na podłogę. Nie mogę znieść obrazu, który właśnie ukazuje mi się przed oczami.

– Jesteś taki sam jak wszyscy. I z chęcią cię za to ukarzę. Ach! Nie

domyślałeś się? No, nic dziwnego, żeby się czegoś domyślić, trzeba najpierw zacząć myśleć… Tak, to ja – rzucam niedbale, słysząc, że znów zaczyna mamrotać. – Masz rację, jestem tak samo zły jak i wy. Ale mnie przynajmniej Bóg wynagrodzi. Wiem, rozmawiałem z Nim. Wynagrodzi mi to, że oczyściłem resztki korony Jego stworzenia z szumowin takich jak ty. Karol to przy tobie mały pikuś. Owszem, zasłużył na śmierć, powie ci to każdy, kto ma choć odrobinę swojego rozumu. Ale już mało nas zostało, a ty zatrułeś wszystkich tym swoim bełkotliwym jadem wylewanym co niedzielę z ambony. Że ci nie wstyd… Wstyd ci? To dobrze. Karolowi też było wstyd. Przyznał się do wszystkiego, był bardzo potulny i prosił mnie o przebaczenie. Ale ja nie przebaczam, nie jestem Bogiem. Odesłałem go do Niego, niech On zdecyduje, co zrobić z tą nagłą pokorą.

Zefek to, wbrew pozorom, również kawał gnoja. No powiedz, czy nie? Przez tyle lat widzieć, co dzieje się w jego własnej rodzinie, i nikomu nie pisnąć nawet słówka? Nawet komendantowi? Wiem, że zbyt wiele by nie zrobił, taką to mamy straż. Ale zawsze coś. Jednak nie. Wolał milczeć. I przyczynił się do krzywdy tej biednej kobiety niemal tak samo jak jego brat.

Tylko trochę mi żal Benia w tej całej sytuacji. Oczywiście również był w pewnym sensie winny maltretowaniu żony Karola, ale w gruncie rzeczy nieświadomie. Jedyne, na czym mu naprawdę zależało, to żeby się do woli nażreć. Skorumpowana świnia. Może i mógł sobie żyć, ale jeszcze by zaczął paplać ozorem o tym, że parę tygodni temu, podczas jego warty, pożyczyłem sobie ze zbrojowni pistolet… – Patrzę na blat stolika, na który chwilę temu klecha odłożył swoją książkę. Teraz leżał tam nóż z dużym ostrzem, jeden mniejszy skalpel i pistolet wypożyczony ze zbrojowni. Z jednym tylko nabojem. – Ot tak, dla poćwiczenia strzelania, nie wiadomo, kiedy taka umiejętność się przyda. Nie powinien był tego robić. Ale zrobił. Miał w dupie cały regulamin, odkąd tylko zobaczył blachę kołocza w moich rękach.

I doktorostwo. Co prawda miałem dla nich przygotowany lepszy scenariusz, ale trudno. Ci głupi funkcjonariusze pokrzyżowali mi trochę plany, zamykając ich w celi. Nie mógłbym się tam znów pojawić z pistoletem ani nożem, nie po sytuacji z Zefkiem. Ale jakoś wybrnąłem. Dostali dziś taką samą paczuszkę jak Benio. Prosto z magazynu. Jeśli wszystko dobrze poszło, to właśnie wyrzygują swoje wnętrzności.

Zresztą nie tylko oni. Trucizny starczyło mi dla jeszcze czterech osób, więc postanowiłem uwolnić świat od grzechów nieczystości, chciwości, zawiści i pychy. Zostałeś mi teraz już tylko ty…

W tym momencie słyszę pukanie do drzwi. Przezornie zamknąłem je na klucz po ogłuszeniu farorza, ale mimo to trochę się zdenerwowałem.

– Proszę księdza, jestem! – słyszę głos małego chłopca.

Patrzę ze wstrętem na klechę i podchodzę do drzwi. Uchylam je na nie więcej niż pięć centymetrów.

– Jorguś… – silę się na łagodny, ale poważny ton – Jorguś, ksiądz jest chory. Nie wiem, co mu jest, ale lepiej szybko biegnij po komendanta.

– Po komendanta? – dziwi się chłopak – A nie lepiej po doktora?

Śmieję się, mierzwiąc mu włosy.

– Przecież doktor siedzi w więzieniu, nie pamiętasz? Skocz no szybko po Norberta!

– A czy on… Czy ksiądz… umrze? – pyta chłopak, a ja nie umiem ocenić, czy w jego pytaniu słyszę więcej zmartwienia czy nadziei.

– Nie wiem, kochany… Leć szybko!

Zamykam drzwi i przekręcam klucz. Zostało mi zatem parę minut.

– Widzisz – zwracam się do Achima – chciałem obciąć ci twoje grzeszne genitalia i nakarmić cię nimi, byś naprawdę zrozumiał, jak to jest umrzeć z obżarstwa i nieczystości, ale chyba nie zdążę.

Podchodzę do stoliczka i biorę mały skalpel. Ksiądz zaczyna wiercić się w fotelu i wydawać coraz głośniejsze, nieartykułowane okrzyki pełne paniki. Nie przejmuję się tym. Przez szmatę lewą ręką łapię jego obleśnego

penisa, a prawą ręką wykonuję ładne cięcie tuż przy podstawie. Klecha drze się wniebogłosy. Na pewno zaraz nas usłyszą. No, trudno. Odkładam skalpel na stolik i biorę duży nóż. Jednym, prostym i szybkim ruchem wbijam go w brzuch między pępkiem a prawym bokiem, trochę poniżej wątroby.

– To cię na pewno zabije, ale na tyle wolno, że zdążysz wszystko opowiedzieć strażnikom – mówię wprost do ucha farorza, nie zważając na jego krzyki.

Podnoszę pistolet ze stolika.

Podchodzę do drzwi i przekręcam klucz w zamku. Otwarte, nie będzie trzeba wyważać.

Spoglądam raz jeszcze na zalane krwią podbrzusze wijącego się księdza. Za chwilę wyswobodzi się z więzów.

Nieważne, już i tak po nim.

Maltretowanie.

Narkomania.

Korupcja.

Obżarstwo – razy dwa.

Milcząca obojętność.

Aborcja.

Nieczystość.

Chciwość i kradzież.

Zawiść.

Pycha.

Obłuda.

I pedofilia.

Dość długa lista jak na tak małą, idealną społeczność.

Ale na szczęście wszystko już odhaczone.

Tysiąc czterdziesty dziewiąty tydzień w kopalni będzie trudny dla

wszystkich. Ale czystszy. A kolejne będą już tylko lepsze.

Wkładam pistolet do ust.
Jeszcze jeden.
Morderstwo.
Pociągam za spust.

Piotr Jedliński | Parias

Laureat III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Gusła, jak powszechnie wiadomo, odbywają się na naszej Stacyi rokrocznie, i jak co roku, w dniu Wielkiej Wróżby Ojczyźnianej, od rana wypada mi siedzenie na posterunku. Jestem przecież Komisarzem, a ranga zobowiązuje i porządek musi być. Reputację mam krwiożerczą, a taka sama odpędza niebezpiecznych i ubogich włóczęgów, tych, co liczą na dostąpienie zaszczytu, co tłumnie ściągają z ciemnych tuneli, ażeby ujrzeć Gusła i usłyszeć szepty zakatrupionych. Z tymi, którzy mogą bruździć, a których moja renoma nie odwiedzie od zamiaru, radzę sobie osobiście.

Przybysze schodzą się licznie. Ich kroki dudnią w jelitach stołecznego metra. Idą tu karawaniarze, stalkerzy, wagabundzi. Idą schorowani starcy i starowiny, wyglądający nie lepiej od naszego Pariasa, idzie to pierwsze pokolenie, które zwiemy Pogorzelcami. Razem z nimi kroczy kwiat młodzieży, nie mniej parchaty. Na ten jeden dzień, na czas Guseł, wszyscy, którzy przejdą pod mym skrutatorskim okiem, i każdy, kto popisze się odpowiednią hojnością, będzie w Stacyi mile widziany. I na ten krótki czas stanie się częścią mojej trzódki.

Obserwuję więc, popijając lurę z turystycznego samowara, i patrzę na swych ludzi. Widzę wszystko – to moje przekleństwo i mój dar.

Oto jest moich ludzi bieda: rozkolebany wózek, co gibie się i gibie wraz z człowiekiem o amputowanych nogach – kikutami smyra on po trakcji, rękoma ciągnie się naprzód; bieda to kohorta wszy, czająca się wśród

czupryn nieznających dotyku grzebienia ani nożyc; gnijące kończyny, gangrenowe palce, próchnielizna zębów, spleśniałe zapasy, artretyczne kości połamane przez wilgoć, piwniczny ziąb i noclegi na gołym betonie; i, rzecz jasna, najgorsze z choróbsk, to, na którym zasadza się Wielka Wróżba – nadzieja, ekspansywna jak rak i jak rak złośliwa. Atakuje ich niepewność co do przyszłości i obawa o przeszłość, o tych, co odeszli już z tego łez padołu. Przyszli po przepowiednie i po głosy zmarłych. Cóż, dostaną je. Ale nie odmieni się ich bieda. Moja zresztą też.

A oto jest moja bieda: rozszczelnił się samowar, a Maurycemu, naszej złotej rączce, szczury odgryzły ową rączkę i nie ma kto szmelcu naprawić. Mundur jest w pasie za mały, pod pachami pije, a stalkerzy, którym zleciłem najście na wojskowe magazyny, nie znaleźli lepszego. Kaszel też trochę bierze, skończyły się bowiem zagraniczne papierosy, pozostały tylko sztangi naszych czarnorynkowych Jin Lingów o azbestowym posmaku. Ale Komisarz musi palić. Zwierzchnik powinien prezentować sobą pewien poziom. Papieros i mundur to oznaki statusu. Na Stacyi status jest wszystkim. Zwłaszcza gdy przychodzi do Guseł – oraz do podziału darów.

Maszerują dołem obszarpańcy. Z wysokości galeryjki, wpuszczonej w beton i cegłę, wypatruję elementów podejrzanych.

– Ten. I ten. I ta.

– Ta-jest, Komisarzu!

Żołdacy biorą się do roboty, wprawnie wyłuskują z ciżby wskazanych ludzi. Wleką ich po schodach do mojej izdebki. Przybyszom świecą się oczy, świerzbią ich palce. Nic dziwnego, bo kuszą ich te wszystkie moje splunięcia niewarte bibeloty oraz pojękujący, syczący samowar.

– Nazwiska! – żądam.

Odpowiadają mi na wyprzódki. Torofimski, Gawryłow, Sorkonin. O tyle dla nich lepiej, że w ogóle je podali, że wciąż je pamiętali. Porzucenie czy zapomnienie własnej tożsamości to pierwszy krok ku zbydlęceniu, jeszcze jednej epidemii, jaka szaleje w mroku tych dzielnic podziemnych

i przeklętych. Cała trójka garbi się i jojczy, oczyma strzela na boki. Wypytuję o pochodzenie, o drogę, jaką przebyli, ale opowieści o nękających metro potworach słucham jednym uchem. W drugim grzebię palcem. Ciekawsze znajdę tam rzeczy niż w biadoleniu przerażonych nędzników.

– Puścić ich – rozkazuję w końcu. – I dajcie mi młodego.

– Którego, Komisarzu?

– Nu, któregokolwiek! Byle nie schorowanego! Tamten, o!

– A jaka to, Komisarzu, jeśli wolno spytać, jest jego przewina?

– Przewina się znajdzie. Ot, mam już jedną – uśmiecham się. – Dawać go!

Wprowadzony do izdebki młodziak szczerzy równe zęby. Tym grymasem wyróżnia się spośród tłuszczy kocmołuchów. Uśmiech nie licuje z jego pokrytą sadzą twarzą ani z niby-chromą nogą. Od razu widać, że nie przyłożył się do swojej przykrywki i sądził, naiwny, że ujdzie mu na sucho. Nie on pierwszy przybył na Gusła w przebraniu. Niektórzy nie chcieli być rozpoznani przez swych towarzyszy – wróżenie nie wszędzie w metrze jest równie dobrze widziane. A ci właśnie, którzy krzywo patrzyli na kult, wróżbę, dary i nowoczesny zabobon, często podejmowali misje oświecenia współbliźnich. Nie mogąc oświetlić metra, próbowali przynajmniej rozjaśnić mroki obskurnych dusz. Ale ludzka ciemnota ustępowała jeszcze oporniej niż właściwa tunelom ciemność.

Zawsze podziwiałem ich odwagę i żarliwość. Kibicowałem im – jednak tylko wtedy, gdy działali na innych stacjach, kiedy przeganiali z peronów przesądy, a ludzie, wiecznie spragnieni czegoś więcej niż syf, szkorbut i świerzb – zapotrzebowanie na nadprzyrodzone nigdy nie spada – po świeżą dawkę rytuałów udawali się na naszą Stacyję. Rzecz jasna, z plecakami i wózkami pełnymi wkupnych dóbr.

Przy młodziaku, hardym i nieulękłym, znajdujemy plik karteluch. Nie są to propagandowe ani oczerniające ulotki, ale papier pokryty świeżym drukiem kiepskiej jakości. Litery nie układają się w żadne sensowne słowa.

Szyfr, rzecz oczywista. Młodziak – widać, że aspirujący na aktora – nie daje się podpuścić. Gada, że to przypadkowe znalezisko, po metrze wala się przecież mnóstwo śmiecia. Wierzy on w majestat prawa, który mają reprezentować mój mundur, pagony, trójkolorowa flaga i bizantyński orzeł na godle. Widywałem takich spryciarzy, toczka w toczkę. Nie trzeba mi więc dowodów, zdam się na majestat właśnie – ale nie prawa, lecz swój własny.

– Agitator! – rzucam oskarżenie. – Utemperować mi go, migiem! Dla przykładu!

Tamten nie szczerzy się już, lecz korzy, potulnie i fałszywie pyta:

– Ależ, o Komisarzu, czym wam zawiniłem…?

– Jeszcze niczym, bo to areszt prewencyjny! Przecież widzę, że z ciebie jest podżegacz! Brud zmyjesz, ząbkami zabłyśniesz, tumult zaczniesz robić i hasełkami rzucać! A tutaj urodzajna jest gleba, urodzajna, bo nie każdemu wróżba wypadnie pomyślna, bo nie każdy równie zadowolony z zeszłorocznych wróżb!

– Wy, Komisarzu – poważył się młody – czyżbyście sugerowali, że Guślarze nie są nieomylni…?

– Cisza! Takich ja ty to ja mam na zagrychę! Do karceru z nim! Do szczurowni, dwa dni o niczym! I następny, następny, dawać następnego, pókim wciąż trzeźwy…!

Korowód przybyszy dłuży się niemiłosiernie, ale i na to znalazłem przez lata sposób. W matrioszce, w samym jej sercu, we wnętrzu najmniejszej z figurynek, trzymam podręczny zapas proszku. W małych dawkach, używany z głową (i tylko w okolicach głowy), koi zszargane nerwy. W dużych porcjach, jak wiadomo każdemu, kto stoi za Wielką Wróżbą, spaja człowieka z zaświatami. I rozłamuje mu przy okazji mózg. Ale, ale! Oto jest, i o wilku mowa. Pociągnąwszy nosem szarawy, jakby z urny wysypany pyłek, witam w moich progach maestra i choreografa, nekromantę i naukowca, znachora i doktora, polskiego romantyka

i pragmatyka, któremu na imię Jędrzej, a przydomek – Duchołap. Ma na sobie szary fartuch, szpakowate włosy gładko zaczesane, a nos czerwony i ruchliwy. Cała jego twarz wykazuje niejakie podobieństwo do szczurzej fizjonomii. Wielu wytykało i wytyka owe powinowactwo z gryzoniami. Bo nikt z prostaczków nie wie, że to jest łącznik z duchowym światem, patron Guseł i stwórca Pariasa.

– Oho-ho, Fiodorze! – zaczyna Polak, jak zwykle familiarnie i bez otczestwa, na co inni, poza Pariasem, nie poważyliby się nigdy. – Ledwie dzień się zaczął, a już wdychasz? Zresztą, kto jest bez grzechu i prochu, niechaj pierwszy ciśnie kamień… Także wdechłem… Bo ciężka czeka nas dola, oj, ciężka, jak co roku, kiedy pora przychodzi…

Przerywam, zanim zdołał się rozpędzić.

– Chcesz czegoś, Jędrzej?

On łypie okiem na parujący czaj. Zignorowany, uśmiecha się krzywo.

– Preparacje poczynione – mówi, już tonem poważnym i przynależnym organizatorowi dzisiejszego święta. – Wszystko, poza zbiornikiem. Maź jest, ale straszna panuje wśród twoich robotników dezynwoltura.

– Co?

– Opieprzają się, Fiodorze, ci twoi tajni żołnierze. Taka z nich elita, że schlali się zarekwirowanym bimbrem, zamiast stawiać ołtarz dla Guślarza.

– Poślę kogoś z tobą, przemówi im do rozumu. Zdążymy na czas. Coś jeszcze?

– A, tak. Jeszcze sprawa samego Guślarza. Czy może, powinienem rzec, jego matulki…

– Są tutaj? Anton Iwanowicz i matka jego?

– Są.

– Dawaj ich. A sam wracaj za kulisy i dusz szukaj, Duchołapie.

Polak wychodzi, dwójka wchodzi. Chłopak ma może osiemnaście lat, matka o dwadzieścia starsza, jeszcze z pokolenia Pogorzelców. Kuli się i drży, mimo że zna mnie dobrze – albo właśnie dlatego. Spoglądam w oczy

Antona, naszego dzisiejszego Guślarza. Szczękę ma on zaciśniętą, stoi na baczność jak jego ojciec, jeden z moich najlepszych ludzi, przed dwoma laty zabity przez zapalenie płuc czy jakieś inne choróbsko, przed Ogniem nic nie znaczące, teraz niezatrzymywalne. Czoło Antona rosi pot, zaciska pięści, drży z przejęcia – ot, zawstydził się malczik za swoją nadopiekuńczą matkę i jej prawdziwie matczyną troskę, jaka powinna zblaknąć przy zaszczycie, który nań spadł. Miłosiernie odprawiam go i każę dogonić Polaka. Matka wie zatem, że nic nie wskóra. Rozmowa z nią jest krótka, tak jak moja cierpliwość.

– Komisarzu… – błaga. – Wy zlitujcie się… On nie wie, on z młodych, on wierzy… A ja bez męża, i syna teraz mi zabieracie, i…

– Współczuję ci – mówię. Zgodnie z prawdą. I dodaję, już zgodnie z kodeksem i prawem, z oficjalnym stanowiskiem: – Ale Anton przyda nam się dzisiaj bardziej, niż przydałby się przez całe życie. Którego, zważywszy na guzy, i tak nie zostało mu wiele. Kto wie, może przy wróżeniu spotka Iwana? Może z ojcem się rozmówi?

– Ależ… Komisarzu… Wy przecież wiecie, że wszystko to jest tylko…

– Wiem, wiem – zapewniam. – Jemu też pewnie mówiłaś, co? Wyjawiałaś prawdę? Ale uparł się, nie ufa tobie, lecz nam. I dobrze. Nie będzie miał okazji zmienić zdania. Wyprowadzić ją, nuże!

Nie ma spokoju dla Komisarza Stacyi. Tunelem idą proszalnicy i ludzie z całego metra, ci, którzy wymknęli się z własnych stacji, ci, którzy przetrwali drogę przez serce podziemia. Strużka brudnych czupryn oraz wyłysiałych i guzowatych głów nie chce się skończyć. Wysławszy przed godziną Igora do wodopoju – nie tej mulistej studzienki, ale tajnego, dostępnego nam, rządzącym, ujęcia – przypominam sobie o posłańcu. I już, już zażądać mam sprawdzenia, gdzie też podział się ów leser, gdy do izdebki wślizguje się prawdziwy i jedyny w swym rodzaju duch zeszłych Guseł.

Parias chichocze przez połamane zęby (większość nadkruszył przy

konsumpcji gruzu), strzyga jednym uchem (drugie urwał sobie podczas własnej Wróżby), niewidzące oczy utyka bezbłędnie w mojej twarzy. W rozdygotanych dłoniach niesie plastikową butlę, woda chlupocze, ale w tej wodzie jest tajemnica i karminowa krew. Zamieram, mierząc się wzrokiem ze ślepym Pariasem.

– …przyniosłem! – chwali się zaśmierdły niedomytek, wrak człowieka. – Igor o wodzie gadał! Do źródła polazł! Długo, długo tam siedział, to też poszedłem, od tylca, kanalikiem, a tam Igor się kąpie, i butla obok, to napełniłem, to przyniosłem!

– Dobrze – odpowiadam. W progu izby staje zaalarmowany sierżant. – A on? A Igor?

Parias tylko wzrusza skoliotycznymi ramionami. Po czym sięga do butli i nim zdąży ktoś zareagować, chciwie chłepcze krwisty roztwór.

***

Że jest szalony – to wiedział każdy. Że nie zawsze taki był – to pamiętali tylko Pogorzelcy.

Parias umarł bowiem tak, jak żył – bez rozgłosu. To, co z niego po śmierci zostało, ta chichrająca skorupa, ten obmierzły kadłub i patykowate, epileptycznie rozedrgane ręce, zyskało sobie większą sławę i rozpoznanie niż jego wcześniejsze wcielenie. Na Stacyi znał Pariasa każdy. Bo i Parias pojawiał się wszędzie. Zwykle nieproszony. Przeganiano ślepca razami i inwektywami, wywabiano zapachem jedzenia w kąty i korytarze, gardzono szaleńcem. Ale nikt nie przedsięwziął poważniejszych kroków ku jego neutralizacji. Odczuwali moi współmieszkańcy, że za upodleniem Pariasa kryje się większa sprawa. Podejrzewali, że zawiniły tutaj duchy zmarłych, jakich od zawsze gromadziło się pełno w miejscu corocznych Guseł. I podejrzewali Gusła ze wszech miar słusznie. Z tym że zawiniły nie duchy – ale Duchołap.

Idziemy za Pariasem, a ów zramolały kaleka prowadzi nas pewnie

i nieomylnie na wskroś stacji. Tłum rozstępuje się przede mną i dwoma mymi przybocznymi, więc i Pariasowi oszczędza się kuksańców. Jest pobudzony i śmieje się gardłowo – widać przeszedł w stan nadaktywności; na co dzień najbardziej pochłaniają go wegetacja i własne, autystyczne czy solipsystyczne wyobrażenia, zdarzały mu się jednak w przeszłości nagłe ożywienia. Nagłe i zawsze wróżące coś złego.

Minąwszy peron, wkraczamy na tereny prywatne.

Są tutaj magazyny i sale pełne osprzętowania. Jest klinika, gdzie zwykle zasiada Daria Pawłowna, nasza felczerka, dawna kardiolog, ale przy tym zmora mojego serca; kobieta – ba, dama! – o płomiennorudych włosach, z którą łączył mnie równie płomienny romans. Nie chciała jednak zostać słabostką czy kaprysem Komisarza i skończyło się właśnie tak – nijak. Teraz wybyła na wyszykowanie Guślarza. Rusznikarze natomiast nadal okupują warsztat – nie udają się na Wróżbę nie dlatego, że są wtajemniczeni w jej organizację, ale z racji swej absolutnej niewiary we wszelkie kabały. Trafili się nam bowiem zatwardziali wyznawcy prochu i ołowiu, za co wdzięczny jestem losowi.

Droga do źródła mija też wydzieloną dla stalkerów kantynę. Z odpicowanego wnętrza dobiegają pogłosy rozmów, złożonych głównie z chełpliwości, sprośności i leciwych żartów.

– …a to znacie? Jak łysemu jest tęskno za drapaniem się po włosach, to co mu trzeba? Rozporka rozpiąć! Ha-ha-ha…!

– He, he, he…!

Zasłyszawszy śmiech, Parias zatrzymuje się i wtóruje skrzekliwie. Kiwam głową na żołdaków, wchodzę sam do wnętrza. Wita mnie widok Rodii, samozwańczego cesarzewicza okolicznych stalkerów.

– Komisarzu! – ryczy na wstępie. – Czym wy nas gościcie? To bimber niby jest? Mi to wygląda na siki pająka! A smakuje jak żukowate szczyny! Lud stalkerski żąda bimbru i Guseł…!

Ukrócam ich wesołość, przywołuję do porządku. Nie są obywatelami

Stacyi, ale żywimy wobec siebie wzajemny respekt i nieraz kolaborowaliśmy; zazwyczaj wtedy gdy cele były szczytne, ale metody, które do nich jedynie pasowały, niechlubne. Przestrzegam stalkerską bandę i uprzejmie proszę o bycie w pogotowiu. Na dźwięk słów „spisek” oraz „demaskacja” sztywnieje cała gromadka.

– Nie pijcie już – rzucam na odchodnym. – Dam znać, gdyby się potwierdziło.

– Dlaczego my, Komisarzu? – pyta Rodia z udawaną nonszalancją.

– Bo wyście dopiero wrócili z ruin. Was nie mogli przekabacić. I wy nie spłoszycie mi zwierzyny.

Pięć minut i dwoje nieregulaminowo rozwartych drzwi później stajemy w prywatnej stacyjnej oazie. Parias pociąga nosem.

– Igor – mówi.

Ma rację. Mój pachoł, posłany po wodę, półleży w metalowym korycie. Gardło ma poderżnięte, rozorane chyba po sam kręgosłup. Ze znawstwem stwierdzam, że nie jest to robota szponiastego potwora, ale człowieka, na dobitkę niewprawnego w korzystaniu z noża i zapamiętałego w swej zbrodni. Woda w balii zdążyła całkiem przesiąknąć żywotnymi płynami Igora, z czerwieni przeszła niemalże w czerń.

Kiwam ręką na przybocznego.

– Idź do Rodii. Każ im działać.

– Ta-jest, Komisarzu! Co mam im rzec?

– Że się potwierdziło. Mamy tu wrogów Guseł. Bardziej zdeterminowanych niż poprzedni.

Żołdak odchodzi w pośpiechu, drugi dokonuje oględzin izby. Znalazłszy rozbitą fiolkę, cuchnącą chemikaliami i trucizną, potwierdza kolejne przypuszczenia.

Ktoś znał rozkład pomieszczeń, to raz. Ktoś wszedł tutaj i byłby zaprawił wodopój naszej elity substancją, która odbiłaby się zapewne śmiertelnym kacem. Ktoś, zdybany przypadkiem przez Igora, ubił go w przypływie szału

i paniki, po czym zbiegł, porzuciwszy plany i ciało na pastwę losu. Postąpił ten nieznajomy typ po dyletancku i stracił zimną krew, chociaż cele miał, we własnym mniemaniu, wzniosłe i ambitne. Znam takich. Widywałem nieraz. Przynależą do tego samego rzędu co zaaresztowany z rana agitator, ów rozjaśniacz umysłowych mroków. Kiedy przychodzi co do czego, a nóż macza się w ciele, zaś dłonie nurzają we krwi, każdy jeden traci nagle swoją hołubioną racjonalność i trzeźwość ducha. Czego można spodziewać się po amatorach?

Żołdak zaraz melduje, że znalazł rozwarty szyb i zruszony kurz. Kręcę głową. Wątpliwe, aby intruzi aż tak dobrze poznali zakamarki organizmu Stacyi. Ba, jest tylko jedna persona, która krąży po tych podziemnych żyłach i arteriach i zna je na wylot. Śmiałek, co u zarania nowożytnych dziejów pomagał w kolonizacji i ustanowieniu naszego rządu, co walnie przyczynił się do powstania tradycji Guseł, jako że to on odkrył laboratoryjny wagon i ogołocił go z akcesoriów. I to on też poszedł na pierwszy ogień, zawsze nieulękły, bo nie imały się go kule ani pazury.

Niestety, imał się go ogień Guseł. I wypalił niemalże do cna, pozostawiwszy jeno to – Pariasa.

Parias, zasiadłszy w kącie, oblizuje popękane wargi. Trzyma w dłoni karalucha.

– Uciekły, Komisarzu…! – szepcze. – Złapać trza te karakany, Fiedka! Złapać, no i zgnieść!

Po czym, aby nie pozostać gołosłownym, unosi pochwyconego robaka i zgniata go między czarnymi zębami.

Lecz ja nie jestem dzisiaj w nastroju na zgniatanie. Wspomniawszy Antona i skomlenie jego matki, nachodzi mnie pewien pomysł. I dla dzisiejszych urwipołci przewiduję karę znacznie sroższą.

***

Oto, jak – podług biedy – oddziela się ziarna od plew.

Selekcji dokonują stalkerzy. Krążą w zbierającym się na peronie tłumie, wypatrują swymi czujnymi oczyma oraz zmysłami, zahartowanymi na powierzchni, wszelkich nieregularności. Powtarzają się przede wszystkim dwie skrajności; przybysze albo są przygnieceni ciężarem własnej biedy, albo przeciwnie, rozpierani nadzieją, unoszą się prawie pod sufit, jak gdyby nałykali się helu. Nietrudno jest zatem wyłuskać spośród tej hałastry osobników, którzy trzymają się między dwoma ekstremami. Po młodzieńczemu dufni i we własny kamuflaż ufni nieproszeni goście przyczaili się w ludzkiej gęstwie i już, już patrzą, co by tu nabroić, co by tu za kalumnie wygłosić, jak by wykraść Gusłom sekrety. Podczas gdy na północnym krańcu peronu finiszu dobiega konstruowanie podwyższenia, kręgu dla przyszłej Wróżby, a cała przestrzeń stacji zawalona jest ludźmi tak szczelnie, że nie wcisnąłbyś między nich palca, tamci, zważywszy na żołdaków, przeprowadzają wywiad i rozpoznanie. Nim zakończą tę pierwszą fazę, sami zostają rozpoznani. Nie przez moich formalnych podkomendnych, ale przez posłanych w ścisk stalkerów.

Pierwszego wywrotowca – chłystka, gołowąsa jeszcze – dopadają przy straganach, gdzie frymarczy się wszystkim, a waluta obcostacjowców zasila budżety naszych handlarzy. Niedorostkowi oczy świecą się na widok co poniektórych towarów, i porzuciwszy na chwilę rozsądek, dekonspiruje się przez szastanie nabojami. Zrewidowany i skonfrontowany z kilkoma ulotkami, które nawołują do odrzucenia zabobonu i sprzeniewierzenia się Wróżbie, dzieciak blednie, jakby dopadł go krwiopijny mutant. Jego kompan, większy cwaniura, węszy w pobliżu sektora mieszkalnego. W dłoni ma nakreślony od linijki plan. W plecaku – dynamit, rodem z amerykańskich westernów, których pewnie w życiu nie widział. Ucapiony, wrzeszczy głośno o „bujdzie” i „wszetecznych Gusłach”, ale cios pały prosto w nerki zgina go w kabłąk. Trzeci i czwarty znajdują się sami. Zwietrzywszy wpadkę, próbują zbiec. Przepychają się ku tunelom, jako jedyni wędrują w tym kierunku. Spłoszonych łapie Rodia i jego drużyna tuż

pod barykadą, gdzie i tak napatoczyliby się na żołnierski patrol.

Wszystkich zapędzamy do najgłębszych kazamatów, gdzie dostęp ma jeszcze mniejsze grono niż do tajnej składnicy leków czy drugiego ujęcia wody. Wszyscy milczą. Na mój rozkaz dokooptujemy piątego członka szajki, tego chwata, co wcześniej, w gabinecie, wydał mi się podejrzany. Teraz mam pewność. Bowiem u wszystkich znaleziono papierzyska identyczne z jego szyfrowanym wydrukiem.

Nie rozmawiam z nimi. Dwóch każę wywlec, resztę zostawiam w ciemnicy.

– Skuć i zakneblować – rozkazuję. – Idziemy do Duchołapa.

– Komisarzu… Ale on jest tera w sekcji zamkniętej, Antona kazał już prowadzić…

– Antona odeślemy. To szczęśliwy dzień. Dla jego matki, przynajmniej tyle. A ta dwójeczka… Chcieli zepsuć święto, zajrzeć za kotarę mistycyzmu. Niech im będzie. Zajrzą. Gdyby nawet mogli, a wkrótce stracą tę zdolność, to i tak przecież nikomu nie pisną ani słówka.

***

To Jędrzej Duchołap wykoncypował Gusła. Dawno temu, w drugim roku po zajęciu Stacyi. Za punkt wyjścia obrał jakowyś swój narodowy poemat, którego pamięć przechowywał nawet po Zagładzie. Pewne rzeczy, rzekł, są nieśmiertelne i nie przemijają w obliczu atomowego ognia, wieloletniej zimy ani zmutowanej plagi. Jak choćby nadzieja i wiara. I hipokryzja, chociaż tego nie dodał. Zawsze był to osobnik pełen sprzeczności, ale daje się go łatwo podsumować: jest to arcymistrz samooszustwa i człek niezdolny do ujrzenia się w lustrze. Co o tyle może się wydawać dziwnym, że innych widzi na wskroś.

– Ach, ach, Komisarzu! – żacha się Duchołap na widok moich jeńców. Obok niego stoi Anton, ale on nie łapie w lot mych zamiarów. – Doprawdy! Wszystko już wyszykowałem, Anton jest gotów, pożegnał się ze swoimi…

Zbiornik napełniony, procedura gotowa do startu… Doprawdy…

– Anton – mówię. – Wio! Wracaj do matki.

– Komisarzu… Ja błagam… Ja chcę pomóc naszym, mi i tak Daria Pawłowna postawiła diagnozę, ja dwóch lat nie przeżyję. Ja chcę, chcę Guślarzem być…!

– Cisza! Zabrać go! I żeby siedział cicho, pod klucz tego niewdzięcznego bachora!

Ulżywszy sobie obsobaczeniem żołdaków i Antona, każę usadowić więźniów pod ścianą. Mają stamtąd widok na całe zaplecze Guseł. Co widzą? Zbiornik z hartowanego szkła, wpuszczony częściowo w posadzkę. Ostrą biel jarzeniówek. Garnitur szpryc. I widzą też Duchołapa, zafrasowanego i nucącego jakąś polską melodię, jak kręci się dokoła, sprawdza aparaturę i zamiata kurz swoim laboratoryjnym fartuchem. Tego się zapewne spodziewali – bezecnego oszustwa, zapudrowanej, banalnej prawdy. Chyba jednak nie cieszą się własną domyślnością.

– Hmm… Fiodorze… Jeśli ty któregoś z nich chcesz… Nie ma czasu na przebadanie, nie ma czasu na testowanie…

– Do gara z nim – odpowiadam.

– To ryzyko… Może się załamać, może powiedzieć nie to, cośmy ustalili na ten rok…

– Znaczy, co ustalili szacowni zmarli? Bywa i tak. Niech i nas zaskoczy wróżba, chociaż raz.

– Anton byłby dobrym… hm… medium, i podatny byłby na sensacje i supozycje…

– Nie gadaj no tyle. Dawać tego, o, po prawej! A ten drugi niech się patrzy! Do roboty, Duchołapie!

Guślarz nie bierze się znikąd. Guślarza tworzy Duchołap. Chociaż sam nazywa Gusła „dziedzictwem praszczurów”, to nieodzowna jest do kreacji pomoc nauki. Nasamprzód przerażony młodzik ląduje na stole operacyjnym. Zaciskają się pasy. Gdyby był to Anton, ochotnik,

przekonany o powadze swej zasługi, asystenci Polaka byliby ostrożniejsi. I udawaliby, aż do końca.

Strzykawki. Rozrobiony proch. Ucisk klamer. Zastrzyki na uspokojenie. Potem podłączenie do respiratora i zawleczenie szamocącego się pacjenta do zbiornika, do połowy wypełnionego srebrnawą mazią. Jej tafla jest płaska i spokojna, wygląda jak rtęć.

Zanurzanie widziałem wielokrotnie. Oglądam je co roku. Nie przeraża mnie więc widok spętanego i zatapianego w srebrze jeńca, którego podrygi burzą zawartość zbiornika. Gdy już zanurzyć się ma jego ściągnięta strachem twarz, naraz ciężkie płyty wysuwają się z podłogi, trzaska mechanizm, zbiornik zostaje opancerzony metalem. Z wnętrza nie dobiega żaden odgłos.

Pozostaje tylko czekać, aż nieszczęśnik zamknięty w dźwięko- i światłoszczelnej komorze pocznie słyszeć głosy. Niekoniecznie zmarłych.

– Deprywacja sensoryczna – zwracam się do drugiego, dalej zakneblowanego wywrotowca. – Odcięcie od zmysłów. Niegdyś używano siarczanu magnezu, teraz używamy tego, co tutaj zastaliśmy. Jakaś wojskowa mieszanka, jeszcze sprzed Zagłady. Jak widzisz, do… rytuałów… nie trzeba nam soli, zwierzęcych kiszek ani krwi dziewiczej. Starczy trochę narkotyków, cztery godziny w zbiorniku, poza światem i ciałem, a potem odrobina hipnotycznego programowania, aby otrzymać wróża. Co tak spozierasz? Dziwisz się, że oszustwo? Nie, raczej nie. Chyba zaskakuje cię, ile inwestujemy w naszego… wróża. Moglibyśmy przecież wziąć pierwszego z rzędu idiotę czy epileptyka. Mało jest takich? Mamy ich na pęczki. Ale nasz prestidigitator, ten właśnie Jędrzej, zaprawdę wierzy, że uda się przez zgwałcenie umysłu wydobyć z człowieka coś więcej. Coś spoza tego człowieka… Choć jeszcze się nie powiodło.

Jeniec zmoczył się – póki co tylko na twarzy.

– Premonicja – kontynuuję – czyli widzenie przyszłości, może będzie kiedyś możliwa. Mało to cudów-niewidów? Mało to dziwów? Niemało, ba,

bezlik! A badania same się, że tak powiem, finansują. Ot, Wielka Wróżba Ojczyźniana. To dopiero nazwa, hę? Ale pasuje! Metro to nasza mała ojczyzna, a przemawiają martwi ludzie z tej ojczyzny, co to była kiedyś na powierzchni… Chcesz coś rzec? Odkorkujcie go. Niech gada.

Ale więzień, o facjacie zatrwożonego królika, nie wydusza z siebie ani słowa.

– Nic to! – wzdycham. – Już ja sprawię, że zagadasz. Poznajesz?

Na widok papierzysk, zadrukowanych niby-losowymi ciągami znaków, tamten kręci głową. Zdradzają go oczy. Mamy jeszcze czas, a ja wiem, że mój monolog przerodzi się prędzej czy później w dialog. Podmioty – obiekty! – interrogacji zawsze traktuję podobnie: jak matrioszki, które należy oskubywać i obdzierać, aż dotrze się do ostatniego z ich wcieleń, tego najbardziej karłowatego.

Przenosimy się z przesłuchiwanym do przyległej kanciapy. Nie czekamy długo. Nie zdążę się zasapać, a jestem wszak słusznej tuszy, gdy młodziak poczyna sypać. Wypowiedziane przez niego słowo klucz odtajnia zaszyfrowane wiadomości. Czekam, aż któryś z moich zauszników przeliteruje powoli pierwszy akapit. Jest tam informacja o kontaktach, jakie mają za zadanie umożliwić infiltratorom wykonanie ich zwiadowczych i sabotażowych misji.

Mój asystent odczytuje po kolei nazwiska. Bolesne są dla mnie te rewelacje.

Od zawsze zachowywałem pozę Komisarza, co litości nie zna. Kiedyś, na początku, było w tym więcej udawania niż prawdy. Przecież nawet NKWD-ziści posiadali ludzkie twarze, z tym że żyli w większym, szerszym świecie. A na stacji, egzystując w tak małej socjecie, nie można przed jednymi udawać, a przed drugimi nie. Nie można grać choćby przed samym sobą. Trzeba posunąć grę do maksimum, tylko okazjonalnie pozwalając sobie na wybryki i łaskę, tak jak to uczyniłem z Antonem.

– D… – żołdak odczytuje następne imię. – …a… r… i… a…

– Starczy – przerywam. – Starczy! Sprawa jest jasna. Jeśli przynajmniej jeden z wyczytanych ma coś na sumieniu, to wszyscy skazani są na banicję…

– Łagodny wyrok – kręci nosem przysłuchujący się Polak. – Oj, Fiodorze, oj, za łagodny…

– …banicję w zaświaty. Byle odeszli w miarę po cichu i wszyscy razem. Przyprowadźcie mi Rodię.

– Wszyscy, Fiodorze…?

– Wszyscy. Nie mów mi tylko, że im mniej zostaje na świecie ludzi, tym rzadziej trzeba szafować śmiercią. O, nie. Przeciwnie. Bo skoro jest nas mniej, to więcej leży w gestii pojedynczego człowieka. I każdy oszczędzony, ułaskawiony wróg gotów jest powziąć zemstę. A zbyt niewielu mamy dobrych, pewnych ludzi, abyśmy nadstawiali ich karków.

Polak nie spiera się. Wraca do laboratorium, by doglądnąć swego dzieła.

A ja czekam na przybycie Rodii, wykonawcy mojego dzieła.

***

Pojmaniec spędza cztery godziny w nieważkości, odkrojeniu od ciała, bez bodźców czuciowych, w konfrontacji z własnym, płatającym mu figielki mózgiem.

Po tej czterogodzinnej wieczności wyławiają z komory topielca. Nafaszerowany prochami, rozstrojony i oślepły od owej mazi, poddaje się wszystkim zabiegom Duchołapa. Jest mu wsio rawno.

Jego bieda nie robi na mnie należytego wrażenia. Wiem, że wkrótce skończy się całe to cierpienie. Był tylko jeden, który wykazał się takim hartem ducha (jeśli miał jeszcze ducha), aby trzymać się życia długo po eksperymencie. I żył do tej pory. Wyrzutek, szaleniec – Parias. Mój dawny druh, współzałożyciel Stacyi, zdobywca guślarskiego sprzętu i jej pierwsza ochotnicza ofiara.

Uzmysławiam sobie, że nie znam imienia człowieka, którego przed

chwilą wyłowiono ze srebrnej zawiesiny. Zresztą furda z jego imieniem! Teraz został Guślarzem. Nie pierwszym. I, stety-niestety, nie ostatnim.

***

Mizerotę ze zbiornika powleczono już na scenę.

Siedzę na zapleczu, obok mam drugiego jeńca, zdezorientowanego, jakby sam ledwie co wyszedł z komory deprywacyjnej.

– Pewnie nie wierzysz – mówię do niego – w szukanie sposobu na kontakty z pozaświatem. Ja też nie wierzę. To obsesja Jędrzeja. Duchołapa, znaczy się. Ja widzę w Gusłach co innego. Szepniesz takiemu Guślarzowi, gdy jest odpowiednio przygotowany, kilka celnych słów i uwag, dasz mu trop, a będzie mówił, co zechcesz. Schodzą się tu ludzie z całego metra. W ten sposób możemy sterować nastrojami. Możemy dementować plotki, tworzyć inne. Wszystko tak, aby naszej Stacyi było lżej… Co? Nie o to chciałeś spytać?

– Gdzie… gdzie jest…?

– Twój koleżka? A tam. Na scenie.

– Czy wy… Złożycie go w ofierze, zamydlicie ludziom oczy…? Jak jacyś pogańscy kapłani…?

– Mydlić oczy będziemy. Ale ofiary? Starczy jedna, już odhaczona. Sam Guślarz.

– On Guślarzem…? On nie da się! Będzie walczył, jak zawsze…

– Nieważne, kim był twój druh. Po kadzi, prochach, hipnozie jest już nasz.

***

Guślarz rozpoczyna gusła.

Pierwsza wróżba jest rzygiem wizji, wypłukaniem szaleństwa z umysłu, kaskadą mętnych skojarzeń. Jest walką z nadmiarem bodźców, od których był nasz wróż odcięty.

Guślarz z przypadku wisi nad sceną jak mucha w pajęczynie. Dookoła pcha się ciżba. Guślarz zaczyna od warknięć i przeczyszczenia gardła. Potem wszystko toczy się siłą rozpędu. Obrazy, kłębiące się w jego otumanionym prochem i zabiegiem mózgu, przekładają się na kalekie słowa. Te jednak z czasem nabierają tak mocy, jak i znaczenia.

Ludzie słuchają. Guślarz mówi. Jak gdyby niepomny ich obecności.

– …płomienisko… w poblaskach ogniska… Drzewo, drzewo! Odwrócone…! Z koroną w dole, w otchłani, w ogniu! A my, my w korzeniach drzewa, w korzeniach piekieł, nas związano, zakopano, piekło spija z nas siłę, a tunele, tunele to witki, żyły takie, i krew nasza, krew nimi ciągnie w dół, dół, ciągle tylko w dół…!

***

Tak sobie myślę, że zły będzie ten nasz obecny rok, Anno Domini 2033. Podobnie muszą myśleć ci na zewnątrz, zasłuchani w apokaliptyczną perorę. Powinni się już przyzwyczaić. Chyba jednak wciąż liczyli na uśmiech losu i lepsze dni.

Mnąc w dłoni listę konspiratorów, kiwam głową Rodii. Stalker oddala się razem z moim zastępcą, który ma mu pomóc w identyfikacji celów. Czarną robotą zajmą się stalkerzy; ich obecność nie przepłoszy spiskowców.

Zły to będzie rok, powtarzam sobie, ale dla zdrajców i sprzedawczyków. A dobry dla całej naszej Stacyi, która oczyści się z tego tałatajstwa. Czystka, oto, czego nam potrzeba. Nie po reżimowemu wielka, niekoniecznie wedle sowieckich wzorów. Ale taka bez możliwości apelacji. Taka nieprzesiąknięta kumoterstwem. I taka, rzecz oczywista, pozbawiona wszelkiego pardonu.

***

– Guślarzu! – krzyczy Duchołap. – Rzekłeś, coś wyśnił! A teraz… Teraz niechaj przemówią przez ciebie zmarli!

– Zmarli…? – powtarzają usta Guślarza. Usta spierzchnięte i nadgryzione, skrwawione po wampirzemu. – Zmarli… Są, są… Tysiąc ich dokoła. Upchani, ściśnięci, jak te szczury wokół padliny… Zmarli, słyszę ich…!

Przez okręg przechodzi huragan szeptów.

– Słyszy!

– Mówić będą!

– Mówią zmarli…!

Guślarz, chudzielec na sznurach, kukła na scenie, majta całym sobą, rozwiera usta od ucha do ucha i wytrzeszcza niewidzące oczy.

– Słyszę! – zawył. – Słyszę zmarłych! Was, słyszę was!

***

Dymitr Stiepanowicz, pomocnik rusznikarza, ginie pierwszy. Stalkerski oddział uderzeniowy przyłapuje go samiutkiego w warsztacie, czekającego z bronią na swoich kamratów. Dymitr broni się. Niedługo. Wytwarzanie i konserwacja karabinów nie gwarantują strzeleckich umiejętności. Ani immunitetu na zatrucie ołowiem.

Przekonani, że lista nie jest podpuchą, stalkerzy idą dalej.

Siergiej, zwany Podczaszym, lokalny barman, co przyczłapał się niegdyś z którejś z upolitycznionych stacji, ginie jako drugi. Ujrzawszy Rodię na czele egzekutorów, podejmuje próbę usprawiedliwienia się. Czczy jest to wysiłek.

Stalkerzy są cisi. Niezauważeni. Nawykli do unikania wzroku potworów, tam, het-het, na powierzchni, i sami wiele zdążyli się nauczyć od zmutowanych myśliwych. Odhaczają kolejne pozycje na liście. Sprzątanie i kolekcjonowanie dowodów post factum zostawiają moim żołdakom.

I idą, idą dalej. Nie słyszy, nie widzi ich nikt.

***

– Zmarli… Słyszę ich… Słyszę ich…! Skrobią paznokciami o trumienne

wieka… Skrobią kikutami palców… Są nade nami i pode nami, są wszędy w ziemi i w popiele, i na wietrze, i w chmurach cmentarnych! Umarłych chceta słuchać…? Przecież wy sami jesteście jak umarli! Wy, wy zdechlaki! Ścierwa! Kojtnęliście, zginęliście, zeszliście w metro i zeszliście z tego świata! Głupi wy! Myśmy wszyscy są duchy! Naszymi krzyżami – szkielety wieżowców! Nagrobkami – chodnikowe płyty i asfalt jezdni! Żywcem jesteśmy pogrzebani – pogrzebani, a więc umarli! Wam już robale wyżarły oczy, lęgną się w oczodołach, dlatego nie widzicie, dlategoście ślepi na prawdę! O, łgarze! O, kłamcy…! O, naiwni…!

***

Daria Pawłowna ginie jako ostatnia. Jej nie zabijają na miejscu. Mogłaby się bowiem uszkodzić któraś z laboratoryjnych kadzi albo galerii fiolek. Wyprowadzona pod fałszywym pretekstem poza swoją pracownię, zdąży, jak sądzę, poczuć jeszcze zimno lufy na potylicy i trwający ułamek sekundy nacisk, ciężar rozpędzonej kuli.

U niej, o czym zawiadamiają mnie później podkomendni, sterani po dniu pełnym targania trupich klamotów, nie odnaleziono dowodów na kolaborację.

Niech jej podziemie lekkim będzie.

***

– …na Gusła przyszliście, przywlekliście się przez katakumby, coby słuchać tych, co odeszli, bo sami się boicie odejść, bo cykorzycie przed odejściem, boście wszyscy same tchórze! Próbujecie walczyć z grabarzami, potworami ich zwiecie, a przecie te mutanty, te dziwadła i straszydła, tylko porządek chcą przywrócić na cmentarzu! Was, was, niespokojne nieboszczyki, trzeba osadzić w grobach! Z pyłu powstaliście, a jak było na początku, tak będzie i zawsze! Jak być powinno, tako będzie, i nie pomoże wiercenie się w trumnie ani włóczęgi po nekropolii, ani wykopywanie się

z grobów! Wróżby? Macie swoje wróżby! Szpadel, ziemia, larwa! Czaszka, kość i krew! Dziurawa pierś, wyrwane serce! To wam pisane! Do mogił, bluźniercy! Do mogił, bezbożniki! Wody się wam zachciewa – wyście powinni gnić, w wodę zaśmierdłą się obracać! Grzybów, grzybów chcecie – spleśniejcie, jak wam pisane, a będzie wam dane! Do mogił! Po szpadla! Mogiły! Szpadla! Szpadlaaa…!

Guślarz drze się wniebogłosy, a tłum odpowiada szemraniem i pojedynczymi okrzykami, znacznie cichszymi. Za kulisami cały ten harmider, zlawszy się w kakofoniczny szum, nie porusza nikogo ze zgromadzonych. Poza jeńcem. Ten jednak robi dobrą minę do złej gry, której ostatnia partia zaczyna powoli świtać mu w głowie – dobrze wywróżył swoją najbliższą przyszłość, a więc nada się doskonale.

– Nie strzyma – stwierdza wracający do izby Duchołap. Zastrzygnąwszy uszami, z nutką niezadowolenia w głosie, dodaje: – Pęknie, słabeusz. Nie ścierpi do etapu osobistych wróżb.

– Przerwa – zarządzam. – Szto tak stoicie? Jazda na scenę, zdejmijcie go!

Żołdacy opuszczają kanciapę. Duchołap liczy coś na palcach, gada do siebie po polsku, recytuje chyba fragmenty tego swojego poematu. Uderzam naszego jeńca-podopiecznego w plecy. Jakbym w beton walił, taki on spięty. Młodziak, chociaż związany, podskakuje wysoko. Mimochcąc, traci kontenans, pot występuje mu na skroń, a serce terkocze karabinowymi seriami.

Nie mam zamiaru go uspokajać.

– Weźcie tego – mówię, a sam wstaję, nie spoglądając w jego oczy.

– Komisarzu, Komisarzu… Gospodi, pomiłuj…!

– Do mazi z nim!

Jeniec wierci się, ktoś zakłada mu knebel, na gest Duchołapa tragarze obłapiają przyszłego Guślarza i tarabanią ku komorze, a ich kroki bębnią głucho po podłodze.

– A ty, Duchołapie – mówię – dokończ, co zaczęte. Tegoroczne Gusła są

twoje… Zawsze były.

Jędrzej Duchołap, podniósłszy palec, kręci głową z powagą.

– O, nie – rzecze. – Nie, nie, Fiodorze. Nie wykręcaj się. Przecież oboje dobrze wiemy, że i Gusła, i Parias, że oba od zawsze były naszymi wspólnymi dziećmi. Nie wyprzesz się ojcostwa, Komisarzu, choćbyś bardzo chciał.

Chciałbym. Ale wiem, że gdybym mógł, i tak bym się nie wyparł. Za miłe są mi z ojcostwa korzyści.

Mogę tylko przymknąć oczy i odwrócić wzrok. Nie ja pierwszy.

Na Stacyi mamy więcej niż jednego ślepca.

***

Odmaszerowuję pustymi korytarzami. Cichnie peronowy gwar, łagodnieje drżenie podłoża, znikają zaduch i ciepło bijące od setki ciał. Nie słyszę już ni przemów, ni szeptania przejętej ciżby. Tunel bocznicy podzwania ciszą, czerń rozjaśnia jedynie powolne tętno niedomagających sepiowych lamp. Docieram do barykady na końcu odnogi, za którą kryje się lity mur. Wzniesiony został u początku mej kadencji, kiedy jeszcze więcej czasu poświęcałem ochronie naszej Ojczyźnianej Stacyi niż czerpaniu zysków z koniunktury na zabobon. Zluzowawszy z warty zaskoczonego żołdaka, zasiadam na chybotliwym taborecie. Ręce opieram o kaleki trójnogi stół i kiwa się tak mebel, jak i ja. Punktowy reflektor bije w nierówny i zruszony upływem lat mur, w ścianę, którą odgrodziliśmy się od nieznanego, z dwojga złego wybrawszy diabły znane, bo ludzkie.

Spiskowcy złapani, inni zabici. Wszystko poszło po mej myśli. Jak zwykle, jak co dzień od dwudziestu lat, kiedy przychodzi do spraw bezpieczeństwa Stacyi. Spowszedniały już te triumfy. Jakiż spolegliwy ten podziemny świat! Aż chciałoby się upadku, upadku innego niż podupadły, znudzony duch. Mogiły i szpadla…

Naraz, jak na komendę, pojawia się jeden z najpierwszych diabłów. Ofiara całopalnego rytuału, przodownik naszego stacyjnego okultyzmu. Na pozór wyłania się znikąd. Myszkował zapewne po wentylacji i kanałach, którymi chadza i pełza jedynie on sam. Zatrzymuje się u stóp barykady. Przekręcam reflektor. Światło bije prosto w szkliste oczy, wybiela żółtawą twarz. Parias, wyczuwszy ciepło i blask, zadziera łeb. I szczerzy się szeroko, szczerze, próchniczo. Rozpoznaje mnie – może po ciężkim oddechu, może po alkoholowej woni, może po grzechocie orderów, które sam sobie nadałem – i rozpoznaje we mnie swojaka. Gdyby nie dotknęła go ślepota, zobaczyłby to, czego odbicie widzę w jego oczach ja. Zobaczyłby drugiego pariasa, tylko dla niepoznaki odświętnie ubranego i dostatnio odżywionego, zabalsamowanego latami u władzy i spijaną z tego tytułu śmietanką.

W tym zacisznym zakątku, na rogatkach Stacyi, przez chwilę jest nas dwóch – para nędzników i mizerotów. Potem Parias szczęka zębami, chichocze z głębi gardła i hyca w bok, poza światło, gdzie wtapia się w cień. Siadam ciężko na zydlu – drewno pojękuje i grozi pęknięciem – po czym zwracam się ku stacji. Czekam. Wróżby nie skończą się prędko. Póki starczy sił młodemu idealiście, temu Guślarzowi z łapanki, póki nie spróchnieje mu mózg, a myśl nie zbłądzi na manowce, gdzie zawodzi język, będzie mówił i mówił, będzie snuł niestworzone opowieści, będzie gawędą obłąkańca udzielał błogosławieństw czołobitnemu audytorium, będzie plótł i plótł, a już głowa słuchaczy w tym, aby zakasawszy rękawy, z bajora bełkotu i nonsensu wydestylować placebo, aby w rwącym potoku bzdurzenia złowić panaceum na własną biedę.

Bieda, Pani Tuneli: różne wmawiano mi jej definicje. Różne czytałem rzeczy. Że bieda nas jednoczy i zrównuje – bądź przeciwnie, że każda bieda inna i każdy jest biedny na własny sposób. Opinii nie mam. Ja jeden patrzę na spektakl nędzy i rozpaczy z góry i wiem, że nie dotknie mnie on po kres mego jaśniepańskiego życia.

I oto jest moja bieda.

1–7 sierpnia 2015

Anna Wołosiak-Tomaszewska | Hexengrund

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Jednostajny szum zlewał się z głuchym, jakby stłumionym głosem morza. Beata przymknęła oczy i delikatnie poruszyła pokrętłem radia, drugą dłonią przyciskając do ucha słuchawkę. Wciąż jednak łapała jedynie ciszę. Westchnęła i obróciła nieco antenę. Znów wsłuchała się w milczenie eteru.

– Masz już dość? – odezwał się w końcu Czyżyk, który od dłuższej chwili wpatrywał się bezmyślnie w odrapaną ścianę.

Beata potrząsnęła głową, ale w ramach podziękowania za troskę posłała mężczyźnie uśmiech.

Nie był od niej dużo starszy – może pięć, może siedem lat. Ale przy radiostacji usiadł chyba zaraz po wszystkim, jak tylko urządzili się w tunelu. Na początku to było tylko hobby – sposób na zajęcie jakoś ośmiolatka, żeby czas spędzany pod ziemią mu się nie dłużył. Czyżyk jednak uczynił z tego hobby sztukę. I, tak jak zwykle się ze sztuką dzieje, dorobił do niej ideologię, którą zaraziła się reszta. Beata, jako najmłodsza w grupie, miała go kiedyś zastąpić.

– Dość tego – wtrącił ryży zniszczony człowieczek, który siedział oparty o stertę pordzewiałych, porzuconych w kącie szyn. Czarny skafander był dlań zdecydowanie za luźny. Maska przeciwgazowa zniekształcała głos, ale i tak dało się dosłyszeć niski, łagodny tembr. – Beata, puść Czyżyka. Zakładaj maskę i rękawice. Twój ojciec mnie zabije, jak zaczniesz nam świecić.

Dziewczyna, choć z ociąganiem, wykonała polecenie.

– Powinniśmy mieć komplet dla każdego – mruknął przy okazji Czyżyk, przejmując od niej słuchawki.

– Ale nie mamy – odparł tamten, wzruszając ramionami. – Powinniśmy też mieć warzywa w diecie i co z tego?

Zbliżała się północ. Przetaczające się po niebie chmury nieustannie groziły deszczem, przed którym nie mogły ochronić resztki murów, wystrzępione przez czas i upstrzone nieregularnymi otworami po oknach. Wilgoć zbierała się w załomkach spękanego betonu i na końcówkach sterczących fragmentów stalowego szkieletu budowli. Wokół pachniało zgnilizną. Otaczające torpedownię czarne lustro wody przywodziło na myśl raczej morze smoły aniżeli poszarpany roziskrzonymi falami Bałtyk, o którym Beacie opowiadał ojciec.

W ogóle nic na powierzchni nie przypominało ojcowskich opowieści.

Pułkownik z nieobecnym wzrokiem odmalowywał przed córką błękit nieba pociętego chmurami kondensacyjnymi myśliwców, głęboką zieleń morza, wiatr, który niósł zapach soli – a kiedy Beata pierwszy raz wyszła z tunelu, zastała tylko chorobliwie poskręcane, pokryte sinymi naroślami konary, twardą, spękaną ziemię i budzące ciarki miauczenie na granicy słyszalności.

Od tamtego wyjścia minęło co prawda trochę czasu i Beata nauczyła się, że na powierzchni jest więcej, niż zdawało się na pierwszy rzut oka – wciąż jednak wyglądało zupełnie nie tak, jak się spodziewała.

Czyżyk odgarnął włosy i założył słuchawki.

Widać było, że żyje radiem. Kiedy tylko siadał przy antenie, urywał się z nim wszelki kontakt. Kiedyś jeszcze Beata próbowała do niego zagadywać podczas dyżurów takich jak ten, ale w końcu tego poniechała. A Czyżyk przymykał oczy i wsłuchiwał się w głuchy szum jak w najpiękniejszą muzykę. Miało się wrażenie, że nawet nie chce niczego więcej tam usłyszeć – jakby ewentualne sygnały, których przecież szukali,

miały jedynie popsuć mu tę harmonię trzasków i przemilczeń.

– Podobno Robert dopadł dziś kota? – napomknęła Beata, nie mogąc znieść nużącej ciszy.

Szymon odetchnął przefiltrowanym powietrzem i zwrócił do dziewczyny ledwie widoczną zza porysowanych szkieł maski twarz.

– Dopadł – potwierdził po chwili.

– U nas, w tunelu? Czy jak zbierał drewno?

– U nas – w głosie Szymona odbiło się napięcie.

Kot w tunelu nie zwiastował niczego dobrego. Albo ktoś nie dopilnował domknięcia wszystkich wejść, albo celowo go przemycił – tylko po co? Do eksperymentów? Jedyną osobą z tego typu zacięciem naukowym był Szymon, a on z kolei panicznie bał się mutacji. Nigdy nie dopuściłby do tego, żeby któryś z tych stworów wdarł się na teren ich azylu.

– Źle, że zrezygnowaliśmy z trzymania straży – stwierdziła w końcu Beata.

– Źle. A kto miałby ją trzymać? Twój ojciec czy może któreś z nas? A Czyżyk siedziałby tu sam, bo przecież to tylko kilometr od tunelu? – ofuknął ją rudzielec.

– Oj dobra, tak tylko mówię… – wycofała się.

– Tak. Wszyscy „tak tylko mówią”. A na co komu takie gadanie? Skupmy się na problemach, które możemy rozwiązać, a nie…

– Dobra już, dobra. Co cię ugryzło? – Beata wzruszyła ramionami i zamilkła.

Przez chwilę milczał również Szymon, ale w końcu odparł:

– Nie wiem, jak długo utrzymam twojego tatę. A Majka z Robertem nie są zbyt pomocni. Jak zabraknie Staszka…

Nie odpowiedziała. W ogóle straciła ochotę na rozmowy.

Wiedziała, oczywiście, że jej ojca czeka rychła śmierć. W razie gdyby mieli wątpliwości co do tego, czy na powierzchni wciąż jest szkodliwe promieniowanie: tak, jest. Najlepszy dowód na to leżał w tej chwili na

pryczy w ziemiance pod tunelem, z głębokimi poparzeniami, krwawymi plamami na całym ciele, niemal już ślepy i rzadko kiedy przytomny. Z tego ostatniego akurat się cieszyła – przynajmniej nie zauważył, że przestała do niego zaglądać. Po prostu nie mogła się przemóc. Na początku jeszcze go odwiedzała, siadywała przy pryczy i w milczeniu spędzała całe godziny. Już nie potrafiła. Czuła się z tego powodu okropnie, jak wyrodna córka, która nie chce być przy ojcu w jego ostatnich dniach, ale to przeżarte chorobą ciało budziło w niej niemożliwe do pokonania obrzydzenie.

– Prześpij się. Za jakiś czas będziemy ruszać – zaproponował Szymon, kiedy Beata ziewnęła po raz któryś z kolei.

Potrząsnęła głową, wkrótce jednak poczuła, jak oczy same jej się zamykają.

– Coś ty robiła wczoraj? – zdziwił się rudzielec.

Wzruszyła ramionami.

– Ogarnij się, dziewczyno. Nie masz pięciu lat – dorzucił karcąco tamten, choć bez większego przekonania.

Zbyt dobrze pamiętał własne dzieciństwo, kiedy biegał boso po plaży, wspinał się na drzewa, a do poniemieckich tuneli wchodził tylko po to, żeby pozwiedzać, poczuć dreszczyk emocji i schować się przed dorosłymi. Beata nie miała takich luksusów. Czuł się jak ostatnia świnia, kiedy wyrywał jej jakąś starą książkę, z którą schowała się pod kocami, żeby czytać, gdy powinna była spać. Ale tak trzeba. Nie mogli być zmęczeni, na pewno nie przed wypadem do torpedowni. Wiedźmy tylko na to czekały.

Czekały na ich błąd.

– Idź spać – powtórzył, tym razem bardziej kategorycznie.

Beata nie miała siły się sprzeciwiać. Mrucząc coś pod nosem, zwinęła się na śpiworze, wsadziła plecak pod głowę i zapadła w lekki, urywany sen.

– Coś słyszę!

– Jak to…?

– Naprawdę! Słyszę! Chodź!

Poruszenie i nerwowe szepty, które od lada impulsu mogły wybuchnąć w pełne ekscytacji krzyki, wybudziły Beatę. Przecierając oczy knykciami, usiadła, po czym zamrugała i przechyliła głowę jak ptak.

– Co się dzieje? – zapytała tępo, z trudem przyzywając z otchłani snu własną świadomość.

– Słyszę! – szepnął Czyżyk.

Jego oczy lśniły gorączkowym blaskiem, a twarz zdawała się jaśnieć. Towarzysze nigdy go takim nie widzieli, ale kiedy do Beaty dotarł w końcu sens jego słów, przestała się czemukolwiek dziwić. Poderwawszy się ze śpiwora, przypadła do radiowca i wpiła mu paznokcie w ramiona.

– Daj posłuchać! To oni?! To naprawdę oni?!

Usiłowała wyrwać słuchawki Szymonowi, który akurat z przymkniętymi powiekami wsłuchiwał się w odległe piski, ten jednak zdążył zrobić unik i syknął karcąco.

– Ciszej – upomniał Beatę Czyżyk. – Zaraz dostaniesz.

– Ja powinnam weryfikować! Przecież to moje zadanie! Dajcie mi!

– Uspokój się, bo odłączymy radio, zanim będziesz miała okazję – radiowiec przybrał srogi wyraz twarzy. – Nie przeszkadzaj.

Beata naburmuszyła się. Nie cierpiała, kiedy traktowali ją jak głupią gówniarę. Przecież nie była byle kim! Jej rodzina od pokoleń zdobywała przestworza! Jej pradziadek był w kosmosie! Płynęła w niej ta sama pionierska krew – krew, która nie lubiła stagnacji. Dziewczyna w końcu jednak posłusznie znieruchomiała i umilkła.

W końcu starszy z mężczyzn powoli skinął głową. Jego nieobecne spojrzenie błądziło między towarzyszami a nieregularnymi otworami okien w zrujnowanych ścianach. Niemal bezwiednie wyciągnął rękę ze słuchawkami, które dziewczyna natychmiast mu wyrwała, i szarpiąc się z maską, usiłowała założyć.

– To oni! To naprawdę oni! – zawołała wreszcie, nim ktokolwiek zdążył

zakryć jej usta.

– Sza! – ofuknął ją Szymon.

– Wiecie, co to znaczy? – Beata zdawała się w ogóle nie słyszeć rudzielca, ale jednak zniżyła nieco głos. – To wszystko się skończy! Popłyniemy z nimi do miejsca bez wiedźm i bez kotów! Będziemy żyć normalnie, na powierzchni!

Czyżyk, kiedy tylko udało mu się odzyskać słuchawki, usiadł na swoim miejscu przy radiu i przełączył na nadawanie. Przez chwilę w skupieniu słał niesłyszalne dla ludzi w torpedowni sygnały w stronę morza. Nagle jednak przestał i gwałtownie zamrugał. Odwrócił się do obserwujących go Szymona i Beaty.

– Co się stało? – zapytał lekarz.

– To… to nie działa – odparł Czyżyk, marszcząc czoło.

– Jak to: nie działa?

– Normalnie. Nie ma sygnału.

Czyżyk wstał i zaczął przyglądać się radiostacji: najpierw tak po prostu, obejrzał z boków, po chwili jednak przyklęknął za urządzeniem i grzmotnął pięścią w obudowę. Śruby najwyraźniej dość dawno już przerdzewiały, bo blacha drgnęła i odchyliła się – wystarczyło mocniej szarpnąć.

– Miną nas! – jęknęła Beata, rzucając błagalne spojrzenie Szymonowi.

– Nie miną – wtrącił młodszy z mężczyzn zza urządzenia. Przez moment milczał, ale wreszcie wstał i westchnął. – Są daleko. Płyną w naszym kierunku, dość powoli. Wieczorem wciąż będą w zasięgu.

– Co się stało? – zapytał lekarz.

– Może czas. Może promieniowanie. Nie wiem. Nie nadamy w tej chwili niczego – odparł Czyżyk. – Wracajmy do siebie. Wieczorem Robert weźmie narzędzia. Może uda mu się to ogarnąć. Świta.

– Wieczorem? – stęknęła ze zrezygnowaniem Beata. – Musimy czekać do wieczora?

– Nie mamy wyjścia – westchnął Szymon.

– Może puśćmy flarę?

– I ściągnijmy tu wszystko, co się chowa po kątach w całych Babich Dołach? Oszalałaś? – Lekarz pokręcił głową. – Do tunelu. Natychmiast.

– Ale… ale czy wy wiecie, o czym my tu mówimy?! To „Orzeł”! – Beata po raz kolejny podniosła głos, ale natychmiast się zmitygowała i umilkła, unikając wzroku Szymona.

Ten zaś pokręcił tylko głową i ścisnął palcami nasadę nosa.

– Nie wiesz, czym był… czym nadal jest dla ludzi „Orzeł” – zaczął, ale dziewczyna gwałtownie mu przerwała:

– Oczywiście, że wiem! To nasze zbawienie!

– Nie masz pojęcia – uciął doktor. – To wszystko jest starsze niż ty. Starsze, niż w ogóle potrafisz ogarnąć wyobraźnią. Nie pouczaj nas, czym jest „Orzeł”. Wiemy to lepiej od ciebie.

– Nieprawda – warknęła Beata przez zaciśnięte zęby.

– Ruszajmy, robi się coraz jaśniej – wtrącił Czyżyk.

– Ja zostaję – oznajmiła dziewczyna, krzyżując ręce na piersi.

Niestety, z poleceniami pozostałych członków grupy nie było dyskusji.

W bladej poświacie szarzejącego nieba towarzystwo zaczęło pakować manatki. Czyżyk przykrył radiostację połataną plandeką i siatką maskującą, której rogi przycisnął kamieniami. Nie było sensu taszczyć sprzętu ze sobą – nigdy tego nie robili. Wiedźmy nie umiały się dostać do torpedowni, a złodziejów przestali się obawiać wiele lat temu.

Początkowo było ich więcej. Paręset metrów na południe ocalała grupa w podobnym tunelu przeciwlotniczym jak ten ich. Ludzie ukryli się też w magazynach torped i montowni – wszędzie, gdzie się dało. A jeszcze dalej, raptem o kilka kilometrów, znajdował się przecież potężny schron przeciwatomowy. Gdyby mieli więcej czasu, sami na pewno usiłowaliby do niego dotrzeć. Korytarzami schronów poorane były też tereny stoczni i portu. Gdynia wydawała się gotowa na każdą okoliczność. Można było sądzić, że to wszystko to tylko przejściowe trudności. Że gdynianie

przeczekają, a potem wyjdą na powierzchnię i będą dalej prowadzić normalne życie.

Po prostu nie docenili przeciwnika.

Zresztą może rzeczywiście na Morskiej albo w G-321 przeżyli ludzie. A może nawet dostali się do legendarnego magazynu broni na Słowackiego. Tak naprawdę każda z tych opcji wydawała się równie realna. Cóż z tego, skoro do żadnego z tych miejsc nie dało się dostać, by przekonać się o prawdziwości tych historii?

Mieszkańcy tunelu, w którym dorastał Czyżyk, na początku robili wypady w stronę potencjalnych schronisk ludzi. Nieopodal znaleźli zdeformowane, okrwawione ciała. Zabrali parę latarek, prowiant i leki – i więcej nie zapuszczali się na południe. Tym bardziej że to z południa nadciągnęły później wiedźmy.

Ten drugi tunel był gorszy, płytszy. Wydawało się, że różnica niewielka, ale jednak wystarczyła. A jego mieszkańcy okazali się głupcami. Usiedli i czekali, aż wszystko przejdzie. Na szczęście towarzysze Czyżyka mieli Staszka. Pułkownika, jak nazywali go wszyscy poza Szymonem. Pułkownik od razu wziął sprawy w swoje ręce. Kazał kopać pod tunelem przestronną ziemiankę, która z czasem rozrosła się na kilka odnóg i sal, gdzie dwie rodziny mogły wieść względnie normalne życie. Mieli też pomieszczenia na hodowlę szczurów i uprawę grzybów. Staszek osobiście zapuszczał się do bazy wojskowej. Kiedy przytargał trzy skafandry i dwie maski, mogli zacząć chodzić grupami. Początkowo planowali stworzyć stałą ekipę zajmującą się szabrem, ale szybko okazało się, że jest ich za mało na taki podział – każdy musiał od czasu do czasu wychodzić na powierzchnię i przynosić łupy. Zresztą nikogo to nie dziwiło – wszyscy mieli gotowość do akcji we krwi. Wszak nie tylko rodzice Beaty byli wojskowymi. Mai i Roberta Górskich też. I Czyżyka. Tu każdy był żołnierzem albo krewnym żołnierza. Nawet wiedźmy – tylko że ich żołnierze zginęli i kobiety zostały same: wdowy, matki, córki. Pozostawione na pastwę promieniowania.

Takie były Babie Doły.

Dla Beaty, za młodej, by pamiętać wcześniejsze czasy – taki był świat.

– Gotowi? Biegiem… – szepnął Szymon, machnąwszy ręką.

Ostrożnie, starając się nie hałasować, zsunęli się po drabinkach linowych wzdłuż omszałych, sczerniałych kesonów i z pluskiem wylądowali w mulistej, sięgającej kolan wodzie – radioaktywnej zupie, w którą przeobraził się Bałtyk. Nawet wiedźmy się jej obawiały, a koty nie zbliżały się w ogóle do plaży. Dlatego właśnie torpedownia była, paradoksalnie, bezpieczna.

Póki szli dnem Bałtyku, nie groziło im nic oprócz promieniowania. Niemniej żadne z nich nie lubiło tej trasy. Może to coś w głuchym morzu, szumiącym ponuro za nimi, a może poszarpany, odarty do gołego betonu kształt torpedowni na tle siniejącego nieba napawał dziwną, podskórną grozą. W każdym razie Beacie przebiegały ciarki po plecach, ilekroć rozglądała się wokół. Ilekroć odrywała wzrok od nieco przygarbionych pleców prowadzącego ich Szymona.

Dziewczyna powstrzymała odruch przeczesania palcami krótkich popielatych włosów – miała na sobie przecież maskę. Zamrugała, kiedy pot spłynął jej na powieki.

Nie odzywali się. Cisza wokół nich stawała się tym gęstsza, im bardziej zbliżali się do brzegu.

Czyżyk zdjął z ramienia sztucer i odciągnął kurek.

W końcu z porannego półmroku wyłoniła się brunatna pofalowana linia plaży. Piach przemieszany z popiołem i zmutowanymi porostami tworzył plamiastą burą mozaikę. Ciężkie wojskowe buty żłobiły w pyle głębokie ślady.

Teraz czekało ich najgorsze pół kilometra.

Lepka breja mlaskała pod podeszwami, a sine porosty ciągnęły się za ludźmi przyczepione do sznurówek. Poskręcane, pokryte czarnymi naroślami drzewa były coraz bliżej. Nagie konary plątały się ze sobą

nawzajem, tworząc nieprzepuszczające światła sklepienie nad wąską ścieżką. Z pęknięć w korze kapała oleista ciecz i układała się w połyskliwe zacieki na pniach. Choć ją korciło, Beata doskonale wiedziała, że nie wolno ich dotykać. Odrobina tej mazi na rękawicach i koty by nie odpuściły. Wywęszyłyby wszędzie.

Nagle nieopodal dał się słyszeć przenikliwy świst i coś z wizgiem przeleciało tuż koło ucha Czyżyka, wbijając się głucho w piach. Mężczyzna kątem oka dostrzegł ruch między drzewami i przypadł do ziemi. Jego śladem poszła Beata, szarpiąc się z zapięciem plecaka, wewnątrz którego miała ojcowskiego wista.

– Cholerne wiedźmy – syknął Szymon przykucnięty już w przydrożnych krzakach. – Na mój znak.

Policyjny glock splunął ogniem.

Wiedźmy padały na ziemię z przenikliwym skrzekiem. Na ich miejsce niemal natychmiast wyrastały kolejne. Czarna posoka buchała z rozdartych trzewi, bryzgała na piach i na drzewa. W panującym wokół zgiełku Czyżyk cudem usłyszał szelest gałęzi nad głową i odwrócił się w ostatniej chwili, by niemal z przyłożenia zdjąć kolejną stworę. Rozległ się wrzask, a potem zwłoki bezwładnie osunęły się na piach.

Zapadła cisza.

– To wszystkie? – szeptem spytała Beata.

– Nie – odparł Szymon. – To był tylko zwiad. Jeszcze nie pojawiły się kociary.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz.

Słyszała o kociarach, ale zawsze jej się wydawało, że można je spotkać raczej w głębi lądu, a nie tak blisko wybrzeża.

Wkrótce nerwowe miauczenie poniosło się po plaży. Okryte łachmanami brunatne sylwetki zielonookich wiedźm wyłoniły się spomiędzy drzew, nikt jednak nie atakował.

– Biegiem na mój sygnał – polecił Szymon.

W ostatniej chwili puścili się pędem przez las. W miejscu, w którym tkwili przed sekundą, teraz krążyły pokraczne, krzywonogie i przerośnięte kocury, rozdzierające świt miauczeniem. Nie kręciły się tam zresztą zbyt długo. Złapawszy trop, natychmiast rzuciły się w pogoń.

Były szybsze od ludzi – o wiele szybsze.

I właśnie wtedy od południa, czyli od strony tunelu, rozległ się warkot silnika i zaraz jakaś czarna postać wyłoniła się z półmroku, jedną ręką trzymając kierownicę wojskowego motocykla, drugą zaś – armatkę wodną.

Słup wody wystrzelił w kierunku kotów. Smagnął zwierzaka stojącego najbliżej i cisnął nim w drzewo – jak szmacianą lalką. Pozostałe stwory z wrzaskiem odskoczyły, nie zważając na wściekłe pokrzykiwania wiedźm. Chwilę krążyły, prychając i jeżąc szczeciniastą sierść, ale wyraźnie straciły bojowy zapał. Niektóre tarły się łapami po uszach, usiłując strząsnąć z siebie pojedyncze krople. Kiedy strumień uderzył w kolejnego kota, reszta gwałtownie odskoczyła i rozpierzchła się między drzewa.

– Robert! – zawołał z ulgą Czyżyk.

Nie przypuszczał, że tak się ucieszy na widok dryblasa, za którym nawet nie przepadał. Ten zaś zsiadł z motocykla i zsunął z twarzy szalik.

– Słyszeliśmy strzały z daleka. Pewnie zresztą nie tylko my. Zmiatajmy stąd – powiedział, po czym gestem polecił Szymonowi wsiadać na maszynę. – Nie rżnij teraz bohatera, doktorze – dodał, kiedy rudzielec próbował oponować.

W chwilę potem ruszyli w dalszą drogę.

Za drugim załomem tunelu Szymon rozstał się z pozostałą dwójką i po nierównych schodkach zszedł głębiej. Beata wiedziała, że oddalił się, by odwiedzić jej ojca. Była wdzięczna, choć nigdy nie poruszyła tego tematu.

– Co tam się działo? – zapytała Majka, wychylając się z oddzielonego szmacianym parawanem odcinka tunelu. Jakimś cudem potrafiła wyglądać, jakby wciąż była na wakacjach: w błękitnej rozkloszowanej sukience i z rozpuszczonymi kasztanowymi lokami nie pasowała do tego miejsca.

Tylko chorobliwa bladość wskazywała na to, że jednak Majka należy do tej samej rzeczywistości co pozostali mieszkańcy tunelu.

– Kociary – odparł Robert, ściągając szalik.

Zamknąwszy za sobą potężne żelazne drzwi, sprowadził po schodach motocykl i oparł go o ścianę.

– O tej porze?

– Mniejsza o kociary! – przerwała im Beata, kiedy wreszcie odsapnęła po biegu. – „Orzeł” się zbliża!

Czyżyk rzucił pełne wyrzutu spojrzenie dziewczynie, która jednak nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Na jej twarz wypłynęły rumieńce, a dłonie trzęsły się z ekscytacji.

– Oho, ktoś tu miał ciekawe sny – rzuciła ze śmiechem Majka.

– Głupia jesteś – naburmuszyła się Beata.

– Młoda, uważaj na słowa, co? – wtrącił Robert, wchodząc pomiędzy dziewczyny.

– Wszyscy uważajcie – zirytował się Szymon, który w międzyczasie musiał wrócić od pułkownika. – Zachowujecie się jak pajace. Zapalcie światło i dajcie coś zjeść, o wszystkim jeszcze zdążymy porozmawiać.

Zgodnie z sugestią lekarza – a raczej pielęgniarza, który z braku konkurencji pełnił w tunelu funkcję doktora – ludzie rozeszli się do swoich obowiązków.

Czyżyk oddalił się za kolejny załom tunelu, gdzie tuż pod jednym z szybów mieściło się jego biurko. Po raz pierwszy miał prawo przy nim usiąść i wpisać do skrupulatnie prowadzonego dziennika informację o odebraniu sygnału. Całe życie na to czekał. W końcu mógł złapać ołówek i notować: data, godzina rozpoczęcia nasłuchu, częstotliwość sygnału przychodzącego… To było coś! To mógł naprawdę być on! Czyżyk próbował panować nad emocjami, ale przecież to naprawdę mógł być on – na którego czekał niemal dwadzieścia lat, a tacy jak pułkownik czy doktor – nawet więcej. Dużo więcej. Na którego czekała cała Gdynia przez niemal

wiek!

Beata poszła za Majką do aneksu kuchennego, urządzonego w wydzielonym kolejnymi parawanami odcinku, gdzie otwierał się na powierzchnię drugi szyb. Zazwyczaj był zamknięty, jednak w razie potrzeby zapewniał wentylację, której nie było w pozostałych częściach tunelu.

– Poważnie mówiłam – podjęła, kiedy obie usiadły na taboretach i zaczęły obierać grzyby. – Czyżyk usłyszał. A potem my. Sygnał nie znika. Próbowaliśmy nadawać, i dupa.

Maja zmarszczyła czoło. Nóż w jej dłoni połyskiwał odbitym światłem zawieszonej pod sufitem latarki. Długie cienie kładły się na podłodze i zimnych, nierównych ścianach.

Beata czasem zastanawiała się, jak wyglądało życie ocalonych w prawdziwym przeciwatomowym schronie, a nie takim biednym tunelu jak ten. Pewnie mieli normalne jedzenie i ogrzewanie. Prawdziwe łóżka, a nie legowiska z tego, co udało się wyszabrować na początku. I światło. Na pewno mieli jasno jak w dzień. Tutaj pułkownik kazał oszczędzać. Czasem przyświecali sobie latarkami czy lampami naftowymi, ale częściej palili ogniska, a wtedy każda nierówność na ścianie urastała do czarnego widma zaczajonego na betonie, rozchichotanego i roztańczonego.

– Jeśli to naprawdę „Orzeł”, będę pierwsza, żeby ucałować kapitana i powitać go chlebem i solą. Choćbym miała ten chleb upiec z grzybów – odpowiedziała w końcu Majka. – Ale nie cieszmy się jeszcze. Niech chłopcy naprawią radiostację. Wszystko się okaże. Nie ma sensu teraz siać histerii, skoro nic nie możemy zrobić.

– No, wiem, wiem. – Beata przewróciła oczami i wrzuciła grzyb do garnka. – Ale sam fakt, że sygnał…! Pierwszy raz! W ogóle myślałam o tym. Gdyby się udało nawiązać kontakt. Ciekawe, gdzie mogliby nas zabrać.

– A jeśli nie znają takiego miejsca? Jeśli nie ma żadnej ziemi obiecanej?

– W najgorszym razie zamieszkaliby z nami. Wiesz, ile by mogli opowiedzieć? Te wszystkie lata…?

– Zamieszkaliby z nami? – Maja uniosła brwi. – Co ty gadasz? Zagryźlibyśmy się tutaj. Już teraz nie jest lekko.

– Wykopałoby się kolejne pomieszczenia tam niżej. – Beata wzruszyła ramionami.

– I myślisz, że ktoś by chciał opuścić mobilny okręt, żeby zamieszkać w norze?

Zapadła chwila milczenia, podczas którego słychać było tylko głuche pacnięcia kolejnych grzybów o ściankę garnka.

– Trzeba nadać sygnał, zanim się oddalą – powiedziała w końcu Beata, wstając ze stołka.

– Pogadamy o tym po jedzeniu. Rzucaj szczury na ruszt, już robię sos.

Łyżki stukały o blaszane talerze, a ognisko wypełniło wąskie pomieszczenie pełzającymi cieniami. Na posiłek stawili się wszyscy – oprócz pułkownika. Przebrani z czarnych grubych mundurów i skafandrów, w których robili wypady do torpedowni, wyglądali niemal normalnie. Patrząc na nich, przez krótki moment można by pomyśleć, że to zwykła, duża rodzina, która zebrała się na wspólnym obiedzie, by opowiedzieć sobie, co kto przeżył w szkole albo w pracy, a potem wrócić do swoich spraw: może spotkać się ze znajomymi, a może obejrzeć coś w telewizji. Od czasu do czasu przerzucali się nad ogniem pojedynczymi zdaniami, z rzadka błysnął czyjś uśmiech. I tylko nienaturalne milczenie niemowlęcia leżącego w kocach między Majką a Robertem sprawiało, że w tę niemal sielankowa scenę wkradał się dziwny niepokój. Przeczucie, że tu w rzeczywistości wszystko jest nie tak.

– To co robimy? – zapytała Beata, która skończyła jeść jako pierwsza. Odłożyła talerz i obciągnęła sweter.

– Teraz pójdziemy spać. A wieczorem sprawdzimy, czy nadal tam jest – odparł Szymon, jeżdżąc ostatnim kawałkiem mięsa po dnie talerza

w poszukiwaniu resztek sosu.

– Nie chcę spać. Trzeba się spieszyć! – zaoponowała dziewczyna. – Czyżyk, powiedz coś!

Radiowiec nie miał ochoty niczego mówić. Nie zamierzał opowiadać się po żadnej ze stron. Nie chciał konfliktów, chciał słuchać morza. I tego, co tam jest – i co zechce z nim porozmawiać. Owszem, bardzo chętnie by pobiegł już teraz do torpedowni. Nadał sygnał, czekał, aż to coś w jego głowie znów go zawoła. To coś, co ciągnęło z czarnej głębiny. Ale doktor miał rację. Raz: musieli się przespać. Dwa: i tak teraz kolej Majki i Roberta. Trzy: nie mogli robić wypadów w dzień. Nie dość, że dodatkowo polowałoby na nich zmutowane ptactwo, to jeszcze słońce… oślepliby w jednej chwili. A zresztą Szymon dowodził, i tyle. Nieoficjalnie, oczywiście, tak jak nieoficjalnie dowodził pułkownik, ale był najstarszy. I najlepiej wykształcony. Po prostu był szefem.

– Jesteś beznadziejny – mruknęła ze zrezygnowaniem Beata, widząc brak reakcji Czyżyka. – A powinno ci zależeć, nie? Chyba po to tam siedziałeś!

Nawet nie miała pojęcia, przemknęło przez myśl chłopakowi. Nie miała pojęcia, jak mu zależało. I ile go kosztowało zachowanie spokoju, kiedy ona paplała wciąż i nieustająco o jego – jego! – odkryciu.

– Jest rozsądny – uciął Szymon. – Idź spać.

– No, chyba żartujesz – w słowach Beaty więcej było zaskoczenia niż oburzenia. – Nie mam dziesięciu lat. Nigdzie nie idę.

– Słuchaj doktora – wtrącił Robert zduszonym głosem, nie chcąc budzić dziecka, które wreszcie zapadło w płytki, niespokojny sen. – Co się z tobą dziś stało?

– Nic się nie stało! Możemy się stąd wyrwać, czy wy nic nie rozumiecie?!

– Ciszej! – syknęła Majka, wziąwszy małego na ręce.

Beata pokręciła głową, prychnęła coś jeszcze pod nosem, ale w końcu posłusznie zeszła na niższy poziom, gdzie znajdowały się chłodne, ciemne sypialnie.

– Będą z nią kłopoty – orzekł ponuro Robert.

Kiedy pułkownik zapadł na zdrowiu, Szymon poczuł się w obowiązku zastąpić go w drugiej grupie wypadowej. To oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko to, że chodził do torpedowni zarówno z Beatą i Czyżykiem, jak i Majką oraz Robertem. Choć próbowali go powstrzymać i przetłumaczyć, że nie może się tak narażać, pozostawał nieugięty. Jak stereotypowy lekarz, dbał o wszystkich wokół, samemu pozostając spektakularnym przykładem zdrowotnej ruiny. Promieniowanie wyciskało na nim coraz wyraźniejsze piętno, podobnie zwykły brak snu. W końcu zresztą pozostali dali mu spokój. Najwyraźniej niektórzy ludzie po prostu tak byli skonstruowani, a próby ocalenia ich na siłę nie dawały szczęścia ani ratownikom, ani ratowanemu.

Toteż od dawna nikt nie protestował, kiedy Szymon wstawał jako pierwszy, robił obchód tunelu, jadł resztki kolacji z poprzedniego dnia, zaglądał do pułkownika, a wreszcie spotykał się z pozostałymi przy wyjściu, by ruszyć z nimi w radioaktywną noc.

Tak było i tym razem. Maja z Robertem stali już gotowi, w czarnych grubych kombinezonach, swetrach i wojskowych butach. Maski przeciwgazowe ukrywały większość twarzy, ale po latach mieszkańcy tunelu nauczyli się czytać oblicza za wizjerami równie bezproblemowo jak bez nich. Teraz oboje nie potrafili w żaden sposób ukryć ekscytacji, która udzieliła im się na myśl o możliwym nawiązaniu kontaktu z ORP „Orzel”.

Właściwie nikt już nie umiał powiedzieć, czy naprawdę spędzili te wszystkie lata, wierząc w wielki powrót okrętu, czy zajęli się nasłuchem tak po prostu, żeby mieć jakieś zajęcie i żeby się nie wymordować w drugim roku wspólnego życia. Czyżyk wierzył – ale to był on: trochę dziwny dzieciak, który sporo przeżył i ktoś się musiał nim zaopiekować. Dzieciak, który niewiele mówił, ale był świetnym słuchaczem.

– Nie ma Beaty – oznajmił teraz, podchodząc do trójki szykującej się do

wyjścia.

– Co znaczy: nie ma? – zapytał Szymon w połowie zapinania kurtki.

– No… że nie ma.

– W łóżku?

– W tunelu.

– Sprawdzałeś?

– Nie, tak se gadam.

– Może zaszyła się w jakimś kącie?

– A może poszła nadać sygnał – zasugerował Czyżyk, ucinając dalsze zgadywanki.

Wszyscy wiedzieli, że tak właśnie musiało się stać.

– Idziemy – zarządził natychmiast Szymon. Podszedłszy do wyjścia, zobaczył właściwie już tylko to, czego się spodziewał: skobel odsunięty, kłódka na podłodze.

– Idę z wami – oznajmił twardo Czyżyk.

– Zostajesz ze Staszkiem – polecił lekarz i delikatnie pchnął drzwi, które uchyliły się bez oporu.

– Nie zostaję. Idę z wami.

Było nie było, Beata miała go zastąpić. Czuł się za nią odpowiedzialny, choć zdarzały się chwile – wcale niemało – że sam wepchnąłby ją wiedźmom w łapska. Ale dziewczyna rozumiała tę robotę. Nie mógł teraz siedzieć z niemowlęciem i konającym pułkownikiem.

– Dobra, mam was dość – jęknęła w końcu Majka. Z westchnieniem ściągnęła maskę i wepchnęła ją Czyżykowi w dłonie. – Chcesz, to idź. Nie mam siły z wami walczyć, jesteście wszyscy jacyś dziwni. A ja mam dziecko. Tym lepiej dla mnie, że zostanę.

Zeszła na niższy poziom, a zaraz za nią podążył Robert, oddając po drodze maskę Szymonowi.

– No dobrze – westchnął rudzielec. – Zadowolony? Idziemy.

Tym razem wiedźmy trzymały się z daleka. Może pamiętały ostatnie

spotkanie albo po prostu polowały akurat gdzieś indziej – grunt, że mężczyźni bez przeszkód dotarli do plaży, gdzie znów czekało ich pół kilometra brnięcia przez bałtyckie pomyje, by następnie wspiąć się po drabince do torpedowni.

– Beata! – zawołał zduszonym głosem Czyżyk, podciągając się po raz ostatni i stając wśród murów. – Beata, jesteś tu?

Odpowiedziała mu cisza. Przez chwilę stał bez ruchu. Nie udało mu się złowić żadnego dźwięku, który by zdradzał obecność dziewczyny. Wszedł nieco głębiej na teren budowli, aż w końcu zbliżył się do okrytej plandeką radiostacji i zerknął na kamienie.

Wyglądały na nietknięte.

A on coraz wyraźniej słyszał szept z głębiny.

– Wcale tu nie dotarła – skwitował matowym głosem.

– Myślisz, że dopadły ją wiedźmy…? – zapytał Szymon, zatrzymując się parę kroków za Czyżykiem i omiatając wzrokiem pozostałości głównej hali.

Ten skinął głową i jął ściągać siatkę.

– Co robisz? – zdziwił się doktor.

– Spróbujemy nadać sygnał.

– Teraz? Oszalałeś?

– Skoro już tu jesteśmy, to czemu nie?

– Bo szukamy Beaty, na Boga! – Szymon chciał nerwowo przeczesać włosy, jego dłoń trafiła jednak na pasy maski. Z westchnieniem opuścił rękę.

– Jeśli nie dotarła tutaj, to one ją mają – odparł Czyżyk. – A jeśli ją mają, to już po wszystkim. Nie ma sensu się narażać. Załatwmy najpierw to. Może ci, którzy nadają, zdołają nam pomóc w poszukiwaniach?

– Nie ma mowy, chłopcze – oznajmił lekarz kategorycznym tonem, tak niepasującym do jego naturalnego sposobu mówienia. – A ja dopiero co powiedziałem, że jesteś rozsądny! Zostaw natychmiast tę maszynerię

i idziemy dalej. Może ukryła się w lesie.

Szymon schodził już po drabince, kiedy zauważył, że Czyżyk jednak nie podążył za nim.

– Zostaw radio, i tak nie masz narzędzi! Za mną! – zawołał.

Przez jakiś czas panowała cisza. W końcu z torpedowni rozległ się pełen zrezygnowania głos radiowca:

– Idę!

– Nie znaleźliśmy jej – oznajmił Czyżyk, kiedy już opadł bez sił na stary fotel, z którego wszystkimi szwami wyłaziła sparciała gąbka. Majka przestała kołysać dziecko i westchnęła, jakby właśnie potwierdziły się jej najgorsze obawy. Robert przechadzał się po wąskim tunelu z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni dżinsów papierosa, by po chwili zastanowienia schować go z powrotem.

– Gdzie doktor? – zapytała w końcu szeptem Maja.

Czyżyk milczał, ale wyraz jego twarzy mówił dostatecznie dużo. Kobieta zacisnęła usta w wąską kreskę i, jakby dla odwrócenia czymś własnej uwagi, zaczęła nerwowo, niemal zamaszyście kołysać niemowlę. Z urwanych sylab można się było domyślić, że usiłuje śpiewać mu kołysankę. W końcu zeszła do piwnicy.

– Wiedźmy? – spytał Robert, który wreszcie się zatrzymał. Stał teraz oparty plecami o ścianę i wbijał ponure spojrzenie w podłogę. To były za duże straty jak na jedną dobę. Zresztą, jak mieli powiedzieć o tym pułkownikowi? Przecież chodziło o jego córkę i przyjaciela!

– Kociary – odparł w końcu Czyżyk, po przeciągającej się chwili ciszy. – Poszliśmy do torpedowni, ale Beaty tam nie było. Chyba nigdy tam nie dotarła. Wróciliśmy więc szukać jej w lesie, potem na osiedlu. – Zamilkł na moment, zaraz jednak podjął zdławionym głosem: – Osaczyły nas na Dedala. Wiesz, jak tam jest. Szkielety bloków w równym szeregu. Nie ma gdzie się ukryć, nie ma zaułków. Pewnie… pewnie powinniśmy wejść do środka.

– Nie – przerwał mu Robert. – Dobrze zrobiliście. Nie wolno do środka. Zginęlibyście obaj.

Po raz pierwszy padło to słowo – „zginąć”. Mężczyźni zamilkli przytłoczeni jego ciężarem. Teraz już nie było sensu kontynuować tematu. Wszystko jedno, co się stało i jak do tego doszło. Bo oni zginęli. Nie żyli. Nie dało się już niczego naprawić, odkręcić, uratować. Należało zapomnieć i przynajmniej spróbować żyć dalej. Chociaż rok, dwa. A najlepiej tyle, żeby dziecko dało sobie radę samo. Chociaż z dwanaście lat. Prośba o nie to przecież niewiele, z perspektywy kogoś, kto ma lat trzydzieści.

– Co my teraz zrobimy?

Nie zauważyli, kiedy Majka wróciła z dołu i przycupnęła na podłodze. Teraz jej pytanie zawisło między nimi i nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Choroba pułkownika była strasznym epizodem. Ale następowała stopniowo. No i, jakkolwiek nieprzytomny i okaleczony, oficer nadal żył. Kołysał się nad krawędzią, ale wciąż jej nie przekroczył. A jego obowiązki, również stopniowo, przejmował Szymon. Pozwalał się oswoić z sytuacją.

Teraz nie mieli takiego luksusu.

– Nie będzie więcej zabawy w radio – postanowił nagle Robert, wyjmując wreszcie wymiętoszonego papierosa i zapałki. – Minimalizujemy wychodzenie na tyle, na ile to możliwe. Mamy tu jedzenie i studnię. Musimy opracować plan zabezpieczenia sobie kawałka terenu, na którym będziemy uprawiać parę krzaków na drewno na opał.

Czyżyk rzucił mu nieprzeniknione spojrzenie, ale nie odezwał się.

A więc zaczął dowodzić, tak? – myślał powoli i spokojnie. A więc pan Górski postanowił zastąpić pułkownika i doktora? Teraz przyszedł czas na pana niedoszłego politologa?

Radiowiec wstał i zdjął ze ściany sztucer, następnie zaś po prostu chwycił skrzynkę z narzędziami, otworzył skobel i wyszedł na zewnątrz, nim którekolwiek z pozostałej dwójki zdążyło zaoponować.

Szedł równym, szybkim krokiem, mrużąc oczy w szarzejącym świcie.

Prędko pokonał trasę do plaży. Kesony torpedowni obmywały czarne leniwe fale, zostawiając po sobie smugi porostów.

Czyżyk jął się wspinać ku górze. W połowie wysokości minął Szymona, który wciąż tkwił tak, jak go radiowiec zostawił: z szyją oplecioną sznurem, posiniały i nieruchomy.

Zdarłszy z radiostacji sieć i plandekę, Czyżyk przystąpił do pracy.

Wzywały go.

Wzywały coraz głośniej, umysły bez mięsa, uwięzione w stalowym potworze. Słyszał ich krzyk. Ich rozkaz. Na dnie żołądka odczuwał ich głód i rozżalenie.

A potem zaczął nadawać – długie sygnały, które nie przypominały w żaden sposób alfabetu Morse’a, ale które stanowiły jakąś bardzo konkretną, celową kombinację.

Aż w końcu w czarnej toni Bałtyku wyłonił się kształt – monumentalny, oblepiony pąklami i wodorostami. Cichy jak sama śmierć, sunął wprost na torpedownię, gdzie Czyżyk wciąż nadawał.

Po ledwie wystającym pomoście nawigacyjnym nie dało się powiedzieć, czy to w istocie „Orzeł”. Ale Czyżyk czuł, że to, co kryje się wewnątrz, co go od kilku dni przyciąga i wzywa, radykalnie odmieni życie ludzi na wybrzeżu.

Ilona Podgajna | W ludzkiej skórze

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Umieramy. Może już jesteśmy martwi. Światła w podziemiach gasną. Ludzie kopią głębiej. Granice człowieczeństwa majaczą na horyzoncie, widać ogień i słychać nieludzkie jęki, wżerające się w zlęknione serca. Głuche, przytłumione dźwięki, niczym bębny wzywające na wojnę. Nie uratujemy się. Nie tym razem.

Ludzie kopią głębiej. Głębiej. Jesteśmy już w piekle?

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie.

Były wszędzie. Ich pazury wielkości ludzkiej dłoni skrobały zawzięcie w szybie wentylacyjnym i opuszczonych magazynach. Chrobotanie wielu niosło się jednym echem, jakby zespolone w potężny sygnał, zwiastujący śmierć. Szła długim tunelem skąpanym w gęstej, nieprzeniknionej ciemności. Pogłos jej kroków płynął daleko, cichnąc dopiero w odległych, pustych korytarzach. Oświetlenie awaryjne dawno przestało działać, nie było widać światła w oddali, czegokolwiek dającego nadzieję, że za kilka godzin nadejdzie pomoc i to wszystko się skończy. Wiedziała, że nikogo tu nie ma. Ci, który przeżyli, dawno uciekli. Odeszli. Nawet nie przyjdzie im do głowy, że została tu sama. Na ziemi wciąż zalegała krew, wszystko było wilgotne i nieprzyjemne.

Latarka nad lufą automatu dzielnie odpędzała mrok ale wiedziała, że baterie są już na wyczerpaniu. Podobnie jak ona sama. Czuła przenikliwe

zimno, miała na sobie tylko roboczy kombinezon i cienką, wysłużoną kurtkę. Światło drgało niespokojnie, muskając rozgałęzienia kabli zwisające z szybów, zardzewiałe rury i stare, porzucone beczki.

Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy i przyspieszyła kroku. Oczy szczypały ją i piekły, broń ciążyła w dłoniach, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Zmęczenie powoli i delikatnie kładło się na jej barkach, mroczyło umysł i spowalniało wątłe ciało. Szeptało, by usiadła na chwilę, przespała kilka godzin, by przywrócić siły. Nie. Nie mogła tego zrobić. Do przodu popychała ją wciąż złudna nadzieja, że po drodze w końcu na kogoś trafi. Kogoś żywego. Jeśli nie, to będzie oznaczać, że Włodarz się poddał. To, że sto osiemdziesiąt osób mogło umrzeć jednej nocy, było czymś, czego nie mogła sobie nawet wyobrazić.

W tunelu dało się słyszeć przeciągłe zawodzenie. Zatrważająco ludzkie i nieludzkie równocześnie. Zwolniła, by uspokoić oddech, i obejrzała się za siebie.

– Jesteś tchórzem, Petra – szepnęła, słysząc, jak ów szept znika gdzieś daleko, wraca ze zdwojoną siłą i znów cichnie.

Echo jest zdradliwe, powinnam milczeć. Przyspieszyła, z trudem unosząc wyżej automat.

Czuła dreszcze, przesuwające się po kręgosłupie, była pewna, że coś za nią idzie. Bez pośpiechu i niecierpliwości, jakby wiedziało, że i tak ją dopadnie. Pytanie tylko kiedy to się stanie. I czy będzie cierpieć przed śmiercią. Ile ma jeszcze czekać?

Kątem oka dostrzegła cienie przemykające pod ścianą. Wiedziała, że to nie szczury. Szczury już dawno stąd pouciekały.

– Petra…

Usłyszawszy cichy szept tuż przy uchu, zatrzymała się tak nagle, jakby niespodziewanie dobiegła na skraj przepaści. Oblizała spierzchnięte wargi i zmrużyła oczy, chcąc dostrzec choć odrobinę więcej, niż pozwalała jej latarka. Cichy głos podświadomości podpowiadał, że ma halucynacje. Bo

co innego? Przecież jej ojciec nie żyje. Jak może szeptać jej imię, skoro go tu nie ma?

– Petra…

Po prawej dostrzegła ruchomy cień. Przez ułamek sekundy widziała zarys postaci. Wysoką, postawną sylwetkę, ubraną w znajomą kurtkę stalkerską z naszywkami, które bardzo dobrze pamiętała. Mogłaby natychmiast przywołać historię na temat każdej z nich.

To niemożliwe, pomyślała. Uspokój się, chcą cię nastraszyć. Umarli nie wracają. Idziemy dalej, byle się nie zatrzymywać.

Drżącą dłonią wytarła spocone, rozpalone czoło. Lodowate dłonie ochłodziły nieco skórę, pomogły oprzytomnieć.

Wtedy zobaczyła je. Wyłaniały się z ciemności stopniowo i płynnie, niczym ogromny statek widmo, dryfujący po przeklętych wodach. Jakby odklejały się z czerni, rodziły się w tej właśnie chwili. Ludzie. Nieludzie. Upiory.

Kiedy widzi się coś takiego po raz pierwszy, umysł próbuje znaleźć sensowne wytłumaczenie. Zdarzało się, że ludzie wybuchali śmiechem, tuż przed tym, jak byli rozrywani i pożerani żywcem.

Strach zacisnął swą kościstą dłoń na jej gardle, ale nie zamierzała się poddać. Uniosła broń.

Zaatakowały jednocześnie, w świetle latarki dostrzegła trzy wykrzywione ciemnoskóre sylwetki pędzące w jej stronę. Nie zastanawiając się, wypuściła długą serię z karabinu. W tunelu zapanował chaos. Zdołała postrzelić dwoje z nich, pozostałe pociski odbijały się od ścian lub znikały w ciemności. Ranne mutanty krzyczały jak zarzynane świnie, które hodowali we Włodarzu. Potem ucichły i znieruchomiały.

Gdy automat wypluł zawartość magazynka, zapadła cisza.

Petra rozglądała się, czekając na ostatnią bestię. Czyżby bydlę dało za wygraną? Dobrze, to był jej ostatni magazynek. Ostrożnie podeszła do zabitych mutantów. Wpatrywały się w nią martwe, wielkie ślepia,

pozbawione białek, jak szklane oczy lalek. Ich skóra przypominała wprawdzie ludzką ale długie kończyny zakończone szponami i dwie pary nóg nie pozostawiały wątpliwości. Tych stworzeń nie można było nazwać ludźmi.

W tym momencie zaatakował trzeci.

Nim zdążyła odskoczyć, przygniótł ją swoim cielskiem. Karabin wypadł jej z rąk, latarka zgasła. Ostre zęby wbiły się w jej rękę, zawyła z bólu i wściekłości. Gdyby latarka działała, zobaczyłaby ostre pożółkłe kły, zbliżające się do jej twarzy. Ujrzałaby oczy wypełnione ciemnością niczym otchłań, w której znika się bezpowrotnie.

Nagle jednak stało się coś dziwnego. Usłyszała strzał, huk natychmiast ją ogłuszył. Nie widząc niczego, bezskutecznie próbowała wstać. Wiedziała, że powinna uciekać, ale nie miała już sił. Walczyła ze sobą jeszcze chwilę, aż otoczyła ją ciepła, dająca ukojenie ciemność.

***

Powoli budziła się z dziwnego otępienia. Czuła na twarzy przyjemne ciepło i przez chwilę myślała, że jest we Włodarzu, cała i zdrowa. Zaraz obudzi ją Kostek, trzeba iść do roboty. Stalkerzy nigdy nie mają wolnego, ciężka fucha…

Poczuła zapach dymu, otworzyła oczy. Nie. To nie był jej dom. Leżała na jakimś śmierdzącym materacu, niedaleko ogniska. Była obolała i głodna, poparzone dłonie okropnie ją szczypały, pewnie wdało się zakażenie. Ścierpły jej nogi, a w plecy wbijały się nieznośnie sprężyny materaca.

Rozejrzała się. Mały posterunek, wydzielony blachą, wypełniony był gęstym półmrokiem. Ognisko rzucało cień na prowizoryczne ściany, tworząc dziwne, wywołujące niepokój cienie.

Dotknęła dłonią rozpalonego czoła. Ktoś opatrzył jej rany na dłoniach, zobaczyła zabandażowane palce i starannie wykonany opatrunek w miejscu, gdzie ugryzł ją mutant. Wzięła głęboki oddech, policzyła do

pięciu. Z trudem podniosła się i usiadła na brzegu posłania, na darmo wypatrując swojej broni.

I wtedy dopiero dostrzegła postać, która siedziała po drugiej stronie ogniska.

W pierwszej chwili wydawał się jej nieprawdziwy, tak nieprawdziwy jak fantastyczne postacie z książek, które czytał jej ojciec. Młody mężczyzna o ostrych rysach twarzy patrzył na nią dużymi, dziwnymi oczami, w których odbijał się teraz blask ognia. Miał długie, ciemne włosy, zaplecione w liczne warkoczyki z wplecionymi kapslami od pepsi. Był ubrany jak żołnierz, w ciemne wojskowe spodnie, szary podkoszulek i glany. Na umięśnionych ramionach widziała liczne wzory tatuaży, ciągnące się niemal do przegubów obu dłoni, była jednak zbyt daleko, by je rozpoznać lub odczytać. Na szyi zobaczyła pobłyskujący nieśmiertelnik.

Siedzieli tak chwilę i patrzyli na siebie. Ogień rzucał wesołe iskierki w ciemność.

– Uratowałeś mi życie – powiedziała w końcu dziewczyna, nie wiedząc, od czego zacząć. – Jestem Petra.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując rząd białych, równych zębów z nienaturalnie długimi kłami. Był to ten rodzaj uśmiechu, który zmusza do zadania sobie ważnego pytania: czy ten człowiek jest szalony?

– Kim jesteś? – zapytała, czując rosnącą ciekawość.

– Jestem duchem – usłyszała w odpowiedzi.

Zmarszczyła brwi. Miał niski, głęboki głos. Przyprawiał o ciarki, ale jednocześnie wydawał się ciepły jak czuły szept.

– Niewiele mi to mówi – mruknęła pod nosem.

– Mam pytanie – odezwał się nagle. Kapsle we włosach zadzwoniły cicho. – Czy tam, skąd pochodzisz, nie rosną czasem kwaśne jabłka?

Petra westchnęła. Widocznie trafiła na jakiegoś odludka, który po kilku latach w odosobnieniu zaczyna tracić kontakt z rzeczywistością.

– Kim jesteś? Nie drwij ze mnie.

– Jestem Chachar. Ale wy nazywacie mnie…

– Włóczykij – szepnęła Petra i zamilkła.

Historie o Włóczykiju krążyły po całym kompleksie Riese. Niesamowite historie. Dla jednych był zjawą stalkera, który widział cuda, dla innych bajeczką, którą wciskali młodzieży, by nie pałętała się po tunelach nocą. Włóczykija widziano w Górach Sowich, na Łysym Wzgórzu, nawet w Walimiu, gdzie panami byli poganie. Widział wiele? Na pewno. Choć wyglądał niezwykle młodo, nie mógł mieć mniej niż trzydzieści lat.

Dotychczas Petra była pewna, że to bujdy. Teraz zaskoczenie nie pozwalało jej mówić i przez długą chwilę milczała, przypatrując się żywej legendzie. Po co miałby kłamać? Choć zawdzięcza mu życie, ostrożności nigdy za wiele.

– Powiedz mi, Petra, gdzie my właściwie jesteśmy?

– Gdzieś między Soboniem i Osówką – odparła niepewnie. Sama nie wiedziała, gdzie ją przytachał.

– Hm… nie pamiętam, żebym chciał tędy iść. Cóż, Włóczykij znów zaszedł za daleko. Nogi niosą, a w sercu muzyka.

Petra omal nie uszczypnęła się w rękę, by sprawdzić, czy to tylko sen. Co ten facet wygaduje? Nic z tego nie rozumiała.

– Jeśli chcesz, pokażę ci mapę – zaproponowała.

Krwistoczerwone oczy Włóczykija rozbłysły.

– Uwielbiam mapy!

Ostrożnie podniosła się z materaca i wyciągnęła z kieszeni starannie złożony kawałek papieru. Zbliżyła się do mężczyzny i usiadła obok na plandece. Poczuła dziwny zapach. Nie umiała go nazwać, ale był przyjemny.

Skąd ty się wziąłeś, Włóczykiju?

Chachar z zainteresowaniem przyglądał się bunkrom. Petra długo nie mogła oderwać od niego wzroku, ale w końcu spojrzała na mapę.

Zawsze, gdy studiowała plany, raziła ją wielkość tego miejsca. Olbrzym.

Kompleks Riese. Ostatnia nadzieja Hitlera. Pomyśleć, że Niemcy uratowali nam życie, co za ironia.

Petra wodziła wzrokiem po mapie. Zwróciła uwagę na starty napis „Soboń”, kompleks wysunięty na południowy zachód. Sztolnie i hale były dosyć rozległe, liczni katolicy zadomowili się tam na dobre. Mieli swój kościół i księży, liczbę przykazań zwiększono do dwudziestu, a grzeszników kamienowano jak za dawnych czasów.

Straszne mieli teraz zwyczaje ci chrześcijanie.

Najdalej na północ trwały nadal Jugowice Górne, była już siedziba naukowców i inżynierów. Bunkry zasypano, a szkoda, bo kompleks wykuty w masywie Chłopskiej Góry był bajecznie zabezpieczony. Podwójne drzwi hermetyczne, włazy, mieli nawet komory dekontaminacyjne. Tamtejsza ludność wynosiła siedemdziesiąt pięć osób. Rok temu, w nocy z trzeciego na czwarty listopada, populacja spadła do zera. Petra nie znała szczegółów, ale gdy stalkerzy zdołali w końcu dostać się do kompleksu, zastali tam coś strasznego.

– Dlaczego zaznaczyłaś Walim na czerwono? – zapytał nagle Włóczykij. – Znalazłem tam uroczy zakątek w dolinie.

– Chyba żartujesz. Tam mieszkają poganie. Nikt nie chodzi do Walimia.

– Byłaś tam kiedyś?

– Nie. Ale ojciec mi opowiadał, że w Rzeczce dzieją się chore rzeczy. Poganie składają ofiary z ludzi. Ponoć jedzą ludzkie mięso, uważając się za wcielenia starych bogów. Co się tam wyprawia…

– Na pewno nie są gorsi od faszystów – zauważył Włóczykij. – Nie byli zbyt uprzejmi, chcieli mi poobcinać warkoczyki. Dokąd zmierza ludzkość?

– Podobno szukają poniemieckich skarbów.

– Szukają, owszem – przyznał Chachar. – Ale na skarby trzeba uważać, strzegą ich bowiem różne stworzenia. Czasem potężniejsze od najwspanialszych niemieckich karabinów, znalezionych w sztolniach… A ty skąd jesteś?

Petra spojrzała na największy punkt na mapie, do jej przekrwionych oczu napłynęły łzy.

– Kompleks Włodarz – odparła cicho. – Już go nie ma. Nic już nie ma.

Włóczykij spojrzał na Petrę, ich oczy się spotkały. W powiększonych źrenicach, wypełnionych ogniem kryło się szaleństwo. Coraz mniej przypominał teraz człowieka.

– Opowiedz mi – szepnął.

– Dwa dni temu we Włodarzu pojawiły się mutanty. Przyszły w nocy, zaatakowały posterunki od strony wschodniej. Ktoś musiał otworzyć im pierwsze drzwi, nim zawył alarm, zdołały przedostać się do dwóch sztolni. Ludzie wpadli w panikę, żołnierze w pośpiechu biegali z bronią. Natychmiast dołączyłam do pozostałych stalkerów bronić głównej hali, wiedzieliśmy, że pierwsza i tak padnie. Słyszeliśmy krzyki i wołanie o pomoc. Czuliśmy smród palonego mięsa, smród śmierci…

Przerwała, zdając sobie sprawę, że jej dłonie zaciśnięte w pięści, sinieją. Rozluźniła je i dopiero wtedy poczuła ból.

– Co było dalej? – zapytał Chachar.

– Przyjaciel wysłał mnie do Osówki po pomoc. Kompleksy są bardzo blisko siebie, biegnie się tam może z dziesięć minut. Nie chciałam ich zostawiać, ale rozkaz to rozkaz, pobiegłam. W Osówce poprosiłam ludzi, żeby poszli ze mną bronić Włodarza. Naczelnik tymczasem kazał zamknąć wejście do tunelu. Hermetyczne drzwi, grube ma trzy metry, nieużywane od czasów drugiej wojny światowej. Już nie słyszeliśmy krzyków, tylko ciszę. Osówka zostawiła tych ludzi na śmierć. Odczekali pięć dni i wypuścili mnie z automatem i butelką wody. W tunelu leżały zmasakrowane ciała. Stworzyliśmy tu sobie własne piekło, Włóczykiju.

– Inne bunkry powinny wam pomóc. W końcu to kompleks, wszystko się tu łączy tunelami.

– Pomóc? – prychnęła cicho. – W razie zagrożenia wszyscy się zamykają. Tu nie ma serdeczności i honoru, zginęła na powierzchni dwadzieścia lat

temu wraz z milionami niewinnych ludzi. W Nowym Świecie istnieje jedna zasada: rób tak, żeby tobie było dobrze, inni mogą zdychać.

– Dlatego nie lubię ludzi – szepnął Włóczykij. – Co teraz z tobą będzie, stalkerko?

– Chyba najlepiej będzie, jak pójdę do Głuszycy. To mały kompleks, mam tam znajomego.

– Idę z tobą – powiedział nagle Włóczykij, wstając z posłania. Wziął się pod boki i uśmiechnął drapieżnie. – Zawsze chciałem zobaczyć, jak to mrowisko wygląda od środka.

Petra zawahała się. Cichy głos rozsądku ostrzegał, ale serce czuło otuchę na myśl, że nie pójdzie tam sama. Chachar wyciągnął rękę w jej stronę. Petra uśmiechnęła się i podała mu dłoń.

– Dziękuję, Włóczykiju.

– Może znajdziemy po drodze twoich przyjaciół. Komuś mogło się udać.

Petra chciała w to wierzyć. Bardzo chciała.

***

Bezsilność może pożreć cię żywcem. Może rozprzestrzenić się po całym umyśle, zatrzeć dobre myśli i strzępy nadziei, tlące się gdzieś na dnie twojego robaczywego serca. Mówią, że ludzie sami sobie gotują taki los.

Petra mogła znieść wszystko. Była córką najlepszego stalkera w Riese. Tego, który zginął bohatersko podczas misji, zostawiając ją samą. Musiała znieść presję, gdy wszyscy spodziewali się kolejnej bohaterki Włodarza. Musiała dawać z siebie więcej, wyciszyć wątpliwości i pokonać strach. Zniosła to wszystko. A teraz bezsilność wdarła się do jej serca, do jej głowy i nie chciała odejść. Petra od dawna nie czuła się tak strasznie. Ostatnim razem było tak źle, gdy zmutowane psy dopadły Szymona na powierzchni.

Był w ich zespole taki Szymek, osiemnastoletni, ambitny, poszedł z Petrą i Kostkiem na pierwszą misję. Gdy rutynowo szukali czegoś na przehandlowanie, zaatakowało ich dwumetrowe szare bydlę z dwoma

ogonami. Widziała, jak bestia odgryza jej towarzyszowi twarz. Widziała, że Szymek był jeszcze przytomny, gdy to coś masakrowało jego ciało. Obiecała przecież, że będzie go pilnować. Obiecała jego matce, której nigdy więcej nie spojrzała już w oczy.

Nie mieli szans, by go uratować, o mały włos sami staliby się ofiarami tego potwora. Kiedyś mutant był pewnie zwyczajnym kundlem, ale w Nowym Świecie, w nowej rzeczywistości wszystko jest odmienne. A zmiana w tym przypadku nie jest niczym dobrym.

– Mówiłaś coś, Petra?

Ciepły głos Włóczykija odgonił straszne myśli. Gdyby nie mała lampa naftowa, którą trzymał, szliby w zupełnych ciemnościach.

Kroki i ruchy Chachara były miękkie i ostrożne, podobnie jak jej własne. Dziewczyna poprawiła na ramieniu pasek karabinu maszynowego, który podarował jej nowy towarzysz. Nie miała pojęcia, skąd dorwał taką broń, ale nie zamierzała zadawać na razie tego typu pytań, a tym bardziej odmówić przyjęcia prezentu.

Włóczykij miał zwykłą strzeblę i kuszę zawieszoną na plecach. Petra nie widziała takiego cudeńka i była bardzo ciekawa, jak się tym strzela.

– Dlaczego musimy iść tak powoli? – zapytała najciszej, jak się dało. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Głuszycy, ale jemu jakoś się nie spieszyło.

– Nie musimy, ale lepiej być ostrożnym. Jakoś mało tu mutantów. Za cicho – stwierdził Włóczykij, potrząsając warkoczykami. Za każdym razem gdy kapselki dzwoniły wesoło, uśmiechał się do siebie.

– Dopóki drzwi i włazy są pozamykane, rzadko spotyka się tu potwory. Ale po tym, co stało się we Włodarzu, trzeba założyć, że tunele są zagrożone.

Nasłuchiwali każdego szmeru i wypatrywali każdego cienia. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic godnego uwagi. Jakby wszystkie stwory czające się poza zasięgiem światła poszły grzecznie spać.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła w końcu Petra.

– Chcesz zepsuć aurę tajemniczości… nie podoba mi się to. – Stara lampa, którą trzymał Włóczykij zaskrzypiała złowieszczo.

– Nic o tobie nie wiem… powiedz chociaż, gdzie mieszkasz.

– Hm… można mnie znaleźć w różnych miejscach. Przeważnie sypiam w katakumbach pod starym cmentarzem. Nikt z was się tam nie zapuszcza.

Dziewczyna prychnęła cicho.

Teraz cwaniakuje.

Nad ich głowami przeleciało stado nienaturalnie dużych nietoperzy. Z ich małych, inteligentnych pyszczków kapała jeszcze świeża krew. Zniknęły w ciemności i znów nastała cisza.

– Dlaczego nie mieszkasz w Riese? Podziemia są bezpieczniejsze. Na powierzchni powietrze jest zatrute, słońce pali, a zimy są ciężkie. Co cię tam trzyma?

W jego ciemnych oczach pojawiły się małe iskierki, które zgasły, nim zdołała je dostrzec.

– Wolność – szepnął.

Petra nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– A jednak zszedłeś do podziemi. Do ludzi. Dlaczego?

– Cóż… czasy się zmieniły. Nasz świat się zmienił.

– Co to znaczy?

– Rok temu nadeszła długa zima. I tym razem przywiodła coś ze sobą… Coś, co nie chce opuścić Sowich Gór.

Włóczykij mówił coraz ciszej. Pamiętał dobrze ciemność, która pochłonęła katakumby, gdzie sypiał. Przed oczami miał mutanty, które zmienił nieznany do tej pory mrok. Ciekawe, jak tam teraz jest…

– Bo widzisz, stalkerko, jest powód, dla którego tam nie chodzicie. Po Dniu Sądu las stał się żywy. Przypomina teraz ogromną istotę pragnącą zadać ból osobie, która przekroczy granice lasu. Nie zechce cię już wypuścić. Możesz błądzić i nigdy nie odnajdziesz drogi do domu.

– Lepiej już chodźmy, tu nie jest bezpiecznie – poprosiła Petra i przyspieszyła kroku. Słysząc dzwonienie kapsli, pierwszy raz poczuła się niepewnie.

Zatrzymano ich trzydzieści kroków przed wejściem do bunkra. Posterunek był małą klitką, w której dwóch mężczyzn, ubranych w długie czarne kurtki, raczyło się herbatą o dziwnym, dusznym zapachu.

– A wy gdzie się wybieracie? – zapytał jeden, zastępując im drogę. – Gdzie macie przepustki?

– Przepustki? – Petra spojrzała na Włóczykija. Ten wzruszył ramionami. – Słuchaj, jesteśmy stalkerami z Włodarza, sam rozumiesz, nie mamy się gdzie podziać.

– Nie słyszałaś, co mówi? Bez przepustki przejścia nie ma – drugi strażnik wyszedł z posterunku, trzymając w pogotowiu broń.

– Znacie Reduktora? Jest moim przyjacielem, może poświadczyć. – Petra czuła rosnącą irytację. Zawsze czepiają się nie tych, co trzeba…

Jeden z mężczyzn kiwnął do drugiego, tamten oddalił się w stronę hali. Dobry znak.

– Jak się nazywacie?

– Jestem Petra, a to Chachar.

Włóczykij uśmiechnął się i skinął lekko głową, wprawiając w ruch hałaśliwe kapselki.

– Powiedz mi, panie strażniku. Czy tam, skąd pochodzisz, nie rosną czasem…

Nim zdołał dokończyć, dziewczyna szybkim ruchem zatkała mu usta dłonią. Włóczykij był zdezorientowany, strażnik jeszcze bardziej podejrzliwy, a Petra wściekła.

Mieliśmy nie zwracać na siebie uwagi, pomyślała, mając ochotę go zakneblować.

– Znacie dobrze Stefana? – zapytała, chcąc zmienić temat. – Dziwne, żeście go stąd jeszcze nie wywalili.

– Ktoś mnie wołał?

Zobaczyli wysokiego blondyna z papierosem za uchem, idącego w ich stronę. Nie było chyba w kompleksie nikogo, kto nie znałby Reduktora, a raczej jego barbarzyńskiego poczucia humoru. Największym, i zapewne jedynym, fanem jego słynnych dowcipów był on sam. Stefan był stalkerem z dziesięcioletnim stażem, który doskonale znał się na ładunkach wybuchowych i amunicji. Potrafił naprawić prawie wszystko. Twierdził, że umie rozłożyć i złożyć samochód, jednak dotąd nie było okazji, by udowodnić, że kłamie.

– Na mój plecaczek kabelków! Petra! – zawołał, wyciągając do niej ręce.

Dziewczyna podeszła do niego i uściskała mocno. Stali tak długą chwilę, Włóczykij przyglądał im się z dużym zaciekawieniem.

– Stefan, nawet nie wiesz, jak cieszy mnie twój widok.

Zauważyła, że się postarzał. Był lekko po trzydziestce, ale zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, a cienie pod oczami stały się ciemniejsze. W tym świecie młodość była krótka, a tych, którzy ją przeżyli, powinno się nazywać szczęściarzami.

– Ja ich znam, szefie. – Stefan zasalutował niedbale strażnikowi. – Przepuść ich, na miłość boską! Szli z papucia dobrych kilka godzin i pewnie o suchych pyskach.

Strażnik miał chyba dobry dzień. Albo był coś winien Stefanowi. Wahając się, w końcu pozwolił im przejść.

– Słyszałem o Włodarzu. Przykro mi, mała – powiedział Reduktor, gdy ruszyli tunelem do kompleksu. – Cholerna Osówka. Kiedyś tym tchórzom zabraknie szczęścia… Ten tutaj jest twoim chłopakiem? – dodał, zwracając w końcu uwagę na idącego za nimi Chachara. Spojrzał pytająco na Petrę.

Ta nie umiała powstrzymać uśmiechu.

– Nie. Ten delikwent uratował mi życie, więc masz być dla niego miły – wyjaśniła. – Poznaj Włóczykija. Włóczykiju, to mój przyjaciel Stefan.

– Brzmi jak ten słynny powsinoga, który widział cuda – zauważył

Reduktor. – Nie wyglądasz mi na normalnego.

– Stefan, zachowuj się…

– Spokojnie, stalkerko – Włóczykij uśmiechnął się. – Takiego określenia jeszcze nie słyszałem. Powiedz mi, Stefan. Czy tam, skąd pochodzisz, nie rosną czasem kwaśne jabłka?

Reduktor patrzył na niego przez chwilę, po czym wybuchł rechotliwym śmiechem.

– Zaczynam go lubić, mała – stwierdził. – Witajcie w Głuszycy.

Kompleks powitał ich wprawdzie znajomym gwarem, ale atmosfera tego miejsca wydała się Petrze dziwna i niecodzienna. Może powodem były ostatnie wydarzenia, może zmęczenie i stres nie pozwalały jej dobrze ocenić sytuacji.

Była w Głuszycy zaledwie raz, ale wciąż pamiętała ją bardzo dobrze. Kompleks był mały i słabo oświetlony, w porównaniu z jej domem wydawał się ponurą dziurą. Ale nie mogła narzekać. Włodarz przegrał bitwę i spadł w tak głęboką ciemność, że nie zdoła się już uratować. Kolejny kompleks stał się ponurym cmentarzem. Martwe miasta na powierzchni i martwe miasta w Riese.

Znajdowali się teraz w dużej hali, zwieńczonej betonowym półokrągłym sklepieniem. Wzdłuż ścian stały przytulone do siebie stragany, tego dnia jednak pozamykane. Zwykle handlarze wydzierali się tu wniebogłosy, wszczynali kłótnie i oskarżali, że jeden bezczelnie podprowadził klienta drugiemu. Dzisiaj ta część kompleksu była niemal pusta. Petra poczuła, że Włóczykij łapie ją za rękę.

– Nie podoba mi się tu – odparł, podchodząc bliżej. – Gdzie są wszyscy?

– Mieszka tu zaledwie sześćdziesiąt osób – rzucił przez ramię Stefan. – Wielu zabrała ostatnio grypa i… różne takie.

Szli teraz szerokim korytarzem, przypominającym prawdziwą miejską ulicę. Po lewej znajdowały się namioty mieszkalne, ponure osiedle Głuszycy. Małe, ciasne podwórka oddzielały kawałki blachy, gruba

plandeka lub prześcieradła. Kobiety krzątały się tu wokół swoich mieszkanek, rozwieszały pranie lub gotowały nad ogniem. Nigdzie nie widać było dzieciaków, zwykle płatających się pod nogami. Po drugiej stronie znajdowały się stoliki i bary, dziwnie wyludnione i ziejące chłodem niebieskich lampek choinkowych, zawieszonych na ścianach. Mieszkańcy patrzyli na gości z niechęcią, zwracając uwagę na broń.

Petra i Włóczykij przyglądali się temu wszystkiemu z niepokojem. Dziewczyna starała się rozluźnić, jednak czuć tu było jakąś dziwną nerwowość, nieustanne napięcie, atmosferę oczekiwania.

– Stefan, dlaczego ci ludzie są tacy…

– Cicho, mała. Idźcie powoli i udawajcie najszczęśliwszych na świecie.

A więc wszystko jasne. W kompleksie zmieniła się władza, groził im wewnętrzny konflikt albo epidemia. No bo co innego?

Skręcili w węższą ścieżkę, wchodząc między namioty. Reduktor zatrzymał się za jednym z nich, sprawdzając, czy nikt za nimi nie szedł.

– Dobra, teraz słuchajcie. Tu się źle dzieje i najlepiej będzie, jak się wyniesiemy, choćby do Sobonia.

– Powiedz mi wreszcie, po co ten teatrzyk – zażądała Petra.

– Spójrzcie tam. – Stefan wskazał palcem centrum hali, główny plac, na którym stało drewniane podwyższenie.

Wokół niego gromadziło się coraz więcej ludzi, z ich wychudłych twarzy można było wyczytać napięcie, inni zaś uśmiechali się, jakby wyczekując przedstawienia lub jakiejś miłej niespodzianki. Nie musieli długo czekać. Po chwili na podwyższeniu pojawiło się czterech postawnych mężczyzn ubranych jak żołnierze. Na ramionach zawieszone mieli ciężkie karabiny. Wśród nich stał zmizerniały chłopak, mający nie więcej niż czternaście lat. Gdy dotarł na podwyższenie, ludzie zaczęli krzyczeć i rzucać w niego wszystkim, co mieli pod ręką. Dzieciak próbował się wyrwać, ale żołnierze trzymali go mocno. Na jego chudych ramionach zaciskały się grube łapska, które zapewne niejednemu połamały kiedyś kości.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Włóczykij.

– Przedstawicielami nowej ideologii. Tu nie jest już tak jak kiedyś. Chodzi o to, że naczelnik już nie rządzi. Trzy miesiące temu przyszedł dziwny facet. Gadał jak ksiądz, ale nie po chrześcijańsku. Mówił, że wszyscy jesteśmy zgubieni. Nazwali go kapłanem i na początku traktowali jak pasożyta, żył z żebrania i ludzkiej dobrej woli.

– Nie pierwszy raz po Riese pląta się pseudoprorok – zauważyła Petra.

– Tym razem jest inaczej. Ludzie za nim idą. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale boją się i słuchają go. Jakby nie mieli swojego rozumu. Już od jakiegoś czasu myślę o wyprowadzce, miałem iść do Włodarza ale po tym, co się stało… Powinniśmy wszyscy stąd spieprzać…

– Dosyć mam uciekania, Stefan – przerwała mu Petra. – Daj mi chociaż zobaczyć, z czym mam do czynienia. Potem zrobimy jak uważasz.

Nie czekając na jego odpowiedź, szybkim krokiem ruszyła w kierunku tłumu. Stefan poszedł za nią. Włóczykij gdzieś zniknął.

Tymczasem tłum wrzeszczał, nazywając chłopaka zdrajcą i grzesznikiem.

Gdy Petra i Stefan dotarli do zbiorowiska, atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Zgromadził się tu chyba cały kompleks. Dziesiątki twarzy, które szpeciły teraz wściekłość i nienawiść, budziły narastający niepokój.

– Co oni z nim zrobią? – zapytała dziewczyna.

Spojrzenie przyjaciela powiedziało jej wszystko.

– Dla grzeszników nie ma tu litości, Petra.

Gdy na scenę wkroczył niski, drobny mężczyzna, w ludzi wstąpiła nagle dziwna pokora. Petra obserwowała, jak wściekłość zastępuje uwielbienie, a obelgi zamieniają się w zachwyt. Ludzie zaczęli szeptać między sobą.

Kapłan wydawał się zwykłym człowiekiem, chudą, skarlałą istotką, która lata młodości ma już dawno za sobą. Łagodne z pozoru oblicze było jednak maską, skrywającą zaciętość i bezwzględność, których ludzie zdawali się nie dostrzegać. Na poszarzałej, naznaczonej bliznami twarzy błądził cyniczny uśmieszek.

– Mieszkańcy! – krzyknął, przerywając ciągnącą się melodię szeptów. – Jesteśmy tu, by wymierzyć sprawiedliwość człowiekowi, który nie szanuje prawa naszej ziemi. Ten grzesznik – wskazał na roztrzęsionego chłopaka – odrzucił dar, jakim obdarzyło nas światło. Odmówił przyjęcia łaski. Dziś otrzyma od nas rozgrzeszenie.

W hali zrobiło się tak cicho, że po plecach Petry przebiegły ciarki. Obserwowała skupione twarze i zastanawiała się, co mógł zrobić ten nastoletni chłystek, by zasłużyć sobie na taki lincz. Świadomość szepnęła jej do ucha przerażające pytanie: co ci wszyscy ludzie są w stanie zrobić dla człowieka stojącego na scenie?

– Przed laty nauczono ludzi pokory – ciągnął dalej kapłan. – Zawyły syreny, a gwiazdy śmierci spadały na ziemię, niebo błyskało gniewem bożym. Oślepiająca moc niszczyła grzeszne miasta, grzeszne ciała i dusze. Wypalała oczy chwałą Dnia Sądu, ostatniego dnia Starego Świata.

Tłum zaczął klaskać i krzyczeć z aprobatą.

– Bogowie światła zstąpili z niebios, by pokazać nam swoją potęgę. Zepchnęli nas do podziemi, by nauczyć pokory. Ale nie bójcie się. Nadchodzą następni! Musimy być cierpliwi, a nagrodzą nas i zbawią. Musimy przyjąć ich oczyszczeni z wszelkich wątpliwości. Śmierć jest początkiem. Zaśniesz i zostaniesz oczyszczony.

– Zaśniesz i zostaniesz oczyszczony – powtórzył za nim tłum.

Chłopak zaczął wrzeszczeć, bezskutecznie próbując wyrwać się strażnikom. Petra z przerażaniem obserwowała, jak jeden z mężczyzn łapie go za włosy i przystawia do gardła nóż.

To nie dzieje się naprawdę.

Tymczasem tłum wiwatował, domagając się rozgrzeszenia.

– Pomódlmy się do gwiazd – powiedział kapłan, unosząc ręce w geście modlitwy. – Pośród łąk pachnących rozkładem…

– Czekajmy na dzień odrodzenia – mówili dalej ludzie. – Pośród tej pięknej krainy śmierci.

Krzyki chłopca zamieniły się w nieludzki wrzask opuszczonego, zdesperowanego stworzenia. Petra zdjęła z ramienia karabin, lecz Stefan natychmiast ją powstrzymał.

Nie rób tego, mówiło jego spojrzenie. Będziesz następna.

Kapłan wykrzykiwał słowa modlitwy. Tłum skandował. Coraz głośniej. Głośniej.

A ludzie przestali przypominać ludzi. Myliłam się, pomyślała dziewczyna. To nie mutanty napotkane w tunelach były najgorszym wynaturzeniem. To obce istoty, przepełnione nienawiścią, które otaczały teraz Petrę, przebrane w ludzką skórę, noszące imiona po swych matkach i ojcach. Tym stworzeniom dalej było do ludzi niż komukolwiek innemu.

Krzyki tłumu, potęgowane echem, były coraz głośniejsze. Gdy nadszedł czas, kapłan skończył modlitwę. Nastała przerażająca cisza. Twarz chłopca, wykrzywiona cierpieniem i strachem, zastygła w oczekiwaniu.

Czas stanął na chwilę w miejscu.

I stało się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Petra dostrzegła jak twarz żołnierza, trzymającego nóż zalewa krew, spływająca na mundur. Upadł na deski, niemal pociągając roztrzęsionego chłopaka ze sobą. Ktoś krzyknął. Przerażone spojrzenia zgromadzonych wędrowały po hali, szukając winnego.

Petra odwróciła się.

Zobaczyła Włóczykija, stojącego na skrzyni, trzymającego kuszę na wysokości twarzy. Jego oczy błyszczały, a oblicze wyrażało całkowitą euforię. Dostrzegając ją w tłumie, uśmiechnął się. Petra czuła rosnącą panikę. Stefan ścisnął jej ramię, chcąc odciągać od tłumu, jednak opierała mu się. Nie chciała zostawiać Włóczykija samego, nie mogła przecież tego zrobić. Ludzie są głupi, każą go zamordować jak tego dzieciaka. Jaką wartość miało dla nich życie?

Stworzyliśmy tu sobie własne piekło, Włóczykiju.

– Natychmiast rzuć broń! – krzyknął jeden z żołnierzy. – Łapcie go!

Wtedy nastąpił wybuch. Gdzieś niedaleko, w sąsiedniej hali, dało się słyszeć eksplozję, Petra miała wrażenie, że zadrżał cały bunkier. Z tunelu, łączącego obie części kompleksu, wylewał się teraz gęsty czarny dym. Pomieszczenia gospodarcze, znajdujące się u wylotu sztolni, stanęły w płomieniach.

Ludzie wpadli w panikę, zaczęli krzyczeć i uciekać, tratując się nawzajem. Niektórzy pod wpływem przerażenia i szoku nie mogli się ruszyć, stali więc lub klęczeli na swoich miejscach, przyciskając dłonie do uszu, wrzeszcząc lub milcząc.

Chachar tymczasem zeskoczył ze skrzyni i popędził w stronę tunelu, z którego przyszli. Petra zobaczyła, jak część żołnierzy zgromadzonych na placu biegnie za nim, reszta ruszyła gasić ogień i ratować co się da. W hali zawył alarm.

– Biegnij za Włóczykijem! Szybko! – krzyknęła do Stefana, wyjmując zza paska pistolet.

– Nie zostawię cię! Chyba oszalałaś – zaczął protestować.

Petra wcisnęła mu broń do ręki i pobiegła w kierunku sceny. Wciąż mijali ją zdezorientowani mieszkańcy. Gdzieś w oddali słychać było wrzaski i strzały. Halę wypełnił smród palonego plastiku.

Było w tym obrazku coś przerażająco znajomego. Nie minął nawet tydzień, a Petra znów musiała patrzeć na konające w agonii miasto. Ale teraz mogła coś zrobić. Mogła zabrać stąd chłopaka, któremu Chachar uratował życie. Dziewczyna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Włóczykij doskonale wiedział, co się stanie. Może znał tego człowieka, może już gdzieś zetknął się z podobnym bestialstwem. A może to był tylko jego kaprys. Obiecała sobie, że po wszystkim go o to zapyta.

Od tej pory musiała być bardzo ostrożna. Znajdowała się na otwartej przestrzeni, a plac był już praktycznie pusty. Dym gęstniał, stawał się nie do zniesienia. Petra przetarła załzawione oczy. Musi się spieszyć, niedługo zabraknie tu powietrza.

Zauważyła leżącego na podeście chłopaka. Nie był jednak sam, stało nad nim dwóch żołnierzy, obserwujących płomienie liżące ściany hali.

Petra miała nadzieję, że zdoła się przemknąć, ale jeden z mężczyzn ją zobaczył. Na szczęście zdążyła dobiec do sceny, nim zaczęli strzelać. Przykucnęła, chowając się przy podeście. Usłyszała, jak przeładowują broń. Robią to naraz, idioci… Wyjrzała i puściła serię z automatu. Jeden z nich dostał, zdołała zobaczyć zakrwawioną kurtkę i uchyliła się, gdy lecąca kula zaświszczała tuż obok jej ucha.

Drugi żołnierz chyba spanikował. Wystrzelał cały magazynek, po czym Petra usłyszała odgłosy ciężkich butów uderzających o deski. Wystarczyło, by się lekko wychylił. Wyprostowała się i szybkim ruchem uderzyła go karabinem w rzepkę. Wskoczyła na podest, lądując miękko na deskach. Drugi cios w głowę wystarczył. Dobiegła do chłopaka, mając nadzieję, że jeszcze żyje. Gdy dotknęła jego rozpalonego czoła, otworzył oczy.

– Musimy stąd uciekać. Jak masz na imię?

– Michał – wychrypiał.

– Zabieram cię stąd. Nie mamy zbyt wiele czasu…

Chcąc pomóc mu wstać, odłożyła na chwilę karabin. I to był błąd. Poczuła, jak duże, silne dłonie zaciskają się wokół jej szyi. Ktoś jednym ruchem postawił ją na ziemię, omal nie skręcając przy tym karku. Stopy dziewczyny ledwo dotykały desek, zaczęła się dusić. Żołnierz uśmiechnął się do niej paskudnie. Bezskutecznie próbowała się wyrwać, dłoń była silna niczym stal.

– Puść ją – usłyszała znajomy głos i zadrżała.

Gdy w końcu rozluźnił uścisk, upadła na deski, próbując złapać oddech. Widziała, jak kapłan podaje jej rękę, ale zignorowała go. Spojrzała w górę. Stało za nim dwóch ochroniarzy, jeden z nich trzymał jej broń.

– Wygląda na to, że twój przyjaciel cię zostawił – odparł spokojnie kapłan. – Okazujesz się podłą grzesznicą.

– Kim ty jesteś, do cholery? – syknęła, podnosząc się z desek.

Gdy podszedł do niej, wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy, czując nieopisaną nienawiść.

Gdybyś nie miał obstawy, gnoju. Mogłabym gołymi rękoma rozerwać cię na strzępy.

– Ludzie są słabi, dziewczyno. Dzięki mnie żyją w harmonii. Ofiary zapewniają nam bezpieczeństwo, odpędzają demony czające się na powierzchni. Twoje czyny sprowadziły na nas nieszczęście. Musisz za to zapłacić. Błagaj o litość, a będziesz oczyszczona.

– Pierdol się.

Nie okazując żadnych emocji, uderzył Petrę w twarz. Dziewczyna nie należała to delikatnych, ale uderzenie było tak silne, że straciła równowagę i omal nie upadła. Poczuła ciepłą krew na wargach, jednak nie zwróciła na to uwagi. Kapłan wziął głęboki oddech i zmarszczył brwi, jakby obmyślał kolejny ruch w grze karcianej.

– Nie rozumieją. Nic nie rozumieją. Jakże puste musi być twoje życie. Jakie bezwartościowe i smutne. Nie musi tak być. Możesz dostąpić łaski. Wystarczy…

– Wystarczy, że złożymy w ofierze niewinne dziecko, tak? To jest twoja droga do zbawienia? Może sam sobie palnij w łeb, oszczędzisz bóstwom trochę cennego czasu.

Uderzył ją pięścią w brzuch. Petra zgięła się wpół, dławiąc powietrzem. Straciła równowagę i upadła na kolana. Kapłan ujął jej podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała.

– To, co tu widzisz, jest początkiem – powiedział.

Zobaczyła, jak jeden ze strażników łapie Michała i przyciska go do siebie. Chłopak ostatkiem sił próbował się wyrwać, ale wiedziała, że na próżno. Żołnierz jednym sprawnym ruchem poderżnął mu gardło. Krew zalała deski. Michał upadł na podłogę, w przestrzeń patrzyły teraz przerażone oczy dziecka, któremu pozwoliła umrzeć.

Poczuła łzy płynące po rozpalonych policzkach. Wściekłość pomieszaną

z dławiącym uczuciem bezradności. Nie uratowała Szymka na powierzchni. Nie uratowała Michała. Po co to wszystko? Ile jeszcze mamy się czołgać w tym piekle?

– Jesteśmy sami. – Kapłan patrzył obojętnie na ciało Michała, potem jego ciemne oczy spoczęły na Petrze. – Umieramy sami. Ale nie martw się. Nadszedł twój czas. I ciebie oślepi chwała. Będziesz dzieckiem światła, wystarczy, że poprosisz.

Petra pragnęła rzucić się na niego i przegryźć mu gardło. Zrobiłaby to, gdyby nie ogłuszający huk strzału. Zobaczyła, jak jeden z żołnierzy pada na ziemię zalany krwią. Na opustoszałym placu stał Stefan trzymający strzelbę Włóczykija. Kapłan schował się za drugim strażnikiem, jednak nim drugi zdołał strzelić, ostro zakończona strzała trafiła go w pierś. Chachar wyłonił się z duszącego dymu i wskoczył na podest. Złapał kapłana i wykręcił mu ręce do tyłu, zmuszając, by klęknął.

– Grzesznicy! Podli ludzie! Puść mnie! Puszczaj! – krzyczał, próbując się wyrwać.

– Myślałem, że ta chwila nigdy nie nadejdzie – powiedział Stefan, podchodząc do Petry. Był mokry i brudny od pyłu i krwi. – Musimy stąd uciekać. W porządku, mała?

Petra przypatrywała się chwilę zakrwawionej twarzy Michała.

– Grzesznicy! Pójdziecie do piekła! – wykrzykiwał kapłan.

– Jakbyś nie zauważył, już w nim tkwimy – odparła spokojnie Petra, odbierając Stefanowi strzelbę. Sprawdziła, czy broń jest naładowana i powoli podeszła do starca. – Ostatnie słowa?

– Niczego nie rozumiecie! Miałem zostać zbawiony!

– Nie martw się, klecho – powiedziała cicho, unosząc broń. – Zostaniesz oczyszczony. Wystarczy, że poprosisz.

Komodo | 320

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

„Wychodź, Neville!”
Richard Matheson, *Jestem legendą*

Wyłożony akrylowym szkłem kaseton z napisem „JAZDA LUDZI” zapłonął jaskrawą zielenią, sygnalizując gotowość szoli do wykonania kursu w kierunku powierzchni. Czerwone wrota stalowej klatki zatrzasnęły się z hukiem, zamykając wewnątrz czworo ludzi. Niosący się echem po tunelu dźwięk dzwonka zapowiadał rychły odjazd. Z jękiem zrozumiałym dla konstrukcji minionej epoki winda ruszyła w górę. Dla dwóch jej pasażerów, pełniących funkcję strażników przystanku na poziomie 170, była to rutynowa podróż w tę i z powrotem. Dla pozostałej pary jednak – bilet w jedną stronę.

Gabriela przeszedł dreszcz. Nie opuszczał go od pierwszego razu. Dla spokoju ducha już lata temu porzucił zwyczaj liczenia Pielgrzymek, które własnoręcznie zamykał w ciasnej pułapce i odprawiał na powierzchnię. Znakomicie pamiętał natomiast twarze większości ich uczestników. Niby wszystkie różne, a jednak tak podobne. To przez oczy. Pełne żalu, zawodu, beznadziei, niespełnionych marzeń. Oczy skazańców. Gabriel bał się tych spojrzeń, a one wykorzystywały to, dręcząc go po nocach. W powracających cyklicznie koszmarach, pośród setek upiornych ślepiów, odnajdywał wzrok swojego syna wpatrzony smutno w człowieka, który

wysyłał go w ostatnią podróż. A tym człowiekiem był on sam. Pomimo ważnej i odpowiedzialnej funkcji pełnionej w podziemnej społeczności Gabriel wcale nie miał podstaw, by czuć się pewniej od pozostałych. Loteria była ponad podziałami, równa wobec wszystkich. Na kogo padnie, na tego bęc. Dziś los znów się do niego uśmiechnął. Jak długo jeszcze będzie jednak łaskawy? W ostatnich dniach w tunelach kopalni „Guido" na świat przyszło aż czworo nowych mieszkańców. Najdalej w ciągu tygodnia odbędzie się więc kolejne losowanie. W rzeczywistości skurczonej do rozmiarów stadionu piłkarskiego obowiązywała bowiem prosta matematyka – ktoś przybywa, ktoś inny musi odejść. Bilans musiał się więc zgadzać, nie było rady. Jako odprowadzacz wiedział o tym najlepiej. Nadchodzące losowanie miało być jednak tym, którego obawiał się najbardziej. Tym, w którym po raz pierwszy weźmie udział jego syn.

***

– Loteria rozpocznie się za piętnaście minut! Wszystkich obywateli powyżej piętnastego roku życia zapraszamy do komory głównej! Powtarzam! – standardowa formułka krzykacza raz po raz obiegała chodniki kopalni, niknąc wraz z narastającą wrzawą tłumu zmierzającego na losowanie.

Gabriel wziął głęboki oddech i poklepał po ramieniu swojego syna.

– Zbieraj się, Maciek, twoja pierwsza loteria.

Bezskutecznie próbował ukryć drżenie w głosie. Nie uszło to uwadze świeżo upieczonego piętnastolatka, który nieszczególnie zdawał się przejmować całą sytuacją.

– Tato, weź się tak nie stresuj. Jaka jest szansa, że wylosują mnie za pierwszym razem? W Guido mieszka siedemset osób, wielu od samego początku, tak jak ty. Prędzej umrę tu ze starości, niż trafię los na loterii – zażartował chłopak, wciągając na siebie wojskową katanę, prezent od ojca.

Ramię kurtki zdobiła naszywka z numerem „574" odziedziczona po

mieszkańcu, który w dniu jego narodzin przymusowo odstąpił mu swoje miejsce. Maciek nie wiedział, kim był ten człowiek ani jak się nazywał. Kilkakrotnie próbował podpytać o to ojca, ten jednak zawsze zręcznie zmieniał temat rozmowy. Swojej matki natomiast nigdy nie miał szansy zapytać, wykrwawiła się bowiem przy porodzie. W tutejszych warunkach wszelkie osiągnięcia nowoczesnej medycyny szybko powróciły do formy praktyk znachorskich, stąd nawet tak błahe dotąd problemy jak transfuzja krwi na nowo stały się niemal niemożliwe do przeskoczenia. Jego rodzice nie mieli zatem zbyt wiele czasu, by nacieszyć się sobą nawzajem. Jak opowiedział mu kiedyś opatrzony numerem „634” ojciec, z jego matką Zuzanną poznali się już tutaj, w trakcie pierwszego roku przymusowego więzienia sto siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią Zabrza. Jak zgodnie utrzymywali wszyscy jego mieszkańcy – najprawdopodobniej jedynej kopalni w regionie, której chodniki nie zawaliły się w trakcie katastrofy. Ot, fortunne położenie. Na wschodnich obrzeżach aglomeracji śląskiej, z dala od Katowic, które przyjęły na siebie całą siłę atomowego uderzenia. Wywołane w następstwie ataku wstrząsy były jednak najwyraźniej wystarczająco silne, by naruszyć strukturę umiejscowionej jeszcze sto pięćdziesiąt metrów głębiej, zdecydowanie bardziej rozległej części kopalni. Całość podobno od początku trzymała się na słowo honoru, a runęła zupełnie niedługo potem, kiedy górnicy, za pomocą ładunków wybuchowych i kombajnów chodnikowych, podjęli próbę powiększenia swojej przestrzeni życiowej.

– Widzę, że ci się żart przez noc wyostrzył – odpowiedział Gabriel, wkładając sporo energii w ten głodny dowcip.

Odsunął zamek błyskawiczny ich namiotu i machnął głową, dając znak do wyjścia.

– Lecimy, młody – zarządził.

***

W komorze głównej, niegdyś sali muzealnej stanowiącej atrakcję turystyczną, panował potworny ścisk. Niewielkie w istocie pomieszczenie nie było w stanie pomieścić wszystkich zaproszonych, spora ich część tłoczyła się więc w głębi chodników, a niektórzy musieli zadowolić się sąsiednimi komorami. Ustawiony w kącie pomieszczenia drewniany podest gościł ponownie znane wszystkim osoby. Stojący po prawej stronie łysiejący mężczyzna w całkiem nieźle utrzymanym garniturze wizytowym pełnił urząd kierownika kopalni. Miał czuwać nad prawidłowym przebiegiem losowania. Miejsce po lewej zajmował Gabriel ubrany w wojskowy mundur. Opierając dłoń na przytroczonej do pasa kaburze, przeczesywał wzrokiem tłum w oczekiwaniu na wynik losowania. Jego zadaniem było odprowadzenie dwóch pechowców do windy, obojętnie, czy szliby tam dobrowolnie, czy trzeba by użyć siły. W samym środku natomiast, naprzeciw szklanej kuli pełnej paseczków papieru, stał Lotek – otyły trzydziestolatek nazwany tak z przekąsem na cześć zupełnie innej loterii, popularnej w dawnych latach, zanim jeszcze wszystko szlag trafił. Lotek pełnił swoją funkcję od roku 2028, kiedy to jego poprzednik wylosował swój własny numer. Jak poświadczają naoczni świadkowie „jego mina była bezcenna”. Panujący w komorze gwar urwał się gwałtownie wraz z pierwszymi słowami Lotka.

– Witam wszystkich na Loterii! – wykrzyczał do wysłużonego, ale wciąż sprawnego pomarańczowego megafonu, pozwalającego dotrzeć do uszu nawet tych stojących najdalej od podestu. – Jak wiecie, w ostatnim czasie nasza społeczność powiększyła się o czterech nowych członków! A jako że nikt nie odszedł w sposób naturalny, na Pielgrzymkę wytypować musimy taką samą liczbę dorosłych mieszkańców! Dwójkę odprowadziliśmy równo tydzień temu, kolejna para wybrana zostanie dzisiaj! – zrobił pauzę, rozwijając wymiętoszoną kartkę z zapisem regulaminu, którego pomimo upływu czasu wciąż najwyraźniej nie poznał na pamięć. – Przypominam zasady! W Loterii mogą brać udział wyłącznie osoby, które ukończyły

piętnaście lat! Wyniki losowania są wiążące, nie mogą być podważane ani negocjowane! Oznacza to, że po ich ogłoszeniu niemożliwe jest już zgłoszenie się na ochotnika w zamian za osobę wylosowaną! Kto chce odejść dobrowolnie, niech zrobi to teraz! – kolejna pauza, tym razem zdecydowanie krótsza, w dziejach Loterii jak dotąd nie znalazł się bowiem podobny śmiałek. – Wylosowane osoby zobowiązane są do stawienia się na odprowadzenie nie później niż piętnaście minut od ogłoszenia wyników! Po otrzymaniu sprzętu niezbędnego do przetrwania na powierzchni zostaną odeskortowane do szoli, skąd w towarzystwie strażników udadzą się poza umocniony teren budynku kopalni! Tam wyruszą na Pielgrzymkę w poszukiwaniu nowych miejsc do życia! Jeżeli uda im się je odnaleźć – oby żyli jak najdłużej! Jeżeli nie – niech odnajdą pokój w domu Pana naszego! – ostatnia już przerwa, niezmącona choćby najmniejszym szmerem. – Jeżeli wszystko jasne, rozpoczynamy Loterię!

Lotek zamieszał w szklanej kuli i spośród setek zwitków papieru wydobył jeden. Gabriel patrzył w napięciu, jak tłustymi palcami rozwija paseczek z nadrukiem maszynopisu.

– Czterysta czterdzieści trzy! – ogłosił przez megafon.

Z sali dał się słyszeć krzyk rozpaczy dwóch nastoletnich dziewcząt. Bezduszny los wskazał swoim szponem ich matkę, która w osłupieniu wciąż kurczowo obejmowała swoje córki. Nie zważając na lamenty rozdzielanej właśnie rodziny, Lotek ponownie sięgnął ręką do szklanej kuli. Rozwinął kolejny papierek i przez moment się zawahał. Gabriel poczuł, jak po plecach lodowatymi strugami spływa mu pot.

– Pięćset siedemdziesiąt cztery… – powiedział do megafonu.

Do Gabriela w pierwszej chwili wiadomość ta zupełnie nie dotarła. Zamrugał kilkakrotnie, potrząsnął głową i spojrzał na tłum, który nie tylko powrócił do dawnej wrzawy, ale też podskakiwał i ściskał się nawzajem. Szczęśliwy, że sam uniknął wygnania, zupełnie nie przejmował się dramatem wylosowanych. Gabriel chyba się przesłyszał albo tę drugą

liczbę podpowiedziała mu wyobraźnia. No jasne! Tak bardzo bał się, że padnie właśnie ta, że umysł w końcu spłatał mu figla! Bolesne zderzenie z rzeczywistością odczuł dopiero, kiedy pośród rozentuzjazmowanej tłuszczy wypatrzył jedną stojącą w bezruchu sylwetkę, wpatrzoną w niego zapłakanym wzrokiem. Tym samym, który prześladował go po nocach.

– To niemożliwe… – przekonywał sam siebie pod nosem. – To niemożliwe – powtórzył, tym razem głośniej.

Stojący obok Lotek i kierownik kopalni patrzyli na niego ze współczuciem. Pierwszy odezwał się mężczyzna w garniturze.

– Gabrielu, nie wiem, co powiedzieć… tak mi przykro.

– Jeżeli chcesz, zastąpię cię dzisiaj – zaoferował się Lotek, chcąc oszczędzić ojcu obowiązku odprowadzenia do windy własnego syna.

– To niemożliwe! – wrzasnął w odpowiedzi.

Słowa te wykrzykiwał jeszcze wielokrotnie, przebijając się przez tłum w kierunku Maćka. Powtarzane niczym mantra, ginęły jednak pośród krzyków setek innych gardeł. Jakby nigdy nie zostały wypowiedziane.

***

Wyłożony akrylowym szkłem kaseton z napisem „JAZDA LUDZI” zapłonął jaskrawą zielenią, sygnalizując gotowość szoli do wykonania kursu w kierunku powierzchni. Para strażników odsunęła czerwone wrota stalowej klatki, wprowadzając do jej wnętrza rozpaczającą za nastoletnimi córkami kobietę, a następnie ubranego w górniczy kombinezon Maćka, błagalnie wpatrującego się ojcu w oczy. Gabriel nie mógł czuć się jednak bardziej bezsilny. Nie mógł wpłynąć na wynik losowania. Nie mógł też jechać zamiast swojego syna. Nie mógł zrobić nic. Postanowił więc skłamać.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – zaczął, wręczając synowi fiolkę z niewielką ilością drobnych kryształków przypominających cukier. Był to cyjanek potasu w śmiertelnej dawce. Miał go zawsze przy sobie w trakcie

losowania, na wypadek gdyby Loteria wskazała właśnie na niego. Od tułaczej agonii wolał szybką śmierć. – Na zewnątrz jest bardzo, bardzo zimno. Zdecydowanie zimniej niż tutaj. Kiedy już tam będziesz, znajdź sobie w pobliżu jakąś bezpieczną kryjówkę. Dobrze zabarykaduj się wewnątrz, okryj czym tylko możesz i wlej do tej fiolki odrobinę wody z manierki. Wypij do dna. To środek rozgrzewający, który pomoże ci przetrwać noc. Czekaj tam na mnie. Porozmawiam z kierownikiem kopalni, jest mi winien przysługę, więc na pewno pozwoli mi rano do ciebie dołączyć. Razem będziemy mieć duże szanse. Nie zostawię cię tam samego.

– Obiecujesz? – zapytał Maciek, z trzęsącą się brodą ponownie zalewając się łzami.

Gabriel przytulił go najmocniej, jak tylko potrafił, zrobił krok do tyłu, wychodząc poza obręb kabiny windy, i z trudem zdobył się na jeszcze jedno kłamstwo.

– Obiecuję – odpowiedział.

Maciek nie wiedział, że ojciec nie może dotrzymać słowa. Ze względu na trudności w konserwacji szola była użytkowana wyjątkowo oszczędnie, według ustalanego na początku każdego miesiąca grafiku. Nie zanosiło się jednak na kolejną Loterię, najbliższy wyjazd stalkerski wyznaczony był na przyszły tydzień, podobnie jak zmiana szychty wśród operatorów wyciągu i strażników budynku kopalni. „Obiecuję”. Tymi słowami ostatecznie pożegnał swoje dziecko. Wiedział, że będą mu ciążyć na sercu do końca życia. Jak ciężar skobla, którym zabezpieczył wrota windy. I ręki, którą uniósł do wielkiego pomarańczowego przycisku, aby dać czekającemu na powierzchni maszyniście wyciągowemu znak do odjazdu.

***

Gabriel siedział z wyprostowanymi nogami oparty o tę samą ścianę, po której osunął się na podłogę dobre pół godziny wcześniej. Zwykle już

dawno opuściłby swoje stanowisko pracy, powracając do szmacianej namiastki domu rozciągniętego na stelażu z metalowych rurek. Tym razem jednak nikt tam na niego nie czekał. Będzie tu siedział, aż zdechnie. A jeżeli dotrwa do czasu wyjazdu stalkerów na górę, zgłosi się na ochotnika do opuszczenia kopalni, odnajdzie kryjówkę syna, położy się obok jego skostniałych zwłok i zdechnie właśnie tam. Potężne liny z plecionej stali, niczym struny gargantuicznego kontrabasu, zaczęły wygrywać swoją melodię wprawione w drgania nadjeżdżającą z powierzchni windą. Strażnicy wracali. Gabriela niewiele to obeszło, nie spojrzał nawet w stronę odsuwających się z trzaskiem drzwi kabiny.

– Kurwa… Gabriel, co ty tu jeszcze robisz?! – zapytał z wyraźnym zaskoczeniem w głosie jeden ze strażników.

Drugi pospiesznie zamykał wrota windy, jakby miał coś do ukrycia.

– Siedzę, nie widać? – odpowiedział retorycznie.

– Chłopie, naprawdę nam przykro, ale idź już lepiej. Odpocznij sobie, dobrze ci to zrobi, serio – przekonywał mężczyzna, chwytając Gabriela za ramię, jak gdyby próbował pomóc mu stanąć na nogi, choć ten wcale o to nie prosił. Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany, działał pospiesznie a przy tym niezdarnie. Jakby próbował pozbyć się nieproszonego gościa.

– A odpierdolże się! – zaprotestował zrozpaczony ojciec. – Co ci to, kurwa, przeszkadza, że se tu..

Bzzzzzt!

Dźwięk dzwonka sygnalizującego odjazd szoli wszedł mu w słowo. Winda w istocie ruszyła, jednak nie w górę, ale w dół.

– Co do… – wymamrotał Gabriel. Kabina windy zniknęła pod podłogą i kontynuowała swoją podróż w głąb ziemi. – O co tu chodzi? Dokąd jedzie ta winda?! – dopytywał tonem nieznoszącym odmowy.

– Stary, nie wiem, takie mieliśmy rozkazy, miała zjechać na dół, więc zjechała. Płacą nam za robotę, a nie zadawanie pytań! – odparł strażnik, który jeszcze przed chwilą usilnie próbował go przepędzić.

Gabriel zrozumiał, że całe zajście nie przewidywało udziału świadków. Domyślił się również, dlaczego ten drugi tak pospiesznie zamykał wrota windy. Chciał ukryć przed nim jej ładunek. Intuicja podpowiadał mu, co mogło nim być, zaryzykował więc jeszcze jedno pytanie.

– Czy w tej windzie był mój syn?

Strażnicy stanęli jak wryci. Trafił w punkt. Drugi, milczący do tej pory strażnik, podniósł w jego stronę karabinek Mini Beryl.

– Spierdalaj stąd i dla własnego dobra zapomnij, że cokolwiek widziałeś. Masz pięć sekund, nie żartuję – wycedził przez zęby.

Gabriel zrozumiał, że musi się wycofać. Mierząc napastnika nienawistnym spojrzeniem, w milczeniu oddalił się w głąb chodnika. Nie miał pojęcia, jaki będzie jego następny krok, ale wiedział, że musi działać szybko. Odpowiedź przyszła z zupełnie niespodziewanej strony. Bardziej życzliwy ze strażników dogonił go niedaleko wejścia do komór mieszkalnych. Wyszeptał mu do ucha jedno jedyne zdanie: „Komora główna, pytaj o Edmunda”, po czym zniknął tak szybko, jak się pojawił.

***

W pobliżu drewnianego podestu, na którym cyklicznie odbywała się Loteria, siedział starzec. Zamotany w ciemne szmaty, próbował ogrzać się przy ognisku rozpalonym w stalowej beczce. Skupiony na czubkach własnych butów, nie od razu dostrzegł zmierzającego w jego kierunku Gabriela.

– Ty jesteś Edmund? – zaskoczył starca pytaniem.

– A kto pyta? – odpowiedział pytaniem na pytanie, przymykając jednocześnie oczy, aby w blasku ognia dostrzec swojego rozmówcę.

– Gabriel, odprowadzam Pielgrzymów do szoli.

– Aaa… – stary Edmund zmarszczył brwi i pokiwał ze zrozumieniem siwą głową. – A więc to tyś mi odprawił syna na pielgrzymkę…

Gabriela ścięło z nóg. Dopiero teraz w skulonym staruszku rozpoznał

szpakowatego mężczyznę, który przed dziesięcioma laty ze łzami w oczach i modlitwą na ustach oddawał swoje jedyne dziecko w ręce kata mającego zabrać je na tamten świat.

– Nie bój się, synu, nie mam do ciebie żalu. Zrobiłeś to, co musiałeś, choć nie było dnia, bym nie żałował, że nie padło wtedy na mnie. – Słowa przebaczenia z ust Edmunda pozwoliły Gabrielowi odetchnąć z ulgą. – Jak jednak widzisz, nie padło na mnie ani wtedy, ani nigdy potem. Nie dane mi było dołączyć do mojego dziecka w ten sposób, a sam nie mam odwagi targnąć się na życie, choć Bóg mi świadkiem, że próbowałem nieraz. Poczekam więc jeszcze trochę. Myślę, że już niedługo. – Jakby na potwierdzenie tych słów mocno zakasłał. Splunął flegmą, przetarł usta i dodał: – Byłem i ja na dzisiejszym losowaniu. Nikt lepiej od ciebie nie zrozumie bólu, który strawił do szczętu moją duszę. Biedny chłopak, miał jeszcze tyle życia przed sobą…

Zabolało. Gabriel nie mógł jednak wpaść w rozpacz. Nie miał na to czasu. Zamiast tego wypalił więc prosto z mostu.

– Podobno znasz prawdę o poziomie trzysta dwadzieścia. Przecież ten segment zawalił się w cholerę niedługo po katastrofie. Dziś sam widziałem jednak, jak zjeżdża tam szola… prawdopodobnie z moim synem wewnątrz…

– To tam go zesłali? Boże mój, zmiłuj się nad jego duszą… – starzec przeżegnał się. Widać było, że chce powiedzieć coś jeszcze. Jego spękane usta to układały się do wyrzucenia z siebie kolejnego słowa, to znów zamykały na głucho. Sformułowanie nadchodzącej wypowiedzi sprawiało mu wyraźną trudność, jakby miała ona stanowić wyznanie skrywanej od dawna tajemnicy. Wreszcie przemówił ponownie. – Synu, poziom trzysta dwadzieścia zawalił się, owszem, ale tylko częściowo. Straciliśmy do niego dostęp od strony windy, ale potencjalnie korytarze pozostały całe. Nie mieliśmy pewności, że ktokolwiek przeżył, choć wielu utrzymywało, że z szybu dają się słyszeć dziwne dźwięki. Jedni mówili, że to wiatr, drudzy,

że krzyki ocalałych, jeszcze inni, że to ich duchy. Prawda okazała się jednak zupełnie inna. W końcu na miejsce ruszyła ekipa górnicza z zadaniem przebicia się przez zawał. Nie nagłaśniano tego jednak, bo nagrodą dla wszystkich uczestników miało być roczne zwolnienie z udziału z Loterii.

– Nie wiedziałem – odrzekł wyraźnie zaskoczony Gabriel. Dotąd sądził, że Loteria, obok śmierci, jest jedyną rzeczą w kopalni równą wobec wszystkich.

– Nikt poza wyznaczonymi nie wiedział. Sam rozumiesz, zarząd kopalni nie mógł ryzykować zamieszek, a jedynie godziwa zapłata mogła przekonać górników do ryzyka pracy na takiej głębokości. Pomysł przymusowego zsyłania tam wylosowanych osób również odrzucono przez wzgląd na tych wyprowadzonych już na powierzchnię. Lepsza wszak praca kilofem niż pewna śmierć w zatrutym świecie, wiadomo. Wtajemniczeni zobowiązali się na piśmie zachować milczenie pod groźbą natychmiastowego wylosowania. I to razem z jednym członkiem rodziny.

Gabriel wybałuszył oczy. Nie chciał dać wiary słowom starca. Czyżby Loteria była aż tak zmanipulowana przez zarząd kopalni? Choć nie zadał głośno tego pytania, Edmund pospieszył z odpowiedzią.

– Cała ta Loteria jest gówno warta. Wyniki ustawiano według własnego widzimisię. I to nie tylko wtedy, gdy była taka potrzeba. Bo widzisz… nie każda Pielgrzymka rzeczywiście trafiała na powierzchnię. Dla niepoznaki szola zawsze najpierw szła w górę, a potem przystawała, odczekiwała swoje i wracała na dół. I to na sam dół….

– Wiedziałeś o wszystkim przez cały czas?! – Gabriel był w szoku, nie kontrolował się. – Na chuj ich tam zwoziliście? Ilu ich było? Gdzie jest mój syn?!

– Wiedziałem, tak! I milczałbym dalej, gdyby nie twój syn. Wiem najlepiej, jak smakuje strata jedynego dziecka! – odpowiedział równie stanowczo Edmund. – Nawet nie wiesz, ile kosztowało mnie dochowanie

tej tajemnicy, ale zrobiłem to dla dobra nas wszystkich. Żeby to jednak zrozumieć, musisz wiedzieć, co odkryliśmy wtedy tam na dole.

Rwący potok krwi w żyłach Gabriela nieco zwolnił. Skinięciem głowy dał zgodę na kontynuowanie opowieści.

– Zawał był równie poważny w obydwóch odnogach chodnika sąsiadującego z windą. Wybraliśmy jeden i zaczęliśmy kopać. Mrok, chłód i potworne zapylenie nie ułatwiały nam życia. Kiedy wreszcie się udało, wybrana na drodze losowania grupa wyruszyła korytarzami w poszukiwaniu ludzi, ich zwłok albo chociaż zapasów. Rzecz jednak w tym, że długo nie wracali. Czekaliśmy godzinę, dwie, trzy. W końcu wybraliśmy drugą grupę. Tym razem padło i na mnie. Nie powiem, byłem poważnie zesrany, nie wiedziałem, co tam się wyprawia. No i gdzie się podziali mieszkańcy albo chociaż ślady po nich? Odpowiedź przyszła jakieś sto metrów dalej. Na rozstaju dróg, w mroku jednej z odnóg, wypatrzyłem coś, czemu potem wiary nie chcieli dać nawet ci, którym niedziwne dziś już żadne z groteskowych okropieństw żyjących na górze.

Starzec wykonał pauzę w celu nabrania tchu, nieświadomie stopniując napięcie.

– Powiedz mi, synu, słyszałeś kiedyś o strzygach? – zapytał w końcu.

– Strzygach? Wąpierzach ze słowiańskich wierzeń? – upewniał się zaskoczony Gabriel. – Co ty bredzisz, starcze?

– Poziom trzysta dwadzieścia wykończył nie zawał ziemi, ale właśnie one, strzygi. Jednego z tych potworów widzieliśmy wtedy w tunelu – odpowiedział, ignorując lekceważące pytanie rozmówcy. W oczach odbijała mu się groza tamtych chwil. Edmund najwyraźniej nie żartował.

– Jakie znowu strzygi? Jakieś mutanty z powierzchni? – dopytywał Gabriel.

– Żadne mutanty. Strzygi, Strzygonie. Diabelskie dusze zaklęte od narodzin w ludzkich sercach. Przejmujące władze nad ciałem człowieka już po jego śmierci, polujące na żywych, żywiące się ich krwią, mięsem,

wnętrznościami. Pamiętasz ty jeszcze, jak to dawniej chowaliśmy zmarłych?

– Zakopywaliśmy ich w ziemi… ale co to ma do…

– W ziemi, zgadza się – przerwał mu starzec. – Ale czy to wszystko? Wtedy wiedział o tym mało kto, a dziś jeszcze mniej, lecz nasz obrządek pogrzebowy wywodził się bezpośrednio z tradycji pochówku antywampirycznego. Wynoszenie zwłok nogami do przodu, aby zmarły nie mógł widzieć i zapamiętać drogi powrotnej do domu. Pospieszne zasłanianie luster w miejscu, gdzie miał czekać pogrzebu. Zaklęcie rzucane przez najbliższych za pomocą garstek ziemi sypanych na trumnę, jako publiczne poświadczenie, że zmarły odszedł i nigdy nie wróci. To nie były przypadki. Świadomie czy nie, wszyscy obawialiśmy się powrotu zza grobu. Niezależnie od wierzeń, kultury czy wieku, w jakim przyszło nam żyć. Strzygi zniknęły tylko dlatego, że praktykowaliśmy odpowiedni obrządek. Tutaj jednak zmarłych wywozimy po prostu windą na powierzchnię, pozostawiając na pastwę wiecznej zimy. A teraz to i pewnie rozmaitych padlinożerców. Odcięci od świata mieszkańcy trzysta dwadzieścia nie mieli jednak takiej możliwości. A po zawale nie brakowało wśród nich trupów…

– To niedorzeczne – zaprotestował Gabriel. – Mów, co tam widziałeś.

– Strzygonia, mówiłem już. Stał tam niby człowiek, ale potwornie chudy i blady. O niewidomych oczach, z krwią cieknącą z ust. I trupem jednego z naszych leżącym u jego stóp.

Gabriel zadrżał. Opowieść była niewiarygodna, mimo to tym razem zdecydował nie kwestionować słów starca.

– Rzuciłem się do ucieczki, nie oglądając się za siebie. Nawet wtedy gdy jeden z moich towarzyszy potknął się o szynę, wywrócił i przeraźliwie błagał, żebyśmy na niego zaczekali. My za to już z daleka krzyczeliśmy do tych czekających w windzie, żeby dali znak maszyniście wyciągowemu. Dopadliśmy we dwóch do szoli dosłownie na moment przed tym, jak

ruszyła w górę. Wrzaski nieszczęśnika pozostawionego na dole gwałtownie ustały, zanim dotarliśmy na poziom sto siedemdziesiąt…

Nastąpiła cisza. Czyżby opowieść dobiegła końca? Gabriel postanowił upomnieć się o odpowiedzi na zadane wcześniej pytania.

– Masz jakieś dowody na poparcie tych rewelacji? I co z odpowiedziami na moje pytania? Jeżeli są tam jakieś legendarne stwory, czemu zwożeni są tam ludzie? Ilu ich było? Co się z nimi… co się stało z moim synem?

– Dowody? Patrzyłeś już na nie, a nie zauważyłeś. Pamiętasz serię tajemniczych zaginięć niedługo po zawaleniu się poziomu trzysta dwadzieścia? – Gabriel przytaknął. – To nie był przypadek. To te bestie, zaraz po naszej ucieczce, rozgryzły mechanizm przywoływania windy i zaczęły z niego korzystać. Maszynista wyciągowy nie wiedział wtedy jeszcze o całej sytuacji, odpowiedział więc na wezwanie, sądząc, że wciąż trwają tam prace. Przywiózł na nasz poziom strzygę albo i kilka. I to nieraz. Porywały wtedy naszych, nikt nawet nie zauważył kiedy. O tym, że winda w ogóle kursowała pomiędzy poziomami bez naszej wiedzy, dowiedzieliśmy się dopiero po kilku dniach, jak maszynista powrócił ze swojej zmiany. Dziś windę opuszczają na ten poziom wyłącznie w wyznaczonych terminach… często pokrywających się z datą wysyłania na powierzchnię Pielgrzymek…

– Jak często? I dlaczego?! – dopytywał Gabriel. Znów puszczały mu nerwy.

Edmund nie miał jednak zamiaru wystawiać jego cierpliwości na próbę.

– Często. Zwykle co druga Pielgrzymka. Widzisz… pomimo wszelkich środków bezpieczeństwa strzygi odnalazły drogę na górę. Właziły tutaj zapasowym, nieczynnym od samego początku szybem i cholera wie którędy jeszcze. Ludzie znów zaczęli znikać. Wtedy ktoś wpadł na diabelski plan, za który wszyscy pójdziemy prosto do piekła. Potworny, jednak skuteczny. Zaczęliśmy je karmić.

– Jaja sobie robisz – nie dowierzał Gabriel.

– Pielgrzymi i tak szli na pewną śmierć, a ich regularne dostawy na trzysta dwadzieścia przerwały wreszcie całe to pasmo nieszczęść. Najwyraźniej bydlęta mają na tyle rozumu. Lepiej czekać na gotowe, niż pchać się na górę. A co z nimi robili? Wolę nie wiedzieć. Przynajmniej nie cierpieli. Strażnicy, podczas rzekomego transportu na powierzchnię, usypiali ich chloroformem, a sami wysiadali na poziomie sto siedemdziesiąt. Tyle wiem. I tak za wiele jak na jedno ludzkie serce. Jeżeli się to wszystko wyda, będę pierwszy w kolejce do windy. I to tej skierowanej na dół. Jak chcesz, możesz to zgłosić komu trzeba. Niech piekło pochłonie w końcu i mnie. Zasłużyłem na to.

Gabriel wstał bez słowa, obrócił się na pięcie i zaczął oddalać od ogniska. Na odchodne rzucił jednak przez ramię.

– Zgłoszę, masz to jak w banku. Nie pojedziesz tam jednak sam.

***

– Sto dwadzieścia jeden! – wykrzyczał przez megafon Lotek.

Stojący w pierwszym rzędzie przepastnego tłumu Edmund nawet nie drgnął na dźwięk swojego numeru. Był na to przygotowany.

– Sześćset trzydzieści cztery! – padł kolejny numer, tym razem należący do Gabriela.

On również nie wyglądał na przejętego.

W taki oto sposób władze kopalni walczyły o status quo, pozbywając się osób potencjalnie mogących zagrozić stabilności i tak z trudem zbudowanej struktury społecznej. Kilka godzin wcześniej Gabriel zapukał do drzwi gabinetu kierownika kopalni, aby opowiedzieć o wszystkim, czego dowiedział się od Edmunda. Wciąż nienagannie odziany mężczyzna w rzeczywistości oczekiwał jego przybycia poinformowany przez jednego ze strażników o incydencie przy windzie. Czego jednak kierownikowi nie sposób było odmówić, to imponujących zdolności aktorskich. Do końca pozostał w swojej roli, podręcznikowo odgrywając zaskoczenie,

niedowierzanie, a nawet troskę. Po upływie niespełna godziny krzykacz ogłosił Loterię Nadzwyczajną, zwoływaną jedynie w najcięższych okresach, kiedy liczbę obywateli trzeba było zredukować na stałe. Tym razem powodem miały być zbyt szybko kurczące się zapasy żywności. Wymówka dobra jak każda inna. W zupełności wystarczająca do wydalenia szkodliwych jednostek. Prowadzeni do szoli przez nowo mianowanego odprowadzacza mężczyźni nie mieli jednak zamiaru protestować. Choć fikcyjny wyjazd na powierzchnię, a następnie zjazd w same czeluści kopalni był częścią planu, Gabriel poczuł się nieswojo, gdy znalazł się już we wnętrzu kabiny. W przerażonym wzroku młodocianego odprowadzacza bez trudu dostrzegł to samo poczucie winy, którego gorycz znał tak dobrze. Wiedział, że chłopak boi się jego spojrzenia. Wiedział też, że będzie go ono dręczyć we śnie.

***

Martwe ciało strażnika z łoskotem uderzyło o podłogę kabiny. Z monstrualnej rany na jego szyi wciąż tryskała krew.

– Kurwa, nie chciałem, żeby tak wyszło – powiedział Gabriel. W ręku ściskał zakrwawione ostrze.

– Już trudno synu, stało się – pocieszał go Edmund. – Jakbyś zawahał się jeszcze przez moment, pewnie bylibyśmy teraz na ich miejscu.

W rzeczy samej, Gabriel nie miał wyjścia, a przynajmniej w ten sposób usprawiedliwiał się przed samym sobą. Kiedy bowiem winda zmierzająca w kierunku powierzchni gwałtownie zakończyła swój bieg, a strażnicy rzucili się na nich ze szmatami nasączonymi chloroformem, sprawy przybrały wyjątkowo zły obrót. Przygotowany na podstępny atak Gabriel miał zamiar obezwładnić jednego z napastników, a następnie wykorzystać go w charakterze żywej tarczy przeciwko drugiemu. Tyle teorii. W praktyce jednak zagłuszona krótką salwą z automatu szarpanina przebiegła zgoła odmienne, a jej tonące we krwi rezultaty zdobiły podłogę. Nie było czasu

na rozpamiętywanie przebiegu starcia, z którego chyba tylko przypadkiem wyszli zwycięsko, winda zatrzymała się już bowiem na poziomie, z którego pierwotnie wyruszyła. Mężczyźni poświęcili krótki przystanek na wyładowanie zwłok strażników i ograbienie ich z broni. Serce Gabriela waliło jak młotem, kierował nim jednak nie tylko pierwotny instynkt przetrwania, ale też więź łącząca go z synem. Wciąż wierzył, że zdąży dotrzeć do niego, nim będzie za późno. Silnym szarpnięciem kabina oznajmiła fakt dotarcia do celu podróży. Nie marnując ani chwili, Gabriel odsunął wrota windy. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

– Boże mój, to one! – krzyczał starzec, w desperacji próbując wspiąć się po tylnej ścianie kabiny.

W całkowitych ciemnościach, nie dalej niż dziesięć kroków od windy, stały strzygi. Nie jedna czy dwie, ale cała armia. Tłum bladych wychudzonych sylwetek odzianych w brudne łachmany. Stwory stały w bezruchu wpatrzone przysłoniętymi bielmem oczami w parę przybyszów. Jakakolwiek walka wobec tak przeważającej liczby przeciwników była z góry skazana na porażkę. Pocisków w magazynku prawdopodobnie nie wystarczyłoby nawet na pierwszy rząd. Gabriel odrzucił więc karabinek i osunął się na kolana. Czuł się równie bezsilny co w chwili odsyłania Maćka na pewną śmierć. Siły wystarczyło mu na jedną tylko wypowiedź.

– Oddajcie mi moje dziecko – wyskamlał żałośnie.

– Tato! – odpowiedział mu głos z tłumu. Należał do jego syna.

Skulony dotąd Edmund nareszcie odważył się podnieść wzrok. W samą porę, by zobaczyć, jak rozdzielona niedawno rodzina łączy się w uścisku.

– Ale… jak to…? – zapytał przez łzy Gabriel, nie wypuszczając syna z objęć.

– Tato, to ludzie tacy jak my! Przybyli tu później, ale też są z powierzchni! – pospieszył z odpowiedzią Maciek.

– Z… powierzchni? – powtórzył zaskoczony Gabriel.

***

– Nie świeć na mnie, proszę – powiedział chudy, blady człowiek, osłaniając dłonią mętne oczy. Jego głowa była całkiem łysa, a skóra pomarszczona i naznaczona wrzodami. – Widzę słabo, a światło sprawia mi ból – dodał.

Gabriel siedział naprzeciw niecodziennego rozmówcy w małej komorze górniczej, obejmując syna ramieniem. Miejsce obok nich zajmował Edmund.

– Chcecie pewnie wiedzieć, cośmy za jedni – kontynuował blady człowiek. – My, zwykli ludzie, ocaleni z katastrofy. Biedni wtedy, jeszcze biedniejsi teraz. W dawnych latach, nie mogąc znaleźć zatrudnienia w kopalni, prowadziliśmy wydobycie węgla na własną rękę. Biedaszyby, nielegalne, niebezpieczne, ale pozwalające utrzymać rodzinę. Niektórzy kopali płytko, samodzielnie albo parami, inni całymi grupami, w zorganizowany sposób. Dokopywaliśmy się do naprawdę bogatych złóż węgla, nieraz i na stu metrach albo jeszcze głębiej. Wtedy te nasze kopalnie dawały nam pieniądze, a w dniu katastrofy dały schronienie. Nie ustrzegły nas jednak od zgubnych skutków promieniowania. Kopaliśmy więc głębiej i głębiej. Czym tylko się dało, choćby i gołymi rękami. Niektórzy ginęli w tąpnięciach, ale na ich miejsce ściągali kolejni, również poszukujący schronienia. Przynosili ze sobą sprzęt górniczy, niekiedy ładunki wybuchowe. To ulżyło naszym trudom, ale pewnego dnia doprowadziło do tragedii. Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy już tak blisko chodników Guido. Eksplozja, którą wywołaliśmy, uszkodziła poważnie nie tylko nasze chodniki, również te tutaj. Zginęło wtedy wielu, ale taka najwyraźniej musiała być cena dotarcia w bezpieczne miejsce. Pełne zapasów, generatorów prądu, oleju napędowego, lekarstw. Jednak mieszkający tu ludzie nie chcieli się dzielić. Obwiniali nas za odcięcie ich od szybu windy, choć jak się później okazało, sami również nie byli bez winy, uszkadzając wcześniej konstrukcję chodników kombajnami i ładunkami wybuchowymi. Chcieliśmy się dogadać, błagaliśmy, jednak oni nie chcieli słuchać. To był

błąd. Bezsensowna wojna między nami pochłonęła nie tylko wiele istnień, ale także wszystkie zgromadzone zapasy. W końcu jednych i drugich na moment pogodził głód. Wielu wychodziło biedaszybem na powierzchnię w poszukiwaniu prowiantu, kilku próbowało też przebić się do budynku kopalni od strony powierzchni. Jednak wasze straże nie tolerowały intruzów, obojętnie, czy ludzkich, czy innych. Strzelały bez ostrzeżenia z wieży kopalni, jak tylko ktokolwiek znalazł się w zasięgu ich broni.

Gabriel poczuł się winny. Sięgnął pamięcią do chwili, kiedy to jako narwany młodzik sam próbował zaciągnąć się do straży powierzchniowej, zanim ciąża Zuzanny zdołała pokrzyżować mu plany, obsadzając ostatecznie na stanowisku odprowadzacza. Blady człowiek kontynuował.

– Choć oszpeciła nas radiacja, to głód okazał się naszym największym wrogiem. Wie to każdy, kogo doprowadził on do ostateczności. W desperacji zaczęliśmy żreć swoich własnych. Zwykle martwych, ale jak nie było wyjścia, również słabszych. Zjedliśmy także obcych, którzy zjechali tu windą i w końcu przekopali się do nas. To był nasz najgorszy czas. Głód i choroby popromienne zredukowały naszą liczbę o ponad połowę. Niektórzy próbowali dostać się na wyższy poziom. A to podstępem, a to nieczynnym szybem, a to znów kanałami wentylacyjnymi. Aż w końcu ktoś sam zaczął zsyłać nam ludzi. Wtedy przyszło opamiętanie. Zamiast atakować się nawzajem i ginąć w niebezpiecznej wspinaczce na wyższy poziom, podzieliliśmy się na role i zaczęliśmy współpracować. Najsilniejsi lub nowo przybyli wychodzili na zewnątrz szukać wartościowych rzeczy, ci słabsi, dzieci oraz starcy pracowali tutaj. Z czasem udało nam się odzyskać utracone człowieczeństwo. Dziś staramy się żyć jak dawniej. Tych, których zesłano z góry, przyjmujemy jak swoich. Każda zdrowa para rąk jest tutaj na wagę złota. Twój syn na przykład okazał się świetnym kucharzem i złotą rączką w jednym. – Maciej uśmiechnął się na te słowa. – Tak pokrótce wygląda nasza historia. Nie ma nas zbyt wielu, a rak i inne cholerstwa zabierają więcej starych, niż

przychodzi nowych. Potrzebujemy ludzi. Skoro nie chcieli was na górze, zostańcie z nami – zakończył.

Trzech mężczyzn – starzec, mąż w sile wieku i nastolatek – wymieniło spojrzenia. Zrozumieli się bez słów. Dosłownie i w przenośni wygrali los na loterii.

***

Układając się do snu obok pochrapującego już ojca, Maciek obracał w dłoniach szklaną fiolkę z kryształowym proszkiem. Choć w tunelach kopalni nigdy nie panowała przyjemna temperatura, wsunął ją z powrotem do kieszeni kurtki, zostawiając na lepszą okazję. Na jakąś wyjątkowo zimną noc.

***

W szpitalnej sali na poziomie 170 młoda matka karmiła piersią dwutygodniowego synka. Znaczna utrata krwi w trakcie porodu zatrzymała ją na prowizorycznym oddziale położniczym na dłużej, dziś jednak wreszcie mogła wrócić do domu. W wolnej dłoni trzymała naszywkę z numerem swojego dziecka odziedziczoną po Pielgrzymie, który ustąpił mu miejsca w szeregach podziemnej społeczności. Postanowiła raz jeszcze zerknąć na liścik, który otrzymała od położnej w komplecie z naszywką. Obydwa przyniesione podobno przez ojca wydalonego z kopalni na drodze losowania chłopaka. List był skierowany do nowo narodzonego dziecka. Wykonana odręcznym pismem wiadomość głosiła:

„Drogi numerze 574

Przypadł Ci w udziale wyjątkowy symbol.
Skrywający historię dwóch wspaniałych i
najbliższych mi zarazem osób.
Jako pierwsza numer ten nosiła moja

żona Zuzanna, która pomimo słabego
serca i ostrzeżeń lekarza zdecydowała się
na donoszenie ciąży i poród w trudnych
warunkach. Oddała życie za naszego
syna Macieja, a wraz z ostatnim
tchnieniem przekazała mu także swój
numer. Ten sam, który 15 lat później
oddał Ci sam Maciej, wyprawiając
się w miejsce, z którego nie ma już powrotu.
Odszedł, żebyś Ty otrzymał szansę na życie.
Nie zmarnuj jej proszę i bądź tak dobrym
człowiekiem jak ci, którzy nosili ten
numer przed Tobą.

Powodzenia, numerze 574”.

Chłopiec skończył już posiłek, matka odłożyła więc liścik na łóżko, podniosła go do góry i delikatnie poklepała po plecach.

– Najadłeś się, Maciusiu? – zapytała swojego synka.

Chłopiec uśmiechnął się beztrosko do swojej matki. Nie miał wszak jeszcze pojęcia, w jak zimnej, mrocznej i bezwzględnej rzeczywistości przyszło mu się urodzić. O tym miał przekonać się już wkrótce, ale jeszcze nie teraz. Mógł więc zamknąć oczy i spać spokojnie. Do jego pierwszej Loterii zostało wszak całe piętnaście lat.

Justyna Micota | Niemy

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

1

Czarna rękojeść zlana z długim, ciężkim ostrzem. Delikatnie wyprofilowane, odrobinę zakrzywione i piękne jak jasna cholera. Wyszczerbione, mimo wielokrotnego ostrzenia. Zapewne przeszło swoje i widziało więcej niż niejeden człowiek.

Trzymałem je w dłoniach z szacunkiem graniczącym według niektórych wręcz z czcią. Tak jak powinno traktować się dzikie zwierzęta – z delikatną stanowczością, ale nie bez czujności. Z jednej strony od uchwytu po sam koniec ciągnęły się grube ząbki o misternych kształtach, służące do rozrywania, strzępienia, wypruwania. Jednego brakowało. Z drugiej – srebrny skalpel.

Poprzecierana i poobijana rękojeść leżała w dłoni, jakby została stworzona właśnie dla mojej ręki.

Obróciłem lekko nadgarstek, a ostrze posłusznie odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Gdyby tylko było tu dość światła, srebrna stal błysnęłaby w ciemności odbitym blaskiem. Przesuwałem powoli palcem po gładkiej powierzchni, czując na sobie zazdrosny wzrok Wańki. Nic nie mówił, znał zasady. Znalezionym zawsze się dzielimy, lecz co ukradłeś – to twoje.

Poczułem pod skórą płytkie podłużne wgłębienia układające się w krzyż –

maleńka swastyka zalana białą farbą, po której wciąż pozostały widoczne ślady.

Byłem dobrym złodziejem. Średniego wzrostu, z przeciętnymi rysami twarzy, które dość łatwo zacierały się w pamięci. Wtapiałem się w otoczenie i obserwowałem. Nie układałem planu – przyćmiewałby tylko niezbędną trzeźwość myśli, w tym zawodzie należy improwizować. Widziałem wszystko i wszystkich – co zamierzają, dokąd idą, w jakim celu. Dostrzegałem schematy i szablony, nastroje odbijające się na twarzach handlarzy. Wiedziałem, gdzie są przejścia, i domyślałem się, dokąd prowadzą, znałem wszelkie drogi ucieczki, kryjówki, posterunki. Brałem, czego potrzebowałem, i wychodziłem, którędy chciałem.

Na pobliskich stacjach znali nas doskonale, witali z otwartymi ramionami nowe towary. Jeszcze lepiej, rzecz jasna, my znaliśmy ich, stacje, sieć bocznych i głównych tuneli naszego rejonu – od Swibłowa po Płanierną – każde pomieszczenie, każde przejście. Często bywaliśmy na obrzydliwie dostatnich, jasnych niemalże jak słońce, przepełnionych mdlącymi zapachami mydeł i ostrą wonią ziół gwarnych stacjach Linii Okrężnej. Na te usłane nieprzytomnymi z dobrobytu moskwianami placówki wkraść się było dość ciężko. Wpuszczano nas także na Czerwoną, symbolicznie jedynie przeszukując – mieliśmy specjalne dokumenty od wysoko postawionych łubiankowskich osobistości, łasych na luksusowe przedmioty z Hanzy. Nie pytali, skąd je mamy, domyślali się, że po drodze podbieramy też z czerwonych stacji, lecz chciwość przyćmiła poczucie odpowiedzialności za mieszkańców i czekali tylko, aż przyjdziemy handlować dziwnymi, egzotycznymi owocami i przyprawami z Polis, dobrym, świeżym mięsem z Dinamo, herbatką z okolic Aleksiejewskiej, czarnymi papierosami z Baumańskiej.

Ja sam nigdy nie doświadczyłem najmniejszego przejawu niechęci lub wyższości ze strony Czerwonych, wręcz przeciwnie – traktowali mnie jako równego sobie. Hanza natomiast pełna jest pogardliwych spojrzeń wobec

handlarzy i żebraków.

Raz nas odkryli. Ktoś zrozumiał, że nie pasujemy do czystych ścian i lśniących podłóg, musiał dać znać strażnikom. Ledwo zdążyliśmy zauważyć, że idą w naszym kierunku. Szturchnąłem Dimę i całą czwórką powoli, zdecydowanie zaczęliśmy się oddalać. Ktoś fuknął na nas zniesmaczony, Anton popchnął jakąś kobietę. Przyspieszyli. W spokojny dotąd tłum ostrożnie wkradał się chaos. Zaczęliśmy biec, byliśmy już blisko. Boczny, pusty korytarz, mały pokoik, wąski szyb wentylacyjny. Byleby tylko skręcić w odpowiednim momencie, zniknąć im z oczu. Krzyczeli, żebyśmy się zatrzymali. Iwan biegł ostatni. Żaden z nas nie zauważył, kiedy zniknął. Ktoś rzucił się na niego, złapał za nogę i ściągnął na ziemię. Podłoga poszybowała do góry, przywalił szczęką w chłodny materiał. Facet usiadł na nim, wykręcając mu ręce za plecami. Wokół rozległy się krzyki wystrojonych jak lalki kobiet. Patrzył dookoła jak szczuty psami jeleń, kiedy my rozpłynęliśmy się w tłumie. Nie było sensu już wołać.

Zwrócili go nam na Dmitrowską, jakżeby inaczej. Minęły dwa dni. Posiniaczony, pokrwawiony, brudny, wyczerpany. I to tylko przez brak głupich dokumentów.

Żaden z nas nie wpadł na to, że całkowicie sobie na to zasłużyliśmy. Że mogliśmy to przewidzieć, że byliśmy głupi i nieuważni.

Głaskałem pieszczotliwie zdradziecką kosę – kawał żelastwa długi prawie jak moje przedramię, najcenniejszy z moich skarbów, który był już ze mną od tak dawna.

– Odłóż to, bo sobie krzywdę zrobisz – usłyszałem obok zachrypnięty, tak dobrze znany mi od lat, głos przybranego brata Dimy.

Już byłem gotów coś odburknąć, ale on patrzył na siedzącego pod ścianą znudzonego Antona, przerzucającego z ręki do ręki niepozorny, mały granat. Ten zmierzył go tylko rozbawionym spojrzeniem. Udał, że bierze mały zamach i rzuca nim w Dimę.

Siedzieliśmy po ciemku, w tunelu niedaleko Dostojewskiej, przy skrzyżowaniu z odcinkiem Nowosłobodska – Prospekt Mira, już od jakiegoś czasu. Nie było sensu rozpalać ogniska – zwykłe marnotrawienie zasobów i energii.

– Wziął ktoś coś do żarcia? – spytał Wania jakby od niechcenia.

Spojrzeliśmy po sobie z Dimą z lekkimi uśmiechami.

– Tak – przytaknęliśmy.

Zapadła chwila ciszy. Staraliśmy się na siebie nie patrzeć, żeby nie parsknąć śmiechem. Wańka znowu zeżarł wszystko, co miał. Biedny, wiecznie głodny Wania. A przy tym chudy jak szkapa.

– No to dajcie mi, cholera.

Dima wyszczerzył zęby, wyciągnął coś z torby i rzucił Iwanowi.

Oparłem końcówkę ostrza na wskazującym palcu lewej dłoni, patrząc, jak skóra ugina się, bieleje, napina pod naciskiem chłodnego metalu. Nacisnąłem odrobinę mocniej.

Siedzieliśmy i czekaliśmy – właśnie z powodu podrzucania przez Antona granatu. Miał on jeszcze coś do powiedzenia w tej historii, lecz teraz czekał spokojnie razem z nami. Nadsłuchiwał cichych zgrzytów wyczerpanej życiem w ciągłej podróży drezyny.

Właściwie to wszystko to była jego wina. Teraz wydaje mi się, że może raczej zasługa.

Znaleźliśmy go przy stosunkowo świeżym trupie. Większość takich znalezisk zwykliśmy sprzedawać, ale kto zmarnowałby taką okazję? Na pewno nie my. Gdybyśmy byli na tyle odważni, na tyle dobrze wyposażeni, żeby wyjść na górę, może załatwilibyśmy to w inny sposób – zawsze przecież istniało niebezpieczeństwo, że tunel zawali się od siły uderzenia. Ale chcieliśmy to zobaczyć, przeżyć, poczuć, a zawalenie którego tunelu najprzyjemniej byłoby nam oglądać? Śmiesznie proste pytanie – dziecinnie łatwa odpowiedź.

Mała kropla ciemnej krwi.

Odsunąłem ostrze i zacząłem uważnie się jej przyglądać.

Metaliczny smak. Ciepło człowieka, a smak maszyny, robota. Dziwne. Zmarszczyłem brwi w zadumie pogrążony w bezsensownych rozmyślaniach, ssąc wskazujący palec lewej dłoni.

Wtedy usłyszeliśmy to, na co czekaliśmy.

Jak zwykle nie mieliśmy żadnego przemyślanego planu, nie mówiąc już o wersji B.

Ale to nie szkodzi. I tak niczego nie zrobilibyśmy inaczej.

Wszyscy czterej poderwaliśmy się na nogi, zaczęliśmy chować wszystkie rzeczy, zbierać z ziemi, upychać do toreb, Anton złapał latarkę i wyszedł na tory. W kilka sekund staliśmy już gotowi do biegu, serca biły nam jak szalone ze zdenerwowania i podekscytowania, po plecach przebiegł mi odrętwiający, zimny dreszcz. Po bladych twarzach błąkały nam się głupie uśmieszki.

Nadjeżdżała hanzeatycka drezyna – tylko takie miały tu wstęp. Jak zwykle wyładowana wszelkim dobrem.

Z pozoru bardzo proste – światło, trochę krzyku, rzut. A potem ten wybuch, wibrujące ściany, sufit, szyny – całe metro. Płomienie, iskry, zapach niepowtarzalny i inny od wszystkich. Coś, czego nigdy nie zapomnimy. I zemsta – wspaniała zemsta. Za siniaki Wańki, za jego połamane palce. Zakłócone beztroskie bogactwo ślepych na los innych mieszkańców Okrężnej. Zemsta za obrzydliwą rozrzutność, za te zapachy, za muzykę.

Z pozoru tak proste. Pewnie wiele mogło się nie udać, nawet w najlepszym planie wiele może się nie udać – nie wiedzieliśmy jednak, że zawiedzie podstawowy punkt programu.

Słyszeliśmy teraz drezynę bardzo dobrze. Jechała z prawej, od strony naszej Dmitrowskiej. Anton włączył latarkę. Ostre światło zalało tunel, odsłaniając zupełnie inną twarz metra. Upiornie niebieskawą, brutalną i przesadnie szczerą. Tak szczerą, że jeszcze łatwiej przychodzi uwierzyć

w jej kłamstwo.

Wtedy zaczęliśmy robić raban.

– Stać! – wrzeszczał Dima.

– Nie ma przejścia! – darł się Wania.

– Zatrzymać się!

Ja milczałem z wytrzeszczonymi oczami, prawie dygotałem z otwartymi prostacko ustami.

Usłyszeliśmy jakąś niewyraźną odpowiedź, gdzieś daleko z tunelu, gdzie widzieliśmy już oświetlające drogę drezynie białe światło. Później pisk hamulców, gdy nas dojrzeli.

Anton cały zdrętwiał. Zimne, spocone palce zacisnęły się wokół granatu, grożąc, że kiedy przyjdzie wyczekiwany moment – zawiodą. Oddał komuś latarkę – nie wiedział nawet komu – drugą ręką zaskakująco spokojnym ruchem chwytając za zawleczkę. Starał się oddychać równomiernie i głęboko – o dziwo, nie było to wcale trudne.

Zwalniała, skrzypiała coraz bliżej i bliżej.

Wyczuć moment.

Zmrużył oczy. Podniósł rękę. Szarpnął maleńką zawleczkę.

Ktoś coś mówił, ktoś na niego patrzył, o coś pytał. Drezyna prawie już stanęła w miejscu.

Rzucił, zanim zdążył rozpoznać którąkolwiek z twarzy. Zanim zdążył im współczuć i żałować.

Niewinne, radosne stuknięcie.

Pierwsza sekunda.

Udało się, trafił. Nie mógł przecież nie trafić. Nie Anton.

Rzuciłem się na ziemię, ściskając rozpaczliwie głowę rękoma. Bo tak chyba trzeba robić – paść i ściskać uszy, prawda? Czemu, do cholery, nie stanąłem za ścianą? Już i tak jest za późno. Ktoś upadł tuż przy mnie. Dima? Wania?

Druga sekunda.

Jakieś głosy. Ktoś zrozumiał. Krzyki.

Trzecia sekunda.

Nie odważyłem się otworzyć oczu.

Kolejna sekunda.

Paniczne stukoty, szuranie, później wszystko oplotła głucha cisza.

Kolejna.

Znów czekaliśmy.

Kolejna.

I znowu.

Jeszcze jedna.

Ostatnia.

Walenie serca wstrząsało całym moim ciałem, jakbym zmienił się w jeden wielki mięsień, pot lał mi się po plecach i po twarzy. Uchyliłem powieki. Jasne światło z przodu drezyny wciąż spokojnie omiatało tunel. I cisza. Straszna, bo nie wiadomo, jak długo będzie trwała. A w mojej głowie pustka kompletna. Mógłbym wtedy dużo zrobić, ale skąd mogłem wiedzieć? Leżałem zamiast tego jak bezwładny wór ziemniaków.

Powinienem był wstać pierwszy. Zrozumiałem przecież już wtedy, co oznacza ta przedłużająca się cisza. Gapiłem się na drezynę, jakbym zobaczył ją pierwszy raz w życiu, pod ścianami leżało skulonych kilka osób. Wszyscy nieruchomo, jakby zamarznięci, jak gdyby zatrzymał się czas. I nic nie wskazywało na to, żeby czas biegł do przodu. Żaden dźwięk, najmniejsze nawet drgnięcie powietrza. Gotów byłem nawet w to uwierzyć.

Sytuacja była w zasadzie dość komiczna – teraz mogę tak powiedzieć, gdy minęło już trochę czasu. Porażeni, sparaliżowani – durnie. I triumfujący mały granacik – niewypał.

Powinienem był wstać pierwszy.

Ktoś jednak wstał przede mną.

Ostrożnie drgnął ciemny kształt pod ścianą. Później drugi – bliżej mnie i następny – obok pierwszego. Płochliwe sekundy wkrótce zmieniły się

w rozpaczliwy wyścig o wszystko. Jeden dopadł drezyny, inny sięgał do kieszeni. Rozbudzaliśmy się leniwie, jak owady. Rozglądali się, jakby nie wiedzieli, gdzie są. Przytomnieli. Ktoś pociągnął mnie za ramię. Jakiś stłumiony głos – wciąż ściskałem rękoma głowę. Nie wierzyłem w to. To nie mogło być naprawdę. Nie tak miało być. Szarpnęło mną mocniej. Zamrugałem. Wstał – chyba Dima. Ktoś coś krzyknął, a ja wciąż leżałem i czekałem. Wciąż mną szarpał, a ja nie chciałem zareagować. Nie mogłem. Powinienem był wstać, ale było już za późno.

Wtedy rozległ się huk.

Raz za razem.

Zacisnąłem powieki, Dima – mój brat – upadł na ziemię. A może Anton.

Szarpało mną. Ja już wiedziałem.

Nie chciałem patrzeć, nie chciałem słyszeć. Poddałem się. Jest już za późno, przestań mną szarpać, to bez sensu.

Wciąż jednak dochodziły do mnie dźwięki. Chaos, błagania, kolejne wystrzały, groźby. A przez powieki przedzierała się biel światła drezyny.

Ból głowy.

Później zapadła ciemność, zapanowała cisza.

2

Śniło mi się kiedyś, że strzeliłem sobie w skroń. Albo może ktoś inny strzelił mi w skroń. Różnica raczej nieduża, w końcu to był tylko sen.

Pamiętam dziwne otępienie, spokój. A potem krótki, ostry ból. Jak by to powiedzieć… jak gdyby ktoś poraził mi mózg prądem. Mocne ukłucie całej powierzchni czaszki. Straszne, ale nawet dość przyjemne.

Było to dawno. Tak dawno, że wspomnienie powinno już się zatrzeć. Opowiadałem je jednak tyle razy i tyle razy przywoływałem, że wciąż jestem w stanie to opisać.

Zawsze zastanawiałem się, czy to możliwe, że naprawdę tak było.

Że mój mózg odtworzył coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem?

Wyobraził sobie uczucie? Ciekawe tylko, czy trafnie albo chociaż w sposób zbliżony do rzeczywistości.

Obym nigdy się nie dowiedział.

Nie wiem do końca, co mnie obudziło.

Szumiało mi w głowie. Czułem się, jakby środek ciężkości przeniósł mi się na płat czołowy.

Czułem, że coś jest nie tak, że chyba muszę otworzyć oczy, bo coś tutaj się nie zgadza. Może to zapach, może temperatura powietrza, jakiś dźwięk.

Ale pachniało w porządku, może trochę za ładnie, było chłodno, ale nie za chłodno, wokół rozmawiano jak zawsze. Mimo wszystko…

Uchyliłem lekko powieki i zaraz z powrotem zacisnąłem.

Już wiedziałem, co to było.

Było jasno.

Upiornie jasno.

Otrzeźwiałem w ciągu sekundy. Musiałem być na Okrężnej, nie ma innego wytłumaczenia. Tylko skąd ja się tu, do czorta, wziąłem? W głowie pustka i to delikatne pulsowanie.

Byłem pewien, że jeśli znów otworzę oczy, bez wątpienia oślepnę. Nie mogę jednak tak leżeć do końca świata.

Odetchnąłem głęboko.

Mrugnąłem szybko. Drugi raz. I trzeci. Otworzyłem szeroko oczy, przyjmując agresywne, zimne światło prosto do mózgu. Zabolało. Po chwili mogłem już dostrzec jakieś kształty, kolory, ludzi, zarys stacji.

– Dzień dobry – ochrypły głos tuż nad moim uchem, twarz tuż przed moją twarzą.

Poczułem coś mokrego, szorstkiego, duszącego, zakrywającego mi usta i nos.

Chcąc nie chcąc, odetchnąłem ostrymi oparami.

I nareszcie znów zrobiło się ciemno.

***

Jura nienawidził zarówno faszystów, jak i komunistów.

Akurat tak się szczęśliwie złożyło, że podesłano im faszystę/komunistę. Nie wiadomo było, do cholery, skąd się ten szczeniak wziął, ale był zaangażowany w próbę wysadzenia hanzeatyckiej drezyny, wiozącej na pace masę żarcia na Prospekt. Mieli farta. Okazało się, że granat po prostu nie wybuchł, a ci czterej byli do tego zupełnie nieprzygotowani.

Tak, mieli farta. Lepiej jednak po prostu powiedzieć, że ich żołnierze są tak dobrze wyszkoleni, że udaremnią każdy atak. Przy nich po prostu granat nie może wybuchnąć.

Jura uśmiechnął się do siebie. Wszystko zawsze tak dobrze się układa. I jeszcze udało mu się zakosić ten śliczny scyzoryk.

Nie mógł powstrzymać podziwu wobec ząbkowanego ostrza. Załatwił sobie pilnik i ścierał teraz zawzięcie małą swastykę z rękojeści. Leżała w dłoni, jakby została stworzona właśnie dla jego ręki.

Cichy jęk.

Podniósł wzrok i z satysfakcją przyjrzał się więźniowi. Całkiem przyzwoicie pokiereszowany.

Bili go pół dnia z przerwami, a on wciąż powtarzał to samo, jak katarynka.

Że zwykły złodziej, że z Dmitrowskiej na rubieżach.

Ile razy już Jura to słyszał – sam nie pamiętał.

Znaleźli jego dokumenty – jedne priorytetowe od Czerwonych, drugie zapewne fałszywe – z Dmitrowskiej, a także ten ładny nożyk z bielutkim dowodem zbrodni i parę innych ciekawych ustrojstw.

Kopali go, okładali – butami, pałkami, gołymi rękami. Poinformowali, że jego trzech towarzyszy już dawno leży martwych, a on płakał, jak mała dziewczynka, której zginął kotek. Po pewnym czasie cały już napuchł i zsiniał. Jura widział jednak gorsze przypadki: twarze odkształcone jak plastelina, jakby ktoś komuś robił domową operację plastyczną

budowlanym silikonem. Całe ciało mieniące się różnymi kolorami tęczy, swoją drogą, widok dość interesujący. Wewnątrz kości tak połamane, że ciało przybierało zadziwiające wręcz formy.

Mógłby Jura dzieciaka na śmierć zakatować – dla zasady – ale rozkaz to rozkaz.

Kazali go odesłać do Pałaców na jakieś testy. Zdarzało się to dość często. Prawie co drugi przestępca tam jechał, jako materiał do badań – prawie każdy, który przeżył.

Więzień znów jęknął jakimś dziwnym, nieludzkim chrząknięciem.

Pałace. Nikt nie wiedział, gdzie są i co tam jest. Większość nigdy tego słowa nie słyszała. A ci co słyszeli – nie wnikali. Poza tym była to jedynie głupia, dziecinna, umowna nazwa, używana pomiędzy spekulantami takimi jak Jura.

Z jednej strony Jura zazdrościł chłopakowi, że będzie mógł zobaczyć to legendarne wręcz miejsce. Z drugiej strony, gdy chwilę się zastanowił… nie. Nie współczuł mu.

3

Zdjęła biały kitel i rzuciła na oparcie obrotowego krzesła. Jeszcze tylko chwila i będzie mogła skończyć na dzisiaj. Weźmie gorący prysznic, jeśli wciąż zostało trochę ciepłej wody, a potem zwinie się pod grubą kołdrą i będzie spała całą długą noc.

Wyłączyła stary komputer dużym, wytartym już przyciskiem. Maszyna powolna, ale prosta i skuteczna. Jej wzrok padł na stary czerwony kubek. Zajrzała do środka, wiedząc już, co zobaczy. Zimne resztki kawy z rana – mdłego płynu, którego nikt tutaj nie lubił, a każdy pochłaniał w podejrzanie wręcz dużych ilościach. Wzruszyła ramionami i wypiła ją jednym haustem, krzywiąc się.

Wtedy coś poczuła. Delikatne mrowienie na karku. Jakby ktoś na nią patrzył.

Odwróciła się. Na wysokim fotelu siedział człowiek. Nie zdziwiło ją to, sama przecież była obecna, gdy się pojawił. Tylko że ten człowiek spał, nie mógł przecież na nią patrzeć. Miał zamknięte oczy i oddychał głęboko.

Oddychał tak już od dwóch dni. Zmarszczyła brwi. Musiało się jej wydawać. Bo na pewno nie mógł jej obserwować ten drugi.

Już wcześniej przeczuwała, że coś się zmieniło.

Drugi też przez ostatnie dni oddychał chrapliwie, świszcząco. Teraz przestał. Siedział nieruchomo z otwartymi jak ryba ustami, aparatura wokół niego zamarła.

To było właśnie to – brak tego świstu, który z początku sprawiał, że po plecach przebiegały jej dreszcze i wciąż musiała patrzeć za siebie.

Może to i lepiej. Teraz znów będzie cicho.

Nie może jeszcze iść spać. Pójdzie, ale jeszcze nie teraz. Musi zameldować o trupie w swoim pokoju, dopilnować, żeby go zabrali i dopiero wtedy. Podeszła do truchła i zerknęła przelotnie na przymocowaną do niego karteczkę z nazwiskiem. Tyle się ich tu przewijało, że nawet nie próbowała ich zapamiętać. Może drugiego, trzeciego wciąż jej było żal, dziesiąty, piętnasty – nie mieli już twarzy. Ten miał twarz, całkiem nawet przystojną pod kolorowymi sińcami.

Iwan Igorewicz Wazow. Kolejny blady, żylasty i pogruchotany.

Znów to poczuła. Mrowienie na karku.

Odwróciła się gwałtownie. Nikogo.

Jedynie Wadim Władimirowicz Czeremskij. Który wciąż spał.

Odstawiła nieco zbyt głośno kubek na biurko i wyszła szybko na korytarz, nie oglądając się za siebie. Od razu poczuła się lepiej, jakby wynurzyła się spod wody. Odetchnęła.

Na dzisiaj koniec. Przestał ją obchodzić ten trup. Równie dobrze mogą go stąd sprzątnąć jutro rano. Chciała się wykąpać i natychmiast iść do łóżka, spać.

Szybkie kroki kobiety oddaliły się poza zasięg słuchu.

Zerknąłem na Wańkę. Nie ruszał się i na pewno już nie oddychał.

Uśmiechnąłem się do niego krzywo. A jednak kłamali. Wania nie umarł w tunelu.

Nie było czasu do stracenia. Byłem kompletnie zdrętwiały i słaby, głowa bolała niemiłosiernie, w ustach miałem sucho i jeszcze chciało mi się rzygać.

Wokół stało mnóstwo urządzeń, tyle kabli nie widziałem nigdy jeszcze w życiu, pachniało dziwnie, mdło i nachalnie. Nadgarstki i kostki miałem spięte paskami, podobny pas trzymał mnie za brzuch. Do okolic serca i żołądka prowadziły cienkie rurki, znikały pod skórą.

Szarpnąłem się raz i drugi, ale fotel tylko sarkastycznie skrzypnął, jakby chciał mi powiedzieć: „Czego ty chcesz, dzieciaku? Zgłupiałeś?”. Ale ja wciąż rzucałem się, nie czując prawie bólu w zdrętwiałych mięśniach.

Wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że parsknąłem histerycznym śmiechem.

Pasek przytrzymujący mój prawy nadgarstek był lekko nadszarpnięty, jak gdyby ktoś próbował go przegryźć, ale nie zdążył. Co za brak profesjonalizmu.

– Chwała ci, przyjacielu – mruknąłem cicho i zabrałem się do roboty.

Żułem zawzięcie podejrzanie słony materiał. Odgryzałem po małym kawałku i wypluwałem na podłogę. Z prawej spod przymkniętych powiek przyglądał mi się spokojnie Wania.

– Pomógłbyś, zamiast się gapić – skarciłem go obrażonym tonem i zaraz znowu zarechotałem histerycznie, gardłowo.

Co dziwne – śmiałem się coraz bardziej – cały się trząsłem ze śmiechu. Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Właśnie próbuję zjeść fotel, do którego ktoś mnie przyczepił, a Wania siedzi obok – martwy.

Wreszcie się udało. Pasek pękł, a ja uniosłem triumfalnie zaciśniętą pięść w geście zwycięstwa.

– Patrz i ucz się od mistrza, mój drogi.

Wańka nie zareagował, co w tej sytuacji było dosyć zrozumiałe.

Wściekły wyrwałem idiotyczne rurki z piersi, jak gdyby to była ich wina, że tam tkwiły.

Odpięcie wszystkich pasków zajęło mi kolejne minuty. Musiałem robić to na ślepo – zapięcia znajdowały się za moimi plecami, ale w końcu się udało.

Poderwałem się triumfalnie z głupim uśmieszkiem na ustach. Poszło niemalże zbyt łatwo.

Musiałem jednak wciąż się spieszyć. Złapałem biały fartuch.

– Wybacz, stary – rzuciłem w stronę Iwana i wyszedłem na korytarz.

Aleksiej był dzisiaj w bardzo dobrym nastroju. Nie zawsze trafiały im się takie perełki.

Mężczyzna nie wykazywał żadnych popromiennych zmian fizycznych z wyjątkiem mózgu, którego jeszcze nie zdążyli przebadać, a zostawili sobie na przysłowiowy „podwieczorek". Istniała oczywiście możliwość, że po prostu oszalał, ciemność i głód uderzyły mu do głowy tak mocno, że coś mu się zwyczajnie pomieszało. Albo dostał za mocno w łeb i mu się odkształcił. Liczyli jednak na coś więcej. Na co – bali się wypowiedzieć zbyt wcześnie na głos, jakby mogli przepłoszyć odkrycie. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zeżreć każdego, kto tylko mu się nawinie. Charczał jak zarzynane prosię, nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia, nie reagował na światło, kolory, dźwięki, nie mówiąc już o konkretnych słowach. Szkoda tylko, że nie potrafił powiedzieć, gdzie i co tak go załatwiło.

Po to właśnie Aleksiej tu się zatrudnił, żeby pracować nad takimi przypadkami. Nad przypadkami, które są kluczowe, które mogą wnieść coś zupełnie nowego w dziedzinie radiacji, które pozwolą mu poczuć ten dreszczyk.

Zza rogu na drugim końcu korytarza wyszedł jakiś młody mężczyzna, prawie jeszcze dzieciak.

Wyglądał na zagubionego. Aleksiejowi zdawało się, że gdy tamten go zobaczył, zawahał się, chciał zawrócić, ale chyba było to tylko przywidzenie, bo zaraz ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. Aleksiej nigdy wcześniej go tu nie widział. Pewnie ktoś nowy.

Uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Tamten odpowiedział lekko przepraszającym uśmiechem, jakby nieco zażenowany swym zagubieniem.

Aleksiej zerknął na plakietkę na jego fartuchu i zmarszczył brwi.

Anna Tatarowa?

Pochwycił jego wzrok, który teraz się zmienił. Spochmurniał, a jednocześnie rozbłysnął strachem i nieufnością.

Znał Annę.

Gdy ostatnio sprawdzał, wydawała się kobietą.

Przeszedł obok, próbując przetrawić to, co przed chwilą zobaczył, ale trybiki jego myśli wciąż blokowało ciemne spojrzenie. Odwrócił się. On też patrzył przez ramię, przyspieszył.

Teraz już widział, jak bardzo ten człowiek nie pasuje do tego miejsca. Poruszał się jakoś dziwnie, po zwierzęcemu, niezdarnie, jakby nie był przyzwyczajony do… tego.

Opuściłem wzrok na małą, niewinną plakietkę.

Anna Tatarowa – krzyczały drobne, wąskie litery.

Niech to szlag. Złapałem ją ze złością i zerwałem jednym szarpnięciem.

Korytarze diabelnie białe, niezdrowo wręcz czyste, wolne od jakichkolwiek cieni i strasznie jasne. Muszę być w hanzeatyckich podziemiach, nie ma innej możliwości. Tylko jak stąd, do cholery, wyjść? Skręciłem. Na samym końcu dziwacznie wyglądające drzwi, nad nimi mnóstwo napisów na wielkiej tablicy – długich i dziwnych. Pchnąłem drzwi.

Dwa krótkie piśnięcia.

Odskoczyłem pod ścianę, jak oparzony gapiąc się w małą skrzyneczkę, która mrugała beztrosko czerwonym światełkiem.

Najwidoczniej jakaś pułapka. Odsunąłem się powoli, po dwóch krokach rzuciłem się biegiem. Trzeba było zawrócić.

Chwilę później znalazłem schody – im wyżej, tym bliżej do domu. Kolejna sieć korytarzy – identyczna prawie jak ta piętro niżej.

Kilka głosów beztrosko rozmawiających zbliżało się teraz z prawej strony, odszedłem więc szybko w lewo, skręciłem i wpadłem na jakąś kobietę z metalowym wózkiem. Opadły brzęczącą kaskadą jakieś narzędzia.

Potem one – kroki. Ktoś za mną szedł.

I to szedł szybko.

Kolejny zakręt. Zacząłem biec i bardziej poczułem, niż usłyszałem, że tamten za mną zrobił to samo. Ślepy zaułek – kolejne drzwi, tym razem ogromne.

Wpadłem na nie z impetem, a one rozwarły się na oścież.

Wielkie pomieszczenie. Sufit na wysokości co najmniej dwudziestu metrów, większy niż jakakolwiek stacja, pełen maszyn, kabli, ludzi, a wszyscy patrzyli prosto na mnie.

Pośrodku wznosiła się ogromna żelazna konstrukcja. Jej wielkość przekraczała wszelkie moje wyobrażenia. Stanąłem jak wryty, zadzierając w górę głowę, aż zaczęło mi się w niej kręcić.

Może to iluzja, myślałem wtedy. Takie rzeczy nie mogą istnieć.

Poczułem ostre ukłucie, gdy poraził mnie prąd, a katedra rozpłynęła się.

4

– …podejrzewa naruszenie rdzenia – niski, męski głos jednocześnie zawierający jakąś ledwo uchwytną dziewczęcą nutę, która sprawiała, że brzmiał trochę niepoważnie.

– No jasne. Jakby nie mogli zrobić czegoś raz a dobrze – byłem pewien, że ten głos należy do właścicielki mojego białego fartucha, mimo iż jej nie widziałem. – I gdzie teraz, cholera, znajdziemy drugie AB-?

Uśmiechnąłem się lekko, z satysfakcją.

A przynajmniej tak mi się wtedy jeszcze wydawało. Dopiero później zrozumiałem.

– Dobra, lecę. Widzimy się na obiedzie – rzuciła jeszcze przez ramię.

Kroki na korytarzu zmierzały w moją stronę.

Otworzyłem oczy. Ktoś zgasił światło w pokoju. Całe szczęście, teraz mogłem patrzeć.

Jednak poczułem się nieswojo. Dwie rzeczy się grubo się nie zgadzały.

Pierwsza: w pokoju nikogo nie było, a przed sekundą przecież słyszałem rozmowę, i to tak dobrze, jak gdyby rozmawiający stali tuż przy mnie.

I druga, zdecydowanie bardziej niepokojąca – coś, co miało związek z moją głową. Była dziwnie lekka. Czegoś w niej brakowało, nie mogłem tylko jeszcze zrozumieć czego. Ktoś ogolił mi głowę na łyso, ale to nie było wszystko.

Nagle uderzył mnie z siłą pędzącego byka ten fakt.

Dlaczego jest mi lżej.

Ktoś obciął mi język. Obciął ponad połowę mojego języka.

Stała, notując akcje życiowe prawie na ślepo.

– Jak się miewa nasze warzywko? – Jegor wpadł do pokoju jak zawsze, bez pukania. – Cholera jasna, nie można tu zapalić jakiegoś światła?

– Nie można – odburknęła może nieco zbyt ostro.

– Bo co? – spytał nieco urażonym tonem.

– Przy zapalonym świetle wzrasta mu puls, wzrasta temperatura ciała, co niweluje Biodepanocyt – wyjaśniła szybko, próbując odwrócić jego uwagę od chamskiego powitania.

– Gorączka od zapalonej lampy? – lekkie niedowierzanie graniczące z dziwnego rodzaju respektem.

– Można też tak to ująć.

Parsknąłem cichym śmiechem. Zwycięstwo!

Miałem jednak dziwne wrażenie, że nikt mnie nie usłyszał.

– Nie możesz mu po prostu zawiązać czegoś na oczach? – uśmiechnął się przepraszająco, gdy napotkał jej wzrok.

– Nie mogę. Muszę przecież badać reakcję źrenic. – Jegor pracował tu niedużo krócej od niej, a miała czasami wrażenie, jakby wciąż był praktykantem.

– Tak, masz rację – przerwał jej szybko. – Powinienem się zorientować, że pomyślałaś o wszystkim.

Z zażenowaniem wyczułem delikatną nutkę uwielbienia. Ona chyba też, bo z jeszcze większą gorliwością wróciła do swoich notatek.

Przez chwilę słychać było jedynie oddechy, skrobanie długopisu. Dziwnie głośne i wyraźne skrobanie.

– Chciałeś wiedzieć, co z nim – niezbyt zręcznie zmieniła temat, choć cała nasza trójka wiedziała, że przyszedł tu spotkać się z nią.

– Tak, no pewnie – przypomniał sobie z nieco zbyt dużą dawką sztucznego entuzjazmu i niezdarnie przebrnął przez ciemny pokój.

– Za dużo nowego to się nie dowiesz.

Zaczęła powoli przesuwać mi palcem przed oczami, z lewej do prawej.

– Widzisz? Zero reakcji. Normalnie jeśli nie śledziłby go wzrokiem, to przynajmniej raz by zerknął.

Jegor pokiwał głową w skupieniu. Zbyt dużym skupieniu. Przesadnym.

– A tu nic.

Jak to nic?

Wodziłem za palcem nie tyko wzrokiem, ale i całą głową, robiąc ogromnego zeza.

To ma być nic?

– Dobrze, że chociaż mruga – westchnęła i zapisała na kartce maleńki minus.

***

Warzywo, warzywko.

Tym właśnie dla nich byłem.

Jedni patrzyli na mnie z obrzydzeniem, inni żałowali młodego chłopaka, łysego i otępiałego, chudego i nieprzytomnego, snującego się po korytarzach jak duch. Niereagującego z pozoru na nic, ogłupiałego niemotę bez języka.

A ja rozumiałem wszystko i wszystko słyszałem. Z odległości dwóch pięter i kilkunastu zakrętów – najcichszy nawet szept, najlżejszą zmianę ciśnień, ruch powietrza. Potrafiłem po krokach rozpoznać, kto idzie. Uśmiechałem się do nich, próbowałem mówić moim krótkim językiem, sepleniąc, ale nikt nie reagował. Straciłem kontrolę czy jakoś tak. I mogłem tylko patrzeć i mrugać, choćby nie wiem jak bardzo mi się wydawało, że potrafię inaczej. Całe szczęście, że z resztą ciała wszystko było w porządku.

Jednak płynęło z tego sporo korzyści. Mogłem chadzać w miejsca, w które nie miała dostępu połowa personelu hanzeatyckich podziemi, rozległych, czystych i surowo w pewien okrutny sposób pięknych, oślepiająco jasnych jak królewskie pałace. Laboratoria, gabinety, łazienki, kuchnie, sypialnie, magazyny, a nawet dyżurki strażnicze, wielkie jak katedry sale. Z tych ostatnich uparcie mnie wyrzucano.

Miało to w sobie pewien znany mi urok. Korytarze były niemal jak tunele, duże, rozległe piętra jak stacje, łączniki jak boczne przejścia. Poznawałem ten labirynt coraz lepiej, z przyjemnością się w nim zatracając. A jednak nie było to to samo. Tęskniłem za moim ciemnym metrem, za moją Dmitrowską. Ale wciąż nie mogłem znaleźć wyjścia.

Znalazłem jednak co innego. Moją starą przyjaciółkę w szafce jednego ze strażników. Długa prawie jak moje przedramię. Wciąż tak dobrze leżała mi w dłoni. Teraz mogła lśnić odbijając to cholerne światło.

– Co ty tu robisz, maleńka? – zapytałem ochryple świadom, że sam siebie naprawdę nie słyszę.

Przytuliłem ją do siebie, jak pluszowego misia, i wbrew sobie poczułem, że płaczę. Wytarłem grzbietem dłoni swoją sztywną jak maska twarz, ale

była sucha. Miała rację, mogłem tylko mrugać.

Schowałem ją w jednym z magazynów. Tam gdzie rzadko ktokolwiek chadzał, a już właściwie nigdy nikt nie zaglądał w kąty.

Wtedy znalazłem sobie nową rozrywkę. Samo snucie się to było już dla mnie za mało. Chodziłem teraz z niewidzialnym, irytującym uśmiechem, gasząc światła, gdzie tylko się dało. Uwielbiałem słuchać zaskoczonych pisków nagle oślepionych kobiet w kuchni, a chodząc po ciemnych korytarzach, dużo łatwiej można było samego siebie przekonać, że są to brudne tunele, że słyszysz chrzęst kamieni pod wojskowymi butami skradzionymi nieuważnym handlarzom albo w trupa schlanym wojskowym, że po chłodnych szynach przed tobą idzie cały i zdrowy Wania, za tobą Anton, a przy twoim boku Dmitrij, twój brat. I śmieją się znowu z czegoś głupiego, paląc czarne obleśne fajki z Baumańskiej, bo jeszcze nie znaleźli tego małego zdradzieckiego niewypału, który zamiast zrobić, co nam obiecał, pozabijał nas wszystkich.

Potem ktoś zapalał światło z powrotem, a Dima rozpływał się z tym swoim głupim uśmieszkiem.

Tylko gdy zamykałem się po ciemku w moim magazynie, nikt mi nie przeszkadzał. Mogłem tam siedzieć i ostrzyć moją kosę do usranej śmierci.

Przeczytałem już wszystkie długie słowa z tablic, godzinami jeździłem windami w tę i z powrotem, wydrapałem na nowo wytartą z rękojeści małą białą swastykę.

Minęły tygodnie.

I w końcu zrozumiałem, że nigdy nie znajdę wyjścia.

Utknęli.

Utknęli w ślepym zaułku.

Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka jest zupełnie zdrowa, a przecież była bliska śmierci. Jak to możliwe?

Tak, był to ciekawy przypadek, jeden z tych wręcz fascynujących. Tylko dlaczego każdy z nich musi kosztować kogoś życie?

Znowu on. Znowu przyszło jej go minąć. Nienawidziła tego.

Nie potrafiła patrzeć w te zamglone, ciemne, zachmurzone oczy. Kiedyś – pamiętała doskonale – tak pełne życia, tak rozpaczliwie chcące się uwolnić. Teraz martwe i pełne wyrzutu. I to właśnie przez nią.

Odwróciła wzrok i wyminęła go lekkim łukiem, starając się nie przyspieszać. Wciąż miała dziwne wrażenie, że nie jest całkiem nieprzytomny. Że coś jeszcze rozumie.

Już miała podnieść wzrok, odetchnąć, odejść i na jakiś czas zapomnieć, kiedy poczuła na szyi coś zimnego i ostrego, co kazało się jej natychmiast zatrzymać. Kark owiewał jej ciepły oddech.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła. To był on. Ogarnęła ją panika. Czego od niej chciał? Zemsty?

Poczuła, jak obraca ją w stronę , łaskawie odsuwając lekko nóż od jej szyi, żeby mogła oddychać. Obserwowała, jak niewprawną ręką, dziecięcym pismem bazgrze na ścianie słowo „WYJŚCIE”.

Spojrzał jej w oczy wyczekująco. Miała wrażenie, że przez moment dostrzegła w nich tamten ostrożny, ciemny błysk.

Kiwnęła mu głową, a on przyłożył palec do martwych ust.

Ruszyła przodem, czując naciskające na kręgosłup ostrze dużego, ostrzejszego niż skalpel noża.

Nie powiedziała mu, że to samobójstwo. Nic nie powiedziała. Pomyślała sobie, że to może nawet lepiej, że go tu nie będzie. Lepiej dla wszystkich.

Choć było to właściwie tak niedawno, wszystko wydaje się zamazane. Może to znaczy, że już się zaczyna.

Ten strażnik zapytał o coś. Jak to było?

Potrzebował chyba zezwolenia.

Nie zastanawiałem się, dlaczego wyjście jest na samym dole. Powinno przecież prowadzić w górę, czyż nie? A może nawet się zastanawiałem. Może nawet zrozumiałem, ale nie chciało mi się już… Po prostu mi się już nie chciało.

Patrzyłem z otwartymi ustami, jak wielkie wrota zaczynają powoli rozsuwać się na boki.

Inni też patrzyli. Dużo ludzi.

Pewnie myśleli, na jak bardzo samotnego człowieka wyglądam, stojąc przed tym ogromem zupełnie sam. Ale to nieprawda.

Wcześniej byłem samotny. Teraz w ich głowach kołatały podobne myśli co w mojej. Nareszcie zaczynali mnie rozumieć. Nie byłem już sam. Uśmiechnąłbym się do nich, gdybym tylko potrafił.

Ruszyłem dalej, do czegoś w rodzaju przedsionka, tam czekały na mnie drugie wrota.

Wydaje mi się, że wtedy już na pewno musiałem zrozumieć. Słyszałem, jak zaczynają się zamykać, czułem na sobie wzrok ich wszystkich. Nie chciałem, żeby znów patrzyli na moją twarz. Chciałem, żeby zrozumieli, że nie jestem złym człowiekiem. Nie jestem szaleńcem, głupcem, niemotą, nie jestem głuchy.

Dlatego pomachałem im na pożegnanie.

W ostatnich jeszcze chwilach słyszałem przyjazne śmiechy, na to z kolei uniosłem pięści w górę. Jak zwycięzca.

Przeczuwałem już od dawna, że nie wrócę do domu. Że nie zobaczę już Dmitrowskiej. I ludzi, którzy tam zostali. Ale już się z tym pogodziłem.

Tak chyba myślałem.

Potem zamknęło się jedno wyjście i zaczęło otwierać drugie.

A ja zobaczyłem prawdziwą jasność, nie latarkę, nie reflektor.

Słońce.

5

Nie było wcale tak pięknie, jak opowiadali, o nie.

Było tysiąc razy piękniej.

Jak by to opisać…

Pierwsze, co mnie uderzyło, to chyba zapach. Powietrze. Wolne

powietrze, prawdziwe. Wdychałem je, niemal czując, jak mnie zabija, wdychałem łapczywie jak… Jak co? Jakby jak? Jakbym naprawdę oddychał pierwszy, a zarazem ostatni raz w życiu.

I znów poczułem te głupie łzy – to słońce wypalało mi oczy. A ja byłem taki szczęśliwy. Próbowałem objąć to wszystko naraz, ale było to po prostu niemożliwe.

Co dalej? Dalej dźwięki. Setki dźwięków.

Zaatakowały łagodną kaskadą mój wyczulony słuch.

Piski, krzyki, zgrzyty, trzaski, kroki, szum, wiatr, szelest, delikatne zmiany ciśnień.

Wrzask ptaka krążącego nade mną. Poniósł się w dal, w przestrzeń, uleciał, echem rozbił się o cały ten ogrom.

A wszystkie pasowały do siebie, wszystkie były cudowne, tworzyły coś idealnego. I nigdy nie słyszałem nic równie pięknego w moim życiu jak ta harmonia różności.

I mrugałem jak szalony, próbując dojrzeć jak najwięcej.

Mnóstwo koloru, miliardy odcieni delikatnie przechodzące jeden w drugi.

Wysokie wieżowce oplecione misternymi girlandami zieleni, cichy szmer liści, szelest przemykających między nimi stworzeń, a każde podążało w inną stronę i każde miało coś innego do załatwienia.

I to delikatne, rozkoszne ciepło na skórze…

Sięgałem wzrokiem daleko – i jak okiem sięgnąć, to wszystko było wciąż tak samo piękne.

Tyle rzeczy, których nie potrafiłem nazwać.

A nade mną błękit. Piękny i głęboki. I patrząc, nareszcie pojąłem, co oznacza słowo „nieskończony”, bo on naprawdę nie miał końca. Tak jak koniec zawsze ma ciemność, tak tam po prostu go nie było.

I białe chmury, hen daleko. I to wszystko dla mnie niepojęte.

Tak bardzo niepojęte.

I wszystko prawdziwe.

I zapomniałem już. Tak tego było dużo. Tak tego jest dużo.

Padłem na kolana.

Byłem taki szczęśliwy. Serce wyrywało się z piersi, ono też chciało odetchnąć, każda komórka chciała odetchnąć, rozrywając mnie na wszystkie strony.

I cały dygotałem ze szczęścia.

I chciałem tylko już umrzeć, już przestać żyć, już z tym skończyć, bo byłem zbyt szczęśliwy. Nie można być aż tak szczęśliwym.

A ja byłem właśnie tak szczęśliwy, że to aż bolało, nie chciałem już dłużej. Już nie mogłem tak dłużej.

I zalewam się łzami, jak małe dziecko, i nie czuję, że czarny nóż przecina mi palce, domagając się uwagi. I nic mnie już nie obchodzi. I nie mogę już na to patrzeć.

Bo to jest piękne.

To jest zbyt piękne.

Krążył powoli, obserwując długie ulice.

Starał się nie oddalać za daleko, pozostawać w zasięgu głodnych, ponaglających pisków.

Przez lata nauczył się spokoju, nauczył się ostrożności.

Nieraz widział, jak nierozwaga pokonuje nawet największe istoty.

Krążył więc spokojnie, łapiąc delikatne prądy wiatru, nasłuchując.

Był tam. Tuż pod nim.

Wiedział, że potrafią być bardzo groźni, ale ten wyglądał inaczej.

Rozejrzał się powoli, ostrożnie, czy nie chowa się ich tu więcej.

Dostrzegł rywala, średniej wielkości psisko, chude, ale szybkie.

Krzyknął ostrzegawczo i z satysfakcją ujrzał, jak w popłochu czmycha w jakąś dziurę.

Jeszcze tylko chwila.

Krążył powoli, zniżając lot.

Człowiek klęczał na otwartej przestrzeni. Co za brak rozwagi. Kompletny

brak rozwagi.

Zerknął, czy nic się nie zbliża.

Był zdeterminowany. Gotów walczyć o tego dwunoga.

Ale nic się nie zbliżało.

Jeszcze tylko moment.

Utkwił wzrok w nieruchomej postaci.

Zaczerpnął powietrza.

Zanurkował.

Tomasz Przyłucki | Miasto ’33

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

„Pod Papugami” zbierały się najróżniejsze ptaszki. Tubylcze kruki i sępy krążyły niespokojnie i łypały spode łbów na orły czy sokoły, które zamierzały wlecieć do Wileńskiego Gniazdka, zaświerzbionej Wileńskiej Galerii. Miejsca w metrze najbogatszego, bo niemającego konkurencji w szabrowaniu prawobrzeżnej części aglomeracji.

Knajpa cieszyła się szczególną w całym mieście renomą, dlatego nie każdy obcy ptaszek mógł się przedrzeć przez zasieki spojrzeń. Nim przekroczył próg, zdarzało się, że dostawał w dziób i wywijał orła. I nie mógł być pewien, czy w ogóle zrobił coś niewłaściwego, czy czymś zawinił, bo wedle praskich praw przygody kolor piórek, flaga niewłaściwa, a od urodzenia przynależna, stanowiły dostateczny powód do użycia świerzbiącej pięści.

Wykopanemu delikwentowi pozostawało jedno – żal za nieusłyszanymi melodiami, które nigdzie indziej, jak właśnie „Pod Papugami”, najmocniej chwytały za serce.

***

Mam tak samo jak ty. To moje miasto, a w nim nadwiślańskie ruiny, gruz piach i pył, zalane promieniami słońca czerwonego, szczerzą do mnie kły. Mam w tym mieście swoje życie, najstraszniejsze sny, zagubiłem tu

sumienie w najzimniejsze dni. Ktoś chciał zatrzymać w umyśle czas i pamięcią przez niego przejść wskroś i wspak, lecz zabrakło mu sił – nie ma już miasta, a z nekropolis nowe życie wyrasta. Po rzece wizg się niesie. Pluskają się w falach łuski śniętych ryb, z pian grzywy urastają zębate, a ty nieustannie przesz przez warszawski dzień, między wschodem i zachodem, brzegiem a brzegiem. Lecz czy ty wiesz, Wisło, któż w tobie zamieszkał?

***

Do przybysza podszedł chłopiec. Mimo panującego „Pod Papugami” ścisku mężczyzna był samotny – może tym skusił dziecięcą duszyczkę, która również w pojedynkę pałętała się między tymi wszystkimi dorosłymi zajętymi marnotrawieniem życia. A może dlatego że gość, niby przyjezdny, nie wyglądał jak żaden orzeł ni sokół, a przez te wszystkie pooparzeniowe blizny jawił się niczym najprawdziwszy feniks.

– Proszę pana, narysuje mi pan baranka? – zapytał malec i żądająco wyciągnął rączkę z pożółkłym notatnikiem.

– Zwykłego baranka? – Mężczyzna zmarszczył pozbawione brwi czoło. – A dlaczego nie dinozaura?

– Nie potrzebuję tak dużych zwierząt – obruszył się chłopiec. – Mogę na nie popatrzeć przez okna galerii.

– Rozumiem. Jednak nie umiem rysować.

– Ale ja chcę baranka. – Zacisnął wargi. – Chłopcy muszą wiedzieć, jak wyglądają baranki.

– Muszą? Po co?

– Żeby za szybko nie dorosnąć – powiedział zdecydowanie młodzik, poprawiając szalik na szyi i nachalniej wpychając notatnik w pokryte bliznami dłonie mężczyzny.

– Skoro tak… – przytaknął, choć odepchnął od siebie kartki. Skinął brodą w kierunku baru: – Lepiej ci pokażę. Widzisz, tam, przy ladzie, tego łysego pana z rudą brodą, w skórzanej kurtce, któremu właśnie barman podsunął

kubek?

– Widzę.

– To jest właśnie najprawdziwszy baran, młody człowieku.

Chłopiec otworzył szeroko usta, a Płomyk uśmiechnął się wąską kreską poparzonych warg. Poczuł ból rozciągniętej skóry, wstał i podszedł do długowłosego okularnika, który kilka chwil wcześniej zagnieździł się przy stoliku pod podestem sceny i wsłuchiwał w potok słów z niej ściekających.

***

Tyle było dni do utraty sił, do utraty tchu, tyle było chwil. Gdy żałujesz tych, z których nie masz nic, jedno warto znać, jedno tylko wiedz: że ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, ważnych jest kilka tych chwil, tych na które czekamy.

***

– Gdzie się podziały tamte prywatki? Gdzie tamte dziewczyny i tamten świat? – zagaił Płomyka okularnik, nie odwracając wzroku od sceny. Przetarł tylko cienkie szkła, które zawilgotniały od emocji.

– Prawda? – Płomyk zgodził się, oglądając blizny na dłoniach. Zaczynały go swędzieć. Coś się szykowało… Ale właśnie po to tu przyszedł. – Co masz dla mnie tym razem?

– Hm… – zadumał się okularnik, zmierzył Płomyka wzrokiem i dodał, drapiąc się za uchem, jakby chciał okazać tym zakłopotanie: – To taka niestandardowa sprawa. Delikatna.

– Do konkretów. Jesteśmy na Wileniaku, nie zapominaj, że trochę mi tu niezręcznie przesiadywać.

– Ach, tak… – Stefan wcale nie sprawiał wrażenia bardziej przytomnego. Zdawało się, że jego myśli wirowały gdzieś wśród nut i słów starych piosenek. – Tak, tak, ta akcja z pałacem…

– Stul pysk.

– Tak, tak – powtarzał.

Płomyk gwałtownie oparł łokieć o blat stolika, zgiął nadgarstek w dół i zaprezentował Stefkowi otwór naramiennego miotacza ognia. To natychmiast otrzeźwiło okularnika.

– Miłosna sprawa.

– Że co?

– Romans mam dla ciebie.

– To ja tu jak po krach gnam, po rzecznym śmieciu przechodzę na tę stronę Wisły, pod gołym niebem, narażając się na zeżarcie żywcem i niegościnność tutejszego mera… – Płomyk ze złością szeptał kolejne słowa wprost do ucha Stefana, a ostatnie zdanie wyartykułował ze szczególną irytacją: – Nie mam czasu na pierdoły, nie jestem swatem, tylko łowcą nagród!

– Ale to nie taka kwestia, żeby kogoś zeswatać. To delikatniejsza sprawa i pasujesz tu jak ulał.

– No? – Płomyk nie zmieniał pozycji lufy miotacza.

– Dobrze, daj mi chwilę na wyjaśnienia. – Stefan pociągnął ze szklanki spory łyk. – Sprawa zaczyna się tak jak każda romantyczna bajeczka. Pewien chłopiec, a nasz zleceniodawca, siedział sobie kiedyś na brzegu peronu i bujał nogami, jak to mają w zwyczaju zmutowane obiboki ze Stadionu. W nosie dłubał, gdy wtem usłyszał coś z tunelu i polazł, gdzie go ciekawość zaniosła. Zakręt minął jeden, drugi, aż do wody doszedł, nad wodą usiadł i znowu buj, buj nóżkami, aż się od tego siedzenia zabujał. Twierdzi, że zakochał się w kobiecie z zachodniego tunelu.

– Przecież tam nikogo nie ma. Czyżby promieniowanie mu do głowy uderzyło?

– Też bym tak pomyślał, ale sprawa ma szerszy wymiar. Jednak zanim do tego… – osuszył naczynie i gestem nakazał barmanowi uzupełnienie – …to o zakochanym dokończę. Chłopaczyna ten okazał się mieć nieco rozsądku w głowie, choć serce pchało go w zatopiony tunel. Niby spotykał się z tą

swoją kobieciną, ale nic nie tego…

– Nic nic?

– No, nic nic.

– To skąd on wie, że to… miłość? I że to w ogóle kobieta?

– A psiakrew, skąd ja to mam wiedzieć? – Z wdzięcznością zwilżył wargi świeżo nalanym trunkiem. – Chyba nawet jej nie widział. Spotykali się w ciemnych tunelach, rozmawiali szeptem, zgładzenia chyba się obawiając za zbytnie hałasy na tym grzybnym zadupiu. Nie zbliżył się do niej, tylko tak… Nawet nie wiem, jak to określić. Któż zrozumie miłość?

Płomyk wzruszył ramionami, uciekając od prób szukania odpowiedzi.

– Także nasz kawaler, mimo wielkiego uczucia, zachował pewną ostrożność, nie zbliżając się do wybranki. Nabrał pewnych podejrzeń, że ona jest hm… zwidem, wymysłem, nierealną postacią albo jakimś grzybnym halunem.

– I tu wracamy do poprzedniego punktu, tak? – zauważył łowca nagród.

– Otóż to! – Stefek przyklasnął, taki zadowolony był ze swojej intrygi. – Kawaler, nie do końca będąc pewnym bezpieczeństwa spotkań z podejrzanie nierealną pięknością, postanowił sypnąć grosza na małą akcję rozpoznawczą. To znaczy: masz za zadanie dowiedzieć się, cóż to za kobieta, czy w ogóle ona istnieje, i jeśli okaże się istotą niezbyt przyjazną ewentualnemu pożyciu – tu kwaśno się uśmiechnął, dłońmi kreśląc małe półkola na swoich piersiach – masz ją kropnąć.

– Jakie to romantyczne…

– A ja mam prawo sądzić, że tam coś faktycznie siedzi. Bo jest też drugie zlecenie, tym razem po sąsiedzku, z Basenu Narodowego, podobnej rzeczy się tyczące.

– O proszę, epidemia zabójczej miłości?

– Nie. Coś wyżera im wężydła i potem nie mają czego na handel rzucić. Twierdzą, że to coś wypływa z rzeki, wdziera się jakąś szczeliną na zatopioną nieckę Stadionu i… Daje nogę, a raczej płetwę, z częścią hodowli

w zębach.

– I ty powiązałeś obie sprawy? Co ma piernik do atomu?

– Ano, ma! Bo obie mają źródło na stacji CNK.

Płomyk w końcu opuścił rękę z blatu. Nareszcie usłyszał pierwszy konkret.

– Jak brzmi zlecenie hodowców rybek?

Stefan wyszczerzył niekompletne uzębienie i zaczesał kosmyk tłustych włosów za ucho. To wystarczyło za odpowiedź.

– Czyli jeden trup, a dwie nagrody. Podoba mi się to, podoba. Jak w bajce o złotej rybce.

– Bardziej o syrence, Płomyku, bardziej jak w bajce o warszawskiej syrence…

***

Miłość ci wszystko wybaczy
Zdradę, kłamstwo i grzech
Miłość tak pięknie tłumaczy
Ostrożność i kulkę w łeb

***

– Jest jeszcze jedna rzecz. Ostrzeżenie. Baseniarze borykają się z tym problemem już jakiś czas. Kilku chłopa tam polazło, ale, jak słyszysz, sprawa ciągle aktualna.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni – mruknął Płomyk, drapiąc się po bliznach na szyi, i wypił samogon do dna.

Nie pierwszy raz miał się zabrać za coś, co nie udało się innym.

– Otóż to! – Przyklasnął z zadowolenia Stefek. Lubił tak klaskać, jak dziecko, a Płomyka to jedynie irytowało. Postanowił, że kiedyś mu tę rękę… – Istnieje ogólna charakterystyka złodziejki ryb. Podkreślam rodzaj żeński!

– Gdzie diabeł nie może, tam babę…

– Otóż to! – Płomyk się skrzywił, słysząc kolejne klaśnięcie. Również siedzące nieopodal zakapiory poodwracały głowy i teraz się im przypatrywały, jakby oglądały klaunów z cyrku. – Jak wiesz, CNK jest zalana. Cała stacja pod wodą. A nasza, nazwijmy ją: syrenka, właśnie w wodnych odmętach niknie. Syrenka też bardzo nie lubi towarzystwa, chyba że naszego lowelasa. On twierdzi, iż przy każdym spotkaniu musi dać jej sygnał rozpoznawczy, pokazać złoty pierścień, który nosi na palcu, i poczekać, aż ona zaśpiewa. Błyskotka wpada wtedy w jakiś nietypowy rezonans, a ona jak nietoperz odbiera drgania… A psiakrew, co tu tłumaczyć, skoro sam nie pojmuję. Ważne, że dopiero po tym rozpoznaniu mogą przystąpić do miłosnych obrzędów.

– To znaczy do rozmawiania? – zaszydził Płomyk.

Stefan wzruszył ramionami, starając się pohamować wesołość, i kontynuował:

– Jako że nie masz rzeczonego pierścionka, będziesz miał problem z dostaniem się w okolice CNK. Panienka pewnie ci łeb odgryzie zawczasu. Tak się działo z misjonarzami od Baseniarzy.

– Czyli wynika z tego, że syrenka jest ślepa, dobrze kombinuję?

– O… – Okularnik poprawił oprawki na nosie. – O tym nie pomyślałem.

– Przecież baba musi być ślepa, skoro spotyka się z „przystojniakiem” ze Stadionu. A jeśli jest jak nietoperz, to nie inaczej niż te poczwary z Pałacu Kultury… – wywnioskował Płomyk. – A jak wiesz, mam w tym pewne doświadczenie.

– Tak, tak – przytaknął Stefek, wracając do swojej naturalnej, zagubionej we własnych myślach formy. – Przecież razem z tymi batmanami wysadziłeś w powietrze pół iglicy Pałacu, naszego symbolu…

Płomyk zacisnął usta, ale nie zganił towarzysza. Jedynie rozejrzał się, czy aby nikt nie usłyszał zbyt wiele. Uważał, że ludzie byli przewrażliwieni na punkcie symboli, nostalgii i ogólnie przeszłości. A na rozwalenie Pałacu

wybił już czas. Bombom się nie udało, to Płomyk dał radę… Gdyby więc dziś odkryto sprawcę eksplozji, niektórzy mogliby mieć do niego o to pretensje.

– Tak, tak – dumał Stefek. – A teraz weźmiesz się za ukatrupienie ożywionego herbu miasta. Zaczynam współczuć tej syrence…

***

Warszawo ma, o Warszawo ma,
Wciąż płaczę, gdy ciebie zobaczę,
Warszawo, Warszawo ma!
Tam w metrze głód i nędza, i chłód,
I gorsza od głodu, od chłodu
Tęsknota, Warszawo ma!

***

Tunelem od Wileniaka do stacji Stadion było niewiele ponad kilometr. Płomyk przeszedł krótką trasę bez trudu i jakichkolwiek kombinacji. Nie zabawił na miejscu zbyt długo, choć miał zamiar odszukać tego całego Romea i wyciągnąć od niego zaliczkę. Przedzierał się przez śmierdzący motłoch na wpół zmutowanych i na wpół gnijących postaci, wystawionych w płyciźnie „stacji zielonej” na wszelaki jad powietrza. Nie znalazł jednak swojego zleceniodawcy, więc postanowił tu wrócić w drodze powrotnej ze sportowej areny.

Nigdy nie zastanawiał się, jakim cudem ta dwudziestopierwszowieczna konstrukcja jeszcze nie zapadła się pod własnym ciężarem, skoro jej ściany pękały już przed oddaniem do użytku, a termin „przydatności” zapewne dawno minął. Może to za sprawą tego bluszczu, który porósł budowlę i w jakiś magiczny sposób trzymał ją w jednym kawałku? Widać nad symbolem narodowego sportu krążyły jakieś szczęśliwe siły, bo nie tylko stadion stał, ale i jego mieszkańcom żyło się bardzo dostatnie i… leniwie.

Szczególnie w porównaniu do biedoty z lewobrzeżnej części miasta.

Niedługo po tym gdy wszystko wywróciło się do góry nogami, podobnie jak po apokalipsie Powstania, Wisła, korzystając z nagłego wyzwolenia spod ludzkiej kontroli, rozszerzyła swoje koryto. Do niecki piłkarskiej areny dostało się sporo wody, zalewając przy okazji większą część podziemnych pomieszczeń budowli – ale jej nie podmyło, ot, kolejna konstrukcyjna zagadka. W wodzie tej zalągł się pewien gatunek podłużnych, nieco wężowatych ryb, których mięso, co szybko odkryto, nie zawierało wszechobecnego w powietrzu jadu, jakby te zwierzęta miały wrodzoną filtrację wszystkich atrakcji, jakie przyniósł Armagedon. Co więcej!, rybki te bardzo lubowały się w padlinie, której pod dostatkiem było w metrze.

Te przypadki natury spowodowały, że Stadion Narodowy przemianowano na Basen Narodowy (choć nie bardzo wiadomo, czemu zostawiono drugi człon nazwy, skoro kwestia „narodów” – zapisywanych w liczbie mnogiej – przestała być istotna), zagospodarowany przez obrotnych hodowców z najbliższej stacji metra, a przy okazji służący do utylizacji trupów. Mutanci może nie żyli najdłużej, ale dochody, jakie przynosiła im hodowla wężydeł i zaopatrywanie w pożywienie większej części ocalałych, dawały gwarancję możliwie wygodnego życia.

Dlatego tak palącym problemem stały się drapieżniki z Wisły, które, jak się okazało, nie tylko pożerały ryby, ale zdążyły też zaatakować dwóch Baseniarzy. Płomyk zebrał tę i inne informacje na temat syrenki (spodobała mu się ta nazwa), sprzęt do nurkowania, a przede wszystkim zaliczkę, za której część sowicie sobie podjadł – wężydło w kabackich szyszkach smażone na młocińskim oleju rzepakowym z małymi pomidorkami hodowanymi na elektrycznych plantacjach.

Nie zagrzewając zbyt długo miejsca na otoczonym jadowitym powietrzem stadionie, powrócił do stacji metra. Przejście po powierzchni było tego dnia suche – królowa polskich rzek miała swoje okresowe kaprysy odpływów

i przypływów – więc nie trzeba było iść dookoła, a droga zabrała ledwie kilka minut. I tak niebezpiecznych, bo zza alei Zielenieckiej błyskały niezliczone ślepia wygłodniałych skaryszewskich bestii.

W końcu dotarł na perony przy drugiej linii metra, a tam odszukał zakochańca – paskudnika okropnego; skóra zielona, chuderlawy, koślawy, garbaty, nakropiony dziwacznymi zgrubieniami tkanki, pozbawiony otworu nosowego i z uszami jak u słonia (tak, Płomyk widział słonie). Jeden szczegół tylko sprawiał, że towarzystwo Albina (Płomyk uważał, iż „Romeo” byłoby o wiele celniejszym imieniem) stawało się znośne – pachniał bowiem jak kwietna łąka z dalekich wspomnień.

Ten obrazek potwierdzał domniemania łowcy, że syrenka musi być ślepa albo wyjątkowo zdesperowana.

Albin okazał się całkowicie nieprzyjemnym typem, gdy mówił, lecz kiedy milczał, a lampka dogasała, kryjąc go w półmroku wnęki mieszkalnej, wydawał się nawet… do zaakceptowania. Niestety, wizyta Płomyka tak go nakręciła, że nadzwyczajnie się rozgadał.

– Piękna jest. Piękna – mówił głębokim, świszczącym nieco głosem.

– Dobrze, a możesz mi coś powiedzieć o jej zachowaniu? Ja nie wybieram się na randkę, tylko na… – zawahał się. – No, na zwiad.

– Pięknie śpiewa. Pięknie. – Oczy mu błyszczały, gdy opowiadał.

– Robi coś poza śpiewaniem?

– Pięknie mówi. Pięknie.

– Zbliża się? Siedzi w wodzie, w korytarzu? O której godzinie się spotykacie?

– Cudnie pływa, cudnie siedzi. Cudnie za dnia, nigdy w noc.

– O, jakaś zmiana…

– Szybko pływa, o tak… – tu gwizdnął przez zęby i wykonał ręką sugestywny gest, jakby spadającej z impetem bomby.

Płomyk już się zorientował, że wiele więcej nie dowie się od tego typa. Miał go dosyć i postanowił nie wracać po drugą część lichej zapłaty.

– Piękny pierścień, Albinie, cudny, piękny – sprowokował mutanta, przechodząc na jego dialekt.

– Oj, oj. Tak, tak. Ja go znalazł tam, za wodą, za jezioro.

– Kamionkowskim?

– Tak, tak. Za park, dużo drzewa, a w ziemi dużo pierścień piękny, cudny. Ale niebezpiecznie. Bestie.

Płomyk zamyślił się.

– Czy to ten pierścień masz za każdym razem na palcu, gdy idziesz na spotkanie z… jak ją nazwałeś? Aavaa… – chrząknął i machnął ręką, nie mogąc poradzić sobie z powtórzeniem po Albinie imienia jego ukochanej. – Ona wtedy śpiewa, sprawdzając kto nadchodzi, a po tej błyskotce cię poznaje, tak?

– Otóż to! – klasnął w dłonie Albin, parodiując Stefkową manierę, taki był zadowolony ze zrozumienia, jakie okazał mu Płomyk.

Błysnął nóż, błysnęły zaskoczone oczy – dla odmiany pełne niezrozumienia. Mutant coś wycharczał, krwawa ślina pociekła mu z ust i znieruchomiał. Łowca delikatnie ułożył ciało pod płachtą okalającą wnękę mieszkalną. Zaczął mocować się z pierścieniem, który jakby wrósł w ciało Albina. Psiakrew, skrzywił się pod nosem Płomyk i uciął zielonego palucha wraz z biżuterią.

***

Kocham to miasto
Na dobre i złe
Stale, uparcie, pod wiatr
Jaka ty jesteś
Masz ulic swych twarz
Budzisz się chłodna jak lód
Wilcza, i dzika, i ciemna jak łza
Patrzę i czuję jej ból

Lecz jak kobieta, co zmienną wciąż jest
Stajesz się dobra, gdy chcesz

***

Chciał spędzić noc na Wileniaku, wypocząć przed wyruszeniem w trasę. Tunelem metra dotarł do najbardziej na wschód wysuniętej stacji – i przez to pozbawionej konkurencji w bogaceniu się z szabrowania prawobrzeżnej części aglomeracji.

Plany – jak to plany – wzięły w łeb, gdy właśnie łysy łeb wziął Płomyka na stronę i pryskając śliną na swoją krzaczastą rudą brodę i skórzaną kurtkę, wymlaskał coś, czego nie można zacytować przez zagęszczenie gwary, niespecjalnie warszawskiej (zdecydowanie przyjezdnej), lecz bardzo wulgarnej. Sens był mniej więcej taki:

– Nazwałeś mnie baranem przy moim własnym dziecku, chamie jeden, zasrany „warsiawiaku”!

I wtedy zalała Płomyka zła krew.

Oczywiście doszło do rękoczynów, efektem czego łowca musiał zniknąć z Dworca Wileńskiego jak najszybciej.

***

Podkładami wycackany szedł se jakiś gość,
Facjata niby owszem, może być.
Nagle potknął się o szynę, rycząc: „O, psiakość!
Jak oni mogą w tej stolicy żyć?”
I wtedy zalała mnie zła krew,
Więc go na perłowo w tenże śpiew:

Możesz mnie chamem zwać, możesz mnie w mordę dać,
Lecz od stolicy won, bo krew się będzie lać.

My, warszawiacy, jesteśmy tacy,

Kto nam na odcisk wejdzie, wisz pan – zimny trup

I niechaj każdy wie: kto na nas szarpie się,
To zara bokiem mu to wyjdzie – może nie?
Na warszawiaka nie ma cwaniaka,
Chcesz z nami zacząć? To se trumnę wcześniej kup!

***

Kiedy słońce zachodziło, słychać było jedynie świszczące po korytarzach przeciągi.

Im cienie stawały się dłuższe, tym częściej do hulającego wiatru dołączały brzęki, jęczenia, wizgi i jęki stworzeń, które wychodziły na harce ze swoich gniazd i nor. Warszawa nigdy nie zasypiała.

Płomyk zabarykadował się w jednym z pomieszczeń Szpitala Praskiego. Budynek cieszył się złą sławą, bo nie dość, że przetrwał tyle lat niemal w jednym kawałku w sąsiedztwie całkowicie zrujnowanej katedry – jak widać, pozbawionej boskiej opieki – to do dzisiejszego dnia w wielu łóżkach leżały poszarzałe szczątki pacjentów. Nikt nie miał odwagi szabrować szpitalnych piwnic, szafek i sal, wykradać stąd czegokolwiek pod ślepym spojrzeniem wszędobylskich czaszek. Nawet misjonarze odpuszczali przeczesywanie tego miejsca, gdy w ciągu kilku pierwszych lat po apokalipsie ludzie niknęli bez wieści lub wpadali w obłęd po zapuszczeniu się w labirynt korytarzy. Pewnikiem było, że dziś też się tutaj nie zapędzą, nawet gdyby z powodu kilku trupów mer Wileńskiego puścił za Płomykiem pogoń.

Sam łowca również nie pałał szczególnym uczuciem do tego miejsca, najchętniej ominąłby je szerokim łukiem, gdyby nie zapadająca noc i spodziewana pogoń. Co jak co, ale Szpital Praski wydawał mu się odrobinę mniej niebezpiecznym miejscem aniżeli okolica po zachodzie słońca. Trzeba było tylko wyrzucić z głowy myśli o upiorach.

Raz już spędził noc w tym miejscu. Również pod przymusem chwili.

Wpadł wówczas na genialny pomysł pójścia na skróty – przez ogród zoologiczny. Gdy uciekał co tlenu w masce i sił w nogach przed gigantycznym, rozwścieczonym słoniem (tak, wtedy właśnie Płomyk widział słonia), parł przed siebie, nie patrząc, gdzie biegnie i co po drodze budzi. Szczęściem w nieszczęściu ominął dawne terraria, pająki giganty, skaczące po krzywolianach małpy i zdołał zabarykadować się, tak jak i dziś, w dyżurce pielęgniarek. Po korytarzu szalały najróżniejsze stwory, słyszał ich kroki i oddechy, wzajemne walki. Sądził wtedy, że to koniec, więc pozwolił sobie opędzlować szafki i zrobił zastrzyk z morfiny, żeby złagodzić ból umierania. A potem nadeszły upiory, a Płomyk słyszał wyraźnie skowyty mordowanych poczwar i chluśnięcia krwi po ścianach.

Wzdrygnął się na to wspomnienie, kiedy po posadzce za drzwiami zaszurały czyjeś ni to pazury, ni to kopyta.

Odszukał strzykawkę, wypełnił ją znalezionym narkotykiem, wkuł w żyłę, docisnął tłok i pogrążył się w mrocznym, niespokojnym śnie.

***

Za oknem słoneczny zaczyna się dzień
Zaczynam kolejny dzień życia
Wyglądam przez szpary, na oczach mam sen
A Praga wychodzi z ukrycia
Wstrzyknięty wzmacniacz uderza w tętnice
Zakładam maskę do biegu
Zza szybek oglądam betonu stolicę
Już jestem na drugim jej brzegu

***

Napis na murze głosił: „Bo gdyby miał kiedyś urodzić się król, to tylko w Warszawie”. Słowo „Warszawa” w tym napisie oznaczało nic innego jak

lewobrzeżną część stolicy, tę, którą w odstępie kilku dekad dwukrotnie obrócono w proch. Natomiast „prawa strona” traktowana była z wyższością, jakby to były „obce dzielnice” i „peryferia”. Slogan wyznaczał nieformalną granicę centralnych stacji metra i społeczności, która perony i tunele od Politechniki po Ratusz Arsenał nazywała z napoleońska Księstwem Warszawskim.

Na stacje metra Płomyk nie miał ochoty iść, bo oznaczałoby to przedzieranie się przez biurokrację tranzytową podczas wizyt w kolejnych podziemnych enklawach. I oczywiście opłaty. Zeszłoby na to więcej niż cały dzień, a słońce dopiero rozpoczęło swoją wędrówkę po nieboskłonie.

Kiedy tylko mężczyzna przedarł się przez jedyny ocalały most – Śląsko-Dąbrowski – i unikając wszędobylskiej fauny skrytej w licznych parkach, pobiegał sobie z rana po zielonym, pieprzonym Żoliborzu, postanowił przedrzeć się pod samo CNK tak jak bohaterscy przodkowie w roku czterdziestym czwartym: kanałami.

Płomyk nieźle znał podziemia miasta – w którym Hitler i Stalin zrobili co swoje, a reszta ludzkości wcale nie zmądrzała i po nich poprawiła – jednak to wcale nie oznaczało, że się nie gubił w kanałowych spacerach. Część z korytarzy była zawalona, część niemożliwie zarośnięta pieklikami, część prowadziła donikąd: do ślepych ścian lub grubych krat. Czasem miał wrażenie, że korytarze ciągle zmieniają swoje położenie, jakby się wiły, by zagubić tych, którzy odważą się wejść w cuchnące trzewia miasta.

Te ściekowe tunele Warszawy, które regularnie przecierali wędrujący misjonarze, zazwyczaj były pokryte grubą warstwą sadzy i zwęglonych tkanek flory. Płomyk też należał kiedyś do misjonarzy, prowadził grupy wyszukujące towary pod całą stolicą, wypalając swoim miotaczem ognia chaszcze krwiożerczych pieklików – czyli silnie trujących roślin, które zapuszczały swoje macki w głąb ziemi.

***

Królu Zygmuncie! Powiedz nam, czyś
Widział Warszawę tak straszną jak dziś?

Krakowskim Przedmieściem ku schodom,
ku schodom ruchomym i w dół.
Przygodo, warszawska przygodo,
gdzie szukać cię, jeśli nie tu.

Na rynku przygrywa obława,
do tańca podaje nam takt,
to szczekają i gonią,
chodź, prędzej
do naszego walczyka.

Trata-ta-ta-ta.

***

Ależ ja nie lubię mrówek!, pomyślał Płomyk, strząsając ze swojej nogawki czarnego owada wielkości męskiego kciuka. Uniósł stopę i z całą zawziętością zmiażdżył intruza, aż na bruk prysnął lepki płyn. Łowca schylił się i poświecił latarką na czarno-złoty kleks, jednak włożył tyle siły w akt nienawiści, że zatarły się wszelkie szczegóły anatomii miodowej mrówki.

Właściwie rzadko je spotykał i za każdym razem tak samo go irytowały, jak fascynowały. Były przedziwnym darem natury – dostarczały ludziom zdatny do jedzenia miód (przynajmniej tym, którzy ryzykowali, by go zdobyć) i jakby czuwały nad równowagą odradzającej się przyrody. Płomyk skierował światło latarki na sklepienie kanału i powiódł za nim wzrokiem. Gdzieniegdzie przemykały drobne czarne pancerzyki. Uniósł więc lewe ramię i plunął ogniem przed siebie. Wiele mrówek zapłonęło, stając się kilkudziesięcioma szaleńczo wirującymi punkcikami – jakby to były pijane

świetliki.

– Psiakrew! Ile tego tutaj łazi…

Słyszał nieco o mrówkach, choć tak jak pozostali mieszkańcy metra nie miał pojęcia, gdzie znajdują się ich ule. Właśnie tak – ule. Bo niby te stworzenia wyglądały jak mrówki, ale wydawały się bardziej rojem pszczół przez to, że zbierały soki i nektary z noworoślin.

A teraz ten rój się palił… Z ciemności wybiegł z piskiem przerażony szczur. Uciekał przed czymś.

Płomyk plunął raz jeszcze z miotacza w głąb kanału. Odwrócił się, biorąc nogi za pas, i czym prędzej dopadł do strużki światła sączącej się z sufitu. Wdrapał się po zardzewiałej drabince i z całej siły naparł na właz, nieco poszerzając szczelinę jasności. Słyszał pod sobą pojedyncze piski uciekających szczurów, a także narastające z wolna ni to ćwierkanie, ni to tarcie tysięcy chitynowych brzuszków.

Oparł się mocniej o drabinkę i odsunął w końcu pokrywę, lecz w tej samej chwili złamał się pod nim wątły szczebelek i Płomyk wylądował na wilgotnym dnie kanału. Nie poczuł bólu, ale wytłumaczył to sobie przypływem adrenaliny – kilka mrówek na niego wpełzło, wgryzając się malutkimi żuwaczkami w skafander. Czym prędzej podniósł się i wdrapał po ścianach na sufit. Zawisł na chwilę przy otworze, a pod nim zakotłowało się od czarnych odwłoków. Podciągnął się, wytoczył z kanału i na ślepo – otumaniony słońcem – posłał w otwór resztkę płonącej mieszanki, jaka mu jeszcze została w zbiorniczku.

Oczy powoli przyzwyczajały się do światła, wydatnie wspomożone przyciemnionymi goglami maski. Płomyk uniósł dłoń do czoła i rozejrzał się wokół.

– Hej tam, królu Zygmuncie! – rzucił do niewzruszonej postaci na cokole. Tę apokalipsę kolumna przetrwała – nie tak jak w trakcie Powstania. Jednak Płomyk, patrząc na obsranego przez ptaki króla, zastanawiał się, czy starcie w proch nie byłoby lepszym końcem. Pobiegł czym prędzej do

najbliższych murów, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Chciał wykorzystać to, że zaalarmowane mrówczą aktywnością kreatury się oddaliły.

***

Jak pragnąłbym krokiem beztroskim
Odnaleźć wędrówek mych ślad
Bez celu się przejść Marszałkowską
I ujrzeć, jak dawniej za młodych mych lat
Jak do mnie, Warszawo, się śmiejesz

Ja wiem, żeś ty dzisiaj nie taka
Że krwawe przeżyłaś już dni
Że rozpacz i ból cię przygniata
Że muszę nad tobą zapłakać
Lecz taką, jak żyjesz w pamięci
Przywrócę ofiarą swej krwi

***

Od samego początku Płomyk wykombinował sobie, by zajść stację CNK nie od wschodniego tunelu, gdzie spotykała się dziwaczna parka, ale od… góry. Chciał wykorzystać wszelkie zdobyte informacje – nie tylko rozpoznawczy „pierścień wstępu”, lecz i wiedzę o godzinach żeru syreny.

Ani lowelas, ani Baseniarze nigdy nie zarejestrowali aktywności wodnej damy od zmierzchu aż po świt. Z jednej strony zdawało się to dziwne, jeśli za prawdziwy uznać wniosek Płomyka, że była to istota pozbawiona wzroku, ale z drugiej strony, przecież ta atomowa ewolucja wyprodukowała już mnóstwo stworów od nie wiadomo czego. A niemal wszystkie one wydawały się łowcy kolekcją niepotrzebnych wrzodów na tyłku.

Mężczyzna leżał przyciśnięty do dachu szybu stacji podziemnej kolejki.

Obserwował zachód słońca, odpoczywając – na ile było to możliwe – w skafandrze. Droga do tego miejsca nie przypominała spaceru bez celu po Marszałkowskiej, jak za młodych lat. Nie dość, że mrówki weszły mu w paradę, to jeszcze musiał także skradać się i kryć przed Kopernikiem, jak nazywano pewnego stwora grasującego w pobliżu pomnika polskiego astronoma. Gdy potwór wyczuwał swoją ofiarę, podnosił taki hałas, że ziemia zaczynała się ruszać. Nikt go dotąd nie widział, ale wielu misjonarzy słyszało i absolutnie żaden nie wyrażał chęci na spotkanie oko w ślepię z krzykaczem.

Słoneczna kula pulsowała nad zachodnim horyzontem Warszawy, a pozawalane, podziurawione, a czasem zarośnięte niegdysiejsze drapacze chmur rysowały się ciemnymi ruinami na tle pomarańczowego dysku. Płomyk spojrzał w tamtą stronę – na Pałac, teraz ścięty w połowie. Coś w tym widoku faktycznie drażniło, czegoś brakowało. Czyżby sentymentalizmem można się było zarazić? Otrząsnął się z tej myśli, choć gdzieś w piersi serce podpowiadało mu, że przy kolejnych łowach bardziej zadba o symbole przeszłości. W końcu pamięć, dająca możliwość nauki na własnych i cudzych błędach, to jeden z najcenniejszych skarbów ludzkości.

– Czas na ogień, Płomyku – mruknął do siebie i w kilka chwil zanurzył się w zabudowania stacji metra.

***

W moich snach wciąż Warszawa
pełna ulic, placów, drzew.
Rzadko słyszysz tu brawa –
częściej to drwiący śmiech.
Twarze w metrze są obce,
bo i po co się znać…
To kosztuje zbyt drogo,
lepiej odejść lub spać.

***

CNK nie była pogrążona w mroku, jak przystało na opuszczoną przez ludzi enklawę. Górne piętra i korytarze oraz wnęki sklepowe z roztłuczonymi szybami porastał kępkami pewien rodzaj mchu, który emanował zimną niebieskawą poświatą, wzmocnioną jeszcze kolorem ścian „stacji błękitnej”.

Płomyk skojarzył to od razu z opowieściami o łodziach podwodnych, pływających w nurcie Wisły, świecących od czasu do czasu do nielicznych misjonarzy, którzy byli na tyle głupi, aby pozostać nocą na powierzchni, i na tyle szczęśliwi, by dożyć do rana. Oczywiście U-Booty z opowieści można było z góry włożyć między bajki, jednak znalazło się w tych historyjkach ziarno prawdy. Czyżby noc na powierzchni nie stanowiła gwarancji pomieszania zmysłów?

***

Jeśli rozum coś znaczy,
to musi dać znak.
Kiedyś też to zobaczysz,
powiesz mi tak:
zniknie Warszawa
tak jawa, jak sen.
Życie to nie zabawa –
dobrze to wiem!

***

W żadnym korytarzu nie natknął się na ślad żywej istoty. Zresztą tego się spodziewał. Utwierdziło go to w przekonaniu, iż syrenka faktycznie pływa po zatopionym peronie i jest na tyle niebezpiecznym okazem, że żadna poczwara nie uwiła sobie gniazdka nad jej głową.

Płomyk zatrzymał się przy schodach – niższe stopnie chowały się pod linią wody, a pod nią niebieskawo świeciły mchy.

Przebrał się prędko w sprzęt do nurkowania, którego użyczyli mu Baseniarze, przygotował kuszę z naciągiem gumowym, włączył stoper na zegarku, by odmierzał czas od godziny „wu”, i z wolna, ostrożnie wszedł do wody, starając się nie chlupotać i zachować ciszę. Życie nauczyło Płomyka, że kobiety są najpiękniejsze i najmniej niebezpieczne w trakcie snu. To właśnie wtedy istnieje największa szansa, by skutecznie przebić serce kochanki.

***

To ostatnia niedziela,
dzisiaj się rozstaniemy,
dzisiaj się rozejdziemy
na wieczny czas.

To ostatnia niedziela,
moje sny wymarzone,
szczęście tak upragnione
zaraz skończy się.

A potem runie świat.

***

Przez cienką warstewkę kombinezonu czuł objęcia zimnej wody, starającej się opleść każdy fragment ciała. Pomyślał, że podobnie przenikliwego chłodu doświadczył, gdy płonął. Wstrząsnął nim dreszcz – nie z ziąbu, ale ze strachu.

Wyrzuć to z siebie, to minęło!, starał się przegonić z głowy lęki i wspomnienia. Był na akcji, to się liczyło, tylko, tylko to!

Poruszał się nieco niezdarnie. Tak dawno nie miał okazji pływać, że

wszystkie ruchy wydawały się nieporadne, a efekt toporności potęgowały kombinezon, maska, zbiornik z tlenem na plecach i przewieszona torba z bełtami. Na szyi przymocowany miał rzemyk z dowiązanym zielonkawym palcem, na który nasunięty był pierścień. Unosił się on teraz tuż przed głową nurka, jakby wyrywał się na spotkanie z kochanką.

Płomyk nie spodziewał się, że rozświetlona niebiesko woda będzie aż tak upiornie zimna. Kiedy spoglądał ponad głowę, miał wrażenie, że niski sufit pokryty jest grubą warstwą lodu, a on wpadł w przeręblę jak w pułapkę.

Poruszył ramionami, zawirował stopami, skręcił tułów i zmienił kierunek swojego ruchu. Starał się trzymać z dala od ścian stacji. Nie chciał przemykać tak blisko fosforyzującego mchu, żeby oczy lepiej orientowały się w cieniach i półmrokach, które czaiły się bliżej środka peronu. Wyciągnął dłoń przed siebie i chwycił wisiorek. Kilkakrotnie zapukał w pierścień, mając nadzieję, że wywabi i zmyli syrenę.

Stacja metra Centrum Nauki Kopernik na poziomie tuneli wydawała się równie opustoszała, co powyżej. Nie brakowało tylko cieni w i tak mętnej wodzie. Chociaż…

Coś srebrno mignęło między żebrami kolumn. Płomyk zamarł i z perspektywy kuszy spojrzał na odblask. Lecz zjawy już nie było, zniknęła jak płetwą odjął. Dreszcze przemaszerowały po ciele łowcy, który zbliżał się do ofiary… Tylko kto tutaj na kogo polował, kto był bardziej u siebie, kto bardziej pasował do obrazu miasta roku trzydziestego trzeciego?

Mimo chłodu, który sprawiał, że powoli cierpły kończyny, oczy zalewały mu kropelki potu.

Denerwował się, a z każdym pokonanym metrem, z każdą minutą – ba, nawet sekundą! – ogarniał go niepokój, jakby zapadał się w toń bez wyjścia. A wir tunelu, zdawało się, tak ciemnego jak atomowa noc, wciągał Płomyka niczym czarna dziura.

Podążał za omamem, za błyskami sobie wmówionymi, za swoją misją.

Przepływał w górę i dół, od kolumny do kolumny tej najciaśniejszej ze wszystkich, klaustrofobicznej stacji. Czasem kątem oka wyławiał z wodnej zawiesiny drobiazgi, które w jego głowie urastały do obrazów, nie wiadomo z czego stworzonych. Widział palce połączone półprzeźroczystą błoną, smukłe ręce, beznosą twarz oraz grzywę, jak kostną narośl, która równie dobrze mogła być płetwą grzbietową. Widział, lecz oczom nie wierzył.

I usłyszał cichutki ni to pisk, ni to śpiew, wodą lub czasem wytłumiony. Melodię odległą, a tak dobrze znaną. Jakby znad kołyski, z innej rzeczywistości… Przełknął ślinę, wyrównując ciśnienie w uszach, i wszystko wycofało się do czeluści umysłu i obracającego się w wodzie pierścienia, zostawiając po sobie grobową ciszę.

Sprawdził ostatnie pomieszczenia służbowe i wnęki na stacji. Niezbyt rozsądnie się zachował, lecz na krótką chwilę przekierował uwagę z otoczenia na stoper, by skontrolować czas. Zostało mu powietrza na trzy kwadranse.

Jego ciało sztywniało z zimna, ruchy stawały się coraz powolniejsze. Nie miał trzech kwadransów. A nad opuszczoną głową unosiły się myśli i przybierały wydłużone kobiece kształty.

Nie podniósł jeszcze wzroku przerażony własnymi wizjami i lodową warstwą sufitu. Skupił się. Miał przed sobą wschodni tunel. Ciemniejszy, mętniejszy, zimniejszy – niczym długa droga do piekła.

Zadanie to zadanie – znaleźć i zabić. Zamachał nogami, trzymając palec na spuście kuszy, i wpłynął w objęcia czerni jak zagubiona, znoszona rzecznymi prądami gałązka dawno odumarłego drzewa.

Latarka przymocowana do broni nie działała, jakby przestraszyła się tego, co mogłaby wydobyć z mroku. Pokonywał więc kolejne metry po omacku, w transie, przeciwko własnemu rozsądkowi, własnej woli, lecz zasysany wirem chłodu i cienia. Zaczęły się od niego odbijać kawałki zamarzniętego śmiecia i grudki lodu, unoszącego się w wodzie jak bąbelki – wbrew prawom wyporu, wbrew rozumowi. Czuł coraz wyraźniej mroźne macki na

swojej skórze, przenikające bez trudu przez kombinezon. Obejmowały go, ciągnęły w głąb i w głąb, w tunel, w Wisłę.

Poczuł ucisk na kostce. Coś go pochwyciło – odruchowo kopnął, wyrywając się ze ślepego odrętwienia. Obrócił się i strzelił. Przysiągłby, że usłyszał świst bełta, choć w wodzie nie było to możliwe. Okrutny skrzek wdarł się do umysłu, jakby ktoś wrzasnął mu prosto do ucha.

Nie zdążył załadować kolejnego pocisku, gdy chwilę potem został uderzony w żebra. I w mostek. I w żołądek. I w ramię. I w nadgarstek, co wytrąciło mu kuszę. Ciosy pozbawiły go tchu, a eksplozje bólu wyrwały z zamroczenia. Wycie rozległo się ponownie, a obudzone w Płomyku instynkty kazały po omacku szukać broni. Sięgnął do łydki po nóż. W tej samej chwili ostre pazury rozdarły skafander na plecach.

Opadał na dno; walczący, wijący się w pojedynku z upiorem. Woda zaczynała przyśpieszać, zdążając do ujścia, do wodospadu, na którego krawędzi żegna się z życiem. Zupełnie jakby ktoś wylewał zawartość gigantycznej butelki, a Płomyk był jedynie zatopioną w środku muchą. Prąd ciągnął go do dna – metry, setki metrów, całe kilometry w głąb planety, do piekła, a tam przy końcu drogi pojawiła się łuna, otwierający się prześwit blasku, który rozciął ciemność w poprzek pola widzenia i gwałtownie, w ułamku sekundy, omamił Płomyka blaskiem.

Okrągła paszcza pełna kłów rozwarła się przed twarzą łowcy, liczne ślepia roziskrzyły się na chwilę przed zadaniem śmierci.

Wtedy Płomyk się ocknął, ocknął już całkowicie. Wepchnął karabin w otwór gębowy kreatury, przetoczył się przez prawy bok i ciął pajęczaka w odnóża. Raniony potwór ryknął. Płomyk pchnął szpitalną szafkę na niego. Prysnęło szkło, gdy mebel przywalił pająka. Łowca nie czekał, wywijał nożem przez kończyny napastnika. Ciął raz za razem, aż pozbawił go możliwości poruszania. Pająk tylko skrzeczał okaleczony i unieruchomiony.

Płomyk podrzucił nóż, złapał trzonek ostrzem do dołu i wbił klingę

głęboko między chitynowe płyty pancerza. Dopiero wtedy odetchnął i rozejrzał się wokół.

Pierwsze oznaki brzasku wlewały się przez szczeliny w ścianach do dyżurki pielęgniarek. W suficie ziała wybita dziura, tuż nad miejscem, w którym usnął Płomyk. Obok walały się kupki gruzu, przy truchle potwora leżała zużyta poprzedniego wieczoru strzykawka.

Co za parszywa wizja, pomyślał mężczyzna i zabrał się za jak najszybsze oglądanie ran, lustrowanie sprzętu, by wyjść czym prędzej z tego przeklętego, upiornego Szpitala Praskiego. Nie chciał spędzić tu ani sekundy więcej, niż to było absolutnie konieczne.

A przecież na Płomyka czekało jeszcze zadanie. Zadanie w najdziwniejszym ze światów – rzeczywistości.

***

Dziwny jest ten świat,
gdzie jeszcze wciąż
mieści się wiele zła.
I dziwne jest to,
że od tylu lat
człowiekiem gardzi człowiek.

Dziwny ten świat,
świat ludzkich spraw,
czasem aż wstyd przyznać się.
A jednak często jest,
że ktoś słowem złym
zabija tak, jak nożem.

Lecz ludzi dobrej woli jest więcej
i mocno wierzę w to,
że ten świat

nie zginie nigdy dzięki nim.
Nie! Nie! Nie!
Przyszedł już czas,
najwyższy czas,
nienawiść zniszczyć w sobie.

Warszawa, 11–14 września 2015

W tekście zostały przytoczone i graficznie odznaczone dosłowne lub sparafrazowane słowa piosenek autorów, których należy wymienić (kolejność według cytatów):
Sen o Warszawie, sł. Marek Gaszyński, wyk. Czesław Niemen (1966)
Dni, których nie znamy, sł. i wyk. Marek Grechuta (1971)
Miłość ci wszystko wybaczy, sł. Julian Tuwim, wyk. H. Ordonówna (1933)
Warszawo ma, sł. Andrzej Własty, wyk. Zofia Mrozowska (1946)
Chodź na kawę, Warszawo, sł. Jacek Cygan, wyk. Irena Santor (2014)
Nie masz cwaniaka nad warszawiaka, sł. Albert Harris, wyk. Stanisław Grzesiuk (1946)
Warszawa, sł. Muniek Staszczyk (T. Love), wyk. Stanisława Celińska (2013)
Jak przygoda to tylko w Warszawie, sł. Ludwik Starski, wyk. Irena Santor (1954)
Piosenka o mojej Warszawie, sł. Albert Harris, wyk. Mieczysław Fogg (1944)
Stacja Warszawa, sł. Andrzej Mogielnicki, wyk. Lady Pank (2004)
To ostatnia niedziela, sł. Zenon Friedwald, wyk. Mieczysław Fogg (1935)
Dziwny jest ten świat, sł. i wyk. Czesław Niemen (1967).

Maciej „Sarajas” Głowacki | Pinokio

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

– Tato, a czemu on ma taką dużą maskę? – zapytał chłopczyk.

– To nie maska, Pinokio – zaśmiał się staruszek w grubej wełnianej bluzie – to trąba.

Chłopiec wyraźnie spoważniał; jego twarz przybrała wyraz głębokiego zamyślenia. Odczekał jeszcze chwilę i odezwał się ponownie:

– A ta trąba… to czemu nie kończy się w pojemniku?

Starzec ponownie się roześmiał i poprawił chłopcu poduszkę.

– Bo nie musi – wyjaśnił ciepłym głosem – powietrze, którym oddychają słonie, jest czyste.

Gdyby ktoś obserwował tę rodzicielską rozmowę, to jestem pewien, że dostrzegłby prawdziwy błysk w oku Pinokia, świadczący o jego zrozumieniu tematu.

– Afryka jest czysta, tak? – dopowiedział maluch, szukając wyrazu aprobaty u ojca.

– Tak Pinokio, Australia również… i Madagaskar, i pewnie Malediwy…

Malec rozmarzył się, uciekł myślami do dalekich krain z opowieści swojego ojca, po czym ziewnął przeciągle.

Staruszek spojrzał czule na swoją pociechę, a następnie nakrył chłopca dokładniej płaszczem i dotknął ustnikiem półmaski jego czoła.

– Śpij dobrze, synku, jutro wielkie strojenie – wychrypiał zza zaworu.

Ojciec wstał z posłania złożonego z sześciu skrzyń i podszedł do

przeszklonej ściany, za którą powoli stukały kilkumetrowe wskazówki zegara. To był kolejny dzień, w którym Pinokio zasypiał, nasłuchując dwóch niesynchronicznie stukających czasomierzy. Jednego na szczycie Pałacu Kultury i drugiego, który miał na piersi.

***

Lennon wyciągnął z kieszeni brudną ściereczkę z mikrofibry i przetarł nią czule awers medalioniku. Zapadnia po prawej stronie opadła, a wisiorek otworzył się, ukazując dwa zdjęcia. Popatrzył chwilę na fotografie, pogładził jedną z nich i przytulił do piersi.

Nagle usłyszał stukanie zegara.

Czyżby tykał już wcześniej, a on nie zwrócił na to uwagi?

Poły namiotu uchyliły się, gdy Lennon wyszedł sprawdzić, skąd dobiegają owe odgłosy.

Na stacji był sam – całkowicie.

Dookoła piętrzyły się pordzewiałe wsporniki, przeplatane z wielkimi kołami zębatymi, które trwały w nieustającym ruchu. Pomiędzy zębatkami i przekładniami wisiały pomosty techniczne, piętrzące się na kilkanaście metrów wzwyż.

Nim spostrzegł cokolwiek, znalazł się na jednym z mostków technicznych prowadzących przez zaciemnione trzewia maszyny.

Gęsta para buchała mu w twarz, co chwila zmuszając do mrużenia oczu. Przeszedł niepokojąco długi most, a następnie skręcił za jednym z kilkutonowych tłoków. Klucząc między betonowymi korytarzami, opuścił całą maszynerię i wyszedł przez wąski tunel do białego długiego pomieszczenia o szerokości, która ledwo pozwalała przemieszczać się jednej osobie.

Lennon był dosyć wątłej postury, przeciśnięcie się aż do centralnej części pomieszczenia nie sprawiało mu większego problemu. Jego zewnętrzną ścianę zajmowała kilkunastometrowa szyba, poprzecinana pajęczyną

wzorów z cyny i miedzi. Za ową szybą poruszały się dwie inkrustowane wskazówki, wielkie jak wyrabiane na Ursynowie pale ochronne do częstokołu przed wyjściem z metra.

Każda ze wskazówek miała oddzielnie, ręcznie kute ornamenty. Większość z nich przedstawiała się w formie nic nieznaczących, falujących wzorów, które miotały się bez ładu i składu. Jednakże jedna ze wskazówek – oznajmująca godzinę – miała u podstawy wyraźnie wyrysowane dwa zwierzęta: lisa i kota.

– Tato! – krzyknął ktoś za plecami Lennona.

Ten stracił równowagę i poleciał przed siebie, natrafiając na szybę, którą mimo sporej grubości przebił. Wraz z odłamkami szkła zaczął pikować w dół z ogromnej wysokości, po drodze łapiąc kątem oka panoramę Warszawy.

***

– Lennon! Lennon! Starczy tego! – krzyknął starszy mężczyzna w mundurze z dystynkcjami oficerskimi – jesteś z nami, spokojnie już.

Lennon otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że wrzeszczy. Twarz miał zlaną potem, a włosy zlepiły się ze sobą od przemoczonej poduszki, którą miał pod głową. Dłonie przyłożył do twarzy i zaczął oddychać głęboko, w siedmiosekundowych odstępach, jak zalecał lekarz. Nie mógł powstrzymać się przed panicznym gładzeniem klucza i medalioniku, które wisiały na jego szyi.

Pozostali członkowie sześcioosobowego oddziału do zadań specjalnych, obudzeni jego krzykiem, zaczęli rozchodzić się po koszarach z wyrazami kolejno zażenowania oraz współczucia na twarzach. Już byli przyzwyczajeni do tego, iż Lennon miał dosyć powszechne w metrze problemy ze snem. Wizje świata sprzed Zagłady, wspomnienia i koszmary atakowały ludzi, gdy ci byli najsłabsi. Potwory, które nie były zdolne przekroczyć grodzi ze stali, przekraczały te oddzielające świat snów od

świata rzeczywistego – nawiedzały mieszkańców metra jak oniryczne zjawy, plączące ścieżki ich psychiki i zdrowego rozsądku.

Podniósł się z posłania i spojrzał na swojego dowódcę wzrokiem zbitego psa.

– Starszy chorąży sztabowy Świdrzyński – wyrecytował nagle podkomendny – złamałem ciszę nocną i jestem gotowy ponieść tego konsekwencje!

Oficer spojrzał na Lennona z politowaniem i wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo chustkę, a następnie chwycił za dłoń podkomendnego i wysypał mu zawartość na dłoń.

– Jest jedenasta, Lennon – odparł spokojnie. – Lekarz kazał ci brać hydroksyzynę przed snem i po obudzeniu, więc słuchaj jego zaleceń.

Podopieczny spojrzał na oficera, pochłonął sporą białą tabletkę i popił resztką wody ze szklanki, którą zostawił mu ktoś poprzedniego wieczoru. Jeszcze chwilę spoglądał na Świdrzyńskiego, którego siwe włosy i łagodny charakter działały protekcjonalnie i uspokajająco na Lennona, po czym ten zostawił go samego w namiocie.

***

Pinokio zerwał się skoro świt. Świt był dosyć umowny, zważając na fakt, iż przez gęste ołowiane chmury nie przebijało się żadne światło. Jednak był bardzo wyczulony na kwestie czasu – w wielkim zegarze nie było o to trudno. Siedem uderzeń dwóch tłoków o siebie – to wystarczyło.

Ojciec Pinokia opowiadał mu często, jakoby dawno temu w mieście rozbrzmiewały dzwony na każdą z godzin. Dziś jednakże nie było żadnych dzwonów, lecz jedynie stukot dwóch kopytopodobnych tłoków rytmicznie walących o siebie.

Chłopak zeskoczył ze swoich skrzyń, które służyły mu za łóżko. Przeciągnął się, a skóra na jego plecach wydała przy tym charakterystyczny chrzęst. Żwawym krokiem zbliżył się do przeszklonej ściany w korytarzu,

gdzie ostatnio widział swojego ojca.

Przyglądanie się panoramie stolicy było jednym z ulubionych zajęć młodzieńca.

Pamiętał dokładnie szczegółową siatkę budynków. Zarówno kikuty niegdyś liliowych wieżowców po lewej stronie, jak i ciągnące się niskie blokowiska po prawej – którym jakimś sposobem, mimo starszej daty, udało się przetrwać w lepszym stanie niż nowoczesnym wieżowcom.

Przed nim leżały wyciągnięte ramiona Pałacu Kultury w formie dwóch skrzydeł budynku. Parking był pełen zgniecionych i poprzewracanych przez falę uderzeniową samochodów. Wyglądały teraz jak zabawki rozrzucone przez znudzone dziecko. Dalej rozrastał się park – piękny fioletowo-biały zagajnik z nerwokrzewów. Ojciec nie lubił opowiadać o świecie poza Pałacem, w którym mieszkali, wolał mówić o zagadkowych, dalekich krainach, które pokazywał mu w atlasach.

Mimo to Pinokia bardziej ciekawił świat pod jego stopami: fantasmagoryczne cienie poruszające się za dnia między budynkami, powoli kroczące sylwetki, szybko pędzące, ale bardziej przysadziste i przemieszczające się na czterech łapach, a także niezwykle rzadkie – sześcionożne, wielkości zdezelowanych autobusów. Te ostatnie pojawiały się sporadycznie, jednak pewnego razu Pinokiowi udało się zauważyć takiego samotnego osobnika.

Chłopiec dostał od ojca niezwykłą, przeszkloną skrzynkę, która potrafiła zatrzymywać obrazy widziane przez każdego, kto nacisnął grafitowy przycisk pod palcem. Opiekun chłopca przestrzegł go jednak, że może zrobić najwyżej dziesięć takich obrazów. Jeden zużył na sześcionogiego olbrzyma, jeden na panoramę miasta i jeszcze jeden na ogromny okrągły kształt, który przeleciał kiedyś nad budynkami, zrobił kilka okrążeń i odleciał.

W to ostatnie ojciec mu nie uwierzył, biorąc obiekt za ciemną chmurę.

Minąwszy przejście obrośnięte kopciem i pleśnią, zapuścił się w gąszcz

wąskich tuneli technicznych, znanych mu doskonale dzięki ojcu, który wpajał Pinokiowi ową wiedzę przez kilka lat. Znajomość planów całego budynku na tyle, by móc poruszać się po nim z zawiązanymi oczami i z dowolnego punktu przejść do następnego, pozwalała na zaoszczędzenie światła oraz czasu i gwarantowała bezpieczeństwo.

Paradoksalnie – Pinokio bardziej niż niezauważenia jednego z wielu potykaczy szrapnelowych bał się tego, iż mógłby pomylić któryś z mechanizmów zegara i przez to zaburzyć nieodwracalnie równowagę całej konstrukcji.

Między innymi z tego powodu ojciec nie pozwalał, by chłopiec zbliżał się do centralnie usytuowanego wahadła. Gigantyczna buława majestatycznie wachlująca z jednej strony w drugą była tak wrażliwa, iż nawet najdrobniejsze zmiany temperatury czy chociażby ciśnienia doprowadzały do rozregulowania całego systemu. Pinokio niejednokrotnie obserwował, jak jego ojciec z trwogą przygląda się pogodzie za oknem, nerwowo chodzi z kąta w kąt sobie tylko znaną ścieżką, po czym rusza w kierunku wahadła, by poprawić częstotliwość o wartości tak drobne, że wydawały się Pinokiowi zupełnie nieistotne.

W miarę upływu lat Pinokio zrozumiał, iż jego rodzic widzi zegar jako centrum całego świata, prawie jako misterium magiczne – w związku z czym nauczył się, iż jeśli ojciec martwi się o stan mechanizmu, to i Pinokio powinien podejść do tematu z nabożną trwogą.

Ojca znalazł przy generatorze prądu – z wyrazem głębokiego zamyślenia obliczał, jak długo są w stanie uzupełniać straty energii wywoływane poprzez utrzymywanie stałej amplitudy wahań.

Wszystkie te terminy były dla chłopca jedynie wyuczonymi frazesami, nawet takie zabawne definicje jak dobroć zegara, która mimo przyjemnej nazwy była jedynie kolejnym niezbędnym obliczeniem przy zużyciu energii.

Chłopiec zbliżył się do swojego opiekuna, a ten zdjął grube okulary

z nosa i uśmiechnął się z właściwą sobie skromnością.

– Dziś czeka nas ważna misja – zaanonsował ojciec – to naprawdę kluczowy dzień w historii zegara.

***

– Dziś czeka nas ważna misja – zaanonsował kapitan Świdrzyński – to naprawdę kluczowy dzień w historii naszej stacji.

Odkąd ogłoszono przełomowy plan wyłomu w pozycjach świętego krzyża, napięcie w powietrzu było wyczuwalne dla każdego. Odpowiednio osadzone ładunki wybuchowe, bez specjalnej finezji, ale za to efektywnie, miały podzielić terytorium świętego krzyża, a następnie pozwolić na rozbicie osłabionych sił. Równowaga sił w metrze miała ulec zachwianiu, a kapitan Świdrzyński wymarzył sobie, by szala zwycięstwa opadła po stronie politechniki i następnie uderzyła o ziemię pod ciężarem sukcesywnie wykonywanych misji jego oddziału.

– Wyruszamy o zmroku na Pałac Kultury – zawiesił głos, by nasycić się stężałymi minami podwładnych – mamy zielone światło od naczelnika, więc dziś bawimy się na pełny koszt politechniki!

Oddział kapitana składał się z najbardziej zaufanych i zasłużonych dla stacji żołnierzy. Nic więc dziwnego, że liczył on wraz z kapitanem cztery osoby. Nie było tutaj miejsca dla wymoczków, niedzielnych stalkerów i wymuskanych bohaterów. Oddział do zadań specjalnych miał licencję na zabijanie, która doprowadziła do utworzenia prostej zasady:

– Wchodzimy i nie zostawiamy żadnych śladów ani świadków. Nie możemy liczyć na ekipę transportową, więc będziemy musieli zapakować jak najwięcej materiałów, a potem wrócić na plac Konstytucji tak, by nikt tego nie zauważył. – Kapitan spojrzał każdemu z żołnierzy z osobna w twarz i dopowiedział krótko:– Ani, kurwa, mru-mru… czy to jasne? Na świętowanie przyjdzie czas, gdy święty krzyż upadnie i roztrzaska się, tak jak powinien był już dawno temu.

Lennon kiwnął głową, nie zmieniając swojego chłodnego wyrazu twarzy. Tamburyn skrzyżował swoje umięśnione ramiona i mruknął coś niewyraźnie, a Stańczyk swoim zwyczajem jedynie pstryknął palcami i się wyszczerzył.

Świdrzyński skrzywił się z niechęcią. Mimo iż dowodził oddziałem oficjalnie od ponad roku, nadal widział w swoich ludziach jedynie cyrk osobliwości. Marzył mu się prawdziwy oddział do zadań specjalnych, na jaki zasługuje. Rozmyślał częstokroć, jak by to było zostać nowym naczelnikiem. Szanse na to były co prawda niewielkie, zważając na fakt, iż aktualny naczelnik kryształowego pałacu miał się wedle publicznej opinii jak najlepiej. Jednakże kapitan był ambitny i często myślał nad tym, by zreformować działanie całego Pałacu i podległych mu w przyszłości stacji – a wymarzył ich sobie całkiem sporo.

– Kwatermistrz wyda wam sprzęt po godzinach, zabierzecie tylko to, co niezbędne – pamiętajcie, że od powodzenia misji zależy los nas wszystkich – myślcie o tym!

Po krótkiej i nieszczególnie charyzmatycznej przemowie kapitan udał się do gabinetu naczelnika, by przedstawić mu kilka z jego wysnutych fantazji na temat funkcjonowania patroli na powierzchni.

Grupa stała jeszcze przez chwilę w miejscu, nie bardzo wiedząc, co począć z nowo zdobytymi informacjami.

– Władca metra, dwa pałace – zaśmiał się Stańczyk i zaczął wybijać rytm na swoich kolanach.

Tamburyn uśmiechnął się pod nosem, nie wiedząc, co jego towarzysz miał na myśli. Obaj spojrzeli na Lennona, szukając chociażby ugrzecznionego parsknięcia, ale ten odwrócił się jedynie i wyszedł z pomieszczenia.

– Ponurak, nie zna się na żartach – wykrzywił się teatralnie Stańczyk, po czym zaczął parodiować chód oddziałowego łucznika i ruszył wraz z jedynym pozostałym żołnierzem w kierunku peronu.

– Tęskni za rodziną, nie każdy potrafi się dogadać z ludźmi po takiej stracie – powiedział współczująco Tamburyn, co przy jego byczej posturze wyszło bardziej prześmiewczo niż grzecznie. – Wiedziałbyś to, gdybyś nie był taki… pierdolnięty.

Stańczyk zaśmiał się pod publikę i zaczął klaskać towarzyszowi. Nagle przestał i splunął w bok.

– Powinien dorosnąć, dla dobra nas wszystkich! Niech sobie przygarnie jakąś zgrabną lalę z bachorem, przecież pełno takich.

Lennon resztę dnia spędził, polerując swój wisiorek.

***

Pinokio przeskoczył na koło zębate pod nim i zwiesił się na szczerbie. Koło przekręcało się dobre pół minuty, gdy wreszcie udało mu się zeskoczyć na ziemię. Śledził wzrokiem swojego ojca, który oliwił jedno z najmniejszych kół, pozwalające na zmianę ruchu obrotowego wskazówek zegara.

Gdy uznał, iż rodzic jest zbyt zajęty zegarem, by się zorientować, uciekł kolejnym z wielu dolnych mostków technicznych i czmychnął wprost do części mieszkalnej zegara. Światło dzienne wpadało z ukosa przez zdobioną pancerną szybę, która niezmiennie od lat była jego oknem na świat wraz z frontową ścianą, oddzielającą zegar od reszty brudnego, zakurzonego i miotanego ciągłymi wiatrami świata.

Wiedział, że ma jedynie kilka godzin, zanim cała farsa wyjdzie na światło dzienne. Pochwycił swój plecak schowany za posłaniem i ruszył do drabiny prowadzącej na najwyższe mieszkalne piętra. Wpierw Pinokio dokładnie rozłączył zabezpieczenia w postaci granatu z linką napiętą po drugiej stronie włazu. Gdy już udało mu się dostać na niższe piętro, musiał minąć jeszcze kilka potykaczy, które jego ojciec osobiście montował na korytarzach.

Kiedy już zszedł do poziomu parteru, otworzył szerokie dwuskrzydłowe drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Usiany pęknięciami beton przypominał

gigantyczną, zaschniętą watę, między którą kłębiły się gęste chmury. Martwe skorupy samochodów, całkowicie oczyszczone z wartościowych surowców wtórnych, puste otwory po oknach, wieżowce ziejące martwicą.

– Śliczne – bezgłośnie poruszył ustami chłopiec.

Pinokio podciągnął wełniany sweter, który zaczepiał się często o jego chropowatą skórę. Spojrzał bardzo uważnie na swoją pierś i z wyrazem skupienia zaczął śledzić wskazówkę mechanizmu.

– Siedem godzin – szepnął przejęty – zdążę przed nakręcaniem.

***

Tamburyn poprawił grube pasy z podejrzanego pochodzenia skóry, które oplatały jego ciało na krzyż. Naciągnął rękawiczki za nadgarstki i rozpiął, a następnie zatrząsnął ponownie klamry na butach. Jego policzki nabierały lekkiego odcienia różu, gdy przytraczał sobie trzeci nóż do pasa. Wyrepetował pistolet, który czyścił przez ostatnią godzinę z nadzwyczajną troską.

Cały ten proceder, który zdecydowanie bardziej przypominał rytuał aniżeli standardowy proces przygotowawczy, obserwował z ukosa Lennon, który oddawał się swojemu własnemu codziennemu rytuałowi. Kapitan Świdrzyński udzielał reprymendy podwładnemu Stańczykowi za próbę wyłudzenia usług prostytutki przy użyciu ,,odznaki" służb porządkowych kryształowego pałacu. Co prawda, niewielki pins u piersi nie sprawdzał się jako oficjalne udokumentowanie działalności na rzecz stacji, jednakże z braku bardziej dostojnych i jednolitych materiałów trzeba było radzić sobie w ten prowizoryczny sposób. Ponadto: nikt nie miał odwagi, by podszywać się pod kogoś, kim nie był, w celu otrzymania chociażby większego przydziału jedzenia – dziesięć razów szpicrutą przez plecy potrafiło zniechęcić nawet najbardziej zdesperowanych. To bardzo smuciło Tamburyna, który osobiście miał wymierzać sprawiedliwość za zgodą naczelnika.

Lennon zaczął przyglądać się badawczo hermetycznej grodzi. Prowizoryczna konstrukcja, wyglądająca raczej jak zlepek żelastwa na parze zawiasów, oddzielała Celsjusza, a wydobywające się przy tym procesie opary były nieformalną formą egzekucji odwleczonej w czasie dla skazańców.

Oddział zebrał się do wyjścia i w niesymetrycznej formacji rombu opuścił bezpieczną norę. Zimowa noc przyniosła chłodne wiatry, ciągnące ze sobą drobiny pyłu i lotnej rdzy, która wdzierała się w każde niezabezpieczone miejsce kombinezonów. To, co pieszczotliwie można było wziąć za śnieg, było w rzeczywistości żrącymi i cholernie radioaktywnymi płatkami białego puchu.

Oddział człapał powoli, brodząc w pyle po czubki butów i rozglądał się na wszystkie strony za ciemniejszymi plamami na tle śniegu. Wiele osób wierzyło w istnienie duchów i wszelkiej maści kreatur nie z tej ziemi, o której często opowiadali stalkerzy wracający z powierzchni. Wiele osób… oprócz samych gawędziarzy, który wiedzieli, iż jedyne mordercze kreatury z powierzchni to ludzie i różne odmiany mutantów będących efektem działania bomb biologicznych. Wszystko, co chodziło po ziemi, unosiło się w powietrzu, pływało w wodzie – dało się wytłumaczyć.

Jednak strach pozostawał prawdziwy.

Stańczyk nucił pod nosem piosenkę. Spod maski wydobywały się zniekształcone pomruki, które bardziej przypominały rzężenie zwierzęcia. Powoli wchodził w swój trans – do swojego ukochanego świata na powierzchni. Jedyny sposób, by tak niezdyscyplinowany człowiek został stalkerem, to bycie niezwykle przydatnym.

Koszarowe plotki często mówiły o tym, że oddział do zadań specjalnych ma w swoich skromnych szeregach człowieka, który potrafił rozmawiać z mutantami i wywęszyć zwierzę przez filtr maski przeciwgazowej.

Bujdy na resorach – rzeczywistość nie jest taka fantastyczna.

Stańczyk był zwyczajnie dobry – dobry w swoim fachu. Potrafił tropić,

poruszać się niezwykle cicho, a nawet trwać w całkowitym bezruchu przez godziny, co było wyjątkowo niespodziewanym talentem u osoby o tak chaotycznym usposobieniu.

Mimo niewielkiego dystansu, jaki dzielił ich od drugiego pałacu, musieli iść powoli, by nie wpaść w jedną z zastawionych na zewnątrz pułapek lub, co gorsza, nie natknąć się na któregoś z bardziej zaciętych nocnych drapieżników.

Droga okazała się na tyle bezpieczna, że poza minięciem kilku pułapek na szczury nie natrafili na żadną, która zagrażałaby bezpośrednio ich życiu.

Wszystko wydawało się iść zgodnie z planem.

***

Pinokio zaczął wspinaczkę na nasyp, kalecząc sobie przy tym dłonie o wystające fragmenty żelbetonu. Kawałki skóry kruszyły się niczym gips, gdy podciągał się na kolejny fragment gruzu. Rdzawy pręt żelaza o wątłej grubości odgiął się od ściany, gdy Pinokio zawiesił się na nim. Natychmiast wyrzucił swoją drugą dłoń do góry i zaczepił się o krawędź piętra.

Serce waliło mu jak oszalałe, gdy wreszcie dotarł na górę i spojrzał na miejsce, z którego przyszedł. Teraz wydawała się to dziecinnie niewielka odległość, chociaż poświęcił na wspinaczkę co najmniej kwadrans.

Gdy odwrócił się, jego oczom ukazały się puste framugi po witrynach sklepowych, pomiędzy którymi stały trzypiętrowe kolumny wspierające biały sufit, w którego środku był trójkąt pustej przestrzeni, wychodzącej wprost w nocne niebo. Ze ścian wystawały czerwone ramy pozbawione szyb, zapewne kiedyś tworzące świetlik, przez który mogło wpadać nocne światło księżyca.

Podłoga była zarośnięta cienką warstwą mchu przyozdobioną gdzieniegdzie czerwonymi szerokimi kielichami roślin o postrzępionych krawędziach. Niektóre z nich były zamknięte i wydzielały słodko-pachnący, gęsty płyn, który skapywał na podłogę. Słodkawa posoka ściągała do siebie

okoliczne owady i szczury, niczym zebry do wodopoju. Narkotycznie odurzone zwierzęta chwiały się na boki i zasypiały, a czerwone kielichy nachylały się powoli w ich stronę, by zamknąć je w swoich szkarłatnych paszczach.

Jednak prawdziwe widowisko miało miejsce w centrum tego dziwnego, zarośniętego po sufit Koloseum.

Tytanicznych rozmiarów sylwetka sześcionogiego stwora leżała na boku lekko zarysowana w promieniach światła, wpuszczanego skąpo przez świetlik. Krew o różowym zabarwieniu rozlewała się spomiędzy ostatnich, tylnych łap zwierzęcia. Sześcionóg postękiwał i wył cicho wyraźnie zmuszony do sporego wysiłku.

Pinokio obserwował to zjawisko, kompletnie nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Po kilku minutach pojękiwania monstrualnych rozmiarów stworzenie wypchnęło z siebie czerwoną bryłę o sześciu wątłych odnóżach. Kawał mięsa uderzył z plaskiem w ziemię, rozlewając dookoła miękkie łono.

Pinokio wychylił się przez barierkę, czując, że fascynacja natychmiastowo zmieniła się w odrazę. On sam także wyrzucił coś z siebie, jednak jego akt, mimo iż równie naturalny, nie miał w sobie ani krztyny szlachetności, w przeciwieństwie do gigantycznej matki, która w blasku księżyca urodziła swojego potomka.

Ta naturalistyczna scena nie trwała jednak zbyt długo.

Opalizujący kształt wyłonił się z cienia, w którym czekał od bardzo dawna. Teraz, gdy cały proceder osiągnął punkt kulminacyjny, drapieżnik mógł połasić się na miękką i pożywną ofiarę. Humanoidalna, wychudła istota podskoczyła w kilku susach do noworodka i wbiła kły w jego podbrzusze. Drobny sześcionóg nie zdążył wydać nawet swojego pierwszego płaczu, gdy poczwara wbiła mu pazury pod miękką gardziel.

Matka zaczęła się zbierać na równe nogi, mimo dalszego krwawienia z otwartej macicy. Jednym ruchem kończyny podobnej do beli zmiotła

humanoida z podłogi. Czarny stwór uderzył plecami o smukły filar, przełamując go na pół. Osłabiana przez lata i targana burzami barierka, o którą opierał się Pinokio, złamała się wpół tak, że ten zawisł na niej metr nad ziemią.

Sześcionóg zaczął wyć i przytulać martwego noworodka do swojej głowy, która była większa od samego dziecka. W jednej chwili wszystko wywróciło się do góry nogami, ponieważ matka zaczęła wywijać i młócić nogami dookoła, gniotąc okoliczną roślinność. Czerwone kielichy, miażdżone na mokre plamy wraz z ich uśpionymi ofiarami, wydzielały z siebie czerwoną chmurę gazową, która toczyła się po podłodze niezwykle szybko.

Pinokio zwrócił na siebie uwagę sześcionogiej matki i puścił się ze zwisającej balustrady.

Zaczął biec za filarami w stronę resztek schodów, gdy bestia wyłamywała kolejne podpory pierwszego piętra. Jedna z nóg przebiła filar na wylot, raniąc chłopca kamiennymi odłamkami.

Wbiegł na schody, przeskoczył czterostopniową wyrwę i ruszył w prawo. Musiał obiec pierwsze piętro z powrotem do wyjścia, gdyż podłoga zaczęła już się załamywać i wypełniać parter gruzem.

Oszalała po stracie dziecka bestia zaczęła wdrapywać się po schodach, jednakże nieudolnie zachwiała się na bok i wpadła w pędy czerwonych roślin, przyspieszając wydzielanie czerwonego gazu. Obłogi podnosiły się w zastraszającym tempie, aż dosięgły pierwszego piętra.

Pinokio przeskoczył nad wyłomem w podłodze i prędko zsunął się w dół, uciekając z piekielnego Koloseum. W pół drogi potknął się i resztę drogi przejechał, haratając kolana aż do krwi. Ucieczka jednak nie wydawała się dobiegać końca. Doprowadzony do szaleństwa stwór staranował ścianę galerii handlowej, wybiegając na zewnątrz w chmurze gazu, który zdążył wypalić na jego skórze krwawe bąble.

Ryk wypełniony rozpaczą i wściekłością przetoczył się przez centrum

miasta.

***

Krew na ścianach, podłodze, a nawet suficie wywarła spore wrażenie na kapitanie i jego drużynie. Pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia. Mięso różnych zwierząt, a nawet ludzkie, z resztkami ubrań, walało się wszędzie. Ściany były okopcone na czarno i przyozdobione odłamkami po licznych wybuchach, do których musiało tu dochodzić niezwykle często.

– Mają rozmach skurwysyny – zaśmiał się Stańczyk, stawiając pierwszy krok w głąb pomieszczenia.

Wszyscy czterej wlekli się niezwykle powoli, wyszukując między złogami krwi i szczątków pułapki. W ciągu kilku minut zdążyli przejść ponad trzema niklowymi linkami napiętymi tuż nad poziomem podłogi. Niezwykle żmudna i długa droga pozwoliła im na przejście do względnie pustego oraz czystego korytarza, wypełnionego marmurowymi kolumnami, ciosanymi po czterech stronach. Pomieszczenie nie było oświetlone ani nie miało okien na zewnątrz, kapitan Świdrzyński nakazał zatem włączenie latarek, co wiązało się z ryzykiem wykrycia.

Po godzinnym kluczeniu korytarzami Pałacu udało im się dotrzeć do najbardziej osobliwego pomieszczenia w budynku. Drabinka prowadziła wprost do niezwykłego pomieszczenia z oszkloną ścianą, które mieściło w sobie mnóstwo skrzyń, pojemników i kontenerów na ropę. Pomiędzy przedmiotami o czysto technicznym zastosowaniu wystawały części aneksu kuchennego, a nawet dwa łóżka.

Lennon rozejrzał się uważnie i zawiesił wzrok na jednym z łóżek. Ściągnął z pleców łuk i nałożył strzałę. Całą drużyną zaczęli się przekradać w głąb jedynego dostępnego przejścia, aż dotarli do gigantycznej, niemożliwej do ogarnięcia maszynerii, pełnej ruszających się kompletnie losowo mechanizmów.

– Coś mówiłeś o rozmachu? – szepnął Tamburyn.

Wtem przez hale przetoczył się echem donośny głos:

– Co to ma znaczyć? Nie jesteście tutaj mile widziani! Pinokio! Pinokio!

Stalkerzy spojrzeli po sobie z wyrazem zażenowania na twarzy. Jako pierwszy odezwał się kapitan:

– Profesor Wileński?

Starszy człowiek zamilkł na chwilę, po czym zaczął bardzo powoli schodzić na niższą platformę techniczną. Zaparł się dłońmi umorusanymi w oleju o barierkę przy konsolecie i odpowiedział:

– A ty skąd wiesz?

Świdrzyński wyraźnie zadowolony z odpowiedzi kazał opuścić pozostałym broń.

– Jesteśmy oficjalną delegacją kryształowego pałacu i…

Starzec roześmiał się, przerywając kapitanowi w pół zdania, co bardzo wyraźnie mocno go rozzłościło. Spojrzeli sobie nawzajem w oczy, nie kryjąc wzajemnej wrogości.

– Jesteście tylko bandą kretów, którzy żywią się resztkami i za swoje największe osiągnięcie mają eksterminacje sąsiedniej bandy kretów. Dawno przestaliście przypominać ludzi. Wasze dzieci rodzą się ślepe, a świat zewnętrzny jawi im się jako cywilizacja wzniesiona rękoma kosmitów. Banda szympansów, która tańczy na śmietniku.

Wileński splunął z góry pod nogi kapitana, jednak ślina rozciągnęła się w locie i zaczęła spływać po barierce w dół.

Świdrzyński z niesmakiem odwrócił się. Postanowił kontynuować rozmowę:

– Potrzebujemy materiałów, by nasza społeczność przetrwała! Bez tego ludzie, których obraźliwie nazwałeś kretami, nie mają żadnych szans na przeżycie.

– Jakich materiałów? – zapytał od niechcenia profesor.

– Trotylu – odpowiedział poważnie Kapitan.

Profesor Wileński wybuchnął śmiechem tak zwierzęcym

i niekontrolowanym, jakby nie miał okazji do śmiania się przez ostatnich kilkanaście lat. Gdy minęło około dziesięciu minut, wyprostował się i z powagą odpowiedział:

– Gardzę tobą, wynoś się z mojego domu.

Stańczyk zaśmiał się cicho i wymienił spojrzenia z Tamburynem.

Kapitan wyraźnie rozwścieczony słowami swojego interlokutora wyjął broń i wymierzył w górę:

– Gdzie jest ten pieprzony trotyl!?

Profesor posmutniał – krótka myśl przeszła mu przez głowę. Zdjął z szyi wisiorek z kluczem.

– Dobra decyzja – wyszczerzył się kapitan.

Wileński skrzywił się i odpowiedział:

– Nigdy nie przyczynię się do dalszego niszczenia naszej cywilizacji.

Profesor rzucił klucz w kierunku oddziału, a gdy tylko Świdrzyński próbował chwycić przelatujący naszyjnik, pociągnął za jedną z dźwigni, które miał pod ręką. Pomieszczenie raptownie zaczęło wypełniać się gorącą parą.

Tamburyn strzelił kilka razy w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał zegarmistrz. Strzały jednak nie dosięgnęły swojego celu, gdyż gospodarz zniknął w jednym z sobie tylko znanych korytarzy. W pomieszczeniu zaczęło być nie do wytrzymania.

– Z powrotem! – krzyknął kapitan Świdrzyński, gdy do dźwięków dołączył metalowy zgrzyt, po którym jedna z mechanicznych zębatek wypadła z obiegu, przerywając pomost, na jakim stał oddział.

Tamburyn, który jeszcze przed chwilą dodawał swoją posturą otuchy towarzyszom, teraz leżał z wybałuszonymi oczami między zębatką a tłokiem naprzeciwko, przygnieciony ich zwisającymi końcami.

– Jazda no! – ponaglał kapitan.

Oddział wybiegł z wnętrza zegara i ponownie znalazł się w otoczeniu skrzyń i reszty aparatury. Świdrzyński rozejrzał się dookoła i rzekł krótko:

– Nie wracamy z pustymi rękoma!

Zdjął z pleców swój KWz. 88 Tanatal, który otrzymał od naczelnika stacji za wieloletnią służbę (a nieoficjalnie za szmuglowanie dóbr luksusowych z powierzchni), i zaczął uderzać kolbą w najbliższą skrzynię. Podchwyciwszy pomysł, Lennon wraz ze Stańczykiem zaczęli rozbijać skrzynie najbliższymi przedmiotami, jakie mieli pod ręką.

Para zaczęła wypełniać także pomieszczenie mieszkalne, a gorące krople osadzały się na suficie. Sytuacja była bardzo napięta, gdy mimo rozbijania kolejnych kontenerów i pojemników nie udawało się znaleźć nic pożytecznego.

Wtem Lennon spojrzał na łóżko złożone z kilku skrzyń, po czym z rozpędu rozbił jedną z nich. Nagłe przeczucie, podsycone adrenaliną, dało fortunny efekt – skrzynia była w połowie zapakowana równymi bryłkami o żółtawym kolorze i czarnych numerach seryjnych.

– Bingo! – krzyknął Stańczyk i zaczął odcinać liny mocujące skrzynie ze sobą.

We trzech zaczęli wywlekać je w stronę drabinki ewakuacyjnej, jednakże przejście okazało się zbyt wąskie, by przenieść przezeń cały łup.

– Pakować to do plecaków, ile się da – zakomenderował dowódca.

Ekipa szybko wypełniła swoje plecaki trotylem, wkładając do nich po kilka dwustugramowych bryłek. Stańczyk wziął jeszcze jedną porcję w dłoń i zjechał po drabince w dół, śmiejąc się obłąkańczo.

Wybiegli z Pałacu Kultury, po drodze przeskakując odruchowo nad miejscami, gdzie rozbroili już i tak wszystkie miny, idąc tędy za pierwszym razem. Stańczyk obrócił się, oczekując w napięciu jakiegoś efektownego wybuchu, jednak zauważył jedynie parę wydobywającą się ze szczelin u szczytu budynku.

– Habemus trotyl – zaśmiał się Stańczyk, co przy jego masce gazowej brzmiało bardziej jak dławienie się.

Lennon zerwał się nagle i uderzył go na odlew pięścią, ponownie

wyprowadził cios, jednak ten skontrował go i oddał Lennonowi trzy szybkie proste, które położyły agresora na ziemię. Lennon wstał na równe nogi i zdjął maskę, dysząc ze wściekłości.

– A Tamburyn to pewnie jest na wakacjach, chory bydlaku?!

Stańczyk zachichotał spod maski. Świdrzyński rozdzielił awanturujących się, przeczuwając eskalację konfliktu.

– Spokój – skomentował twardo. – Mamy, po co przyszliśmy, potem zajmiemy się tym w raporcie. Stańczyk, idziesz na szpicy…

Ryk wypełniony rozpaczą i wściekłością przetoczył się przez centrum miasta.

***

Pinokio gnał na złamanie karku wprost do swojej bezpiecznej przystani, jedynego przyjaznego domu, gdzie spędził większość życia. Jednakże potwór, który go gonił, mimo wysiłku spowodowanego porodem i krwawieniem wydawał się nie męczyć pościgiem i zbliżał się z każdą chwilą. Chłopiec starał się omijać wszystkie koleiny po drodze, by nie upaść, co wiązałoby się z niechybnym stratowaniem przez sześcionoga. Potwór nie miał takiego problemu jak chłopiec, gdyż w szalonej szarży przebijał wszystko na swojej drodze.

Wreszcie Pinokio przeskoczył ponad ostatnim wrakiem samochodu, który blokował drogę na parking przed Pałacem Kultury. Dostrzegł jednak coś nietypowego: Pałac miał wokół siebie drobną mglistą poświatę, która gęstniała z każdą chwilą. Przed samym budynkiem dostrzegł trzy sylwetki, które w pierwszej chwili chłopiec wziął za humanoidalne stwory, podobne do tego, co połasił się na noworodka.

Pinokio mimo to nie miał wyboru i biegł dalej przed siebie, licząc na łut szczęścia.

Kapitan Świdrzyński spojrzał w kierunku pościgu i stanął jak wryty na

widok kilkumetrowej, szarżującej bestii, pokrytej warstwą krwi.

– Oby chłopak kupił nam trochę czasu – powiedział gorzko i zaczął biec w bok, jak najdalej od niebezpieczeństwa.

– Przecież to tylko dziecko! – krzyknął Lennon rozdrażniony kolejnym niemoralnym aktem w oddziale. – Musimy go ratować!

Lennon odbiegł w bok i skrył się za jedną z karoserii na parkingu. Wymierzył w sześcionoga i oddał kilka bezskutecznych strzałów w jego głowę, nie wiedząc nawet, czy trafił. Jeśli pistolet nie jest w stanie nawet drasnąć potwora, to nie widział sensu w zdejmowaniu swojego ulubionego łuku z pleców. Bestia wydawała się coraz bardziej rozjuszona. Jednym ze swoich odnóży kopnęła karoserię pobliskiego samochodu na dziesięć metrów, co wyraźnie dało znać wszystkim, iż nie będzie łatwo zwalić ją z nóg.

W pewnym momencie bestia wykręciła w pogoni za chłopcem, którego Lennon chwycił i schował obok siebie, za karoserią samochodu. Sześcionóg szarżował dalej i omal nie stratował kapitana Świdrzyńskiego, który przetoczył się między nogami potwora. Gdy bestia próbowała zwolnić i skręcić, Stańczyk strzelił jej w szyję, trafiając w jeden z krwawych bąbli. Rozjuszona poczwara chwyciła go natychmiast paszczą i ku przerażeniu pozostałych zacisnęła szczęki.

Stańczyk, nawet umierając, śmiał się spod swojej maski, wyjął zapalniczkę z bocznej kieszeni i przystawił ogień do trotylu w drugiej dłoni.

– Skąd… ta ponura mina? – wyszeptał cicho.

Sekundę później wybuch rozerwał twarz potwora i rozrzucił zwłoki stalkera w promieniu kilku metrów.

Sześcionoga poczwara stała jeszcze chwilę nieruchomo, po czym zrobiła krok do przodu. Wszyscy przerażeni obserwowali ją, wycofując się w stronę kryształowego pałacu. Pinokio ledwie nadążał za ciągnącym go Lennonem. Jedyne, o czym myślał, to ucieczka od stworzenia, które kiedyś go fascynowało, a teraz okazało się tak mordercze.

Nie oglądając się za siebie, drużyna w szaleńczym biegu dopadła wreszcie hermetycznej zapory, która oddzielała ją od metra. Po drodze zaczęły za nią węszyć nocne drapieżniki, które zauważyły jej obecność.

Świdrzyński zastukał nerwowo w gródź kilka razy, myląc przy tym umówiony kod. Strzelił kilka razy do tyłu, widząc majaczące w ciemności kształty.

Służbista pełniący wartę tej nocy wpuścił ich, szybko zamykając gródź, za którą zaczęły drapać pazury pierwszych drapieżników. Byli bezpieczni.

Po obowiązkowym ,,prysznicu" Świdrzyński udał się na jak najszybszy raport, zabierając oba plecaki, a Lennon został z dzieckiem, by móc wyjaśnić wszelkie wątpliwości i nie dopuścić do wpuszczenia do metra żadnej groźnej choroby.

– Kiedy wrócę do taty? – zapytał Pinokio.

Lennon spojrzał na niego z lekkim uśmiechem, jedną ręką pomagając mu zdjąć ubranie.

– Wiesz, to dosyć skomplikowane – odpowiedział Lennon.

Gdy chłopiec ściągał wełniany sweter, który nosił bezpośrednio na ciele, Lennon wyjął z kieszeni niewielki wisiorek, otworzył go i pokazał chłopcu.

Zegar na piersi Pinokia dalej tykał.

Marek Zychla | Protokooperacja

Drugie miejsce w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

I

Marek
Nic dziwnego, że Irysy miały mnie za świra. Zresztą mieliśmy o sobie podobne zdanie.

Szkaradztwo
Świrował. Każde zdanie dekorował jednym z szerokiej kolekcji tików lub klasycznym podrapaniem się po czuprynie podkoszonej zakolami.

Kuśtykał. W jednej chwili milczący, a w drugiej rozgadany potokiem bzdur, od których kisła woda. Zastanawiałem się setki razy, co robi kaleka w jaskini o trzystu schodach. To jakby niedowidzący wybrał się na pokaz powietrzny awionetek.

Ględził w kółko o zaufaniu, o tym, jak bardzo powinienem być mu wdzięczny za uratowanie życia. Byłem, jednak zaufać nie potrafiłem. To gryzło się z moją naturą (raczej drapieżną przecież).

Marek pilnował tej pokręconej elektryczności. Człapał od halogenów wielkości pięści do najmniejszej z lampek, sprawdzając każdą żarówkę. Czyścił metal, szkło i gumę, a na koniec uzupełniał poziom nafty w agregatach (trzy z nich udało się zdobyć podczas wypadów do Castlecomer, a jeden stał tu od początku). Z pozyskiwaniem paliwa nie

mieliśmy problemów. Wystarczyło osuszać zbiorniki stojące na każdym podwórku. Nie musieliśmy o nie toczyć zajadłych bojów. Nasi nocni stalkerzy nie natrafiali na konkurencję.

Uruchamialiśmy prądnice na zmianę – z każdej wyciągając minimum piętnaście kilowatów. Nie potrzebowaliśmy aż tyle mocy – zapewniał Marek. O samej jednofazowości i trójfazowości nasłuchałem się tyle, że do teraz mi głowa pęka.

Nie jestem tępakiem, jednak nie da się w krótkim czasie pojąć tylu nowych zagadnień. Nie wszystko też każdego interesuje. Dla mnie generatory to czerwone kloce na kółkach: buczące, kopcące i wprawiające powietrze w drżenie. Wszystkie ciężkie niczym mój kocioł.

Narodziłem się w nim, gdy na błękitną planetę spadały bomby.

M

Bum, jeb! I mamy to, co mamy… Sami się prosiliśmy.

Czytałem u Brunnera, że wojna ma charakter stochastyczny – równie blisko jej do przypadkowości, co do schematycznych ramek. Lubi legnąć się losowo gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami. Na przekór racjonalizmowi. Mimo wszystko nie zamierzam narzekać. Prawdopodobnie jako jedyny zyskałem więcej, niż straciłem.

Współrządzę i napawa mnie to dumą! Matka powtarzała, że dojdę w życiu co najwyżej do przedwczesnej śmierci. Niech się przewraca w pełnym zarobaczonych desek grobie.

Mama należała do przemądrzałych babsztyli, które brak koszulki na plaży u mężczyzny uważały za oznakę zezwierzęcenia obyczajów. Mówiąc o niej: dewotka, to jakby nazywać niedźwiedzia misiem. Niech jej ziemia napromieniowaną będzie. Kochałem ją, na swój sposób. Nawet kiedy zmuszała mnie do czytania książek.

Jego też kocham, niestety. Taki drobny był i słabiutki niczym najchudszy z nietoperzy, którymi się żywiliśmy. Wzywał je, wystukując hipnotyczne rytmy na tym olbrzymim kotle, w który wrósł czy wtopił się i w którym go

przynieśliśmy.

W naszej jaskini Dunmore, przeszło pięćdziesiąt metrów pod ziemią, dwa tuziny umknęły popromiennemu losowi, w tym czworo dzieci – smaczniejszych od nietoperzy, przyznam szczerze, chociaż niełatwo mi o tym mówić. Maluchy źle zniosły pierwsze tygodnie w wilgoci i chłodzie. Wszyscyśmy zdrowo chorowali – też mi się powiedziało. Szkaradztwo ma rację, że za dużo gadam.

Pamiętam początki. Ludzie trzymali się razem zdeterminowani pragnieniem wspólnego dobra i przekonaniem, że od teraz może być tylko lepiej. Wszystko było wspólne, głównie nieszczęścia.

Przekopaliśmy się przez gruzowisko blokujące dostępu do tunelu ciągnącego się na północ. Prowadzący wycieczkę staruszek zapewniał, że cholerstwo sięga aż do Castlecomer. Blisko dziesięciokilometrowy korytarz ze strumyczkiem na dnie – źródłem nieskażonej wody, przefiltrowanej przez tony gleby i skał osadowych. Ten sukces zapewnił pierdzielowi dowództwo, które przyjmował z całą serią pompatycznych przemów. A ja spoglądałem na te malutkie kolce pod sklepieniem i myślałem, jak pięknie będzie zetrzeć go na nich jak na tarce. Teraz wiem, że były to stalaktyty rurkowe – w wolnym tłumaczeniu z ulotki – osady kalcytu zabarwione glonami, wcinającymi światło z lampek. Pięć tysięcy lat zajęło, aby powstały te kilkucentymetrowe gówna, a mój przyjaciel rozprawił się z nimi w kilka dni.

O tym później. Zmęczyłem się.

S

Łatwo się męczę. Mam co dźwigać.

Pamiętam, że wysychaliśmy przy blachach pokrytymi kamieniami, pod którymi Marek porobił grzałki. Ciepło uspokajało. Pamiętam też ich pierwszego przywódcę. Nie nadawał się do nieciekawych czasów. Rządy zaczął z wysokiego C, wysyłając dwóch mięśniaków na górę, żeby się rozejrzeli, a ci pewnie nawet nie zdążyli przywyknąć do mocniejszego

światła… Poszli za dnia, więc trawa zrobiła swoje – ta seledynowa, na wiecznym głodzie. Przeluźniło się.

Dziadka po latach zastąpiła matka dwojga dzieci. Babsko potrafiące zakrzyczeć każdego. Wypytała, kto w czym jest dobry, i zajęła się dbaniem o to, co mieliśmy, a nie o to, co moglibyśmy mieć. Głównie o nietoperze.

Te radziły sobie zaskakująco dobrze i nikt nie wiedział, którędy wylatują, gdy zakończyły hibernację. Opuszczały jaskinię nocą i wracały smaczniejsze. SinnFéiniści – tak zaczęli się nazywać, kiedy poglądy narodowościowe z silnie zarysowanych przemieniły się w wiodące – gotowali tłustą zupę.

A kotły sprowadzono jeszcze za czasów staruszka, nocą – kiedy drzemała trawa. Znaleziono je przy starym przytułku w Castlecomer, pamiętającym czasy wielkiego głodu. Tam znaleziono też masę nasion, z których w jaskiniach – w tych miejscach gdzie docierało światło lamp – wyrosły mizerne warzywa. Skłamałbym, mówiąc, że szczęściu nie było końca. Skłamałbym również, mówiąc, że jest mi z tego powodu przykro.

Przytargali ciężkie kotły, a w jednym z nich mnie (stopionego z szarym żeliwem).

To był ich błąd. Ich, bo przecież nie nasz.

M

Nie popełnialiśmy błędów, tak myślę. Przynajmniej na początku. Niestety, wiecznie trwać może tylko czas. To oni zaczęli. My skończyliśmy.

– Zabić! – ryknęło babsko, same nie sięgając po broń. – Szkaradztwo!

Nadała mu imię, a chociaż maluch nie rozumiał słów, to zareagował, machając nóżką. Wyglądał na bezbronnego, dlatego postanowiłem walczyć.

– Zajmę się… tym. – Jak nigdy wyszedłem przed szereg. – Przetoczcie kocioł do południowej komnaty, proszę, do krzyżowej. – Miałem na myśli miejsce, które omijali, z którym wiązały się najstraszniejsze historie, a temperatura sięgała kilku stopni. O ogniu – z braku przewiewu – nie było mowy, grzałek brak. Pozostawiono tam zaledwie cztery lampy, w dodatku

o słabym żółtym świetle. I je by zabrano, lecz ciemność urosła w jaskini do rangi Boga. A może diabła? – Ten bardziej jest ludziom potrzebny.

Tam też stał największy stalaktyt Irlandii. Jednym przypominał krzyż, innym ogromną pintę Guinnessa. W tym kraju wszystko mówiło o religii lub piciu.

Zabrałem kocioł – bez niczyjej pomocy – obiecując, że nie pożałują. Zaklinałem się na świetlne świętości, na odchodzącego w niełasce Boga, na moje kalectwo i ich wyższość. Czułem – najprawdopodobniej przeczucie to okazało się zaraźliwe – że zyskamy na zachowaniu Szkaradztwa przy życiu. Zgodzili się. Kiwali głowami, z minami poważnymi niczym śmierć najmłodszych. Przekazali mi sanie, rzucając zdawkowe: „Good man”.

Wtargałem cholerstwo do komnaty. Udało się i pierwszy raz nie było mi zimno. Maluch wyglądał na szczęśliwego. Znowu machnął nóżką, a ja ją chwyciłem i delikatnie ścisnąłem. Ponoć dzieci, w pierwszych dniach po narodzinach, napełniają rodziców pozytywną energią i naginają przychylność świata ku sobie. Klnę się na bezduszność matki, że Szkaradztwo mogłoby być tego dowodem.

S

Szkaradztwo? Mogli mnie gorzej nazwać, a najlepiej, gdyby w ogóle nie nazywali.

Kierowałem Markiem, szczególnie w trakcie pierwszych dni. Przesyłałem mu prośby, które stały się wspólnymi pragnieniami. Zablokował wąskie przejście do komnaty pozostałościami po metalowych schodkach (sporo tego zostało; nie wszystko przerobili na grzałki), którymi kiedyś wspinali się turyści. Z płyt i kamieni zbudował wpierw rampę – inaczej w życiu nie wciągnąłby tego kotła. A wturlać się dało. Wturlać zawsze się da.

Ciemno nam panujące babsko popełniło poważny błąd. Drugi z rzędu, a do trzech razy sztuka. To tutaj włączano i wyłączano światła. Strasznie się namęczyłem, żeby o tym nie pomyślała. Nie zdążyli zareagować, próbując odzyskać władzę nad osłabionymi umysłami. Wlewałem w nich

najbrudniejszą szarość! Coś podobnego do mgły zmieszanej z dymem i posypanej do smaku popiołem; żywiącego się pamięcią – wciąż słabo, strumyczkiem czy strużką – lecz wystarczająco mocno, żeby zyskać kilka godzin spokoju.

Podłączyliśmy prąd do barykady i zgasiliśmy lampy w całej jaskini. Nie trwało długo, nim nas odwiedziła, latarkami torując sobie drogę przez jaskiniowy prototyp czerni.

– Przestańcie, żądam! – warknęła, sapiąc i próbując odepchnąć stalowe płyty.

Śmierć spłynęła z dotykiem. Jej słabe serce nie wytrzymało, a w zamian – niemal od razu, by uciszyć narastającą wśród ludzi trwogę – zapłonęły światła. Marek minę miał niezwykle spokojną, choć właśnie kogoś zabił.

Z resztą SinnFéinistów doszliśmy do porozumienia. Ześlij ciemność, a nazwą cię demonem; daj światło, a zaczną cię wychwalać i – co oczywiste – prosić o więcej. Ujrzą w tobie nadzieję. Ujrzą to, co pragną widzieć.

Wpierw jednak musiałem podrosnąć.

(A babsztyla zjedli, wyobraźcie sobie! Wciąż mnie to bawi. Oczywiście z masą przemówień o wyższej konieczności. Zbudowali nawet cokolik na jej cześć, wyświęcając nadgryzione osteoporozą kości. Takie to były piękne złego początki!)

M

Rósł w oczach! Mężniał na ubogiej diecie! Zajadał nietoperze, mlaszcząc i chichocząc. Wszystko robił tak dziwnie, po wariacku.

Druga z nóżek zaczęła mu się z czasem poruszać, a pełny brzuch pulsował od oddechów, a może od wzdęć. Szkaradztwo zaczął uczyć się pierwszych słów. Nauka przychodziła mu z łatwością. Czerpał wprost z naszych wspomnień, z pragnień i trosk. Taki zyskał dar, zresztą jeden z wielu. Już w dzień po przejęciu władzy wycharczał pierwsze zdanie:

– Służ mi. – Dowcipniś.

Zanurkował od razu w mej głowie – wyczuwałem to w postaci mrowienia skroni oraz szarych powidoków. Odkrył, że bałem się SinnFéinistów, ponieważ jako jedyny nie pochodziłem z Irlandii. Strach narastał wraz ze wzrostem ksenofobii wśród mieszkańców – zwykle uczynni, zaczęli spoglądać na mnie coraz mniej przychylnie. Dlatego od tygodni starałem się nie odzywać, żeby nie razić nikogo twardym wschodnim akcentem. Kręciłem się po tunelach, schodząc nocnym stalkerom z drogi. Ignorowano mnie.

A odkąd zaprzyjaźniłem się ze Szkaradztwem, strach mijał, a lęk o przyszłość zastąpiłem pracowitą teraźniejszością. Kulawy, obłąkany Polak zyskał przyjaciela. Zyskał synka.

S

Tata kulał. Niby nic wielkiego, lecz bez specjalnych butów nie przeszedłby stu metrów. Brakowało mu palucha, a to problem, bo cała mizernie sklecona konstrukcja stopy wtedy… klęka, o ile można tak rzec o stopie.

W tym mądrym człowieku kryło się więcej kompleksów niż bieli w stalaktytowym krzyżu. W dawnym świecie pewnie zostałby samotnikiem, a kto wie, czy nie szukałby ukojenia w zbrodni. W jaskini terytorializm ludzki nie znosi lekceważenia. Z czasem SinnFéiniści sami skoczyliby sobie do gardeł.

Wzywałem nietoperze hipnotycznym rytmem. Lądowały na brzegu kotła i przechodziły bliżej mnie. Ładne, puchate i zaspane. Nabierałem sił. W ciągu kilku dni podrosłem na tyle, że mogłem zacząć się przemieszać. W ciągu kilku dni! Niesamowite te radiacyjne dary! Ciągnąłem kocioł po wilgotnym kamieniu jak więzień kulę u nogi. Trenowałem – tak to można nazwać – dopingowany przez Marka. Byliśmy do siebie podobni – w niezdarności, zagubieniu, umiłowaniu ciszy i odizolowaniu. Postanowiłem mu pomóc.

Tata opowiadał mi o dalekim kraju, gdzie pewnie nikt nie przeżył, bo Polakom zawsze towarzyszyły megatony pecha. Poczucie wyższości

wykiełkowało w nim z poczucia niższości i podkarmiało się kompleksami. Próbował oszukać samego siebie, a to się nie może udać.

Aha, nowym przywódcą SinnFéinistów został najsprytniejszy ze stalkerów, zarośnięty meszkiem nastoletni (urodzony pod ziemią) Eamon Gallagher. Prostak, w dodatku posłuszny. Odkopał tunel i uczynił go ogólnie dostępnym. Każdy mógł zostać stalkerem, każdy otrzymał na własność wyznaczony kwadrat o dwumetrowym boku, przez co nastroje uległy poprawie.

Dziwny gość. Wzbudzał szacunek sukcesami podczas eskapad. Szkolił pozostałych w trudnej sztuce przetrwania na powierzchni, opowiadając o trawie, poza którą praktycznie brakuje życia. Podsłuchiwałem, delikatnie spoglądałem na jego wspomnienia, odrabiając wraz z uczniami lekcje. Tak, trawa, niegdyś soczyście zielona, rozlana rozciągniętymi kroplami źdźbeł po całej wyspie, dzisiaj stała się upiornie agresywną, zjadliwą suką. Brzmi to śmiesznie, dopóki nie wyjdziesz na powierzchnię i cholerstwo nie zasmakuje w twojej krwi.

M

Ten ich Eamon tylko straszył zielskiem, i tyle. Irlandczycy podatni są na mitologiczne brednie. Wszędzie widzą Leprechauny, słyszą Banshee i tym podobne, z pogańskiego tyłka wzięte bzdety. Banda zabobonnych wieśniaków!

Szkaradztwo zwrócił mi ostatnio uwagę, że jestem rasistą. Ja, który chwaliłem Irlandię podczas niejednego wyjazdu do kraju! Sięga mi do głowy i brudzi wspomnienia szarością, z pewnością wpływając na moje zachowanie. To się musi skończyć! Tak postanowiłem. Przecież kocham Irlandczyków, zawsze kochałem, tylko ostatnio robią się tacy… trudni. Niczym górale, którzy nie potrafią wymówić pieprzonego żet.

Mój synek urósł, cholernie urósł, chociaż z tym kotłem na tyłku wyglądał komicznie. Ciężkie paskudztwo wisiało swobodnie. Nogi synka wyglądały na silne, piekielnie silne, a w oczach – oprócz jaskiniowej czerni –

zadomowiła się pewność siebie.

– Wyjdę i pozamiatam. – Zamachał tyłkiem, śmiejąc się tak, że jeszcze przez kilka dni czułem dreszcze.

Opowiedziałem mu wtedy historię zasłyszaną podczas zwiedzania jaskini, kiedy to – każdy z biletem w ręku – podziwialiśmy stalak-bzdety. Staruszek przewodnik zaprowadził nas do komnaty, w której teraz mieszkamy, i zgasił, za pozwoleniem zebranych, światła. Przez dwadzieścia sekund otuliła nas idealna czerń. Zapalił po chwili latarkę i snop słabych promieni przyciągnął nasz ogłupiały wzrok, dając ukojenie i rozwiewając strach. Snop wylądował na zagłębieniu, w którym od jakiegoś czasu nocuję.

Opowiedział, jak to w latach pięćdziesiątych przywędrowało tutaj dwóch ośmiolatków. Mieli ochotę na przygodę i paczkę zapałek, które dość szybko zamokły. Brakowało świateł – jaskinię dla zwiedzających otwarto dekadę później. Znaleziono ich po dwóch dniach przytulonych do siebie w katatonii umysłów oraz ciał.

Nie mieli planu. Wyszli, ot tak sobie, na wyprawę. Trzeba mieć plan. Szkaradztwo polubił tę opowieść i jeszcze nieraz musiałem do niej wracać, lecz nie wziął sobie do serca puenty. Nie widziałem, żeby dłużej rozmyślał nad czymkolwiek, mocarny synek.

Dni mijały, zlewając się z nocami w podziemną całość. SinnFéiniści nie zaczepiali nas, składając Szkaradztwu w ofierze jedzenie. Dziwne to było. Pewnie w głowach nasrane mieli tej szarości więcej, niż upchnięto w granicie ołówka. Synek wyłączał czasami prąd barykady i sięgał po dary najdłuższą nogą. Stękał przy tym zabawnie, a kocioł stukał o metalowe płyty, co go wyraźnie bawiło. Raz bliski byłem sprawdzenia, czy poradzi sobie z elektrycznością, jednak nie odważyłem się na takie ryzyko. Potrzebowaliśmy siebie, a przy jego rozmiarach obliczenia nie dawały pewności.

Nikt nie próbował nam w czymkolwiek przeszkodzić. Ze swojej strony zbudowali wprawdzie coś w rodzaju zasieków. Zasieki są fajne, tak myślę,

kiedy chcesz opóźnić atak nieprzyjaciela, a przede wszystkim, gdy masz dokąd uciec. A Castlecomer może być miłe nocą i tylko nocą.

Za dnia szczuje trawą.

S

Nie uciekli. Stali przy wlocie do tunelu sparaliżowani strachem. O walce nie ma się co rozpisywać. Wpadłem w szał charakterystyczny dla wojowników z tych ziem. Zacząłem od Eamona – jedynego, który spróbował kontrataku, rzucając we mnie kamieniem. Trafił w kocioł, czyli pudło. Zdarza się najlepszym.

Z resztą SinnFéinistów to była masakra. Sporo czerwieni i na długo pełen brzuch. Część jedzenia musieliśmy zakonserwować, porozwieszać, wysuszyć, uwędzić, zakopać. Komnata kryształowa posłużyła za lodówkę.

Marek nie chciał jeść ludzkiego mięsa po przygodach z pierwszych miesięcy i zasmakowaniu w dziecięcinie. W ogóle przeraziła go ta jatka i nawet szarość nie pomagała, tak się bał. Tłumaczyłem, że teraz będzie milej, przestronniej. Powiedział, że będzie mu brakować wielu rzeczy, bo wiele rzeczy robi się z innymi ludźmi, w stadzie, na którego tle zaznacza się wyjątkowość jednostek. Wpadł w intelektualny bełkot upojony strachem.

– Chodzi o seks? – zapytałem, a on tylko machnął ręką. – No mów! – ryknąłem, uderzając nogą i głosem w kamienną ścianę.

– Kiedyś, jeszcze w kraju, za dzieciaka, uwielbiałem wędkować. Nie do pomyślenia, że już nigdy więcej nie stanę nad brzegiem rzeki. Nie usłyszę pluskania wody uderzającej o kamienie; nie dotknę wysłużonej korkowej rękojeści muchówki. Nie będzie wyglądania zbiórek pstrągów, przyglądania się rójkom owadów. Sezon zakończył się na dobre. Wpierw wojna, a teraz oni. Jak mam zapomnieć o takiej masakrze? Co zrobić z sumieniem, z poczuciem winy? Czy ty w ogóle coś czujesz, synku?

Płakał, długo płakał, ja jednak nic nie mówiłem, pamiętając, jaką miał minę po zamordowaniu Babsztyla. Wodę mógł marnować łzami, tej mieliśmy pod dostatkiem. W zasadzie to wszystkiego mieliśmy pod

dostatkiem. Warzywa, owoce, mięso, woda, przestrzeń… No właśnie, przestrzeń. Ciągnęło mnie do świata, by poznawać, a kto wie, może i polować. A on? Przejdzie mu. Z czasem, z setkami wdechów, wydechów, kichnięć, kaszlnięć, pierdnięć, a pewnie i rzygnięć. Kolory wyblakną w pamięci, przechodząc w szarość zapomnienia. Moja na niego już nie działała, ale znajdzie swoją.

– Wędkowałeś – mruknąłem wieczorem, żeby wyrwać kompana z letargu. – Zanęcałeś i wgapiałeś się w spławik? – Sięgnąłem do wielu wspomnień.

– Łowiłem na muchę! Na muchę! Rozumiesz?!

Mucha, jasne, że mucha, jak mam nie rozumieć, pomyślałem.

Łowienie na muchę brzmi dziwnie, wolałbym łapać muchę, jednak rozumiem – tak mu rzekłem.

Jestem pająkiem.

M

Lubię pająki. Matka nauczyła mnie jednego: to mnie mają się bać. Do tej pory nawet się udawało. Zachowywałem się jak te teriery zmajstrowane, by polować na szczury. Przeganiałem wszystko, co było ode mnie mniejsze, mniej ważne czy biedniejsze. Nie znosiłem psów, lizusów, kotów, dzieci, ptaków, karłów – nigdy żadnego nie spotkałem – żab, bezrobotnych, a krowy i konie omijałem łukiem. Nie chodzi o szacunek, tylko o zdroworozsądkowość. Coś tak wielkiego mogłoby zabić. Przesadzam? A kto mnie zapewni, że nie mają nasrane we łbie tak jak ja? No właśnie. Spoglądając na Szkaradztwo, zaczynałem mieć takie przemyślenia. Zrobił się wielki (wszystkie nogi wyglądały równie mocno), a kocioł na tyłku…

– To cholerstwo mnie uwiera – narzekał. – Nie mogę jeść. Ból bywa nieznośny, tato.

Ból dupy bywa nieznośny i Szkaradztwo też bywał. Łaził, a raczej biegał po całej jaskini. Wszystko wąchał, ostukiwał, sprawdzał. Zaczął łapać paranoje, opowiadać, jakie to niebezpieczeństwa czyhają na nas na zewnątrz. Paskudztwa zmutowane brzydziej od niego, gotowe wślizgnąć się

choćby i w blasku słońca. Tarł kotłem o podsufitowe kolce, aż wreszcie przetarł sporą dziurę na jego dnie. Ryczał ze szczęścia w podwójnym tego słowa znaczeniu. Kwilący pająk przytulał się do mnie. Czułem, jak drgają mu szczękoczułki, a na moich ramionach nogogłaszczki wystukują uspokajający rytm. Paskudnie się wtedy bałem.

Synek przestał dopiero, kiedy udało mu się zrobić pierwszą nić, jakby to było najwspanialsze lekarstwo na depresję. Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak szczęśliwy na widok czegoś lepkiego wychodzącego mu z tyłka.

S

Owijałem nasze zapasy – ciasno i grubo. Nici nigdy nie brakło (była jak ślina, jak zapach, jak łatwość oddechów). Wystarczyło spijać wodę ze ścian i można ją było wypuszczać kilometrami. Nogi same rwały się do pracy (wystarczyło im nie przeszkadzać). Geometria, precyzja, zasięg, długość, szerokość, lepkość lub jej brak. Poezja!

Ociepliłem wnętrze, wyścieliłem posłania, porobiłem poduszki na kształt kokonów, zastawiłem pułapki na to, co małe, i na to, co duże, chociaż nie wierzę, żeby cokolwiek przydreptało do naszej jaskini. Izolowałem stare kable! Od razu zrobiło się przytulniej! Szarość nici pięknie kontrastowała z brązami, zieleniami i bielą jaskini, a nad wszystkim wisiała walcząca o swoje czerń.

Pierwszy raz w życiu poczułem się jak w domu.

M

Dom nie powinien tak wyglądać. Ściany tapetowane pajęczynami, a od wszystkiego, od najdrobniejszych przedmiotów, prowadzą nitki łączące się pod sufitem w szerokie pasma, których najdelikatniejsze drgnienie przywoływało Szkaradztwo. Sprawdziłem. Pojawiał się po kilku sekundach, a szybkości pozazdrościłyby mu nietoperze. Węszył, syczał i wyglądał na wyjątkowo pobudzonego. Stroszył włoski na odwłoku.

– Taka natura – tłumaczył się przyłapany na przewrażliwieniu.

– Zachowujesz się jak zwierzę, synku.

Odpuszczał, z bólem odcinał nitki, które znowu pojawiały się po góra dwóch dniach.

– Muszę, muszę – powtarzał niczym pajęczą mantrę.

Plótł sieci i trzy po trzy rzucał żartami tak hermetycznymi, że tylko on mógł je zrozumieć. Mieszał języki, a czasem – co było najbardziej przerażające – wystukiwał te swoje rytmy. Rozmyślał, wiem, że rozmyślał. Lepił, sklejał, podczepiał się do wszystkiego, ale mnie odcinał od sieci, od siebie.

Zacząłem się panicznie bać.

S

Bałem się tego, że mnie nie zrozumie. Pajęczość wygrywała z człowieczeństwem. Potrzebowałem jej. Naoglądałem się ludzi. Nie chciałem utożsamiać się z tak słabym gatunkiem. W środku, gdzieś pomiędzy płucotchawkami, toczyłem batalię, w której nie było mowy o szacunku (to przecież oni rozpętali wojnę, której nie wygrał nikt oprócz mnie, dziecka wybuchów).

Musiałem wyrwać się z tej wyspy. Musiałem musieć, muszę. Tak, muszę. Muszę! Uwielbiałem to słowo. Takie smaczne, szeleszczące skrzydłami przyczepionymi do soczystego środka. Ten język polski, pełen szelestów, szeptów, syków… Sstop! Czas wziąć się w garść i wrócić do opowieści. Zresztą, jak wszystko, co dobre, dobiega końca. Dobijamy do teraźniejszości. Sz, ś, ć.

M

Skończyć ze sobą? Nigdy!

Strach wygrywa z samotnością, bo ze strachu można czerpać siły.

Myślę dniem i nocą nad tym, w jaki sposób zapewnić sobie bezpieczeństwo. Bo to poczucie bezpieczeństwa jest tym, czego pragnę.

Samotnictwo jest fajne, zawsze mi się podobało, ale nie na dłuższą metę, na Boga! Zwariować można, kiedy staje się koniecznością; gdy ze szczytu łańcucha pokarmowego spadasz o kilka ogniw, w dodatku na zbity ryj.

Z drugiej strony każdego z nas dręczył terytorializm. Posiadanie czterech kątów – zostanie władcą skrawka planety pociętej na hektary i to, co kwadratowe – stało się dezyderatem na skalę gatunkową. Złoty dolar, mieszkanie, samochód – a wszystko większe, szybsze i bardziej szeleszczące od tego, co mają inni. Nawet w jaskini garstka ludzi podzieliła się na kasty. Tu przywódca, tu doradcy, stalkerzy, matki, Polak, Szkaradztwo, które raz stał na górze – jako półbóg czy demon – a raz na dole, jako zwierzę z człowieczym cieniem w postaci podrabianej radiacyjnie inteligencji.

Walka mogła mnie oczyścić, a z nią przyfrunąć nadzieja, że są przecież inne jaskinie, inne kraje, a w nich tunele podziemne, schrony, bunkry, nawet pieprzone sieci metra. Ktoś musiał przetrwać. Błagam…

Zabrałem się do działania. Wpierw należało znaleźć coś hałaśliwego.

Kliker!

S

Klikał i klikał! Tiki są niczym przy klikaniu. Zagadywałem, prosiłem, a nawet groziłem, ale ten zasłaniał się obłędem, zalewając mnie potokiem słów tak bezsensownie skleconym, że odpuszczałem. Przestałem go kontrolować, bo to i tak nie działało, a nawet potrafiło zaboleć.

W jego oczach błyszczało coś, czego nawet ja się bałem (czysta groza). Pewnie powinienem go zabić, ale to byłoby zbyt ludzkie. Poza tym potrzebowałem stalkera, a to, że nie wszystkie klepki pozostały u taty na miejscu, to nawet lepiej.

Łatwiej przyjdzie mi zaryzykować jego życiem.

M

– Żyć, nie umierać! – Pamiętam, jak na początku coś takiego wykrzyczał

staruszek, gdy przetrząsaliśmy plecaki, torebki i kieszenie. Jedzenie, tabletki od bólu głowy, tabletki inne, paczka witamin, scyzoryk, trzy koce, ubrania, kosmetyki, dwie książki, nożyczki, portfele, pięć telefonów komórkowych, paczka podpasek, pieluchy, dwa walkmany z mnóstwem kaset i sporo pomniejszych skarbów. Z tych kaset słyszycie nasz głos, to na nich nagrywamy wspomnienia. Tak by ostatnich kart jaskiniowej historii nie napisał nikt inny.

Znalazły się i zabawki, a wśród nich taka plastikowa żabka, kliker, pstrykacz.

Wyglądał jak zielony drops z oczkami. Nadawał się, tylko musiałem go znaleźć.

Kości umarłych składano w czymś na kształt małych kurhanów wzdłuż tunelu. Niewielkie kopce swobodnie rozrzucone głównie na jego początku – w wypadku dzieci lub osób, które miały jeszcze kogoś wśród żywych – lub na końcu – jeśli umarłeś, pozostawiając po sobie jedynie gnaty. Żabka musiała znajdować się w jednym z tych najmniejszych, to oczywiste. Pamiętam, jak bawił się nią chłopczyk, który umarł na zapalenie płuc.

Z początku nie przywiązaliśmy aż takiej wagi do – na pierwszy rzut oka, zbędnych – przedmiotów. Dopiero z czasem zastanawiano się nad użytecznością każdej skarpetki. Groby jednak pozostawiono w spokoju. Nasze tabu.

Pstrykaczkę znalazłem bez trudu i bez zachowania należnego szacunku. Rozkopałem stosik, grając na podpiętych do niego nitkach niczym na irlandzkiej harfie. Szkaradztwo pojawił się po zaledwie kilku sekundach:

– Po co? – rzekł, nie siląc się nawet na dłuższe pytanie.

Nie odpowiedziałem. Zarechotałem, zaklikałem i odbiegłem w dziecięcych podskokach. Czułem wzrok czterech par oczu na sobie i modliłem się, żeby uwierzył, żeby pozwolił mi być świrem.

Niech nie domyśli się, że w tym szaleństwie jest metoda.

II

S

Metodycznie, cal po calu, podczepiam jaskinię do sieci, a nocą, kiedy trawy nie mają wiele do powiedzenia, nienapędzane resztkami tego, co docierało od słońca, wypuszczam z tunelu nici, czekając, aż zaczepią o pozostałości budynków Castlecomer.

Udaje się! Jeśli nić znajduje się wystarczająco wysoko, to trawa nie wyczuwa jej, nie rozcina, strzelając naszpikowanymi krzemionką źdźbłami. Wystarczyło zejść poniżej metra i… Brr! Nie zamierzam o tym myśleć.

M

Bez niego, bez synka, z wrodzonym kalectwem i głową pełną nie zawsze moich słów byłbym skazany na porażkę i pogardę każdej grupy ludzi. Przecież tak właśnie wyglądało moje życie przed wojną: szpitale, leki, terapie i to wieczne rozdarcie emocjonalne w diagnozach lekarzy. „Geniusz, a tak pokrzywdzony!”

Oj, chciałbym, bardzo bym pragnął zachorować na coś innego, na nerwicę, depresję, ba, nawet schizofrenię. Pomęczyć się na neuroleptykach, pregabalinach czy innym cudzie firm farmaceutycznych; przeczekać rok czy dwa i przez dekadę – do czasu nawrotu – żyć pełnią życia.

A tak zostałem świrem. Obłąkanym i niebezpiecznym nie z racji czynów, ale z racji wymykającego się szablonom umysłu. Gówno wiedzieli ci amatorzy w kitlach nawet już nie białych, bo biel – Boże, do czego to doszło?! – wywoływała w pacjentach niepokój. Błądzili po omacku, wymieniając nazwy neurotransmiterów, jakby mieli szare pojęcie, o czym w ogóle mówią! Szare…

Hm, pajączku, dałbyś mi wreszcie spokój.

S

Daję mu spokój, to boli. Porozmawialiśmy (raczej wyrzuciłem z siebie wszystko, a on słuchał). Popłakałem się nawet po ludzku. Wolałbym zachować inteligencję, lecz nie posiadać uczuć. Niech sobie chodzi po

tunelu, biedak jeden, niech sobie klika do woli. Przyjdzie na niego czas. Teraz muszę zająć się sobą. Ruszyć w świat i znaleźć miejsce, gdzie nie dotarło promieniowanie, a przynajmniej nie w takiej skali. Bez tych cząstek gamma, beta czy alfa. Bez neutronów i jonizacji. Sięgnąwszy do umysłu Marka, dowiedziałem się czegoś o wybijaniu elektronów z atomu i mam dość. Raz jeszcze powtarzam: daję mu spokój. Za kilka dni będzie po wszystkim.

Niech ten 2033 rok zapisze się na kartach historii czymś miłym! Na kartach mojej historii, bo drogowskaz człowieka wskazuje prosto na śmierć. A ci, którzy jeszcze do mety nie doszli, dojdą, kiedy spotkają mnie. Kocioł pęka miejscami poprzecierany do grubości błoniastego skrzydła. Wystarczy zjeść jeszcze kilkadziesiąt nietoperzy.

M

Boże, jak on je! Co będzie, kiedy wreszcie wygra z żeliwem? Czy będzie dalej rósł? Oby jaskinia stała się mu zbyt ciasna. Niech wypieprza po tych niciach jak najdalej, w siną czy szarą dal! Ależ on mnie przeraża…

Spaceruję na koniec tunelu, bo spacer dobrze działa na zszargane nerwy. Regularnie, każdego dnia, z nietoperzami przy pasku i klikaczem w dłoni. Nie odpowiadam na pytania Szkaradztwa, a myśli napełniam fizyką jądrową. Może i przeraża go moja wiedza, ale raczej zniechęca; zraża do szarych poszukiwań. Obłęd również wysuwam na przód. Tego nie tyka, nie smakuje mu. Paradoksalnie, łatwiej mi jest teraz zapanować nad chorymi myślami. Tłumienie sprawiało, że stawały się silniejsze, a teraz siedzą jak mysz pod miotłą. Mysz, która uciekła przed tarantulą.

Podczas spacerów widzę, że synek nie próżnuje. Grube nici ciągną się na zewnątrz, a wokół otworu wylotowego porozrzucał kamienie, w ten sposób wydzierając trawie spory kawałek ziemi. Polewa okolicę jadem – wszędzie wyczuję ten zapach – i odchodami. Boże, jak się cieszę na ten widok! Pająk ucieknie, zostawiając mi jaskinię.

A jeśli nie?

Lepiej przygotować się na najczarniejszy scenariusz. Wtedy poradzę sobie z szarością.

S

Szare sieci wiszą na większości ruin. Pominąłem tylko te, które wyglądały wyjątkowo niestabilnie. Pozwalam sobie nocą na eskapady. Wspaniale jest czuć zew przestrzeni i ten dreszczyk strachu przed świtem (przed światłem, które obudzi seledynowego potwora o połączonej jaźni milionów źdźbeł). Tak, wierzę w to, że trawa zyskała świadomość, że korzenie połączyły się ze sobą czymś na kształt synaps, a gdzieś tam, w najdzikszym sercu wyspy, znajduje się kępka, od której płyną rozkazy. Sądzę, że trawa jest wrażliwa niczym włoski w ludzkim nosie (czy te u mnie, na karapaksie) i wyczuwa ruch miejscami nawet – wnioskuję po poczynionych szkodach w pajęczynie – do dwóch metrów nad ziemią.

Ciekawe, jak trawi? (Trawa trawi! Cóż za zabawny język!) Zajrzę do umysłu Marka, ale tak grzecznie, bez szarości. Zapytam. Tęsknię za rozmowami. Brr! Czasami robię się zbyt ludzki.

Już jestem. Jego umysł podrzucił obrazy i nazwę: kosmki jelitowe. Mówi, że niby niektóre ze źdźbeł mogłyby przekwalifikować się w coś takiego, pokryć paranabłonkiem jednowarstwowym lub gruczołowym, do wyboru, i trawić. Mądry człowiek z tego taty. Szkoda, że obłąkany.

M

Pogadaliśmy. Boże, żeby to był ostatni raz. Synek zachowywał się kulturalnie, nie pchał się z żarłoczną szarością, tylko zapytał. Pozbyłem się go jakimiś bzdurami, które – jak to z bzdurami bywa – mogą okazać się prawdą. Gówno obchodzi mnie metodyka działania trawy, chociaż jej moc, jej siła pociągają mnie niesamowicie. Czegoś takiego mi trzeba! Trawa ma zasięg i rozsiadła się na szczycie łańcucha pokarmowego. Jest nie do ruszenia.

Pomógłbym jej sięgnąć nieba! Poszerzył horyzonty, wymienił się

spostrzeżeniami, planami, wspomnieniami. Na pewno jest samotna. Na pewno szuka Boga…

Jak każdy. Jak ja. Jak ty.

S

Niestety, nie stworzymy wymarzonego „my”. O ile mógłbym oszczędzić Marka, o tyle z trawą musi dojść do próby sił. Myślę, że nic mi nie zrobi tymi nożycowatymi pociskami. Twardziel jestem.

Zapomniałbym o najważniejszym! Kocioł pękł na całej długości. Wystarczyło trochę uderzeń i solidnych szarpnięć, by zrzucić skorupy z siebie. Wyklułem się i mogę działać! Wieczorem przyjdę do wylotu tunelu ciut wcześniej. Z pewnością spotkam tam Marka. Kręci się tam całe dnie i wypala trawę prądem. Naznosił kabli, przytaszczył największy z agregatów, chlapie też wodą, rozrzuca grzałki połączone ze schodkowymi blachami. Niszczy paskudztwo. Wszędzie widzę czarne koła, które zarastają ponownie dopiero po tygodniu. Zielsko słabo radzi sobie ze zwęgleniem.

Tata ślini się przy tym jak sadystyczny dzieciak wyrywający kosarzowi nóżki. Brak w tym sensu. Myślę, że chce mi pomóc. Martwi się o mnie. Nie razi mnie prądem – nie wiem, czy z miłości, czy z awersji do ryzyka. Sądzę, że zdaje sobie sprawę z tego, że nie przegrałbym z elektrycznością. Przynajmniej nie od razu. A nawet jeśli, to nie obyłoby się bez walki, w trakcie której zabrałbym go ze sobą. Skazaniec ma prawo do ostatniego posiłku, czyż nie?

Dlatego ataku ze strony taty się nie obawiam, mimo że chłopina do końca zwariował. Doszło nawet do samookaleczeń. Pootwierał nożem stare blizny. Pachnie smakowicie, muszę przyznać. Muszę, muszę, much.

M

Wiem, wspomniałem zaledwie o scyzoryku. Troszeczkę nie dopowiedziałem, pewnie ze strachem przed zbyt pochopnym osądem,

chociaż wątpię, żeby ktokolwiek prócz mnie tego słuchał. Scyzoryk-sroryk, prawdę powiedziawszy. W zasadzie to kawał noża, taka finka wojskowa, zwana nożem taktycznym, którą przestraszyłbym nawet Rambo.

Źle przez to żelastwo na mnie patrzyli, chociaż nie przeszkadzało im go używać. Finka przechodziła z rąk do rąk przywódców, a teraz jest ponownie moja. Szkaradztwo zgodził się, bym to ja ją zachował. Przecież nie ma kciuków, a krzywdy bym mu tym nie zrobił. Zbyt duży jest. Chelicery ma niczym kły morsa, ociekające sokami trawiennymi i jadem. Tak, wierzę, że ten pająk jest jadowity. Wałęsak brazylijski – najgroźniejszy z tych, które można było znaleźć w marketowych bananach – przy nim to zaskroniec. Widziałem, co działo się z SinnFéinistami, jak padali w minutę po dziabnięciu, darując sobie nawet drgawki.

Z nożem wróciły wspomnienia. Sny skoligacone z koszmarami i pieczenie, gdy nacinam skórę. To mnie uspokaja, dodaje sił, a tych potrzebuję. Nie wiem, czy to, co robię, ma sens. Boję się, że popadłem w tak głęboki obłęd, że sięgam mulastego dna – grzęznę, a przecież jestem/mogę być ostatnią nadzieją ludzkości.

S

Mam nadzieję, że się uda. Przechodzę na nagrywanie w reporterskim stylu. To pomoże się zdystansować…

Nie zastanawiam się zbyt długo, tylko wskakuję na sieć. Marka uziemiam; obwiązuję go lekko nicią. Nie zalepiam mu ust, ale zrobię to, jeśli tylko się odezwie – w co wątpię, bo milczy przecież od tygodni.

Wyglądam poza jaskinię, wpierw wysuwając nogogłaszczki. Nic w moją stronę nie leci, nie czuję poruszeń trawy. Raz tacie śmierć! Chwytam Marka i rzucam daleko, na seledynową kołdrę. Niech cholerstwo się nim zajmie, a ja w tym czasie czmychnę na któryś z wyższych budynków. Przyjrzę się, w jaki sposób trawa pożera ofiarę, jakie są jej możliwości. Jestem przecież pająkiem. Szybkim i groźnym, z grubą skórą, z tą słodką chityną, która powinna ochronić mnie od jej ataków.

Rzucam i wybiegam po dwóch sekundach – najszybciej jak potrafię – na nić wiodącą do upatrzonej ściany, która wygląda wyjątkowo solidnie podtrzymana przez dwie nadkruszone siostry.

Wskakuję na nią i rozglądam się, a płucotchawki pracują na pełnych obrotach. I widzę go, i serce mi zamiera, jeżą się włoski na karapaksie. Marek leży spokojnie pośrodku trawnika, a to paskudztwo rozcina nici, którymi go związałem, po czym trawi je w sobie tylko znany sposób, bo znikają gdzieś przy ziemi. Łapię się na tym, że piszczę z przerażenia, walcząc z instynktem, który każe mi czmychnąć do jaskini. Intelekt zwycięża. Zejście ze ściany, a co za tym idzie, powrót na nisko zawieszoną nić, może przyciągnąć śmierć. Człowiek wytrząsnął asa z rękawa. Potrzebuję więcej danych.

M

Potrzeba matką wynalazku! Dobrze, że mamy walkmany, przy których trochę pomajstrowałem, robiąc do nich ładowarki. Przez to, że mówię do was, czuję się mniej samotnie. O, pajączek też nagrywa. Zawiesił sobie ustrojstwo na nogogłaszczce i zapełnia kasetę szumem ciszy. Zdziwiony jest! I dobrze. Powinien być.

Udało się. Stoję oczyszczony z lepiącej nici i patrzę na synka. Trawa nie pozostała obojętna, nie myślcie sobie; wgryzła się w moje buty, robiąc z podeszew sito. Wpierw załaskotała, a po chwili wbiła mi w pięty źdźbła cienkie niczym wypustki aksonów. Czuję ją, nie tylko fizycznie. Czeka na rozkazy i oferuje pomoc. Szanuje mnie, mój intelekt i możliwości.

Tak, możemy współpracować i rozsiać się po świecie; zjeść to, co zostało do zjedzenia, i założyć hodowlę na przyszłość, która jawiła się w seledynowych barwach.

O! Szkaradztwo staje do walki! Czuję szarość.

– Nie wejdziesz! Jestem geniuszem!

Tego nie przewidział. Osoba zmagająca się z obłędem jest w stanie odizolować się od wszystkiego, okiełznać paranoje, ugłaskać samobójcze

myśli, a szarości pokazać fucka.

Zza paska wyjmuję nietoperza. Rzucam. Ten, chociaż martwy, leci w stronę pająka, a za nim źdźbła – tak gęsto, że tworzą coś na kształt grubej liny. Później wystrzelone dotykają poprzednich, a te pierwsze przyczepiają się do ciała martwego ssaka, zbierając informacje o locie i przesyłając z prędkością prądu do nas, do korzeni traw, które splotły się w prosty, lecz interesujący umysł.

Wokół mnie wyrastają szmaragdowe źdźbła szerokości słonia. Jestem chroniony, pająk nie.

Umiera, a może już umarł, a trawa ma ucztę, o ile w ogóle czuje jakiś smak.

Wyłączam się. Muszę odetchnąć i pogadać z sojusznikiem. Kosmicznie to brzmi.

S
Jak (…)?

M
Planujemy, dzielimy się marzeniami, wspomnieniami, nietoperzami i słońcem. Brakuje tylko fajki pokoju, ale nie zamierzam poruszać tematu palenia jakiejkolwiek z roślin. Grzałki powyłączałem. Oszczędzamy naftę i prąd.

Człowiek potrafił wytresować tygrysa, lwa, walczyć ze sztormem, pokonać ogień. Wystarczy chcieć, wystarczy działać, a oswoi się i trawę.

Dzień w dzień przynosiłem smakołyki w postaci nietoperzy. Jedne pachniały moją krwią, a drugie synkiem – moczone w jego odchodach. Kiedy trawa zabierała się za pałaszowanie prezentów, to – w wypadku złego wyboru – dostawała deser w postaci porządnego kopnięcia prądem lub poparzeń blachą i grzałką. Tak przez całe dnie.

Szybko zrozumiała. Nie zadawałem jej ciężkich ran, lecz dałem do myślenia. Nie wiedziała, czego się może po mnie spodziewać i skąd płynie

ta moc. A najbardziej boimy się nieznanego. A gdy nieznane posiada moce, to nazywamy je Bogiem.

Już po trzech dniach pozostawiła pachnącego mną nietoperza w spokoju. Ten ośmionogi dureń nawet tego nie zauważył! Po kolejnych dwóch zaczęła je odnosić ku wylotowi jaskini. Płynęły po czubkach źdźbeł niczym rockmeni na rękach fanów. Strasznie ucieszyła mnie jej kreatywność, ta uległość i wyraźny sygnał do dalszych kroków – również tych dosłownych.

Nogę na szmaragdowym dywanie postawiłem dziesiątego dnia, uznając, że symbolika tej liczby napawa optymizmem. Dziesięć przykazań, strzał w dziesiątkę, czy – a niech to, czemu nie?! – dziesięć w skali Beauforta!

Postawiłem i czekałem niecierpliwie, a pikawa zagrała prestissimem, aż się wystraszyłem, że padnę na zawał, a nie od tych międzygatunkowych eksperymentów. Nic się nie stało; no, prawie nic. Jedno ze źdźbeł przebiło się przez podeszwę, załaskotało raz i drugi, a kiedy nie cofnąłem nogi, wślizgnęło się pod skórę i zapewniło o chęci współpracy. Wtedy złożyłem pierwsze obietnice: wpierw uczty pełnej polisacharydów i białka, a wkrótce podboju świata. Uwierzyła.

Ruszymy na południe, a później na wschód, przetwarzając zwykłą zieleń w seledyn. Założymy ludzkie hodowle – o ile kogoś spotkamy, a myślę, że tak. Przecież u Ruskich musiała przetrwać cywilizacja!

Pewnego dnia ludzie z obozów staną do walki i odrodzi się wolny człowiek z pojmanego przeze mnie człeka. Dzięki mnie wzmocnią się i ponownie zasiedlą planetę.

Spoglądam z dumą na moje nacięcia, których kształt przyśnił mi się zaledwie kilka dni przed wybuchem – jak pięknie to brzmi w tym kontekście – wojny. Mógłby się w nie synek wpatrzyć. Zobaczyć to, co ja widzę: mapę jaskini, w której przyszło nam żyć, dzielić samotność i smutki. Ten piękny jaszczurzy kształt ich granic.

Teraz wiem, po co do niej dokuśtykałem.

Słucham? Przepraszam na chwilę, trawa czegoś ode mnie chce.

Jestem. Seledynowe maleństwa proszą o straszną opowieść. Wyślę im myśli o demonicznej ciemności. Opowiem historię o chłopcach, którzy zapuścili się do czarnej komnaty. Młodych i niewinnych niczym nasionka. Tym razem zmienię trochę zakończenie. Ośmiolatków odnajdzie pajęczy diabeł – zło, które wspólnie pokonaliśmy.

Diabeł on, Bogiem ja. Módlcie się, żeby wiara szerzyła się niczym chwast!

Ja. Bóg Piorunów! Brat Słońca!

Kocham ten obłęd. Do zobaczenia, do usłyszenia. Pa.

Simon Zack | Obietnica

Wyróżnienie w III edycji konkursu na najlepsze opowiadanie fanowskie w Uniwersum Metro 2033

Pan stworzył świat i oddał go nam, byśmy zeń korzystali. Ludzie głusi na Prawdę wzgardzili pięknym dziełem i zgładzili je. Ich dusze błąkają się teraz po zniszczonej powierzchni. Niezdolne, by połączyć się z Panem, kipią jadem.

Jad zabija duszę, bez duszy zaś obumiera ciało. Każda minuta na powierzchni to cierpienie dla duszy miłującej Pana. Chwała wam, którzy biegnąc, znosicie kaźń, by Wspólnota Świętej Góry mogła trwać.

Dłonie ojców sunęły po ciele nowicjusza. Blada skóra ramion stopniowo znikała pod czarnym lśniącym balsamem. Ojciec Akwilin śpiewnie intonował słowa modlitwy. Raz po raz zanurzał dłoń w naczyniu, pozwalając, by nadmiar mazidła kapał spomiędzy palców. Nowicjusz zamknął oczy, gdy szorstkie palce dotknęły czoła.

Ojciec Wulmar z wyraźnym trudem powtarzał święte wersy. Do niedawna mówił pięknym, niskim głosem, lecz od kiedy nastąpił nawrót choroby, ogromna narośl znowu zniekształcała jego szlachetną twarz.

Rytuał Odprawy trwał.

Gabriel nigdy wcześniej nie musiał czekać tak długo.

Ciężkie drzwi odgradzające Wspólnotę od ruin świata ściągały jego wzrok. Niepokój z każdą chwilą mocniej ściskał żołądek. Chłopak dotknął ramion i brzucha, upewniając się, że na jego ciele balsam już wysechł.

Zaczął wkładać kombinezon. Nim wciągnął rękawice, uniósł czarne dłonie do twarzy, wdychając kojący zapach świętego mazidła. Przesunął kciukiem po porysowanych szkłach gogli. Pasek parciał, drobinki kruszyły się pod dotykiem.

– Poskramiam moje ciało i biorę je w niewolę. – Ostatnie słowa rytuału zabrzmiały w ciasnym przedsionku. – Innym głosząc naukę, sam nie zostanę uznany za niezdatnego. Oto słowa Pana.

Po raz pierwszy to Gabriel miał być prowadzącym, wyznaczać tempo, wskazywać kierunek. Podchodząc do nowicjusza, starał się przywołać na twarz uśmiech. Patrzył w wielkie, przejęte oczy dziecka. Ile ich różniło? Czy mogły być to zaledwie dwa lata?

Złość wkradła się do jego myśli niespodziewanie. Wątłe nogi, będzie opóźniał bieg. Zapadnięta, chuda klatka piersiowa. A jeśli straci oddech i upadnie zaledwie po kilku kilometrach?

– Nie zawiodę cię, bracie Gabrielu – nowicjusz odezwał się drżącym głosem. – Nie zawiodę was, ojcowie.

Ojciec Akwilin wymienił spojrzenia z Gabrielem. Cierpliwość, zrozumienie woli Pana, niezachwiana wiara. Jakże jeszcze Gabriel musiał dojrzeć, by patrzeć tak jak on.

– Brat Gabriel jest silny i szybki. – Akwilin sprawdził, czy balsam na ciele nowicjusza wysechł. Ukląkł i pomógł naciągnąć nogawki kombinezonu. – Podążaj za nim, Michale. Słuchaj wszystkich poleceń.

– Pamiętajcie nauki. – Wątłe rzężenie ojca Wulmara wywoływało ciarki. – Biegnijcie z Panem i bezpieczni wracajcie do Świętej Góry.

Ojcowie sprawdzili każde zapięcie, każdy zaczep ekwipunku. Gabriel założył gogle, upewnił się, że leżą wygodnie. Sprawdził buty. Michał naśladował każdy jego ruch.

Ostatnia modlitwa. Cztery pochylone głowy. Cztery pary złączonych dłoni.

– Kto miłuje swego brata, ten wytrwa, w Światłości się nie potknie –

zaintonował ojciec Akwilin. – Przeminęła postać starego świata, lecz my pozostajemy wierni w oczekiwaniu. Pan będzie was prowadził, Gabrielu, Michale.

– Jesteśmy gotowi wypełniać wolę Pana.

Za plecami Gabriela i Michała drzwi do wnętrza Świętej Góry zamknęły się z cichym sykiem.

– Gdy otworzą się drzwi zewnętrzne, wyjdziemy w długi tunel – powiedział Gabriel, nie odrywając wzroku od wyjścia. – Będzie widać tylko szarą poświatę z przodu. Maszerując, rób to co ja, rozgrzej ramiona, nadgarstki, kolana. Kiedy zacznie się robić jaśniej, zaczniemy trucht. Nie szarżuj, nigdy nie wybiegaj przede mnie, patrz uważnie, gdzie stawiam stopy, i biegnij po moich śladach. Jeżeli się zatrzymam, ty również to zrób. Jeżeli coś mi się stanie…

– Znam zasady, bracie Gabrielu. Nie zawiodę cię.

***

Pan nie patrzy biernie na zgliszcza swego dzieła. Pamięta o wiernych, którzy wytrwale oczekują łaski. Jego Światłość leje się z niebios, tocząc wojnę z jadem. Błogosławieni cierpliwi, albowiem oni dostąpią powtórnego nadejścia Pana. Przeklęci wyniośli, którzy nieosłoniętym okiem ośmielą się patrzeć w Światłość, albowiem Pan sprowadzi na nich wieczny mrok, a wierni przegnają ich ze swoich domów.

Świat w kolorach sepii. W sercu gór Zagłada pozostawała niemal niezauważalna. Ten sam spokój panował pośród granitowych turni od wieków. Szczyty trwały niewzruszone, odcinając się na tle beżowego nieba poszarpaną krawędzią.

Gorący wiatr huczał nieustannie, obłoki rdzawego pyłu tańczyły wokół butów biegnących. Pierwsze kilometry ciągnęły się łagodnie opadającym żlebem, idealnym, by złapać rytm. Gabriel biegł w absolutnym skupieniu.

Nie zwolnił, gdy rozpoczął się trudniejszy podbieg, dopiero rumor za plecami wyrwał go z mantry oddechu. Słysząc łoskot toczących się kamieni, Gabriel zatrzymał się z potwornym przeczuciem, które namalowało obraz tego, co działo się za jego plecami.

– Wybacz, bracie! Wybacz! – Michał zatrzymał się obok. Szarfa osłaniająca usta tłumiła jego słowa. – Potknąłem się przy krawędzi. Kamień poleciał w dół… strącił inne.

Przez ułamek sekundy coś w środku kazało Gabrielowi złapać towarzysza w ramiona, ścisnąć jak najmocniej. Wciąż żył.

– Kolana całe? – Gabriel kaszlnął, maskując drżący głos. – Możemy biec wolniej, mamy dobry czas.

– Jad, bracie Gabrielu, jad! Nie czujesz go? Każdy oddech tutaj to cierpienie duszy! Nie zwalniajmy, dam radę. Biegnijmy już!

– Złap oddech, uspokój ciało. Pośpiech to najgorszy doradca.

– Wybacz, bracie Gabrielu. Jestem zbyt zuchwały.

Gabriel chciał powiedzieć coś, co nie byłoby jedynie powtarzaniem wpojonych zasad, coś, co pomogłoby wypełnić przestrzeń, w której nie zdążyły jeszcze wykiełkować więzi.

– Dziękuję za czas odpoczynku. Jestem gotów, bracie Gabrielu.

– To twoje pierwsze wyjście, bracie Michale. Mamy zbiec do sektora A3, ale… – Gabriel wahał się chwilę. – Niedaleko A3 jest spalony pensjonat. Pokażę ci, jeśli chcesz.

– Naprawdę? Naprawdę będziemy mogli? – Michał klasnął raptownie. Dziecko zachwycone prezentem. – Już przy pierwszym wyjściu będziemy szukać?!

– Tak, bracie Michale.

– Chwała! Biegnijmy!

Michał nagle zapomniał o zasadach i pognał kamienistą drogą. Chude nogi, które wcześniej Gabriel ocenił tak źle, niosły go coraz szybciej i szybciej. Gabriel krzyknął raz, drugi. Widząc, że Michał wciąż

przyspiesza, ruszył za nim w pogoń. Poluźnił chustę na ustach, pozwalając gorącemu powietrzu żądlić płuca.

Wbiegli w wąski przesmyk między stromymi turniami, górska rzeka wiła się wzdłuż ścieżki. Chłód szemrzącej wody tchnął w obu nową energię. Gabriel nieoczekiwanie dla siebie porzucił zamiar ukarania nowicjusza. Ścigali się. Pokrzykiwania i śmiechy burzyły majestatyczną ciszę gór, powracały echem, przetaczały się po graniach, które Światłość Pana zalewała stroboskopowym blaskiem.

***

Mocą łaski, jaka została nam dana, mówimy każdemu: niech nikt nie ma o sobie wyższego mniemania, niż należy, lecz niech sądzi o sobie trzeźwo – według miary, jaką Pan każdemu w wierze wyznaczył. Jak bowiem w jednym ciele mamy wiele członków, a nie wszystkie członki spełniają tę samą czynność – podobnie wszyscy razem tworzymy jedno ciało, jedną Wspólnotę Świętej Góry.

Radość prysła, gdy spomiędzy skał wybiegli na spękaną, wyschniętą ziemię. Ścieżka pięła się na łagodne wzniesienie. Po obu jej stronach rozciągało się cmentarzysko wypalonych pni. Zdeformowane, poczerniałe kikuty drzew sterczały w niebo.

Chłopcy zrównali się, zwolnili tempo. Po kilku minutach podbiegu stanęli na szczycie.

Monstrualne kratery ziały pośród ruin rozległego miasta. Kręgi znaczące epicentra wybuchów lśniły antracytowymi smugami tam, gdzie powierzchnia ziemi stopiła się w czarne szkło.

– O Panie Przenajświętszy… – Michał musiał powtórzyć trzy razy, nim głos uniósł się z szeptu.

Gabriel wskazał na dwie pochylone struny dymu przecinające niebo w oddali.

– Jeśli kiedykolwiek napotkamy kogoś z Potępionych, mamy uciekać.

– Pamiętam zasady.

– Gdybyśmy się kiedykolwiek rozłączyli. – Gabriel odwrócił się, wycelował palcem wysoko. – Święta Góra. Widzisz krzyż Pana na szczycie? Kiedyś mówiono o nim Giewont.

– Podobno nawet przed Zagładą było tutaj zakopane miasto. Myślisz, że naprawdę żyli pod powierzchnią, jak my teraz? Myślisz, że może ktoś z nich przeżył?

Gabriel zignorował pytanie. Usiadł pośrodku drogi, odpiął jedną z manierek. Pociągnęli po parę łyków.

Część flory zdążyła odrodzić się po Zagładzie. Niektóre gatunki skarłowaciały, inne – jak paprocie – wprost przeciwnie. To właśnie paprocie zdawały się przejmować schedę po drzewach, strawionych pożogą atomowego ognia. Całe ich połacie porastały pogórze, tworząc wyspy kołyszącego się na wietrze życia, rozsiane pośród morza popiołów.

– Możemy wrócić inną drogą. Zobaczysz wielkie słupy i stalowe liny grubsze od twojego nadgarstka. Z bratem Rafaelem wspinaliśmy się tam czasem. – Gabriel urwał, otarł usta rękawicą. Naciągnął chustę z powrotem na twarz. – Pokażę ci wodospad przy ruinach stacji.

– Na Światłość Pana! Bracie Gabrielu, spójrz! Tam! Przy piargu, na płaskim.

Gabriel poderwał się, podążając za wskazaniem palca. Zamrugał kilkakrotnie, przetarł gogle.

– Konie! To przecież muszą być konie, bracie Gabrielu!

We Wspólnocie Świętej Góry oglądali je wcześniej tylko na rysunkach. Statyczne obrazki nijak nie mogły oddać gracji istot, na które teraz patrzyli jak zahipnotyzowani.

– Dwa, nie, trzy! Z tyłu jest jeszcze jeden. Ależ pędzą! – Michał pokręcił głową. – Ojcowie nie uwierzą.

Gabriela ogarnęła ekscytacja, jakiej nigdy wcześniej nie czuł. Czy patrzyli

oto na trzy zwiastuny odrodzenia, żywe symbole zesłane im przez Pana? Czy już ich pokolenie miało dostąpić łaski?

Zamyślony Gabriel nie zareagował w porę.

– Nie schodź z drogi! Stój! – Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak Michał zbiega na łąkę pełną sięgających pasa roślin.

– Chodź! Obejrzyjmy je z bliska! – Nowicjusz śmiał się, biegnąc. – Chodź, Gabrielu!

– Wracaj na drogę! Wróć!

– Zobacz, jak gnają. Są pięk…

Michał zniknął. W ułamku sekundy zapadł się w gąszcz. Gabriel usłyszał metaliczny zgrzyt, głośny trzask, szelest dartych liści. Na kilka uderzeń serca zapanowała cisza, później do uszu Gabriela zaczął docierać przeciągły jęk.

Gabriel zacisnął palce na rękojeści dobytego noża. Czekał, aż fala strachu, która zalała nogi odrętwieniem, przeminie. Intonując pod nosem słowa modlitwy, ruszył śladem Michała.

Znalazł go leżącego na plecach. Michał wciąż jeszcze powoli podciągał i opuszczał kolana, jakby ciało ciągle żyło wspomnieniem biegu. Gogle zniknęły z jego twarzy, mrużył oczy. Ciemna struga trysnęła nagle spomiędzy dłoni, które wspierał na piersiach. Umysł Gabriela długą chwilę nie chciał zrozumieć, na co patrzą oczy. Michał zaciskał dłonie na kawałku postrzępionej blachy, który sterczał wprost z jego mostka.

Gabriel odwrócił wzrok. Kątem oka dostrzegł kształt nisko przy ziemi. Ostrzem noża odgarnął paprocie, odsłaniając fragment pordzewiałej karoserii. Michał musiał potknąć się i runąć wprost w skorodowany metal.

– Pomóż… – Michał starał się unieść głowę. Wyciągnął rękę. Spomiędzy palców kapały ciężkie, ciemne krople, przywołując wspomnienie rytuału Odprawy.

– Pan jest naszym pasterzem. – Gabriel schował nóż i kucnął przy konającym. – Pozwoli ci dotrzeć na zielone pastwiska, poprowadzi nad

czyste wody, obmyje duszę z jadu. – Skreślił na czole leżącego znak krzyża, po czym zaczął rozwiązywać buty Michała. Były o wiele za duże, bez trudu ściągnął je z drżących nóg.

– Pomóż…

– Powiedzie cię po właściwych ścieżkach. – Gabriel kolejno odsupłał manierki. – Biegłeś ciemną doliną, lecz zła się nie zląkłeś. Pan namaszcza nas balsamem, oblewa swą Światłością.

– Pom…

Klatka piersiowa Michała uniosła się ostatni raz. Oczy rozwarły się. Źrenice stężały.

Zasady istniały po to, by Wspólnota trwała. Kto się sprzeniewierzał, ryzykował życiem nie tylko swoim, ale i wszystkich ze Świętej Góry. Błędem było puszczać płazem wcześniejsze wykroczenie. Jeżeli ukarałby nowicjusza za to, że pobiegł przodem, może Michał nie zszedłby z drogi.

Gabriel spędził kilkanaście minut, przeszukując gąszcz, zanim refleks światła odbity od okularu gogli rozpędził serce w galop. Sekundy później radość zmieniła się we wściekłość. Gogle Michała okazały się potrzaskane, pasek rozerwany. Gabriel z trudem powstrzymał impuls, by kopnąć leżące ciało.

Przedarł się z powrotem na drogę, niosąc odzyskany ekwipunek. Rozejrzał się. Po koniach nie było śladu. Zaczął iść w stronę góry z krzyżem na szczycie.

***

Gdy nacierają na mnie złoczyńcy, aby pożreć ciało moje – są oni moimi wrogami i nieprzyjaciółmi – potkną się i upadną. Choćby rozbili przeciwko mnie obozy, nie ulęknie się serce moje, choćby wojna wybuchła przeciw mnie, nawet wtedy będę ufał.

Ojciec Akwilin trącił ramię śpiącego Gabriela.

– Jaki werdykt? – Chłopak spytał cicho, siadając na pryczy.

– Gremium orzekło, że to, co się stało, było wolą Pana.

– To była głupota i brak dyscypliny, a nie wola Pana.

Ojciec Akwilin trzasnął Gabriela w twarz.

– Nie bluźnij!

Chłopak zacisnął usta, podniósł oczy. Ich błysk sprawił, że Akwilin przełknął ciężko ślinę.

– Będziesz biegał z Filipem.

Gabriel chwycił rękaw szaty Akwilina.

– Obiecałeś mi!

– Nikt nie biega sam. Nikt, Gabrielu.

– Jestem najstarszy. Odkąd brak Rafaela, również najbardziej doświadczony. Jak mam dostąpić zbawienia?! Wypełniam wolę Pana bez wahania. Pan niedawno zabrał ojca Dariusza, mówisz, że wkrótce zabierze też ojca Wulmara. Wypełniam Jego wolę, by stać się godnym i dołączyć do Rafaela w Sercu Świętej Góry. Pan zesłał mi wczoraj naukę kosztem życia brata Michała. Służę od najmłodszych lat, bez żadnych pytań, ale czy Jego wolą jest teraz znowu mnie wstrzymywać?!

– Bluźnierstwo! – Ojciec Akwilin bezskutecznie spróbował wyswobodzić rękę.

– Obiecałeś, że ich przekonasz. – Światło żarówki zalśniło w kroplach biegnących po policzkach. – Wypełniam wolę Pana, najgorliwiej jak potrafię, biegam, by Wspólnota mogła trwać, biegam po zbawienie. Muszę biegać sam!

Odkąd pozwolono mu na samotne wyprawy, Gabriel zaczął regularnie wybiegać poza tereny oznaczone na mapach. Wyruszał wcześniej, wracał później, często już w ciemnościach. Brał największy plecak i zawsze przynosił go wypełniony po brzegi.

Ojciec Akwilin stanął w progu celi. W ciągu ostatniego tygodnia, jeśli nie liczyć wspólnych modłów, niemal przestali rozmawiać.

– Dlaczego to robisz, Gabrielu?

– Dlaczego wypełniam wolę Pana?

Akwilin podszedł i ujął dłoń chłopaka. Gabriel mimowolnie syknął, świeże otarcia i skaleczenia zapłonęły pod szorstkim dotykiem.

– Jad cię zabija. – Akwilin zniżył głos. – To okropna, długa śmierć. Dlaczego to robisz? Pomyślałeś o swoich braciach? Część już prosi o pozwolenie, by biegać dłużej. Chcą cię naśladować.

– Wypełniam wolę Pana. Nie widzę, żeby pozostali ojcowie byli niezadowoleni z mojego poświęcenia. Wprost przeciwnie. Jedynie ty ględzisz i chcesz mnie powstrzymywać!

Ojciec Akwilin zadrżał wyraźnie. Wypuścił dłoń Gabriela ze swojej ręki.

– Gabrielu… skąd ta nienawiść?

Iskra, która zdawała się tlić w nim od dawna, teraz, z każdą kolejną wyprawą, rosła w płomień. Gniew napędzał go, tępił ból, pozwalał biec dalej, zagłuszał strach i ostrożność. Gabriel zapuszczał się w coraz odleglejsze zakątki. Przestał zważać, że jego ścieżki często prowadziły blisko czarnych kraterów. Skoro tabuny szczurów egzystowały w tych miejscach, skoro również ptaki latały ponad nimi, nie mogło być tam niebezpiecznie.

Natrafił na ruiny szpitala, z przewróconym szkieletem helikoptera tkwiącym na lądowisku. Miejsce to stało się jego obsesją. Wkoło kompleksu zapadła się ziemia. Zejście w dół i wspinaczka po drugiej stronie kosztowały zbyt dużo czasu i bezcennej energii. Gabriel poszukiwał drogi ponad głębokim, wypełnionym szczątkami gruzowiskiem. Pan w końcu wysłuchał jego żarliwych modłów.

Gdy kolejny raz tu wrócił, spostrzegł, że maszt komunikacyjny na sąsiedniej budowli zawalił się i część wbiła się w dach szpitala.

Stado szarych ptaków wpatrywało się w Gabriela wspinającego się w ich stronę. Zerwały się z głośnym skrzekiem, gdy kopnął w metalową konstrukcję masztu. W dole również zawrzało. Szczury spłoszone

niespodziewanym poruszeniem czmychały w cienie.

Gabriel rozejrzał się po ponurym krajobrazie Zagłady. Silniejsze podmuchy wiatru podnosiły popioły, pędziły wirami po otwartych przestrzeniach ulic. Ponad zgliszczami unosiła się wszędobylska szara mgła, której pasma zdawały się sączyć wprost z ruin.

Nikt ze Wspólnoty nie dotarł wcześniej tak daleko. Jego imię przejdzie do legendy. Z pewnością zasłuży na zbawienie i dołączy do odpoczywających w Sercu Świętej Góry. Jowialny uśmiech raz na zawsze zniknie z twarzy ojca Akwilina. W końcu będzie musiał przyznać, ze trzymanie Gabriela pod kloszem, izolowanie go od innych braci było grzechem, który jedynie opóźniał zbawienie gorliwej duszy. A jeśli Akwilin robił to specjalnie?

Cując gniew, ponownie zacisnął szczęki. Pan patrzył na niego teraz z góry. Pierwszy, drugi, trzeci krok. Stalowa konstrukcja zgrzytnęła, zatrzeszczała pod ciężarem. Pan opromieniał go swoją Światłością. Od krawędzi dachu szpitala dzieliło Gabriela kilka metrów. Pan pilnował, by każdy krok wiernego sługi był stabilny i pewny. Gabriel sprężył się i skoczył. Nogawką zahaczył o wystający pręt. Palce nie znalazły oparcia.

Strach ukłuł zbyt późno. Gabriel ześlizgnął się, w absolutnej ciszy runął w dół.

***

Tych zaś, których przeznaczył, tych też powołał, a których powołał – tych też usprawiedliwił, a których usprawiedliwił – tych też obdarzył chwałą. Cóż więc na to powiemy? Jeżeli Pan z nami, któż przeciwko nam?

Dryfował w oceanie Światłości. Prześwietlała powieki, niosąc rozrywający czaszkę ból. Obrazy ze wspomnień kotłowały się w chaotycznym kalejdoskopie.

– Sam nie zostanę uznany za niezdatnego. – Usta ojca Akwilina rozwierają się w bezdenną czeluść. – Oto słowa Pana.

– Będę czekał, nie martw się. Wypełnij wolę Pana i wkrótce znowu będziemy razem. – Rafael wpatruje się w swoje dłonie. Pasma złotych włosów wiszą pomiędzy palcami. W chwili ich pożegnania, w dniu gdy Rafael dostąpił zbawienia i odszedł w Serce Świętej Góry, wychodziły całymi garściami.

– Są piękne! Biegną, biegną po zbawienie. – Twarz Michała o wielkich oczach dziecka. – Pomóż…

Gabriel ocknął się. Tuż nad sobą ujrzał jej twarz i nagle wiedział już, jaki kolor musiało mieć niebo przed Zagładą.

Dziewczyna zaczęła mówić, lecz nie potrafił zrozumieć ani słowa. Dotknęła jego głowy. Przeszywający impuls wyrwał z płuc Gabriela jęk. Świat zawirował, ciemność ściągnęła go z powrotem ku sobie.

Gdy po raz pierwszy odwiedził go starzec, Gabriel był przekonany, że niewytłumaczalnym zrządzeniem losu trafił z powrotem pod Świętą Górę. Siwy mężczyzna wkroczył w snop światła sączącego się z poziomej wyrwy pod sufitem piwnicy. Nosił szatę identyczną jak ojcowie Wspólnoty. Miał krótkie siwe włosy i rzadką brodę. Pokryta rozległymi oparzeniami twarz kompletnie zwiotczała po jednej stronie.

– Moja Alicja jest tobą zafascynowana.

Było coś znajomego w jego zniekształconej fizjonomii. Również głos przywołał w Gabrielu echo wspomnienia.

– Wymykała się z obozu, by patrzeć, jak biegasz. Widziała, jak spadłeś. Uparła się, bym wysłał ludzi, choć byłem pewny, że zginąłeś. Nie mogłem uwierzyć, gdy cię przynieśli. Z początku myślałem, że to po prostu niewiarygodne szczęście. Dopiero gdy obmyli cię z mazidła, gdy opuchlizna zeszła z twarzy, zrozumiałem, że to nie był przypadek. Mów mi Sergiusz.

– Jak długo tu jestem? – Gabriel drżącą ręką ujął podaną mu przez starca menażkę.

– Jesteś w naszym obozie jedenaście dni, Gabrielu.

Metalowe naczynie z brzękiem uderzyło o betonową posadzkę. Bulwy potoczyły się wkoło.

– Skąd znasz moje imię?

– W Panu należy pokładać zaufanie. – Ciemne oczy Sergiusza patrzyły z niezwykłą intensywnością. – Za kilka dni odzyskasz siły na tyle, by wrócić do Wspólnoty. Przekażesz Akwilinowi list ode mnie i opowiesz o wszystkim, co tu zobaczysz.

Gabriel poczuł gorąco. Czerwone plamy wykwitły na wychudzonej twarzy. Oddychał raptownie, jakby właśnie zakończył wyczerpujący bieg.

– Kim jesteś? – szepnął.

– Wola Pana nie zawsze jest dla nas jasna. Akwilin odpowie na twoje pytania. Jeżeli teraz zrobię to ja, i tak nie przyjmiesz ani jednego słowa za prawdę.

Jedenaście dni? Jad powinien zabić go dawno temu. Czy trafił pośród Potępionych? Obmyto jego ciało ze świętego balsamu, a mimo to zaczerwienie i bąble zniknęły z bladej skóry. Jakim cudem przeżył upadek? Taka wysokość i jedynie kilka ran na głowie? Żadnych złamań? Nie rozumiał zbyt wielu rzeczy. Całe życie przestrzegano go przed Potępionymi. Jawili się jako człekokształtne potwory – kipiące jadem wydmuszki bez duszy, które tylko czyhały, by zdławić i pożreć każdą żywą istotę. Teraz okazywało się, że monstra mają ludzkie twarze, ludzkie ciała, imiona. W dodatku pośród nich żyją również kobiety.

Następnego dnia Sergiusz oprowadził go po korytarzach podziemi. Gabriel, podtrzymywany przez krępego łysego mężczyznę, wlókł się noga za nogą przez cuchnący półmrok. Lance światła przebijały się z pozostałości piwnicznych okien. Pył wirował drobinkami, nawiewany z powierzchni przez podmuchy wiatru.

– Kiedyś była tu szkoła. Teraz jej podziemia to nasz dom.

W mijanych salkach tłoczyli się zarówno mężczyźni, jak i kobiety, choć na pierwszy rzut oka ciężko ich było rozróżnić. Zdeformowane, często

okaleczone, wychudłe ciała okrywały łachmany. Przyglądali mu się w milczeniu, a jednak w zapadniętych oczach nie znajdywał nienawiści. Widział jedynie ogrom cierpienia, rezygnację i beznadzieję. Brudne dziecko wyrwało się z objęć matki, podbiegło, by spojrzeć z bliska na przybysza. Zaszczebiotało w języku, którego nie znał, i nagle korytarz wypełnił harmider. Gabriela otoczyła gromadka malców. Najodważniejszy zaczął głaskać go palcami zdeformowanej rączki. Gdy Gabriel spojrzał w dół, twarz malca rozciągnęła się w upośledzonym uśmiechu. Oba oczodoły niemal całkowicie przesłaniał rozległy guz.

Alicja znała również jego język. Mówiła bardzo powoli, z ciężkim akcentem, który zmiękczał słowa.

– Czy u was w schronie są dzieci?

Gabriel przerwał modlitwę, spojrzał na dziewczynę.

– Pan stworzył świat i oddał go ludziom – wyszeptał, odrywając wzrok od wielkich błękitnych oczu. – Ludzie okazali się niegodni, zniszczyli go. Ich dusze błąkają się, jad wypełnia…

– Dlaczego nie chcesz ze mną normalnie rozmawiać?

– Jad wypełnia… – Gabriel zacisnął powieki.

– Nie ma żadnego jadu, jest tylko promieniowanie po bombach. Światłość? Wojna wypaliła niebo. Przecież też to wiecie, też osłaniacie oczy, chronicie skórę, nosicie kombinezony!

– Księga Wspólnoty mówi…

Alicja parsknęła.

– Ojciec jednak ma rację. – Odwróciła się w progu. – Zupełnie bez własnych myśli.

***

Et in terra pax

Gabriel nigdy wcześniej nie widział, żeby coś zrobiło podobne wrażenie na

ojcu Akwilinie. Starzec trząsł się cały, po jego twarzy znowu ciekły łzy. Od powrotu Gabriela do Wspólnoty Świętej Góry czytał list już kilkadziesiąt razy.

– Miałem wrażenie, jakbym go znał. – Gabriel przerwał milczenie. – Skąd wiedział, jak się nazywam? Skąd znał twoje imię?

Ojciec Akwilin złożył i schował kartkę.

– Pan zesłał cud. – Z trudem panował nad głosem. – Prawdziwy cud.

– Wiesz, kim jest Sergiusz, prawda? Mówił, że wyjaśnisz mi wszystko, że jemu bym nie uwierzył.

– Ojcowie chcą, byś raz jeszcze opowiedział o wszystkim. Porozmawiamy wieczorem.

Kolejne dni mijały, nie przynosząc upragnionego momentu rozmowy. Gabriel posłusznie, raz po raz, powtarzał swoją opowieść przed Gremium Ojców. Nie buntował się, gdy starcy jeden po drugim żądali, by oglądać blizny na jego głowie.

Obserwował, jak zmienia się zachowanie ojca Akwilina, jak nieopisaną radość i ulgę szybko zastępują strapienie, frustracja, a później wyraźna wręcz wściekłość.

Gabriel ani słowem nie wspominał o ogniu, który rósł w jego własnej duszy.

Któregoś wieczora ojciec Akwilin bezceremonialnie wszedł do celi Gabriela. Zatrzasnął za sobą drzwi i zaciągnął rygiel. Opadł na taboret. Otarł spoconą, pobladłą twarz. Zaczął mówić szybko. Wzrok wbił w posadzkę.

– To właśnie Sergiusz pomógł ci przyjść na świat. Pierwsze lata twojego życia spędził pośród nas. Wspólnota, zanim się urodziłeś, wyglądała inaczej. Pod Górą zdołało schronić się kilkanaście rodzin. Były wśród nas kobiety i dzieci. Przetrwaliśmy czas Zagłady, a potem wspólnie zaczęliśmy planować, jak przeżyć dalej.

Gabriel usiadł na skraju pryczy. Słowa ojca Akwilina sprawiały, że oczy

chłopaka otwierały się coraz szerzej.

– Później przyszła zaraza i rozpętało się piekło. Podjęto decyzję, by… – Ojciec Akwilin załkał niespodziewanie. Zadrżał. – Trzeba było ratować tych, którzy wciąż jeszcze byli zdrowi. Tych, którzy mieli jeszcze szanse.

Starzec przez łzy spojrzał na Gabriela.

– Najpierw zachorowały wszystkie kobiety i dziewczynki. Walczyliśmy z plagą, jak tylko mogliśmy, ale przegrywaliśmy. Wkrótce zapadła straszna decyzja. Trzeba było wypędzić wszystkich zarażonych. Albo to, albo cały schron czekała śmierć. Część stanęła w obronie chorych. Wybuchła walka, Panie Przenajświętszy…

Ojciec Akwilin zatrząsł się. Długą chwilę starał się zapanować nad sobą.

– Twoja matka kazała mi przysiąc, że utrzymam cię przy życiu. Przyrzekłem jej! Na Boga, zrobiłem to! Za wypędzonymi wrota zatrzasnęły się na całe lata. W środku zostaliśmy my. Ledwie dwadzieścia trzy osoby, sami mężczyźni, chłopcy i dzieci. Nowoczesny schron z ogromnymi zapasami, z generatorami prądu, z nieskażoną, gorącą wodą z geotermalnych źródeł. Niemal pełne magazyny. Dwudziestu trzech.

Gabriel nie potrafił wypowiedzieć słowa. Trząsł się cały. Zabliźniona rana głowy zaczęła pulsować tępym bólem, coraz mocniej i mocniej.

– Ksiądz Teodor zaczął tłumaczyć nam wszystko, co się stało… On poprowadził nas przez ten straszliwy czas. Po latach nawet ja uwierzyłem, nawet ja popadłem w to szaleństwo, w ten nowy sens i porządek, w wielką misję stworzenia nowej ewangelii dla zgładzonego świata. Wypędzeni próbowali wrócić. Dwa razy szturmowali wrota. To były pogromy. Teodor był szalony, a tym obłędem zaraził nas wszystkich. Teraz, po tylu latach, zdarzył się prawdziwy cud. Możliwość odkupienia! Słowa przebaczenia i pojednania od ludzi, których wtedy skazaliśmy. Których potępiliśmy!

– To o tym jest list – szepnął Gabriel.

Ojciec Akwilin załkał. Ukrył twarz w dłoniach.

– A Gremium się nie zgadza. Odmawia im – dodał Gabriel.

Kolejne, pełne napięcia dni zlały się w jeden ciąg w umyśle wyczerpanego Akwilina. Wciąż śniły mu się kłótnie, gorączkowe próby przekonania Gremium.

Coś zbudziło go nagle. Zamrugał zdezorientowany.

– Gabriel?

Światło żarówki zadrżało. Basowy łoskot wypełnił przestrzeń. Akwilin poderwał się, wypadł na korytarz. Gdy rozpoznał odległe echo wystrzałów, zamarł.

– Gabriel! – Odwrócił się w stronę celi chłopaka.

Oczy kobiety, która wyrosła przed nim, płonęły nienawiścią. Nie zdążył się nawet zasłonić.

Szarpnięcie wyrwało Akwilina z nicości. Skroń zatętniła rwącym bólem. Zamrugał, starając się skupić wzrok. Silne ramiona pchnęły go, runął na kolana. Rozejrzał się.

Masywne główne wrota Świętej Góry stały otworem. Uzbrojeni ludzie stali wkoło niego, ich towarzysze wbiegali i wybiegali z kompleksu. Z wewnątrz dochodziły nawoływania, rytmiczne uderzenia ciężkich młotów o metal, pojedyncze wystrzały. Ostatnie promienie słońca omiatające plac rozpalały wzburzony pył płomienną łuną.

Ostry metal dotknął policzka Akwilina.

– Poznajesz mnie? – Zdeformowana bliznami twarz Sergiusza pochyliła się nisko. – Widzę, że tak.

W pełnym cierpienia okrzyku Akwilin rozpoznał głos Gabriela. Chłopak klęczał kilka kroków od niego.

– Przyrzekałeś! Przyrzekałeś! – Gabriel szarpał skrępowanymi za plecami rękoma.

Stojąca przy nim postać złapała go za włosy.

– Obietnice! – Sergiusz roześmiał się histerycznie. Przesunął bagnetem po głowie Akwilina. – My wiemy, że słowa nie mają już znaczenia. Prawda, Lin? Prawda?!

– O Boże…

– Bóg?! Bóg?! Bóg spłonął na atomowym stosie razem z całą resztą! Teraz kto inny stoi za sterem tego radioaktywnego wraku. Obiecałem ci, że kiedyś wrócę. Pamiętasz, Akwilinie? Marta! Olga! Judyta! Gośka! – Z każdym wypowiadanym imieniem Sergiusz policzkował starca. Gdy skończył, chwycił i poderwał bezwładną głowę. Przyłożył ostrze do szyi. – Wracaj mi tu, nie odpływaj. Wiesz? Już zacząłem godzić się, że przyjdzie mi zdechnąć bez sprawiedliwości, i zgadnij, co się stało. Twój chłopiec dosłownie spadł mi z nieba. Naiwny, boży chłopiec. Niezłe zrządzenie losu, co? A może ty wolisz właśnie to nazwać bożą wolą? Wystarczyło pokazać mu kawałek naszego świata, wzbudzić litość, zasiać ziarenko wątpliwości, skłonić, by przyniósł ci list. *Et in terra pax hominibus bonae voluntatis!* – Opętańczy śmiech odbił się zwielokrotnionym echem. – Nie uwierzyliście, co? Ale on uwierzył. To on wpuścił nas bocznym wejściem.

Sergiusz pochylił się tak blisko, że Akwilin poczuł parzący oddech.

– Otworzył nam drzwi twój własny syn. – Sergiusz wyszeptał wprost do ucha starca.

Akwilin zawył, szarpnął się desperacko.

– Przysięgałeś na Alicję! – głos Gabriela łamał się. – Na własną córkę!

Sergiusz doskoczył do niego. Bagnet zniknął za plecami chłopaka. Ostrze przecięło więzy.

– Biegnij! Biegnij do niej. Alicja prowadzi grupę starszych, pewnie już podchodzą tutaj. Obiecałem, że cię zobaczy. Biegnij! Opowiedz mojej Alicji o zdradzie.

Gabriel poderwał się. Uczepił się tej myśli jak ostatniej szansy. Jeśli ktokolwiek mógł powstrzymać szaleństwo ojca, musiała to być właśnie ona. Alicja przecież również kazała sobie obiecać, że nikomu nie stanie się krzywda. Ojciec przysięgał, patrząc jej w oczy.

– Biegnij!!!

Gabriel pognał przed siebie. Sergiusz stanął nad klęczącym Akwilinem.

Skinął na przechodzącą kobietę. Wyciągnął rękę w jej stronę.

– Patrzyłem, jak umierają moje dzieci i żona. Trzymałem Olgę za rękę, gdy konała, i to wtedy złożyłem jedyną obietnicę, która jeszcze się liczy. Bezsilność to najstraszniejsza z tortur, Akwilinie. Teraz to ty będziesz patrzył.

Kobieta podała dowódcy karabin. Akwilin zaczął krzyczeć za oddalającym się synem.

– Biegnij, Gabrielu. – Sergiusz podniósł broń do ramienia. – Biegnij po zbawienie.

Autorzy

Paweł Majka

Urodził się w czerwcu 1972 roku w Krakowie. Autor *Dzielnicy obiecanej*, powieści w ramach Uniwersum Metro 2033, oraz *Pokoju światów* i *Niebiańskich pastwisk*. Jego opowiadania znaleźć można w antologiach: *Nowe Idzie*, *Science Fiction*, *Kanon Barbarzyńców*, *Tempus Fugit*, *Rok po końcu świata*. Najważniejszy juror konkursu, którego owocem jest niniejszy zbiór.

Aneta Pazdan

Urodzona w 1991 roku w Krakowie. Studiuje na specjalności Rośliny lecznicze i prozdrowotne. Interesuje się piłką nożną, szczególnie w wydaniu angielskim, marzy o zwiedzeniu Europy, zwłaszcza krajów nordyckich. Zamieszczone opowiadanie to jej publikacyjny debiut.

Dagmara Adwentowska

Redaktorka i korektorka m.in. w magazynie „Histeria” i „Szortalu”. Jej opowiadania można znaleźć w „Histerii”, „Szortalu” oraz antologiach: *Teorie spisków*, *Fantazje zielonogórskie IV*, *Elgacon II*, *Horror na Roztoczu: Insomnia*.

Magdalena Kucenty

Z zawodu inżynier, prywatnie skończona maruda z najcierpliwszym mężem na świecie. Na papierze debiutowała w „Smokopolitanie” (3/2015).

Dawid Jaworski

Rocznik 1991. Za dnia student medycyny, nocą zapalony czytelnik i pisarz amator. Na jego półkach można znaleźć powieści fantasy, postapo, thrillery, książki medyczne i podróżnicze. Interesuje się kulturą Portugalii, lubi gotować i grać na gitarze.

Piotr Jedliński

Rocznik 1991, studiuje w Szczecinie, pisze od lat kilku i zaczyna tu i ówdzie publikować, pracując przy tym nad formami powieściowymi. Wychowany na fantastyce – od Pratchetta i Sapkowskiego po Lema i Dukaja – ale czyta wszystko, co przykuje jego uwagę.

Anna Wołosiak-Tomaszewska

Rocznik 1985, z wykształcenia filolog klasyczny, z zawodu bibliotekarka. Miłośniczka antyku, kosmosu i westernów; fanka *Star Treka*, *Muminków* oraz Arthura C. Clarke'a. Opowiadania w *Esensji*, *Fantazjach Zielonogórskich*, antologii *Wolsung* oraz „Szortalu". Prowadzi bloga fraa-farara.blogspot.com.

Ilona Podgajna

Studentka anglistyki, mieszka w Kielcach. Miłośniczka kawy, rocka i książek – od fantastyki i horrorów po thrillery psychologiczne. Marzy, by napisane przez nią historie uciekły kiedyś z szuflady w poszukiwaniu czytelników.

Komodo

Urodzony w 1987 roku w Blachowni (woj. śląskie). Zawodowo handlowiec, po godzinach pracy – dziennikarz i pasjonat gier wideo. Na koncie bezlik artykułów, udział w antologii *Szepty zgładzonyc*h, a także publikacja książkowa.

Justyna Micota

Urodzona w 2000 roku w Warszawie. Czyta wszystko, pisze bzdury, rysuje, żegluje i czasem strzela. To jej pierwsze opowiadanie konkursowe. Chce zwiedzić cały świat, mówić w sześciu językach, zostać sławnym pisarzem lub konstruować samoloty wojskowe.

Tomasz Przyłucki

Urodzony w roku 1991. Debiutował w *Szeptach zgładzonych*. Laureat Kryształowych Smoków 2015. Publikował prozę w „Smokopolitanie”, „Sofie” oraz „Lost&Found”. Czyta ciągle mniej, niż chce. Na co dzień pracuje z dziećmi i młodzieżą oraz pisze powieść.

Maciej „Sarajas” Głowacki

Rocznik 1997. Jak przystało na pustelnika, mieszka na końcu świata. Prowokator, skrajnie niezrównoważony troll, popijający leki nasenne kawą. Napiłby się z Herbertem i zagrał w rosyjską ruletkę glockiem 17.

Marek Zychla

Pracuje jako księgowy, kadrowy i opiekun osób niepełnosprawnych w KCAT Art&Study Centre w Callan w hrabstwie Kilkenny. W wolnych chwilach pisuje opowiadania, które można znaleźć w szeregu antologii.

Simon Zack

Rocznik 1979, pisarz, miłośnik fantastyki, weteran RPG i planszówek. Bywalec imprez fantastycznych, niezmordowany prelegent. Miłośnik kina, książek, filmów złotej ery Hollywood i Errola Flynna. Cthulhu geek, trekkie i browncoat. Strona www: simonzack.pl.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Paweł Majka | Halny
Aneta Pazdan | Upadek stacji Eden
Dagmara Adwentowska | Otwórz oczy
Magdalena Kucenty | Awers i Rewers
Dawid Jaworski | Czyściciel
Piotr Jedliński | Parias
Anna Wołosiak-Tomaszewska | Hexengrund
Ilona Podgajna | W ludzkiej skórze
Komodo | 320
Justyna Micota | Niemy
Tomasz Przyłucki | Miasto ’33
Maciej „Sarajas” Głowacki | Pinokio
Marek Zychla | Protokooperacja
Simon Zack | Obietnica
Autorzy